

# CZARNA SERIA

Książek o komisarzu Barbarottim po prostu nie można wymazać z pamięci.

Göteborgs Posten

Trzymająca w napięciu książka, która daje do myślenia. Nesser jak zawsze osiąga językowe mistrzostwo w ukazywaniu kontrastów i życiowych dylematów. Porusza i pobudza do refleksji.

Tidningen Kulturen

Håkan

# NESSER

RZEŹNICZKA Z MAŁEJ BIRMY

**Håkan**  
**NESSER**

RZEŹNICZKA Z MAŁEJ BIRMY

przełożył Maciej Muszalski

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2013



Miejscowości Kymlinge na próżno szukać na mapie, podobnie jak Małej Birmy, Górskiego Pensjonatu Ragnhildy czy Boga.

# I

## 29 kwietnia 2012

### 1

Poranek jak każdy inny.

Obudził się. Jeśli w pokoju dało się wyczuć jakąś zmianę, on jej nie wyczuwał.

Cisza była taka jak zwykle. Szare poranne światło, delikatnie prześwitujące przez cienkie zasłony, było zwyczajne. Wszystko było jak zwykle, a raczej takie się wydawało: niska kamienna ława pod oknem, wiklinowe krzesło w najciemniejszym kącie, ich ubrania na wieszaku, uboga w liście palma, zdjęcia dzieci wiszące rzędem przy drzwiach - wszystko takie samo jak cztery lata temu, kiedy się tu wprowadzili.

A wewnątrz fragment snu: pokój przesłuchań ze stołem i pozbawionym twarzy starszym mężczyzną, który właśnie powiedział coś ważnego - zbladł i zniknął we własnym, tajemniczym świetle.

I wreszcie ciężkość i zmęczenie w każdej części ciała - także znajome i przybierające na sile. Miał pięćdziesiąt dwa lata, co samo w sobie nie było powodem do zmartwień, a jedynie faktem, z którym trzeba było jakoś żyć. Odwrócił głowę i spojrzał na budzik. Dwadzieścia po szóstej. Zadzwoni za dziesięć minut. Niechętnie wyciągnął rękę i wyłączył alarm. Obrócił się z wysiłkiem i prawym ramieniem objął Marianne. Wsunął się pod kołdrę, żeby poczuć jej skórę. Nieważne, w którym miejscu.

Jeszcze przez sekundę był to najzwyczajniejszy poranek pod słońcem.

Zaraz potem przytomność rozeszła się po nim jak wstrząs elektryczny - od dłoni przez ramię i całe ciało. Strzeliła w

głowie jak lodowa błyskawica.

Nieobecność. Chłód.

Kompletny bezruch i cisza.

Każda komórka i każdy atom w jego ciele czuły, co się wydarzyło, zanim twarda membrana jego świadomości pękła z niemy krzykiem. Nie!

To się stało.

Stało się. Przez kilka chwil istniały tylko te dwa słowa. Nic innego.

Stało się. Stało się.

Po chwili doszło coś więcej.

Rzeczywistość. To nie strach. Ani przywidzenie. To się naprawdę stało.

Leżę tutaj.

Marianne tu leży.

Jest ranek.

Leżymy tu, rankiem, po nocy jak każda inna.

Ale tylko ja tutaj leżę.

Ona nie leży obok mnie. Nigdy już nie będzie leżała.

To się stało.

Naprawdę.

Znów położył dłoń na jej ciele. Nieważne, w którym miejscu.

Na ciele, ale nie na niej. Nikt nie jest tak zimny.

Śmierć.

Była szósta dwadzieścia sześć rano. Dwudziesty dziewiąty kwietnia 2012 roku.

Marianne nie żyła. Było tak, a nie inaczej.

Nie inaczej.

Jej oczy nie były do końca zamknięte. Podobnie jej usta. Tak jakby mimo wszystko zabrała ze sobą ostatni obraz. Jakby w ostatniej sekundzie zamierzała mu coś powiedzieć.

Może to zresztą zrobiła. Powiedziała coś do niego, wydobyła z siebie kilka słów, które być może wcisnęły się pod ciężki pancierz jego snu. A może tego nie zrobiły.

Może zmarła, nie będąc nawet tego świadoma? Nigdy się nie dowie. Nigdy nie przestanie się zastanawiać.

Jeszcze tu leżę, pomyślał. Jeszcze tylko ja o tym wiem.

Wciąż można wmawiać sobie, że wszystko jest normalnie. Może też być tak, że teraz śpię, a to tylko sen. To się nie może dziać tak nieprawdopodobnie szybko. Niedorzeczność. W ciągu jednej sekundy. To po prostu nie...

Te wszystkie myśli były jednak cieńsze od ścianek pryskającej bańki mydlanej.

I pryskały. Wszystko prysło.

- Marianne? - wyszeptał. - Marianne?

Gdzieś wewnątrz niego rozległ się jej głos:- Nie ma mnie tutaj. Przykro mi ze względu na ciebie, ale jestem o krok dalej. Przykro mi ze względu na ciebie i dzieci. Zajmij się nimi. Kocham was. Wam jest najtrudniej, ale pewnego dnia się spotkamy. Wiem o tym.

Wziął ją za rękę i nawet jeśli nie należała już do niej, nie puszczał. Poczul niemy chłód i zamknął oczy.

Wstał za piętnaście siódma. Usłyszał, że po domu chodzi któreś z dzieci, a więc nadszedł czas, aby powiedzieć im, że mama nie żyje.

Że umarła w nocy, w łóżku.

Pewnie tętniak, jak ostatnio. Pęknięte małe naczynko w mózgu. Jak półtora roku temu. Nie był więc nieprzygotowany - taka ewentualność tkwiła w nim jak zatruty kolec. Teraz kolca już nie było.

Nim zdążył dotrzeć do drzwi, żal powalił go na podłogę. Uderzył od tyłu jak huraganowy wiatr i pchnął go do przodu. Leżał tam skulony jakiś czas, po czym złożył ręce i zaczął prosić Boga o siłę.

Siłę, aby zejść do kuchni, zebrać dzieci wokół stołu i wszystko im powiedzieć.

## II

# Maj 2012 Czerwiec 1989

### 2

Eva Backman zapukała i weszła.

Stała za drzwiami i rozejrzała się dookoła. Przy oknie, zwrócony do niej plecami, stał Asunander i rozmawiał przez telefon. Za biurkiem, pod ścianą, piętrzyły się kartonowe pudła. Naliczyła jakieś osiem, dziesięć sztuk. Zastanawiała się, czy rzeczywiście potrzeba mu ich aż tyle. Kiedy sama będzie opróżniała swój gabinet - w odległej przyszłości - pewnie wystarczy jej jedno.

Albo dwie papierowe torby.

Ale Asunander był komisarzem i szefem, a to oczywiście różnica. Zajmował ten obszerny pokój od ponad piętnastu lat, i gromadził rzeczy. Wstawił tu na przykład regał wypełniony książkami, z których większość prawdopodobnie należała do niego. Zwróciła na to uwagę już wcześniej, a przebiegając wzrokiem po grzbietach w oczekiwaniu na koniec rozmowy, pomyślała o tym znowu. Czytający policjant. Głównie historia: kryminalistyki i powszechna. Słowniki i leksykony. Pół metra beletrystyki.

Może zresztą za rzędami książek trzymał na przykład dobrą whisky? Albo chował ją w którejś szufladzie biurka? Nie wszystkie strony Asunandera zdążyła dokładnie rozpracować, a skoro do końca służby zostały mu dwa miesiące, niektóre tajemnice będzie chyba musiał zabrać ze sobą.

Z tymi myślami inspektor Backman usiadła w fotelu naprzeciwko biurka.

Asunander zakończył rozmowę, odwrócił się i skinął głową w jej kierunku. Kilka razy przeniósł ciężar ciała z pięt na palce i z powrotem, po czym usiadł za biurkiem.

- Zacząłeś sprzątać? - Wskazała kartony.

Asunander wlepił w nią wzrok. Pomyślała, że nie zbliżyła się do niego przez te wszystkie lata i w ostatnich tygodniach też tego raczej nie zrobi. Nie ona jedna. Asunander był, jaki był. Samotny wilk.

- Toivonenowi zostało kilka kartonów. W marcu się przecież przeprowadzał. Przyniósł je dziś rano.

Backman pokiwała głową.

- Ale to nie o moim zejściu z tego świata mieliśmy rozmawiać. - Odchrząknął

i pogrzebał w stosie papierów na biurku. - Chodziło o Barbarottiego. Jak on się trzyma, do cholery? Można mówić o jakiejś poprawie?

Eva Backman westchnęła i zastanowiła się nad odpowiedzią.

Poprawa? Kilka sekund przyglądała się ciężkiej twarzy Asunandera. Czy za tymi zmarszczkami i słoniową skórą kryło się zrozumienie? Czy kryła się tam odrobina ciepła i człowieczeństwa, czy też wiek, zmęczenie i samotność usunęły już resztki empatii?

Trudno powiedzieć.

Od śmierci Marianne minęły trzy tygodnie, od pogrzebu nieco ponad tydzień.

Rozmawiała z Barbarottim właściwie każdego dnia. Najczęściej po kilka razy. Próbowwała rozmawiać. Ostatni raz dziś rano. Nie wiedziała, czy słowo „poprawa” jest w jakikolwiek sposób adekwatne. Ona w każdym razie żadnej poprawy nie dostrzegała, choć nie miała pojęcia, co kryje się pod pancierzem Barbarottiego.

To jak czarna woda pod pokrywą lodową na leśnym jeziorze - ostatni raz przyszło jej to do głowy dziś rano i chyba był to nie najgorszy obraz sytuacji.

- Przyjdzie po południu - powiedziała.

- Tak, wiem - odparł Asunander. - Pytanie brzmi, do czego go możemy wykorzystać.

- Wykorzystać?

- Nie łap mnie za słowa. Wiesz, o co mi chodzi.

- Myślę, że to ważne, by zaczął pracować.

- Nie możemy zajmować się terapią - rzekł Asunander. -



Nawet w takich okolicznościach. Nie zrozum mnie źle, ja mam serce.

- Nigdy w to nie wątpiłam - odparła Backman.

Pewnie, że wątpiłam, pomyślała w duchu. I to nie raz.

- No więc?

Eva zastanawiała się chwilę.

- Nie za bardzo wiem, jak on się czuje - przyznała. - Ani też, na ile można go.

wykorzystać.

- To cholernie dobry policjant - powiedział Asunander. - Trudny, ale dobry.

A ty jesteś cholernie trudnym szefem - kontynuowała swój monolog wewnętrzny Backman. - Może i dobrym, ale zdecydowanie trudnym.

- Masz rację - przytaknęła.

- Rzecz jasna, po nagłej śmierci żony człowiek nie staje się lepszy. Raczej trudniejszy.

Asunander odchylił się do tyłu i splótł dłonie na karku. Wpatrywał się w sufit,

najwyraźniej myśląc o swoim ostatnim stwierdzeniu.

Nie lepszy, tylko trudniejszy?

Eva Backman siedziała przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czego od niej oczekuje. Czy spodziewa się usłyszeć ocenę Barbarottiego, czy też poprosił ją do siebie, żeby wy badać sytuację?

Asunanderowi jednak rzadko kiedy wystarczało samo wy badanie sytuacji, nie lubił też rozmów o niczym. Uznała, że mimo wszystko potrzebował w tej sprawie pomocy. Chciał usłyszeć od niej przemyślaną odpowiedź na pytanie, jakie zadania można powierzyć trudnemu, ale dobremu inspektorowi, którego zaledwie czterdziestosiedmioletnia żona odeszła, zostawiając go samego z piątką prawie dorosłych dzieci i... smutkiem, którego rozmiarów nie można sobie nawet wyobrazić. Tak, najprawdopodobniej to był orzech, który zgryźć miała dla niego Backman.

- Chyba nie powinien zabierać się za Fängströma - powiedziała. - To nie byłoby w porządku.

Asunander skinął ponuro głową, nie odrywając jednak oczu od sufitu. Sprawa Fångströma automatycznie pojawiła się w głowie inspektor Backman. Nie było w tym nic dziwnego - miała zaledwie dwie doby, a Eva zajmowała się nią od pierwszej sekundy. Raymond Fångström, dwudziesto-dziewięcioletni kawaler, został znaleziony martwy u siebie w domu przez troskliwą matkę, która w niedzielę rano przysłała mu trochę pomoc: posprzątać, wyprasować ubrania, tego typu rzeczy.

Znalazła go na podłodze w kuchni - leżał na brzuchu z rękoma pod sobą, w przejściu między kuchenkozlewozmywakiem a zamrażarkolodówką. Dość szybko ustalono, że leżał tak od późnych godzin wieczornych poprzedniego dnia. Przed śmiercią miał silne torsje - jego głowa spoczywała w kałuży wymiocin. Na stole były pozostałości po posiłku - wszystko wskazywało na to, że dwie osoby jadły przy nim spaghetti po bolońsku, racząc się butelką czerwonego wina.

Kto był gościem Fångströma - tego nadal nie wiedziano, jednak policyjny lekarz, niejaki Herbert Lindman, który w trzech przypadkach na cztery miał rację, już po kilkuminutowym badaniu stwierdził, że prawdopodobieństwo otrucia jest stosunkowo duże. Próbki wina, spaghetti, sosu bolońskiego oraz treści żołądkowej Fångströma - zarówno tej zwróconej, jak i reszty - wysłano do Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego w Linköping. Odpowiedź miała nadejść w swoim czasie, przy odrobinie szczęścia - w ciągu tygodnia.

Problem polegał nie tylko na tym, że Raymond Fångström zmarł w niejasnych okolicznościach. Chodziło też o to, że od czasu wyborów w 2010 roku był członkiem rady gminy Kymlinge z ramienia Szwedzkich Demokratów. Zdążyły już pojawić się głosy, że było to morderstwo polityczne, że Fångström padł ofiarą wrogich sił z lewej strony sceny politycznej. Sprawcą mógł być jakiś imigrant albo homoseksualista. Nie brakowało przeciwników ksenofobicznej polityki i poglądów, jakie forsował w radzie, będąc w niej języczkiem u wagi.

Fakt, że owe głosy były raczej donośne niż liczne, miał mniejsze znaczenie - media rozdmuchały sprawę na niwie zarówno lokalnej, jak i krajowej. Morderstwa polityczne w Szwecji nie zdarzały się często, więc na poniedziałkowej konferencji prasowej na komisariacie w Kymlinge było ponad pięćdziesięciu dziennikarzy.

Eva Backman przesłuchiwała jak dotąd sześć osób, mniej lub bardziej związanych ze zmarłym szwedzkim demokratą. W notatniku miała jeszcze dwanaście i nie cieszyła się na te spotkania. Dzień wcześniej do późna siedziała oko w oko z Sigmundem Stillerem, numerem dwa na partyjnej liście, który miał zastąpić Fängströma w radzie. Wciąż zaciskała zęby na to wspomnienie.

Stiller nie żądał, żeby przy rozmowie obecny był adwokat, jednak nalegał na ochroniarza. Twierdził, że zagrażają mu lewicowi terroryści, i trąbił o tym we wszystkich możliwych mediach. Uważał ponadto, że każdy członek Szwedzkich Demokratów powinien dostać ochronę, choć od tego postulatu kierownictwo partii w Sztokholmie (a może w Skanii, czy gdzie tam ono jest) natychmiast się odcięło. Już po kilku godzinach śledztwa Eva Backman poczuła, że wolałaby pracować w drogówce, wydziale do walki z przestępczością narkotykową czy gdziekolwiek indziej, byle tylko nie zajmować się sprawą martwego rasisty.

Wprawdzie odkąd założyli krawaty i weszli do parlamentu, Szwedzcy Demokraci nie określali się zwykle jako rasiści, jednak lokalnie - przynajmniej w Kymlinge - nikt nie miał

wątpliwości, jakie są ich poglądy. W ciągu niespełna dwóch lat w radzie Raymond Fängström nie pozostawił obywatelom wątpliwości co do dwóch rzeczy: że nienawidził każdego, kto urodził się na południe od Alp, i że nie był najwybitniejszym umysłem w kraju.

Sigmund Stiller (Eva Backman dowiedziała się, że tak naprawdę nazywał się Jan Johansson, ale zmienił nazwisko, ponieważ prześladowano go w szkole), jak się okazało, pod tym względem nie ustępował liderowi.

- Dlaczego uważa pan, że śmierć Fängströma ma podłoże

polityczne?

- To jasne jak słońce. Oni chcą nas dopaść.

- Jacy „oni”?

- No oni. Islamiści. Imigranci. Raymond został zamordowany. To początek wielkiej wojny rasowej, no nie?

- Zgadza się - wtrącił ochroniarz, który nazywał się Hank i wyglądał, jakby ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilo. - *The hit has shit the fan.*

Nie, zrzucanie Fängströma na Barbarottiego nie wydawało się w porządku.

- Lepiej niech trzyma się od tego z daleka - powiedział Asunander. - Nie potrzebuje chyba takiego cyrku.

- Nie w nadmiernych dawkach - odparła Backman.

Asunander opuścił ręce na biurko i przez chwilę przekładał papiery. Nagle jednak najwyraźniej zmienił zdanie i z prawej górnej szuflady biurka wyciągnął brązową teczkę.

- A co myślisz o tym?

Nie puszczając teczki, przekreślił ją tak, żeby Eva mogła przeczytać napis z przodu: „Arnold Morinder”.

Było to tylko nazwisko i nie od razu przypomniała sobie wszystkie okoliczności sprawy. Wprawdzie coś jej świtało, ale nie brała udziału w tamtym dochodzeniu. W każdym razie nie oficjalnie. Asunander otworzył teczkę i wymruczał coś, czego nie zrozumiała.

- Niezbyt dobrze pamiętam - przyznała. - To ten od niebieskiego mopedu, prawda?

- Tak jest - odparł. - Sprawa sprzed około pięciu lat. Nie udało nam się wtedy zbyt wiele ustalić.

- To sobie akurat przypominam - powiedziała Backman. - Ale nigdy tak naprawdę nie uczestniczyłam w śledztwie. Chyba dość szybko je umorzono.

- Zgadza się - potwierdził Asunander z niezadowoloną miną.

- Odłożone do spraw nierozwiązywalnych. Do niczego nie doszliśmy. Cholernik nigdy się nie pojawił.

- Zaginięcia - stwierdziła Backman - zawsze są trudne.

- Mówisz? - odparł Asunander.

Backman się zamyśliła.

- Co mógłby tu według ciebie zdziałać Barbarotti?

Asunander wzruszył ramionami.

- Będzie miał zajęcie. Czy nie taka była recepta? A jeżeli nic nie zdziała, to przynajmniej nikomu nie zaszkodzi.

Backman nie odpowiedziała.

- Bądź tak dobra i przejrzyj materiały, zanim on to zrobi - kontynuował Asunander z wyrazem twarzy, który chyba miał ilustrować fakt, że podjęli wspólną decyzję. - W ten sposób będziesz mogła mu to przedstawić po południu. Ale pamiętaj, że ma nad tym pracować samodzielnie. Jednoosobowe śledztwo. Nie możemy trwonić zbyt wiele środków na takie sprawy. Tydzień czy dwa, żeby się trochę wdrożył, co pani inspektor o tym sądzi?

- Nie sądzę absolutnie nic - odparła Eva Backman.

- No dobrze - rzekł Asunander. - Prokurator już wie, ale nie chcę żadnych standardowych przesłuchań. Zwykle ostrożne rozpoznanie i tyle. Wy tłumacz mu to, proszę.

Ostrożne rozpoznanie? - pomyślała z irytacją, kiedy już zamknęła za sobą drzwi. Jednoosobowe śledztwo? Jak już coś robić, to chyba lepiej na poważnie? Czyż nie? A poza tym Barbarotti od razu przejrzy Asunandera. Zrozumie, że chodzi tylko o trening. Że nie uważa się go za nadającego się do pracy.

Choć może właśnie tego było mu trzeba? Może w obecnej sytuacji sam Gunnar Barbarotti wolałby takie remedium? Zakład pracy chronionej w ramach właściwej działalności policji.

Gdyby oczywiście ktoś go zapytał o zdanie.

No i gdyby Barbarotti miał jakąś wolę. A tej w czasie ich ostatnich rozmów nie przejawiał zbyt wiele. Dokładnie rzecz biorąc, nie przejawiał jej wcale.

Smutek, pomyślała, wchodząc do swojego gabinetu. O to właśnie w tym wszystkim chodzi. O smutek. Wieczną zmarzlinę duszy.

### 3

Choć sprawa Morindera dotyczyła Arnolda Morindera, trudno byłoby go nazwać jej głównym bohaterem.

Rola ta, nie bez powodu, przypadła jego konkubinie. Przeczytanie streszczenia sprawy zajęło Evie Backman dwadzieścia minut. Spisał je inspektor Borgsen - nie bez przyczyny zwany Smutasem - i nawet jeśli Eva niewiele miała do czynienia ze śledztwem, po pobieżnym zapoznaniu się z opisem przypomniawszy sobie całkiem sporo.

Wszystko zdarzyło się w sierpniu 2007 roku. Niecałe pięć lat temu, jak zauważył Asunander. Arnold Morinder, pięćdziesięcioczeroletni pracownik firmy elektrycznej Buttros El z Kymlinge, zniknął ze swojego domku letniskowego na północy cypla Kymmen. Wsiadł na moped, żeby pojechać na stację Statoil w Kerranshede i kupić popołudniową gazetę. Kiedy po trzech dobach nadal nie wrócił do domu, jego konkubina, niejaka Ellen Bjarnebo, zadzwoniła na policję. Inspektor Smutas i aspirant Wennergren-Olofsson pojechali z nią porozmawiać. Podejrzenia, że miało miejsce przestępstwo, pojawiły się właściwie od razu. Nie dlatego, że wskazywały na to liczne przesłanki, przynajmniej nie na początku (choć później też nie). Po prostu Ellen Bjarnebo była tym, kim była.

Rzeźniczką z Małej Birmy.

Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku cieszyła się pod tym przewiskiem krótką i ponurą sławą. Mała Birma to nazwa średniej wielkości gospodarstwa, pięć kilometrów na północny wschód od Kymlinge, w którym mieszkała z mężem i dzieckiem. Była też Wielka Birma, a droga wiodąca do obu gospodarstw nosiła nazwę Drogi Birmańskiej, nawiązującą do znanego szlaku w Azji, ukończonego mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstały oba gospodarstwa, czyli pod koniec lat trzydziestych. Osadnikami byli dwaj bracia, Sven i Arvid Helgessonowie, i to właśnie syn Arvida, Harry, pięćdziesiąt lat później został poćwiartowany.

Najpierw jednak został zabity młotem kowalskim, a mniej

więcej pięć miesięcy później jego żona Ellen Helgesson z domu Bjarnebo została skazana za zabójstwo i zbezczeszczenie zwłok. Umieszczono ją w Hinsebergu, niedaleko Frövi w Bergslagen, jedynym szwedzkim więzieniu dla kobiet. Została stamtąd zwolniona po jedenastu latach.

Eva Backman pamiętała, że była to dość ponura historia, a sprawozdanie Smutasa nie pozostawiało w tej kwestii żadnych wątpliwości. Z natury dokładny, poświęcił sprawie tylko kilka stron. Wiedza Backman ograniczała się do tego, co wówczas zobaczyła w telewizji albo przeczytała w gazetach. Wprawdzie ukończyła już wtedy szkołę policyjną, jednak była na urlopie macierzyńskim po urodzeniu pierwszego ze swoich trzech synów.

#### Rzeźniczka z Małej Birmy?

Wyszła z więzienia w Hinsebergu w listopadzie 2000 roku. Wróciła do Kymlinge, wynajęła mieszkanie, a po jakimś czasie zatrudniła się na poczcie. Pracowała tam do zaginięcia Morindera latem 2007 roku, a przez ostatnie lata w Svensk Kassaservice. Backman zastanawiała się, czy koledzy z pracy wiedzieli, że jest wśród nich morderczyni. Może tak, może nie, w każdym razie kiedy ją zatrudniano, musiał być chyba ktoś, kto znał jej przeszłość. Nawet jeśli Królewski Urząd Pocztowy nie był już taki jak dawniej.

Ellen Bjarnebo - do panińskiego nazwiska wróciła jeszcze przed procesem w 1989 roku

- zamieszkała z Arnoldem Morinderem mniej więcej na rok przed tym, jak przepadł. Ze sprawozdania Smutasa nie wynikało, jak się poznali, a jedynie że od czerwca 2006 roku zajmowali trzypokojowe mieszkanie w Rocksta. Morinder był wcześniej żonaty, ale nie miał dzieci, a domek na cyplu Kymmen należał do niego od połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to odziedziczył go po ojcu.

W sprawie zaginionego elektryka zostało wszczęte śledztwo. Postępowanie przygotowawcze prowadził prokurator Månsson, w policyjnych kręgach znany jako Månsson Ciapa, który nadal był jak najbardziej czynny zawodowo. Backman zastanawiała się, dlaczego zgodził się na to, żeby ponownie otworzyć sprawę.

Może Asunander wcale mu o tym nie powiedział - Backman nie zdziwiłaby się, gdyby tak właśnie było. Komisarz i prokurator współpracowali od lat i przez cały ten czas działali jak lódź na kółkach.

Tak czy inaczej w sprawie Morindera szybko ustalono, że zrealizował swój zamiar, czyli zatankował na stacji w Kerranshede i kupił gazetę, jednak jego dalsze losy pozostawały zagadką. Moped, stary niebieski zündapp, znaleziono po tygodniu w bagnie osiem kilometrów na zachód od domku. Miejsce to, zwane Dużym Czarnym Bagnem, znane było z licznie występujących wokół niego komarów. Przeszukawszy je, ani funkcjonariusze, ani rozmaici technicy nie znaleźli żadnej wskazówki mogącej naprowadzić ich na trop zaginionego Morindera.

Po tygodniowym taplaniu się w mokradle w towarzystwie chmar komarów mogli być już trochę znudzeni sprawą, pomyślała Backman. Nic dziwnego, że dochodzenie zostało umorzone. Nierozwiązywalne, jak się rzekło.

Następnie zaczęła liczyć - morderstwo w Małej Birmie i zaginięcie Arnolda Morindera dzieliło osiemnaście lat. Do chwili obecnej upłynęło kolejnych pięć.

Czy to odpowiednie zadanie dla pogrążonego w żałobie inspektora? Czy ono w ogóle jest dla kogoś odpowiednie? Co też Asunander mógł mieć na myśli? Zupełnie nic?

Dobre pytania.

Eva Backman spojrzała na zegarek. Nadeszła pora lunchu.

Czas przygotować się na spotkanie z Barbarottim, który po raz pierwszy od śmierci Marianne miał pojawić się na komisariacie. To też było jakieś zadanie.

Nie lepsze, tylko trudniejsze?

Nagle poczuła mdłości.

#### 4

Gunnar Barbarotti wyłączył silnik i odpiął pasy bezpieczeństwa, ale nie wysiadał z samochodu.

Tej chwili się obawiał. Powrotu na komisariat.



Choć może to niewłaściwe słowo, bo już nie było czego się obawiać.

Chwila skamienienia. Doświadczał ich co jakiś czas. Był to swoisty paraliż, który ogarniał go bez ostrzeżenia i potrafił zatrzymać w pół kroku albo unieruchomić przy kuchennym stole. Barbarotti nie był wówczas w stanie zdobyć się na choćby jedną wybiegającą w przyszłość myśl.

Skamienienie z żalu. Przyjaźnie nastawiony terapeuta, który rozmawiał z nim dwa razy, tak właśnie określił ten stan.

Było to dla niego równie niewielkim pocieszeniem jak wszystko inne.

Åke Rönn, tak się nazywał ten terapeuta. Był spokojny, pochodził z Norrlandii i pojawił się w pustej głowie Barbarottiego na parkingu przed komisariatem. Kraciasta flanelowa koszula i tym podobne - ostatnio w odcieniu czerwieni i błękitu.

Terapeuta żałoby. Co za beznadziejny zawód. Sam przyznał, że w tym się specjalizuje.

A może wcale nie było to takie beznadziejne? Może Åke Rönn naprawdę pomógł temu lub owemu nieszczęśnikowi. Stopniowo. Smutek zawsze trwa - tak powiedział. - To powolna rzeka, ale da się przez nią przeprawić i prędzej czy później wypłynąć na morze. Prąd jest słaby, nie powinieś się spieszyć. Nie masz wiosł i nie wieje wiatr.

Gunnar Barbarotti kiwał głową, ale nie komentował. Było tak wiele słów. Tak wiele mniej lub bardziej przemądrzałych słów. Wypowiadanych w dobrej wierze, ale przemądrzałych.

- Musisz spróbować skupić się na dzieciach - powiedziała mu wczoraj wieczorem przez telefon Eva Backman.

- Wiem - odparł. - Robię to. Skupiam się na dzieciach.

- Chcesz, żebym wpadła?

- Nie, nie trzeba.

- Jenny i Johan wrócili już od taty?

- Tak, przed południem.

- Jak się czują?

- Biorąc pod uwagę okoliczności, chyba dobrze.

- A ty?

- Nie najlepiej.
- Spałeś?
- Kiepsko.
- Bierzesz jakieś leki? Wiem, że nie uznajesz, ale.
- Nie.

Pytania i odpowiedzi. W końcu oznajmił, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, zasłonił się jakimiś domowymi obowiązkami i odłożył słuchawkę.

Kiedy również i ta rozmowa wybrzmiała w jego głowie, wziął dwa głębokie oddechy i wysiadł z samochodu. Gdy przecinał parking, idąc do wejścia, padał deszcz, on jednak nic sobie z tego nie robił.

Czas zacząć pracę. Czas zmierzyć się z codziennością.

- Dzięki.
- Za co mi dziękujesz?
- Za nią. Za Rzeźniczkę. Nie spodziewałem się prezentu powitalnego.

Eva Backman spróbowała przepraszającego uśmiechu, jednak poczuła, że szybko spłynął z jej twarzy.

- To chyba jedna z tych starych spraw, które denerwują Asunandera. Zostało mu, zdaje się, tylko jakieś półtora miesiąca. Tak czy owak to jego pomysł.

- Wiem, co się za tym kryje.
- Słucham? A co ma się kryć?
- Nie wierzy, że jestem zdolny do pracy.

Zastanowiła się szybko.

- A jesteś? - zapytała.

Barbarotti wzruszył ramionami.

- Nie mniej niż zwykle. Prawdopodobnie.
- Spodobało mi się to, co powiedziałaś na pogrzebie.
- Co konkretnie?
- Żeby patrzeć przed siebie, a jednocześnie zachować ją w sobie.

- Mówić to jedno. Co innego tak żyć.

- Nie zaszkodzi mieć gwiazdę przewodnią.

- Otóż to. Ona wciąż tam jest, nawet jeśli się na nią nie patrzy.

- O czym my właściwie rozmawiamy?

- Nie wiem. Opowiedz mi lepiej o tej Rzeźniczce. A tak w ogóle, nadal piję kawę. Wstała i poszła po kubek. Gunnar Barbarotti patrzył przez okno na deszcz.

- Ty chyba też nie miałeś nic wspólnego z tym śledztwem?

- Nie - Barbarotti potrząsnął głową. - To musiało być wtedy, kiedy nasz przyjaciel pisał do nas listy. Przypomina mi się tylko jakiś niebieski moped w jeziorze.

- W bagnie - poprawiła go Backman. - Ale Ellen Bjarnebo chyba znasz? Czy raczej Helgesson, bo tak się wtedy nazywała.

Barbarotti pokiwał głową.

- Przypomnij, kiedy to było?

- W 1989. Byłam na urlopie macierzyńskim po urodzeniu Viktora.

Gunnar Barbarotti ze zmarszczonym czołem przyglądał się kubkowi z kawą.

- W tamtym roku zostałem oddelegowany. Wydział narkotykowy w Eskilstunie, jakkolwiek miałoby to sens. Wróciłem na święta, a wtedy już się przyznała. Ale czytało się o tym w gazetach.

- To prawda, czytało się - odparła Backman. - Rzeźniczka z Małej Birmy. Trudno to zapomnieć. Ciekawe, co się teraz dzieje z gospodarstwem.

- Hm - mruknął Barbarotti.

Backman przez chwilę milczała. Deszcz przybrał na sile.

- Chcesz, żebyśmy porozmawiali o Marianne?

Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Nie, nie tutaj. Ale dzięki, że pytasz.

- Nie chcę, żebyś był tak po męsku uparty i wszystko w sobie dusił.

- Wiem, że tego nie chcesz. Nie musisz mi przypominać. W każdym razie nie za często.

- Okej - odparła Eva Backman. - Na razie to akceptuję.

- Dobrze - rzekł Barbarotti. - Wobec tego skoncentrujmy się na człowieku z niebieskim mopedem. Jak to było?

Odchrząknęła i zaczęła streszczać sprawę.

- Czekala trzy doby, zanim zgłosiła zaginięcie. Czy tak?

- Tak, zgadza się.

- Dlaczego?

- Myślała, że się pojawi. W każdym razie tak twierdziła. Porozmawiaj ze Smutasem, to chyba on ją przesłuchiwał. Przynajmniej raz, bo dochodzenie prowadził przede wszystkim ten cały Gunvaldsson. Pamiętasz go?

Barbarotti skinął głową.

- Czytałaś protokoły przesłuchań?

- Nie. Tylko streszczenie. Asunander polecił mi, żebym cię wprowadziła. Miałam tylko dwie godziny. Wliczając lunch.

- Hm - mruknął Barbarotti.

- Co tym razem oznacza „hm”?

- Niewiele. Może to, że nie widzę w tym wiele sensu. Choć teraz mogę to powiedzieć o większości spraw.

- Rozumiem - odpowiedziała Backman. - Tak czy inaczej można wysnuć wniosek, że Ellen Bjarnebo nie była uszczęśliwiona perspektywą kontaktu z policją. Ze względu na swoją przeszłość.

- Jak to w końcu było? - zapytał Barbarotti. - Czy to ona zgłosiła zaginięcie męża? Dość długo trwało, zanim go znalezione.

- Dwa pytania. Zgadza się, to ona zgłosiła. Po kilku miesiącach zaczęto go znajdować, ale chyba minęło trochę czasu, zanim był kompletny, że się tak wyrażę. Przynajmniej kilka dni, ale może źle to zapamiętałam.

- Rzeźniczka morderczyni? - zastanowił się Barbarotti. - Z tego, co wiem, takie nie rosną na drzewach.

Backman się skrzywiła.

- Za młodu pracowała w rzeźni w Göteborgu. Najwyraźniej miała do tego dryg.

A w Małej Birmie mieli krowy mięsne i świnie. Wcześniej, jeszcze zanim to się stało.

- To wszystko wyjaśnia - stwierdził Barbarotti.

- Może i tak.

- Jeżeli zaś chodzi o mężczyznę na niebieskim mopedzie, nie znalezione niczego?

- Nawet stopy - odparła Backman.

- Czy tym razem pojawiły się wobec niej jakieś konkretne zarzuty? - spytał Barbarotti. - Abstrahując od jej dotychczasowych dokonań.

- Nie bardzo wiem - przyznała Eva. - Chyba pojawiło się kilku świadków. Twierdzili, że nie wszystko grało, że miał miejsce jakiś incydent w restauracji czy coś takiego. Najlepiej sam przeczytaj. No i oczywiście porozmawiaj z ludźmi, którzy brali w tym udział, i zapoznaj się z protokołami przesłuchań.

- Gdzie ona teraz jest, ta Ellen Bjarnebo? Jeżeli mamy ponownie otworzyć sprawę, może też powinna mieć coś do powiedzenia.

Eva Backman pchnęła po stole kartkę papieru.

- Ulica Valdemara Kusko 40 - przeczytał Barbarotti. - Gdzie to jest? I kim, do licha, jest Valdemar Kusko?

- To w Rocksta - wyjaśniła Backman. - I nie mam pojęcia, kim jest Kusko. Czy raczej kim był, bo przecież żeby czymś nazwiskiem nazwano ulicę, z reguły ta osoba musi najpierw umrzeć.

- Chyba tak - zgodził się Barbarotti. - Czyli ona tam mieszka?

- Tak jest. Zupełnie sama, o ile dobrze zrozumiałam.

- Może miała już dosyć facetów.

- A oni jej - dodała Backman.

- Lepiej dla wszystkich.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc na deszcz, który ani nie słabł, ani się nie wzmagał. Backman chciała coś powiedzieć, ale nic ważnego nie przychodziło jej do głowy.

- Dzięki za wprowadzenie - rzekł w końcu Barbarotti i wziął do ręki teczkę. - Pójdę do siebie i to przejrzę. Domyślam się, że mam nad tym pracować w pojedynkę?

- Jeżeli dobrze zrozumiałam Asunandera, to tak - odparła Backman.

- Na pewno dobrze rozumiałaś.

Zaczął wstawać, ale Backman położyła mu dłoń na ramieniu.

- Może mógłbyś wpaść do mnie na kolację? Nie chcę cię zmuszać, ale.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Barbarotti - ale

muszę się zająć co najmniej czwórką dzieci. Daj mi kilka dni. Z jakiegoś powodu ciężko mi się przebywa poza domem.

- Okej - odparła. - Może to nie takie dziwne. W każdym razie jestem w domu, pamiętaj o tym.

- Dzięki - powiedział Barbarotti i wymknął się z pokoju.

## 5

Nie był nieprzygotowany.

Miał wiele powodów do rozpacz, ale to nie był jeden z nich. Pierwszy tętniak Marianne został zdiagnozowany półtora roku wcześniej i od tej chwili czas był naznaczony takimi myślami:

*„Była o milimetr od śmierci. To może zdarzyć się znowu”.*

Myślał o tym i śnił. Wmawiał sobie i oczyma wyobraźni próbował zobaczyć najgorsze: to, że pewnego dnia Marianne nie będzie już u jego boku. Przez osiemnaście miesięcy ta możliwość chodziła za nim jak uparty cień; kilkakrotnie obudził się w nocy z przekonaniem, że to już się stało. Rozmawiali o tym. Wiele razy, właściwie nie czując strachu. Towarzyszył im wówczas swoisty spokój, pełen akceptacji, który teraz po czasie trudno mu było zrozumieć. I trudno znów w sobie odnaleźć.

*„O życiu wiemy na pewno tylko to, że kiedyś się kończy. Nie jesteśmy zaprojektowani na wieczność, nie tu, na ziemi. Wykorzystuj godziny i dni. Przyjdzie czas, takie są zasady”.*

Z całą pewnością nie był nieprzygotowany.

I naprawdę nie trwonili czasu. Bliskość śmierci wyostrzyła im zmysły, wyczuliła percepcję i, jakkolwiek by na to patrzeć, ich ostatnie chwile były jednocześnie najlepszymi.

*Czekamy, jedno na drugie, na drugim brzegu.*

Albo inaczej, jak w uparciu powracających strofach Larkina:

*Nieuchronnym wymarciem - to właśnie do niego*

*Podróżujemy, żeby zniknąć<sup>1</sup>.*

Było to marne pocieszenie, zwłaszcza Larkin, wiedział

---

<sup>1</sup> W przekładzie Jacka Dehnela (przyp. tłum.).

jednak, że tak właśnie będzie. Nawet to było przygotowane. Nawet to.

- Dzieci - powiedziała. - Jeżeli jednego z nas zabraknie, drugie zatroszczy się o dzieci.

Powiedziała to i potem do tego wracała.

Mieli piątkę, ale żadne nie było ich wspólne.

Jego dziećmi byli Sara, Martin i Lars. Sara miała dwadzieścia cztery lata i już wyfrunęła z gniazda. Od zimy ubiegłego roku mieszkała w Sztokholmie i studiowała prawo. Miała nowego chłopaka, ale jeszcze go nie poznał. Zdaje się, że mówiła o nim Max. Albo Maximilian.

Chłopcy mieli siedemnaście i piętnaście lat. Każdy z nich miał swój narożny pokój w willi Pickford, wielkiej ruderze, która była ich domem przez ostatnie cztery lata. Barbarotti pomyślał, że zna ich coraz lepiej. Skończył się czas, kiedy byli pod opieką Heleny, a jemu wydawało się, że ich stracił. Kochali swoją nową mamę, tę, której już nie było - nie ma co do tego wątpliwości - jednak nie cierpieli tak mocno jak on. Mieli wystarczające poczucie bezpieczeństwa, żeby nie pójść na dno - przynajmniej chciał w to wierzyć. Mieli szkołę, kolegów i zajęcia w czasie wolnym. Piłkę ręczną i geocaching. Obu charakteryzowała pewna zdrowa prostota - miał nadzieję, że dobrze to interpretuje.

Syn Marianne, Johan, skończył dwadzieścia lat. Również mieszkał w domu, pracował w kawiarni w Kymlinge i wiedział więcej o kawie niż jakikolwiek inny znany Barbarottiemu człowiek. Miał zacząć przygotowania do jesiennych egzaminów wstępnych: Lund, Uppsala albo Linköping. Coś z mediami, nie słuchał dokładnie. To z Johanem więc była najślabsza.

Jenny miała siedemnaście lat. Kiedy Barbarottiemu udało się oderwać wzrok od własnego smutku, zobaczył, że właśnie jej jest najtrudniej. Wrażliwa dziewczyna bez korzeni. Może zresztą była mu najbliższa ze wszystkich, może przyłgnęła do niego, żeby nie musieć jechać do domu, do swojego prawdziwego ojca. Ten wystąpił z taką propozycją zarówno na pogrzebie, jak i podczas kilku rozmów telefonicznych, jednak Barbarotti nie był w stanie stwierdzić, czy mówił poważnie, czy

też był to atak wyrzutów sumienia. Próba rekompensaty. Jenny i Johan spędzili weekend z owym Tommym i jego rodziną kukiełek w Halmstad, jednak żadne z nich nijak nie skomentowało tej wizyty.

Wiedział z całą pewnością, że Jenny chce nadal mieszkać w willi Pickford. Nie przepadała za swoim prawdziwym tatą, a słowa Marianne o zatroszczeniu się o dzieci dotyczyły przede wszystkim jej. Poza tym tylko z Jenny mógł siedzieć późnym wieczorem i rozpaczać.

Ryczeć, jak mówiła.

- Chodź, Gunnar, usiądziemy i poryczymy trochę. Tylko ty i ja.

Herbata, zapalona świeca. Tak cicho, jak tylko może być w osiemdziesięcioletnim drewnianym domu. Pojedyncze słowa. Pojedyncze wspomnienia o Marianne. Łzy i śmiech, kiedy czuli, że przysłuchuje się im ze swojej chmurzastej poduszki i mówi, żeby się wzięli w garść.

Mniej więcej tak. Te chwile były lekarstwem i wydawało mu się to trochę dziwne.

Po wyjściu z komisariatu owego pierwszego dnia po powrocie zrobił zakupy spożywcze w sklepie ICA w Rocksta. Lars i Martin obiecali, że przyrządzą makaron, i brakowało kilku składników. Kiedy wysiadł z samochodu na parkingu, było dopiero wpół do szóstej, pomyślał więc, że zorientuje się, gdzie leży ulica Valdemara Kusko. Był w końcu w Rocksta, gdzie, według dokumentów, mieszkała obecnie Ellen Bjarnebo.

Jego pierwsze zadanie po śmierci Marianne.

Rzeźniczka z Małej Birmy.

Czy ludzie nadal odbierają ją w ten sposób? Czy ona sama tak o sobie myśli?

Upłynęło ponad dwadzieścia lat, ale nie był to chyba epitet, z którego można się tak po prostu otrząsnąć.

No i Arnold Morinder. Co się z nim stało? Zniknął, kupiwszy „Aftonbladet” na stacji benzynowej w Kerranshede. Pięć lat temu. To oczywiście od tego powinien zacząć. Tę sprawę ma zbadać, gdyż to, co stało się w Birnie, już dawno zostało odłożone do akt. Tak czy inaczej nie zaszkodzi dowiedzieć się nieco więcej, zanim stanie oko w oko z Rzeźniczką.



Można się było oczywiście zastanawiać, dlaczego Asunander rzucił mu akurat tę starą sprawę, jednak po namyśle postanowił dać sobie spokój.

Z zastanawianiem się, rzecz jasna. Myśl o słabnących zdolnościach i odbywanych właśnie praktykach zawodowych była zbyt trafna, żeby próbować z nią walczyć. Na razie wystarczyło przeżyć. Przeżyć i, jak się rzekło, zatroszczyć się o dzieci.

Jak się rzekło, jak się rzekło.

Przy wjeździe na osiedle stała tablica z planem - Valdemara Kusko znalazł od razu. Była to jedna z wygiętych jak banan ulic otaczających zabudowania od strony lasu, na wschodzie. Wsiadł do samochodu i ruszył w tamtą stronę. Numer 40, ostatnia klatka schodowa w rzędzie charakterystycznych trzypiętrowych domów z lat siedemdziesiątych, z czerwono-brunatnej cegły i z zabudowanymi balkonami. Nie wiedział, na którym piętrze mieszka Ellen Bjarnebo, i teraz nie zamierzał się tego dowiadywać. Teraz chodziło tylko o ostrożne rozpoznanie, wstępny manewr bez żadnego znaczenia.

Zakręcił i ruszył z powrotem, myśląc o osiedlu Rocksta. Przez pierwszych dziesięć, piętnaście lat po powstaniu była to typowa nieprzyjemna okolica, teraz jednak było trochę lepiej. Pod względem przestępczości nadal oczywiście plasowała się w czołówce dzielnic Kymlinge i pewnie jeszcze przez jakiś czas to się nie zmieni, nie pamiętał jednak żadnej interwencji akurat na ulicy Valdemara Kusko. Żadnych przypadków pobicia, zdegenerowanych pijaczków, żadnej tak zwanej przemocy w rodzinie.

W Rocksta mieszkało jednak ponad pięć tysięcy osób. Można tu było spotkać przedstawicieli z górą pięćdziesięciu różnych narodowości - kawałek Szwecji, stanowiący znaczącą część mapy demograficznej kraju na początku dwudziestego pierwszego stulecia. Barbarotti wiedział, że w tej dzielnicy mieszka przynajmniej trzech jego kolegów, i kiedy po raz drugi mijał niewielkie centrum handlowe, w jego głowie zrodziło się pytanie, dlaczego sam czuje się tu obco.

Czyżby był rozpuszczony? Może i tak.

Z drugiej strony nie tylko Rocksta wzbudzała w nim takie uczucia. Obco czuł się wszędzie. Na komisariacie. W willi Pickford. W całym mieście, w którym mieszkał od trzydziestu pięciu lat.

Ludzie, myśli i czas.

W żółtawym świetle zmierzchu jego dłonie na kierownicy wyglądały jak z innej planety.

Muszę zacząć poważnie rozmawiać z Bogiem, pomyślał inspektor Barbarotti.

Zastanawiał się nad tym już wcześniej.

Była prawie północ, kiedy położył się do łóżka. Teraz, kiedy Marianne nie było już z nimi, posiłki zwykle się przeciągały. Nawet jeśli rzadko udawało się wyrazić smutek i tęsknotę za pomocą słów, to samo przebywanie, gromadzenie się wokół dużego dębowego stołu było ważne i każdy to czuł. Żadne z nich nie chciało wstawać jako pierwsze - być może było to męczące, jednak Barbarotti nigdy nie pytał.

Dla niej już nie nakrywano. Na początku to robili: tam, gdzie zwykle siedziała, ustawiali talerz, szklankę i sztucce, jednak Jenny postanowiła, że po pogrzebie trzeba z tym skończyć.

Jakiś czas siedzieli z Jenny w wykuszu i ryczeli. Trzej chłopcy zaszyli się w swoich pokojach. Koło jedenastej przytuliła go i powiedziała, że musi pół godziny pouczyć się matematyki, usiadł więc przy komputerze i płacił rachunki, dopóki nie ogarnęło go zmęczenie, przez które nie był już w stanie panować nad cyframi i kodami.

Ale zmęczenie to jedno, a zaśnięcie drugie, i na to nie było rady. Pamiętał, że ma porozmawiać z Bogiem, jednak coś stało na przeszkodzie. Było tak już od czasu tragicznego zdarzenia; Barbarotti wiedział, że sam jest temu winien, ale wiedział również, że Bóg jest dżentelmenem i ma przed sobą cały czas tego świata, więc czekanie nie stanowi dla Niego problemu. Fakt, że nie od razu oddał siebie, swój szok i rozpacz w ręce dobrotliwej siły wyższej, mógł budzić zdumienie, zwłaszcza że Barbarotti był obecnie przekonany, iż taka siła istnieje, i wielokrotnie rozmawiał o tym z Marianne. O tym, że należy

powierzyć i zawierzyć. Nie dźwigać wszystkich ciężarów samemu.

Ale mimo to coś było nie tak. Coś stało na drodze.

Może czekał na znak.

Na to, żeby Marianne się odezwała. W pewnym sensie obiecała, że to zrobi, choć oczywiście nie wiadomo, czy taką obietnicę w ogóle da się spełnić. I jak w razie czego miałoby to wyglądać. Jaką przybrałoby formę. Najbardziej naturalne byłoby chyba, gdyby pojawiła się w jego snach, on w każdym razie tak właśnie by zrobił na jej miejscu, jednak na razie Marianne się nie pokazała, choć od jej śmierci minęły ponad trzy tygodnie.

Mogło to co prawda wynikać z faktu, że źle sypiał, a śnił jeszcze gorzej. Kiedy budził się rano, w głowie nie pozostawały już żadne obrazy, więc zupełnej pewności mieć nie mógł. Może odwiedziła go w nocy, a on zapomniał? Tak po prostu.

Pośród całego tego smutku ta myśl była przerażająca - że próbowała do niego dotrzeć, a on o tym nie wiedział - uznał więc, że nie będzie w to wierzył. Zamiast tego postanowił być czujny i nie stawiać nierozsądnych wymagań - zarówno zmarłej żonie, jak i Bogu. Byłoby to aroganckie.

Po tych delikatnych rozważaniach i w oczekiwaniu na nadejście trudno uchwytnego snu zaczął przeglądać materiały dotyczące sprawy Arnolda Morindera. Po południu przeczytał na komisariacie streszczenie, jednak zrobił to w pośpiechu, a jeżeli Asunander rzeczywiście chciał przetestować jego zdolność do pracy, równie dobrze mógł chwycić byka za rogi i zrobić to porządnie.

Arnold Morinder urodził się w 1953 roku. W chwili zaginięcia miał więc pięćdziesiąt cztery lata, coś koło tego, a jego życie trudno byłoby nazwać ekskluzywną przygodą. Przynajmniej jeśli wierzyć lakonicznym sformułowaniom Smutasa, a nie było najmniejszego powodu, żeby tego nie robić. Smutas nie był skłonny do przesady, ale w swoim dążeniu do obiektywizmu i prawdy nie zapominał też o szczegółach.

Arnold urodził się w Kymlinge jako jedyne dziecko Alfonsa i Anny Morinderów. Ojciec był kowalem, matka zaś miała się

różnych zajęć w Kymlinge, przede wszystkim pracowała jako sprzątaczką. Oboje rodzice zmarli w odstępie dwóch lat, gdy Arnold przekroczył dwudziestkę. Kiedy się urodził, oboje mieli ponad czterdzieści lat i na tym zapiski na ich temat się kończyły.

W 1969 roku ukończył dziewięcioletnią podstawówkę, następnie dwa lata kształcił się na elektryka w szkole średniej w Samsö. W całym swoim życiu pracował łącznie w czterech firmach elektrycznych: trzy mieściły się w Kymlinge i okolicach, jedna, gdzie pracował w latach dziewięćdziesiątych, w Göteborgu. W chwili zaginięcia od sześciu lat był pracownikiem Buttros El, względnie szanowanej firmy mieszczącej się w okręgu przemysłowym Gripen, która w zależności od koniunktury zatrudniała od dziesięciu do piętnastu osób.

W marcu 1983 roku Arnold Morinder wszedł w związek małżeński z niejaką Laurą Westerbrook - dzieci nie mieli, a już półtora roku później wzięli rozwód. Po opuszczeniu domu rodzinnego, a przed wprowadzeniem się do kobiety znanej wcześniej jako Rzeźniczka z Małej Birmy, mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu przy Norra Kyrkogatan. Mieszkał tam także z pierwszą żoną. Będąc w Göteborgu (w latach 1989-1996), wynajmował mieszkanie z drugiej ręki.

Stamtąd wrócił na Kyrkogatan, a później przeprowadził się na Valdemara Kusko 40.

A więc przynajmniej zachował mieszkanie, pomyślał Barbarotti i zaczął się zastanawiać, o czym to świadczy. Prawdopodobnie nie świadczyło o niczym.

Laura Westerbrook? Kimkolwiek była, musiała mieć zagraniczne pochodzenie. Może amerykańskie, może angielskie. Zanotował, żeby to sprawdzić.

Domek letniskowy na cyplu Kymmen, skąd później zniknął Arnold, jego rodzice zakupili już w latach pięćdziesiątych i wszyscy, nawet Ellen Bjarnebo, nazywali go Rybnym Domkiem. Łowienie ryb było jedynym znanym hobby Morindera i ograniczało się, jak można było przeczytać, do wypływania wywrotną łódką na rzekę Kymmen, gdzie

próbował złowić na spinning okonia czy szczupaka albo, częściej, zarzucał zwykłą wędkę.

Z opisu Smutasa nie dało się wywnioskować, jak właściwie Ellen Bjarnebo i Arnold Morinder się poznali. Nic oprócz tego, że spotkali się przypadkowo w którejś z knajp w mieście i zaczęli rozmawiać. Dało się za to wysnuć wniosek, że ekshrzejniczka nie była wówczas szczególnie rozmowna. Ona i Arnold zaczęli się spotykać i po roku zamieszkali razem. I to była cała historia. Czyż nie żyjemy w końcu w wolnym kraju?

Barbarotti westchnął i przewrócił kartkę.

Informacje dotyczące dnia, w którym zaginął Morinder, były właściwie równie skąpe. Była ładna pogoda, więc spędzali weekend w Rybnym Domku - oboje mieli przed sobą jeszcze tydzień wakacji - a w niedzielę około pierwszej po południu Morinder wsiadł na moped, starego niebieskiego zündappa, i pojechał drogą numer 272 na oddaloną o ponad trzy kilometry stację benzynową w Kerranshede, na której zatankował i kupił dziennik „Aftonbladet”. Wyjechał stamtąd tuż przed wpół do drugiej i od tej pory nikt go już nie widział. Dziewczyna przy kasie zeznała, że zachowywał się jak zwykle, że nie był szczególnie rozmowny, ale, o ile sobie przypominała, oboje stwierdzili, iż ostatnio była wyjątkowo ładna pogoda. Kojarzyła Morindera i jego moped: w sezonie letnim był sporadycznym, ale wiernym klientem. Było tak, odkąd zaczęła pracować na tej stacji pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Trzy dni później, w środę ósmego sierpnia, Ellen Bjarnebo zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie konkubenta. Jakiś tydzień później niebieski moped odnalazł się w dobrze znanym, słynącym z komarów bagnie pięć kilometrów na zachód od Kerranshede, a osiem od Rybnego Domku. Tam ślad się urywał.

To było wszystko. Przesłuchano Ellen Bjarnebo, kolejne dwanaście osób udzieliło informacji, jednak ten materiał znajdował się w osobnych teczkach, a inspektor Barbarotti uznał, że dosyć ma dzień swojej biedy.

Zgasił światło, odwrócił się na bok i wyciągnął rękę w kierunku pustego miejsca w łóżku. Próbował sobie wyobrazić,

że wciąż jeszcze znajduje się tam jej odcisk, coś, co po niej zostało. Czymże bowiem jest świat, jeśli nie naszymi wyobrażeniami o nim?

## 6

**2 czerwca 1989**

„Jedź dalej! Nie zatrzymuj się przy Drodze Birmańskiej!”

Właściwie odkąd pamiętała, towarzyszył jej głos. Może inni też go mieli, ale tego nie

wiedziała, tak rzadko z kimkolwiek rozmawiała. W autobusie oprócz niej było jeszcze sześcioro pasażerów: czwórkę z nich kojarzyła - trzech starsi mężczyźni i nastolatka - jednak z żadnym z nich nigdy się nie witała. Pomyślała, że to typowe - między wszystkim jest jakaś przestrzeń, jakby samotność była czymś delikatnym, czymś, o co należy się troszczyć, o co należy dbać.

„Jedź dalej?”

Z biegiem lat coraz bardziej identyfikowała go z prawdziwym głosem - tym, który usłyszała jeden jedyny raz, dawno temu: głosem woźnego Muttiego. Mutti był postrachem szkoły w Hallinge, w której spędziła pierwsze trzy lata, ona zaś była chyba jedynym dzieckiem w całym mieście, które się go śmiertelnie nie bało. Co samo w sobie było dziwne, znano ją bowiem z tego, że bała się praktycznie wszystkiego. I z tego, że była inna.

Mutti także był inny, choć z innych powodów; mówiło się, że jest skrzyżowaniem kobry i Adolfa Hitlera i że ma na sumieniu śmierć przynajmniej tuzina dzieci. Co oczywiście nie było prawdą. Kiedy ten jeden jedyny raz stanęła z nim oko w oko w jego kanciapie, powiedział do niej tylko zdanie: „Idź i powiedz pani Bolling, jak to naprawdę było z twoim rowerem i Anniką Bengtsson”. Kiedy zaś zrobiła, jak kazał, wszystko skończyło się dobrze, dokładnie tak, jak obiecał. Nie, nie jak obiecał, bo przecież niczego nie obiecywał, ale dokładnie tak, jak to wyczytała z jego głosu.

Ćwierć wieku później nie pamiętała już, o co chodziło w historii z rowerem, wciąż jednak pamiętała ten głos. Co zadziwiające, z każdym rokiem stawał się on coraz wyraźniejszy.

„Nie zatrzymuj się przy Drodze Birmańskiej?”

O tym, że jest inna, także nigdy nie zapomniała - tata dopilnował, żeby wbiła to sobie do głowy, jeszcze na długo przed pojawieniem się Muttiego.

- To pewne, dziewczucha ma nierówno pod sufitem. Z jej matką było tak samo - dodawał zwykle. - To dziedziczne w linii prostej po kądzieli.

Westchnęła i spojrzała przez brudne autobusowe okno. Stwierdziła, że mają przed sobą jeszcze kawałek, przynajmniej siedem, osiem minut. Dość czasu, żeby zanurzyć się na chwilę w mętnych wodach pamięci. Czy się tego chce, czy nie.

Jako dziecko nigdy nie rozumiała tego ostatniego. W linii prostej po kądzieli? Co to znaczy? Dorastała z ojcem i o sześć lat starszym bratem Gunderem. Kiedy miała cztery lata, matka się utopiła. Nieszczęśliwy wypadek - mówiono. Później zrozumiała, że wcale tak nie było. Powiedział jej to wewnętrzny głos i kiedy potem o tym myślała, wydawało jej się, że to właśnie wtedy usłyszała go po raz pierwszy. Albo przynajmniej po raz pierwszy skojarzyła go z Muttim, zdarzyło się to bowiem krótko po ich spotkaniu.

*„Twoja mama odebrała sobie życie, mówię ci to, żebyś wiedziała”.*

Stało się to pewnego wieczoru, tuż przed zaśnięciem. Musiała wtedy mieć osiem czy dziewięć lat. A sen nie nadchodził.

*„Żebyś wiedziała?”*

Kiedy następnego dnia spytała o to tatę, nie odpowiedział, ale widziała po nim, że to prawda. Jej matka nie chciała już dłużej żyć i wzięła sprawy w swoje ręce.

A zatem miała nierówno pod sufitem. Nigdy nie rozmawiała o tym z Gunderem. Ale on zawsze miał takie samo zdanie jak ojciec, więc nie robiło to żadnej różnicy.

Nigdy nie bała się tego głosu, bo tak jak Mutti nie miał w

sobie nic strasznego. Zawsze był suchy i rzeczowy, jak głos spikera czytającego radiowy komunikat. Rzadko się mylił. Interpretował sytuację zgodnie z prawdą, zawsze był czysty i wyraźny. Przesłanie rzadko kiedy było niejasne. Czasami, lecz nie zawsze, otrzymywała poradę, a kiedy tak się działo, zawsze brzmiała ona jak żądanie, które należało spełnić.

Poza tym, pomyślała, głos był tak bardzo różny od jej zwyczajowych myśli, że nie dało się go pomylić z niczym innym. A do tego powściągliwy - dziś, w tych wczesnych godzinach czerwcowego wieczoru, przypomniał o sobie po raz pierwszy od długiego czasu. Ostatnio odezwał się co najmniej kilka miesięcy temu - na początku wiosny, a może nawet jeszcze dawniej.

Trochę dziwne mogło być jednak to, że zwrócił się jak gdyby do kierowcy autobusu. Wielkiego, postawnego mężczyzny z plecami niczym trzydrzwiowa szafa.

„Jedź dalej! - powiedział. - Nie zatrzymuj się dzisiaj przy Drodze Birmańskiej! Nie każ jej wstawać, pozwól odpocząć”.

Jej? Naprawdę brzmiało to tak, jakby zwracając się do kierowcy, wykazywał troskę o nią. To ją miał na myśli: Ellen Beatrice Helgesson. Trzydziestopięcioletnią mężatkę, z domu Bjarnebo.

Na półmetku życia, a już przegrana.

Nie trzeba było wewnętrznego głosu, żeby stwierdzić ten fakt. Piętnaście lat małżeństwa z Harrym Helgessonem nauczyło ją, że czas oczekiwań się skończył. Jeżeli w życiu było coś w rodzaju pory kwitnienia, ona miała ją już za sobą. Albo w ogóle ją ominęła.

„Nie zatrzymuj się!”. Równie dobrze mógłby nakazać jej, żeby nie wysiadała albo nie naciskała przycisku „stop”, a jednak tego nie zrobił. W pewnym sensie przerzucił odpowiedzialność na kierowcę autobusu. Można się było zastanawiać, dlaczego.

Zamrugała ze zmęczenia powiekami i zorientowała się, że zasypia. Samo w sobie mogło to oznaczać wyjście z sytuacji. Z całą pewnością tylko Ellen Helgesson wysiadłaby na przystanku przy Drodze Birmańskiej. Nikt nie poprosiłby kierowcy, żeby się zatrzymał, gdyby ucięła sobie drzemkę.



Kierowca zresztą był nowy - widziała go po raz pierwszy - i na pewno nie miał pojęcia, gdzie mieszka każdy z pasażerów.

Spojrzała na zegarek. Prawie wpół do szóstej. Powinno być prawie wpół do piątej, jednak spóźniła się na poprzedni autobus. Zakupy, w monopolowym i w sklepie ICA, zajęły więcej czasu, niż się spodziewała, co oznaczało, że upora się z kolacją nie wcześniej niż o wpół do ósmej. To, że Harry będzie głodny i zły, nie ulegało wątpliwości. Rozdrażniony i niezadowolony - pewne jak amen w pacierzu. Przed jedzeniem zdąży wypić trzy lub cztery piwa, a to nie poprawi sytuacji. Doskonale wiedziała, jak będzie wyglądał ten wieczór: będą jedli, popijając wino z jednej z kupionych przez nią butelek - on wypije cztery kieliszki, ona jeden. Po jedzeniu pozmywa, koło dziewiątej Billy zostanie wysłany do łóżka albo przynajmniej do swojego pokoju, a mąż i żona będą oglądali telewizję w towarzystwie papierosów, chrupek serowych i kolejnej butelki wina, no, może kilku piw i grogu - w monopolowym nie zapomniała o niczym - i Creedence Clearwater Revival zamiast telewizji. W zależności od humoru, nastroju i tego, co miało miejsce w ciągu dnia, zdarzały się odstępstwa. Po jakimś czasie jego ręka zacznie wędrować ku jej udom i nadejdzie czas na piątkowe pieprzenie. Tu odstępstwa się nie zdarzały.

Jeżeli dobrze się sprawi, on zaśnie pijany i zadowolony. Na tyle zadowolony, na ile to możliwe. Choć przez chwilę.

„Jedź dalej? Nie zatrzymuj się przy Drodze Birmańskiej?”

Zostało już tylko kilkaset metrów. Podniosła rękę i położyła palec na przycisku „stop”.

## 7

Gunnar Barbarotti spędził całą środę w swoim gabinecie na trzecim piętrze komisariatu w Kymlinge. W porze obiadowej Eva Backman wsunęła głowę do pokoju i zapytała, czy pójdzie z nią do Kungsgillen, odmówił jednak, tłumacząc, że wziął ze sobą lunch z domu.

Nie wziął. Miał tylko kanapkę i banana, ale to w zupełności wystarczyło. Jeżeli cokolwiek na tym świecie nie idzie w parze,

to właśnie smutek i apetyt.

Zanim jednak to nastąpiło - zanim zjadł ponury lunch - wczytał się w sprawę. Przynajmniej teoretycznie, w każdym razie próbował przekonać samego siebie, że właśnie tym się zajmuje. W uszach miał słuchawki iPoda, słuchał fado i trudno mu było pozbyć się wrażenia, że to, co robi, bardziej przypomina rehabilitację zawodową niż prawdziwą pracę. Bez wątpienia mógł przyjść do Asunandera za tydzień albo dziesięć dni i powiedzieć, że nie znalazł niczego, co zbliżyłoby ich do odpowiedzi na pytanie, co stało się z Arnoldem Morinderem. Asunander wzruszyłby tylko ramionami i powiedział: „No dobrze, w takim razie chyba trzeba odłożyć tę sprawę do akt i zająć się czymś innym”.

A może nie? Z komisarzem nigdy nic nie wiadomo. Bo skoro prosił kogoś - obojętne kogo - o przyjrzenie się sprawie, choć do emerytury zostało mu niewiele ponad miesiąc, mogło się za tym kryć coś więcej. Może naprawdę spodziewał się, że Barbarotti coś znajdzie? Wpadnie na trop, który pozwoli im posunąć śledztwo do przodu?

Albo nawet rozwiąże całą sprawę? Może wiązał się z tym szczególny prestiż? Osobisty interes samego Asunandera?

Trudno powiedzieć. Nic w dokumentach nie wskazywało na to, żeby był jakoś szczególnie zamieszany w tę sprawę. Prowadzący śledztwo nazywał się Gunvaldsson, a w Kymlinge występował tylko gościnnie, przez krótki czas. Trzeba się z nim oczywiście skontaktować, jednak Barbarotti wołał z tym poczekać do czasu, kiedy będzie lepiej zorientowany.

A Asunander? Czy to możliwe, żeby w całej tej historii były jakieś haki?

Niewykluczone, pomyślał.

Komisarz zawsze był specyficzny. Jednak bez względu na wszystko osobista tragedia nie dawała powodu do kiepskiego wykonywania swoich obowiązków.

Kiedy to zestawienie słów - osobista tragedia - pojawiło się w jego głowie, skamieniał po raz kolejny. Siedział bez ruchu na krześle, patrząc przez okno. Niezdolny, by cokolwiek zrobić albo pomyśleć. Niebo było niskie i nieruchome, wiatr smagał

okryte młodymi listkami brzozy. Barbarotti pół roku wcześniej zmienił pokój i miał teraz nowy widok z okna. Więcej przestrzeni i nieba - warunki idealne do kontemplacji - dziś jednak nie mógł się wyciszyć. Jego nastrój był taki, a nie inny. W słuchawkach iPod'a głos Ludlii do Carmo zastąpił głos Fernanda Mourinha.

Czy kiedykolwiek znów będę szczęśliwy? - zapytał w duchu. - Czy kiedykolwiek będę za czymś tęsknił, na coś czekał? A jeżeli tak, co to będzie?

- Teraz powinien pan próbować żyć z dnia na dzień - pouczał go Rönn, jego terapeuta. - Proszę nie wybiegać naprzód, nie bardziej niż o kilka godzin. Pańskie serce wciąż zbyt mocno krwawi, z czasem jednak ten stan ulegnie zmianie.

Czyżby? - pomyślał Barbarotti, nic jednak nie powiedział. A jaki to stan? I skąd możesz wiedzieć? Czy niedawno zmarła ci żona? Kobieta, którą kochałeś ponad wszystko i która zostawiła ci samego, choć miała dopiero czterdzieści siedem lat? Czy ty masz w ogóle pojęcie, o czym mówisz?

- Proszę bardzo, może się pan na mnie złościć - powiedział Rönn. - To może być zdrowy objaw, część terapii.

Jasna cholera, pomyślał wtedy Barbarotti.

Dziś, siedząc za biurkiem, nie czuł już złości, której mógłby się chwycić. Tylko niemą rozpacz i brak nadziei. Wyłączył muzykę, złożył ręce i zaczął się modlić.

Dobry Boże, wybacz, że się nie odzywałem, ale było mi tak ciężko. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Daj mi jakiś znak, bo długo już nie wytrzymam. Podsuń mi coś, czego będę się mógł chwycić, biblijny cytat, cokolwiek. Rozpaczliwie tego potrzebuję. Nie wiem nawet, czy potrafię żyć bez Marianne. Nie wiem, czy dam radę. Gdzie ona jest? Zaopiekowałaś się nią?

Zamknął oczy i próbował wyostrzyć swój wewnętrzny słuch.

Na początku, przez pierwsze piętnaście, dwadzieścia sekund, nie słyszał nic. Następnie rozległo się dyskretne chrząkanie, a potem dobrze znany głos, ten prawdziwy, nie jego własny.

*„List do Hebrajczyków 11, 32-40, może to wskaże ci drogę?”*

Inspektor Barbarotti rozplótł ręce, otworzył oczy, spojrzał

na wciąż niespokojne niebo i podziękował. W swoim pokoju nie miał Biblii, ale zanotował wskazany ustęp, po czym wyrwał kartkę z notatnika i schował do portfela.

Pochylił się nad biurkiem, ponownie włączył portugalskiego bluesa i wrócił do sprawy Arnolda Morindera.

Ludzie z otoczenia zaginionego elektryka byli w dużej mierze zgodni, kiedy wypowiadali się na temat jego charakteru.

Morinder był człowiekiem nieśmiałym i wycofanym.

Laura Westebrook - kobieta, która w latach osiemdziesiątych przez krótki czas była jego żoną - o ich małżeństwie nie miała do powiedzenia nic poza tym, że od samego początku było pomyłką. Ona była Brytyjką, urodzoną i wychowaną w Birmingham, a przyjechała do Szwecji, ponieważ chciała mieszkać w kraju, gdzie tworzyli tacy ludzie jak Ingmar Bergman. Naburmuszoną nieśmiałość Morindera uznała za skłonność do zadumy i egzystencjalną melancholię, po czasie odkryła jednak, że prawda była dużo bardziej prozaiczna. Ich rozstanie przebiegło tak gładko, jak zręczny kucharz oddziela żółtko od białka.

Morinder nie był żółtkiem.

To naprawdę widniało w protokole przesłuchania i Barbarotti pomyślał, że skurcz policzków, jaki poczuł, czytając te słowa, mógł być początkiem uśmiechu. Ustąpił w ułamku sekundy, jednak był to pierwszy taki przypadek od dwudziestego dziewiątego kwietnia.

Zawsze coś.

Z zebranego materiału jasno wynikało, że Arnold Morinder nie był duszą towarzystwa. Barbarotti, przedarłszy się tego pochmurnego majowego dnia przez prawie sto stron akt, nie uzyskał odpowiedzi na pytanie, jak ktoś taki jak on mógł poderwać Ellen Bjarnebo.

Poznali się w lokalu, dokładnie rzecz biorąc w restauracji Långe Jan na Heimdalsgatan, wrześniowego wieczoru 2005 roku, ale była to tylko data i miejsce, które pojawiły się w zeznaniach Ellen Bjarnebo. Nawiasem mówiąc, w tej samej restauracji kilka miesięcy przed zniknięciem Morindera zdarzył się pewien incydent. Było trzech świadków tego małego

intermezzo: kelner oraz dwójka klientów, którzy tego wieczoru jedli w restauracji. Żadne z nich nie potrafiło powiedzieć, o co dokładnie poszło, jednak słyhać było podniesione głosy, Morinder huknął pięścią w stół, a jego towarzyszka wyszła z restauracji w stanie, który można by określić jako gniew. Goście twierdzili, że mamrotała przez zęby: „Oko za oko, ząb za ząb”. Ellen Bjarnebo zdecydowanie temu zaprzeczyła, przyznała co prawda, że ona i jej partner się pokłócili, ale nie chciała wchodzić w szczegóły. Zaklinała się w każdym razie, że nie ma to nic wspólnego z jego zaginięciem.

Ponieważ Morinder i Bjarnebo nie mieli przyjaciół i znajomych, z którymi by się spotykali, nikogo nie można było zapytać o ich związek. Sąsiedzi z ulicy Valdemara Kusko opisywali ich jako spokojnych ludzi, którzy nie zwracali na siebie uwagi. Spotykali ich czasem w pralni, na ulicy czy w sklepie, mówili dzień dobry i to wszystko.

Ale ludzie wiedzieli, kim ona jest. Ma się rozumieć. Rzeźniczka z Małej Birmy. Nie była to raczej zachęta do pogłębiania kontaktów, co nie oznacza, że ktokolwiek kierował się przesądami czy uprzedzeniami. Jasne, że nie, broń Panie Boże.

Raporty techniczne na temat Rybnego Domku, niebieskiego mopedu i komarzego piekła Czarnego Bagna liczyły jakieś dwadzieścia stron i były równie treściwe co wywiad z roztrzęsioną gwiazdą szwedzkiego sportu. Barbarotti nie wiedział, dlaczego właśnie takie porównanie przyszło mu do głowy, ale nie chciało być inne. Może miało to coś wspólnego z żółtkiem i białkiem.

W tej właśnie chwili uchyliły się drzwi. Do środka zajrzała inspektor Backman, lecz została odprawiona z kwitkiem.

Po lunchu składającym się z banana Barbarotti wyszedł po cichu na korytarz po kubek kawy. Nie spotkał żadnego z kolegów, wrócił do pokoju, włożył słuchawki do uszu, ale zaraz zmienił zdanie i wyłączył fado. Włożył iPoda do prawej szuflady biurka, z lewej zaś wyjął materiały dotyczące morderstwa w Małej Birmie.

Pomyślał, że nie zaszkodzi wczytać się również i w to, skoro

ma poznać główną bohaterkę. Nie było to spotkanie, na które by się cieszył; w ogóle nie lubił spotykać się z ludźmi, nie licząc własnych dzieci, jednak prawdopodobnie nie dało się tego uniknąć. Jeżeli miał zbadać poczynania Rzeźniczki, prędzej czy później musiał z nią porozmawiać. Wciąż bowiem pozostawała wśród żywych, ciesząc się jak najlepszym zdrowiem. Czy jak to tam z nią było.

Choć wstrzymanie się z rozmową do czasu lepszego zorientowania się w sytuacji było oczywiście zgodne z przyjętą praktyką.

Zdażył przeczytać kawałek protokołu rozprawy, kiedy zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu zobaczył, że dzwoni Sara, i tak go to zdziwiło, że zawahał się na moment, zanim odebrał.

- Tata?

- Tak jest. Cześć.

- Cześć. Jak leci?

- Świetnie.

- Pytam poważnie.

- Nie najlepiej. A jak tam w Sztokholmie?

- Pada. Uczę się.

- Miałaś wykład?

- Tak. Mów, co tam u ciebie.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Co teraz robisz?

- Znow zacząłem pracować. Siedzę na komisariacie.

- Dobrze. To dobrze, że znowu pracujesz.

- Tak, oni mówią to samo.

- Oni?

- Tak...

- Sypiasz w nocy?

Ostatnio widzieli się pięć dni temu. Przez telefon rozmawiali przedwczoraj. Cokolwiek to znaczyło, świadczyło w każdym razie o tym, że się o niego martwi.

- Nie, nie śpię za dobrze. Ale jakoś sobie radzę.

- Byłeś jeszcze u tego terapeuty?

- Wybieram się do niego w czwartek.

Na chwilę zapadła cisza. Słyszał, że Sara szuka odpowiednich słów.

- Tak sobie myślałam.

- Tak?

- Chciałabym, żebyś przyjechał na kilka dni. Tylko ty jeden. może na weekend?

- Nie wiem.

- To ci dobrze zrobi.

- Muszę myśleć o dzieciach.

Westchnęła.

- Wszystko się ułoży, tato. Oni są już prawie dorośli. Ciebie to dotknęło najbardziej. Chciałabym, żebyśmy spędzili razem weekend w Sztokholmie. Moglibyśmy pójść do teatru. Albo do kina. Albo po prostu spacerować i chodzić do fajnych restauracji. Tylko my dwoje. Rozmawiać. wiesz?

- Tak, wiem. Brzmi nieźle.

- Nie możesz tylko mówić, że to brzmi nieźle. Trzeba jeszcze wprowadzić to w czyn. Co powiesz na ten weekend?

- Z tym weekendem będzie trochę ciężko. Muszę.

- Okej. No to następny. Nawet bardziej mi to odpowiada, bo będę już po ostatnim egzaminie. Potem będę mogła zabrać się z tobą.

- Jeszcze zobaczę, Saro.

- Obiecuj mi.

- W porządku. Obiecuję.

Milczeli przez chwilę.

- To naprawdę nie są już maluchy, tato. Jesteś im potrzebny, ale nie przez cały czas i nie każdego dnia.

- Wiem o tym. Możemy się zadzwonić za kilka dni i wtedy zobaczymy.

- Jasne. Pamiętaj, że możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko chcesz?

- Pamiętam.

- Dobrze. Wobec tego odezwij się, jak tylko będziesz wiedział, kiedy przyjedziesz. Najpóźniej jutro.

- Oczywiście. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

- Kocham cię, tato. Oczywiście będziesz spał na mojej

kanapie.

- Ja ciebie też kocham. Powodzenia z nauką.

Na tym zakończyli rozmowę. Barbarotti czuł, jak kłębią się w nim światło i mrok. Czy raczej jak cienki promyk światła próbuje się mieszać z panującym w nim mrokiem. Kilka kropli mleka w czarnej jak smoła kawie. Jak to się nazywało? Macchiato?

Wlał w siebie kubek ostygłej kawy bez mleka. Zanim powrócił do Małej Birmy, jego myśli przez chwilę jeszcze krążyły wokół Sary.

Była dorosła. Tak należy traktować kogoś, kto ma dwadzieścia cztery lata. To ona miała najślabszy kontakt z Marianne, ponieważ kiedy przeprowadzili się do Willi Pickford, Sara już w zasadzie wyfrunęła z gniazda. Pomieszkiwała z nimi trochę, kilka miesięcy na początku oraz po rozstaniu z Jorgem, jej pierwszym poważnym chłopakiem, jednak przez ostatnie lata, po przeprowadzce do Sztokholmu, stała już na własnych nogach.

Co za idiotyczne wyrażenie, pomyślał. „Stać na własnych nogach”. Co to znaczy? Czy właśnie tego się teraz uczyć? Czy na tym polega terapia żałoby? Nauczyć się bólu i zaakceptować podstawowy warunek? Że człowiek sam się rodzi i sam umiera? Na własnych nogach.

Pomyślał, że Sarę kocha bardziej niż którekolwiek z dzieci, o ile takie szeregowanie jest w ogóle dopuszczalne. To z nim chciała zamieszkać, kiedy on i Helena się rozwiedli. Kiedy dorastała, widzieli się w zasadzie każdego dnia i naturalnie zostawiło to swój ślad. Piękny i mający trwać całe życie. Synów prawie nie widywał przez pięć lat, wyjąwszy wakacje i święta.

To też zostawiło ślady, ale innego rodzaju. Być może ich zawiódł, ta myśl często do niego wracała. Nie powinien był liczyć na to, że Helena okaże się dla nich dobrą matką, ale skąd można to było wiedzieć. Tak czy inaczej czasami, zwłaszcza po pierwszym tętniaku Marianne, myślał sobie, że Jenny jest jakby kolejną wersją Sary. Nie mówił tego na głos, co to, to nie, zdarzało się jednak, że kiedy siedzieli razem, rozmawiając o czymkolwiek, czuł znajome ciepło w sercu. Łączyła ich



szczególna więź. Fakt, że mogli wspólnie ryczeć, również mówił sam za siebie.

Weekend w Sztokholmie? Tylko on i Sara? Czemu nie.

Postanowił, że dobrze się nad tym zastanowi, po czym z powrotem zagłębił się w pracy.

Tej ospałej środy inspektor Backman wsunęła głowę do pokoju Barbarottiego właściwie dwukrotnie. Za drugim razem, mniej więcej piętnaście po trzeciej, on nie był jednak świadomy odwiedzin, ponieważ odchyłony do tyłu na krześle spał za biurkiem, z szeroko otwartymi ustami. Głowę miał przekrzywioną, a na jego policzku i brodzie widniała strużka śliny. Eva Backman ostrożnie zamknęła drzwi i pomyślała, że chyba tego właśnie mu trzeba.

Przynajmniej w tej chwili. Czego będzie mu trzeba w przyszłości i w ogóle, wcale nie była pewna.

Tak samo jak tego, jaka powinna być jej rola. Co się w takich sytuacjach robi. Jak zająć się kimś takim jak Gunnar Barbarotti. Miała pewność, że żaden inny człowiek nie zna go lepiej niż ona - teraz, kiedy Marianne już nie było. Kolegowali się i przyjaźnili od dwudziestu lat, Marianne także była jej bliska i jeżeli Barbarotti tonął teraz w smutku, to właśnie ona, Eva Backman, powinna go wyciągnąć.

Choć nie czuła się szczególnie dobrą pływaczką. Dużo jej do tego brakowało. A zresztą może on mimo wszystko sam unosił się na powierzchni, nie zanurzając nosa ani na chwilę? Jak to mężczyźni mają w zwyczaju. Skąd mogła wiedzieć, skoro się przed nią nie otwierał?

Też powinnam się zdrzemnąć, pomyślała, wracając do swojego pokoju, gdzie czekał na nią stos politycznych teorii. Chociaż chwilkę.

Rzecz jasna nie zrobiła tego. Zajęła się pracą, pracą i jeszcze raz pracą, aż w końcu spostrzegła, że jest za piętnaście szósta i najwyższy czas zaciągnąć roletę.

Barbarotti skontaktował się z Ellen Bjarnebo dopiero w czwartek. Przebywała w małym górskim pensjonacie koło Vilhelminy i zasięg był tam kiepski. Nie pytał, co robi na tak dalekiej północy, i próbował ukryć powód, dla którego dzwoni, choć oczywiście musiał powiedzieć, że jest policjantem z Kymlinge. Ellen Bjarnebo zareagowała na tę wiadomość krótkim „aha” i poinformowała, że wróci w przyszłym tygodniu. Barbarotti zapytał, czy będzie wtedy mógł zadzwonić ponownie, jednak zanim zdążyła odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Możliwe, że to ona się rozłączyła - doskonale by zrozumiał, gdyby tak właśnie było.

Na swojej krótkiej liście miał jeszcze cztery osoby i z nimi poszło mu lepiej - nawet jeśli tylko trochę lepiej.

Z Laurą Westerbrook rozmawiał pięć minut. Urodziła się w Anglii, ale nadal mieszkała w Szwecji, obecnie w Slite na Gotlandii, z mężem i trójką dzieci. Pracowała na niepełny etat jako nauczycielka i nie miała wiele do powiedzenia o swoim pokreślonym małżeństwie z Morinderem. W chwili rozwodu miała zaledwie dwadzieścia cztery lata i przedstawiła całą historię jako grzech młodości. Jeżeli Barbarottiego interesowało babranie się w tym nonsensie, był oczywiście mile widziany w Slite.

Choć przecież udzieliła już odpowiedzi na wiele pytań, kiedy Morinder zaginał, i obecnie nie miała nic więcej do dodania. Na pewno nie. Czas leci, a pamięć się nie poprawia.

Barbarotti podziękował i odłożył słuchawkę. Przypomniał mu się domek Marianne i jej siostry w Hogrån, na magicznej Gotlandii, ale szybko odpędził te myśli. Zadzwonił do Alfonsa Söderberga.

Sądząc po głosie, Alfons Söderberg całe życie był palaczem. Teraz był też emerytem, jednak firmę Söderbergs El prowadził ponad trzydzieści lat. Jednym z jego pracowników - przez dziesięć lat, do czasu, gdy się poróżnili - był Arnold Morinder. Mniej więcej od 1975 do 1985 roku. Söderberg był również

kimś, kogo przy odrobinie dobrej woli można by nazwać przyjacielem Morindera. Przynajmniej przez część tego okresu. Przyjechał na przykład na ślub Morindera z ową chudą, ale jak najbardziej atrakcyjną Brytyjką, poza tym jako jeden z niewielu zagościł - a nawet przenocował - w Rybnym Domku.

Wszystkie te fakty Barbarotti już znał, a teraz usłyszał je na nowo, przerywane atakami kaszlu i rżenia. Oraz płucia - brzmiało to tak, jakby Söderberg miał koło siebie spluwaczkę. Barbarotti uznał, że warto być może przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska, i umówił się na spotkanie w piątek przed południem. Söderberg mieszkał na Fabriksgatan w centrum Kymlinge od niepamiętnych czasów - w czerwcu 2001 roku rozwiódł się z żoną, istną diabolicą w ludzkiej skórze, która obecnie rezydowała już na cmentarzu.

Dwie pozostałe osoby na liście Barbarottiego nie miały nic wspólnego z Arnoldem Morinderem, a jedynie z Ellen Bjarnebo. Pierwszą z nich była Lisbeth Mattson. Kiedyś również nosiła nazwisko Bjarnebo, ponieważ była żoną Gundera, starszego o sześć lat brata Ellen.

W czasie procesu Rzeźniczki w 1989 roku oboje zmienili nazwisko na Mattson - tak brzmiało panięskie nazwisko Lisbeth. Zlitowali się również nad Billym Helgessonem, który miał wtedy dwanaście lat i naprawdę potrzebował opiekunów, skoro jego ojciec został zabity i poćwiartowany, a matka miała przed sobą przynajmniej dziesięć lat w Hinsebergu.

Gunder i Lisbeth Mattsonowie nie mieli własnych dzieci, zajęli się więc Billym bez protestów - chłopak nie musiał zmieniać nazwiska, ponieważ Helgesson nie było tak zbrukane jak Bjarnebo; z jakiejś przyczyny Rzeźniczka powróciła do swojego panięskiego nazwiska, jeszcze zanim rozpoczął się proces, i właśnie to nazwisko znalazło się we wszystkich gazetach. Billy mieszkał u swoich nowych rodziców aż do 1999 roku, kiedy to zaciągnął się do wojska i wylądował w Sztokholmie. Gunder Mattson nie żył już od roku - na początku sierpnia 2011 wykończył go zakrzep w mózgu - ale Lisbeth nadal mieszkała w willi przy Kvarngatan w Hallsbergu.

Jeżeli chodzi o Billy'ego Helgessona, był on piątą i ostatnią

osobą na liście. Mieszkał na Södermalmie w Sztokholmie, miał żonę i dziecko. Kiedy Barbarotti zadzwonił, odebrała żona; powiedziała, że Billy jest w pracy, ale wróci wieczorem. Barbarotti podziękował za informację i zapowiedział, że zadzwoni jeszcze raz.

Kiedy wszystkie telefony miał już za sobą, wyjął mapę i stwierdził, że Szwecja - jak by na nią nie patrzeć - ma mocno wydłużony kształt. Z Söderbergiem i Ellen Bjarnebo mógł porozmawiać w Kymlinge - następnego dnia i w przyszłym tygodniu, jeśli dobrze pójdzie - jednak do Hallsberga, Sztokholmu i Slite trzeba było jakoś dojechać i prawdopodobnie nawet tam przenocować.

Podrapał się po głowie, pomyślał trzy sekundy i skreślił Slite.

Gdyby jednak wsiadł w odpowiedni pociąg w Göteborgu, mógłby wysiąść w Hallsbergu, spędzić tam kilka godzin, a potem pojechać późniejszym pociągiem do Sztokholmu.

W królewskiej stolicy była nie tylko rodzina Helgessonów na Blekingegatan, ale również Sara. Na Vikingagatan w dzielnicy Vasastan, mówiąc precyzyjnie, i właśnie ten fakt był bez wątplenia decydujący.

Niech więc tak będzie, pomyślał inspektor Barbarotti i zamknął notatnik. Koniec przyszłego tygodnia, jeśli do tego czasu nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

Praca śledcza czy rehabilitacja zawodowa? - pytanie było nadal aktualne.

Spojrzał na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Czwartek dwudziestego czwartego maja. Przez chmury za oknem zaczęło przeciskać się słońce.

Marianne! - krzyczał jakiś wewnętrzny głos.

Barbarotti obstawiał, że to jego własny.

## 9

- Jak tam?

Pytanie zadała Backman. Jedli lunch w Kungsgrillen. Mogło być jak zwykle i zaczął się zastanawiać, co to proste wyrażenie

tak naprawdę znaczy. „Jak zwykle”.

Czy było to coś, do czego należy dążyć, czy wręcz przeciwnie?

Pytanie było idiotyczne. Rzecz jasna. To zależy od sytuacji i od tego, co kryje się pod owym „zwykle”. Nie ma najmniejszego sensu się nad tym głowić. Zauważył, że Eva Backman przygląda mu się, marszcząc z niepokojem czoło. Czyżby tracił nad sobą kontrolę, a ona to dostrzegała?

- Co? Co mówiłaś?

- Zapytałam tylko, jak tam. Z Morinderem.

- Aha. No, niezbyt daleko zdążyłem zająć. Jutro porozmawiam z Söderbergiem.

- Kto to taki?

- Człowiek, który go trochę znał. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- A Rzeźniczkamorderczyni?

- Jest w pensjonacie.

- W pensjonacie?

- Tak. W Vilhelminie. Wróci w przyszłym tygodniu. Wtedy z nią porozmawiam. Jak tam z Fångströmem?

- Zatrucie - odparła Eva Backman, nabijając klopsika na widelec. - Nie mamy jeszcze potwierdzenia, ale wszystko na to wskazuje. Co robisz dziś wieczorem?

Barbarotti zamyślił się.

- Przyrządzam kolację. Spotykam się z terapeutą.

- Dobry jest? Jak się nazywa?

- Rönn. I chyba jest dobry. Pochodzi z Norrlandii.

- Brzmi uspokajająco.

- Tak, on jest. uspokajający. Terapeuci chyba właśnie tacy mają być. Czyli mówisz, że Fångström się zatruł?

- Tak. Tak zakładamy.

- Dlaczego jeszcze nie dostaliście odpowiedzi?

Eva Backman westchnęła.

- W laboratorium mają jakiś problem. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

- Ale nadal istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa?

- Na razie tak.

Zawahała się. Odłożyła sztućce na talerz i pochyliła się do

przodu.

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać, Gunnar? O Marianne.

Nie odpowiedział, ponieważ nie miał na to żadnej odpowiedzi. Eva wbiła w niego wzrok.

- Ludzie są po to, żeby sobie pomagać - powiedziała wręcz pedagogicznym tonem. - Nie chcę naciskać, ale nie możesz być tak cholernie zamknięty.

- Zamknięty?

- Tak. Ja wiem, że mężczyźni tacy są, że jest ci strasznie trudno i w ogóle, ale mimo wszystko.

Przez chwilę wpatrywał się w klopsiki na swoim talerzu i na talerzu inspektor Backman.

- Ale przecież rozmawialiśmy. Czy nie gadamy ze sobą codziennie, odkąd zmarła?

Eva Backman znów skinęła głową. Wzięła głęboki oddech i opuściła ramiona.

- Jasne. Całe mnóstwo słów. Choć może?

- Tak?

- Chodzi mi o to, że ja też potrzebuję rozmowy. Dla mnie to też jest trudne.

- Mhm?

- Marianne była nie tylko twoja. Musisz przyznać, że, że świadomie unikasz okazji, kiedy moglibyśmy usiąść i o tym pogadać. Dlaczego to musi być tak cholernie skomplikowane? Marianne była twoją żoną, ale moją przyjaciółką. Ja też za nią tęsknię. Może moglibyśmy pomóc sobie nawzajem.

- Wiem przecież. Nie jestem idiotą. Daj mi tylko trochę więcej czasu. Sądzę.

Przerwał i się zamyślił. Backman, trzymając łokcie na stole, splotła dłonie i oparła na nich brodę. Nic nie mówiła.

- Myślę, że nie jest jej miło, kiedy tak się o nią kłócimy.

Eva Backman westchnęła. Albo prychnęła. Możliwe też, że na jej twarzy na ułamek sekundy pojawił się uśmiech, i wydawało mu się, że coś w niej dojrzał.

Czy to ona?

Czy tak to wygląda? Czy. ?

To chyba niemożliwe?

Cóż za pytania właściwie zadaje? - pomyślał później. Jeżeli człowiek nie rozumie pytań, jak może choćby zbliżyć się do odpowiedzi?

- Daleko już odpłynąłeś, prawda? - zapytała.

- Te klopsiki rzeczywiście nie są najlepsze - stwierdził Gunnar Barbarotti.

- Są dokładnie takie jak zwykle - odparła Eva Backman.

Rönn umawiał się na późne godziny wieczorne, kiedy więc Barbarotti wyszedł od niego na ulicę, spostrzegł, że jest już dwadzieścia po dziesiątej.

Spotkanie trwało więc ponad godzinę - zaczęli punktualnie o dziewiątej. Nie pamiętał, o czym rozmawiali przez pierwsze trzydzieści minut, później jednak Rönn zapytał, czy Barbarotti jest wierzący. Konkretnie zaś, czy wierzy w to, że Marianne nadal istnieje w jakiejś formie. Choć była to ich trzecia rozmowa, dopiero teraz poruszyli tę kwestię.

Idąc w siąpiącym deszczu w stronę Norra Torg, gdzie zaparkował samochód, myślał, że to trochę dziwne, iż można prowadzić takie „ogólne” rozmowy o śmierci. Choć z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że śmierć jest jak najbardziej ogólnym zjawiskiem. Może właśnie o to chodzi w tej całej terapii? Żeby dopasować się do klienta czy raczej uogólnić klienta. Wiadomo, na początku wszystko będzie właśnie takie ogólne. Ale mimo wszystko.

- Oczywiście - odpowiedział. - Jestem wierzący i wierzę, że Marianne nadal istnieje. Problem tylko w tym, że jeszcze się z nią nie skontaktowałem.

- A liczy pan na to, że się skontaktuje? - zapytał Rönn.

- Liczy, nie liczy - odparł. - A jak to jest u pana?

- Tak, no tak, rzeczywiście - odpowiedział Rönn.

Barbarotti zaczął się zastanawiać, co to, u diabła, znaczy. Bycie wierzącym to wszystko albo nic. I jeszcze trochę pomiędzy: jak określenia śniegu w języku Lapończyków lub feminizm. Albo arabskie przysłowie mówiące, że Najwyższy ma dziewięćdziesiąt dziewięć imion i tylko wielbłąd zna setne. Wieloznaczość. Płatanina słów i ludzka nadgorliwość w

odniesieniu do czegoś, co powinno być proste i jasne.

Albo się wierzy, albo nie.

- Oczywiście - powtórzył Barbarotti, kiedy Rönn nadal milczał. - Ona się do mnie odezwie, tego jestem pewien.

- Trzeba się uzbroić w cierpliwość - odparł terapeuta, a następnie opowiedział o Torgnym Lindgrenie i niespieszności.

Lindgren pisał, że człowiek powinien starać się żyć w takim tempie jak brodaczka - rosnąć coś koło milimetra rocznie. Najwyżej.

Następnie, przez ostatnie pół godziny, rozmawiali o różnych sprawach. O ufności, o niepotrzebnym pośpiechu, i Barbarotti pomyślał, że gdyby miał ojca z prawdziwego zdarzenia, a nie jakiegoś Włocha, który wziął nogi za pas, to chciałby, żeby ten ojciec choć trochę przypominał Rönną. Terapeuta mógłby też być jego starszym bratem, z pewnością nie miał więcej niż sześćdziesiąt lat.

Do czego dokładnie doszli, nie był w stanie powiedzieć, choć może nie miało to aż takiego znaczenia. Nie trzeba wszystkiego ubierać w słowa. Poza językiem także istnieje wartościowa wiedza. Barbarotti wszedł do samochodu zaparkowanego na Norra Torg, wsunął do odtwarzacza nową płytę z fado i ruszył w stronę cypla Kymmen.

Położył rękę na siedzeniu obok i spróbował sobie wyobrazić, że ona tam jest.

Siedząc tak, w końcu usłyszał jej głos.

- Napisałam do ciebie - powiedziała. - Za kilka dni dostaniesz ode mnie wiadomość.

Cudem uniknęła zderzenia z latarnią.

## 2 czerwca 1989

Jak tylko wysiadła z autobusu, spostrzegła, że rower ma przebitą dętkę. Stał oparty o wiatę przystankową, tak jak zostawiła go rano, i to, co zobaczyła, nie pozostawiało żadnych wątpliwości.



Tylne koło. Kapeć. Najprawdopodobniej złapała gumę, a nie miała przy sobie pompki.

W domu były przynajmniej dwie, ale co z tego. Pozostawało tylko powiesić siatki na kierownicy i ruszyć piechotą. To było typowe, niemalże się tego spodziewała i nie było w niej miejsca na jakiegokolwiek zdziwienie.

Siatki z monopolowego włożyła do koszyka z tyłu. Musiała przejść sześćset metrów żwirową ścieżką, lekko pod górę, nie był to jeszcze koniec świata. Nad pola nadciągnęła delikatna mżawka, ale to również nie był koniec świata.

Pierwsza była Wielka Birma. Gospodarstwo pięknie usytuowane na wzniesieniu po lewej; z budynku mieszkalnego otwierał się widok na podłużną dolinę, rozciągającą się z południa na północ, od głównej drogi aż po las za Małą Birmą. Ich gospodarstwem. Jej domem.

Mała Birma nie była położona równie pięknie. Dobrze, że za domem mieli las, jednak widok zasłaniało wzniesienie Wielkiej Birmy. Gospodarstwo leżało w cieniu. Myśl ta w zasadzie pojawiała się automatycznie: strona słońca i strona cienia - dobrze odpowiadało to relacji zarówno między gospodarstwami, jak i między kuzynami. Göran Helgesson był jedynym synem i dziedzicem Wielkiej Birmy, Harry Helgesson, o cztery lata młodszy kuzyn, również był jedynym synem i gospodarzem Małej Birmy. Obaj byli więc właścicielami, jednak różnica była ogromna. Wielki i Mały - nieraz słyszała, jak ludzie tak o nich mówili.

Mogłaby pójść do Wielkiego pożyczyć pompkę, ale tego nie zrobiła. Nie zyskałaby na czasie, a poza tym nie miała ochoty na spotkanie z Göranem ani Ingvor. Szczególnie Görana nie chciała widzieć, a to ze względu na ich układ. Nie ma sensu oświetlać ciemnych kątów. Lepiej zostawić je w spokoju, niech dalej tkwią w mroku.

Dzieci również nie chciała spotkać. Cała trójka była tak wkurzająco ugrzecznioma. Zdrowe, czyste, różowitkie. Wystarczyło, że rzuciła okiem na dobrze utrzymaną żwirową ścieżkę, kwitnące kasztany i krzaki bzu. Pomyślała jednocześnie, że już długi czas nie pokonywała piechotą tych

trudnych pięćdziesięciu metrów. Sytuacja była taka, a nie inna i wszystko wydawało się już przesądzone, pozostawało tylko jakoś przełknąć i zaakceptować ten fakt. Jeżeli nie układa się między kuzynami, nie układa się także między ich rodzinami. Żonami i dziećmi.

Ktoś mógłby twierdzić, że miało to coś wspólnego z dumą, jednak to słowo rzadko padało z ust Harry'ego Helgessona. Może wiedział, że bardzo łatwo rozplywa się na języku, zamieniając w coś zupełnie innego. Brzydszego i bliższego prawdy.

Jakaś zazdrość. Zgorzknienie.

Wzruszyła ramionami w odpowiedzi na te dobrze znane myśli. Zeszła po niewielkim wzgórzu między oborą a szopą na maszyny rolnicze, spojrzała przez ramię w stronę małego placu budowy za żywopłotem, gdzie podobno miał powstać basen. Ekipa budowlana wciąż jeszcze pracowała, choć był piątek i dochodziła szоста wieczorem - nietypowe. Koło szopy na maszyny stały zaparkowane dwie furgonetki ekipy, najwyraźniej jakiś szczegół nie mógł czekać do początku przyszłego tygodnia. Coś należało pokryć albo uszczelnić, zanim będzie można odgwisnąć fajrant, jak to się mówi.

Tak, Göran miał dobrą rękę do ludzi, pomyślała. Jeśli mu się chciało. Miał dar przekonywania, gdy chodziło o coś ważnego. To trzeba uczciwie przyznać.

O ile nie weszło się w rolę dumnej, ale bezbronnej kobiety. Żyła w płataninie ludzkich potrzeb i słabości. Utkwiła w niej niczym głupia mucha plujka w mocnej pajęczej sieci.

Tak mogłaby to ocenić, gdyby się zapomniała i otworzyła oczy.

Za niewielkim wzniesieniem droga znów wiodła pod górę i po chwili zobaczyła już Małą Birmę. Wyglądała niepozornie. Jakby przycupnęła na skraju lasu. Jakby się czegoś wstydyła - również ta myśl nie była nowa.

O nowe myśli w ogóle było trudno. Wciąż pojawiały się te dobrze znane, powtarzające się w kółko aż do znudzenia, przez kilka męczących sekund Ellen Helgesson miała zaś w głowie absolutną pustkę. Było to jak przerwa w dostawie prądu albo

mikroudar - gdzieś o tym czytała. Nagle w myślach, jak niespodziewany list na poczcie, pojawił się syn.

Billy.

Jej Billy Boy. Za dwa tygodnie skończy dwanaście lat. W czasie letniego przesilenia, jak zwykle, ma się rozumieć. Urodził się w kulminacyjnym punkcie roku, ale co z tego? Jak tylko o nim pomyślała, poczuła skurcz w klatce piersiowej. Czyżby duszność? Przełknęła ślinę i odpędziła tę myśl.

Nie martwić się teraz o Billy'ego. Nie pozwolić, żeby niepokój do niej przyłgnał. Najgorszy składnik całej tej płataniny.

Choć nie, wcale tak nie uważała. Na pewno nie.

Szła dalej.

Pokonując ostatnie, dłużące się dwieście metrów, myślała o przeciwwadze: pracy w mieście. Miejscu, gdzie mogła złapać oddech.

Teraz mijał już piąty rok - dopóki Billy nie zaczął chodzić do szkoły, siedziała w domu. Nie dlatego, że sama tego chciała, ale ponieważ Harry postanowił, że tak będzie.

Na początku, przez rok, pracowała w sklepie Näröppet na Lilla Bergsgatan, potem w sklepie z galanterią skórzaną, a następnie, od jesieni dwa lata temu, przy kasie w sklepie z artykułami metalowymi Lindgrens Järn. Pięć, sześć godzin dziennie cztery dni w tygodniu. Środy miała wolne, przynajmniej większość.

Rano, za piętnaście ósma, wsiadała do autobusu, tego samego, którym Billy jechał do szkoły, tak było praktycznie. Wracala autobusem o wpół do czwartej albo o wpół do piątej.

Nie byłoby to możliwe, gdyby nadal mieli zwierzęta, ale pięć lat temu, w związku z kryzysem, Harry sprzedał cały inwentarz. Teraz już tylko w Wielkiej Birmie były zwierzęta: krowy i owce, a poza tym dwa konie - dla Ingvor i dla dziewczynki. I oczywiście kilka tuzinów kur. Mała Birma specjalizowała się w uprawie zbóż. Różnych, ale przede wszystkim tradycyjnej pszenicy. Było jak było: odrobinę krzywa obora na skraju lasu chyba najbardziej ze wszystkich budynków kulila się w padającym deszczu. Straciła swoją rację bytu. Jeżeli Mała

Birma była rakiem, to obora stanowiła guz macierzysty - to porównanie przyszło jej do głowy już kilka lat temu i z biegiem lat wcale nie straciło na trafności. Ani trochę. *Jądro ciemności*. Co to było? Film, którego nigdy nie widziała?

Teraz jednak była znów w sklepie Lindgrena. Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze się tu czuła. Ale wytrzymywała i to jej wystarczało. Więcej nie było jej trzeba, mogła tam po prostu złapać oddech.

Wytrzymywała z klientami i kolegami z pracy: Moną, Gun i Torstenem. Choć niewiele z nimi rozmawiała i nie mogła powiedzieć, że ich zna. Albo że oni znają ją.

A jeżeli chodzi o samego Lindgrena, szefa, który nie potrafił utrzymać rąk przy sobie, z nim też jakoś dawała sobie radę. To z rękoma nie było zresztą poważne, był bowiem szczęśliwie żonaty i miał piątkę dzieci, a koleżanki z pracy już na samym początku powiedziały jej, żeby się tym nie przejmowała, że on nie ma nic złego na myśli. Sofia, jego żona, zresztą też pracowała w sklepie - od czasu do czasu, na przykład w sobotę przed południem i w inne dni, kiedy było wyjątkowo dużo klientów.

Praca była więc dla niej wybawieniem - zrozumiała to już po kilku tygodniach w Näröppet, a z czasem nic się nie zmieniło. Dom był zły. Był bagnem, w którym powoli się pogrążała i tonęła. Dom i weekendy.

Opierając o stojak ramę roweru z przebitym kołem i zdejmując torby, pomyślała, że tak to właśnie wygląda. Nowotworowe bagno w jądrze ciemności. Skąd się brały te wszystkie obrazy? Te wszystkie rozpaczliwe słowa? Była po prostu przerażona; przerażona na myśl o całym piątkowym wieczorze. Całej sobocie i niedzieli w Małej Birmie.

Z Harrym i z Billym. Tylko ich trójka. Tylko rodzina.

Jeszcze jeden raz, jeszcze jeden nieskończenie długi weekend.

I strach. Ciągły, przeklęty, dręczący strach.

Gdybym tylko posłuchała głosu Muttiego, pomyślała. Gdybym nie wysiadła z autobusu. Co by się wtedy stało? „Nie zatrzymuj się przy Drodze Birmańskiej?”

Zobaczyła Harry'ego, który w zapadającym zmierzchu siedział z puszką piwa i dopiero co zapalonym papierosem.

- Wreszcie jesteś - powiedział.

## 11

Zaparkowawszy pod domem Alfonsa Söderberga na Fabriksgatan, Barbarotti stwierdził, że jest o dziesięć minut za wcześnie.

Ziewnął, odpiął pas bezpieczeństwa i odchylił fotel maksymalnie do tyłu.

Jestem robotem, pomyślał. Siedzę, chodzę albo leżę. Mówię, jem, próbuję spać i wykonuję proste czynności. Pracuję. Jestem policjantem. Za chwilę otworzę tę brzydką furtkę w kolorze pasztetu z wątróbek, wejdę na drugie piętro i zadzwonię do drzwi bliźniego nazwiskiem Alfons Söderberg, który w swoim dwupokojowym mieszkaniu ma spluwaczkę lub kilka spluwaczek i charczy jak buldog cierpiący na astmę. Nie wiem zresztą, czy naprawdę ma dwa pokoje, ale nie ma to najmniejszego znaczenia. W ogóle na świecie nie ma już rzeczy, które miałyby jakiegokolwiek znaczenie. Usiądę z nim przy stole w kuchni, napiję się kawy i zapytam o niejakiego Arnolda Morindera, który zaginął pięć lat temu i z którym Söderberg zadawał się od jakichś dwudziestu pięciu lat, a to wszystko razem gówno da. Bo tak naprawdę nie pracuję nad sprawą, a wszystkie te mechaniczne czynności to tylko terapia przepisana przez komisarza Asunandera, żebym miał zajęcie i nie myślał o żonie, która umarła, zostawiając mnie w czarnej otchłani, gdzie. gdzie wkrótce, za dzień lub dwa, za minutę lub dwie, rozpadnę się na kawałki.

Tak to właśnie wygląda. To wszystko nie ma żadnego sensu, życie to makabryczny żart, ja sam zaś jestem uosobieniem smutku i może lepiej, żeby Söderberg mnie nie oglądał. Sam będzie pił swoją kawę i żuł paskudne migdałowe bułeczki kupione w sklepie na rogu, będzie palił ohydne papierosy i również wychodził naprzeciw przedwczesnej śmierci. Będzie zdziwiony, że ten cudaczny policjant się nie pojawił, ale po

namyśle postanowi nie dzwonić na komisariat w Kymlinge. Morindera tak czy siak nie ma, bardzo możliwe, że nie żyje, a okazywanie zbytniego zainteresowania mogłoby się wydawać podejrzane. Lepiej palić papierosy, żuć migdałowe bułeczki i trzymać gębę na kłódkę. Wkrótce zresztą minie tydzień, odkąd ów policjant zaczął pełnić służbę po śmierci żony, która zostawiła go w poczuciu beznadziei, spanikowanego i działającego jak robot - o, proszę, znów to mamy, on się powtarza, ja się powtarzam, moje myśli krążą w kółko i nie sięgają dalej niż do najgorszego wspólnego mianownika, pracuję na jałowym biegu, ale tak to już jest ze zdezelowanymi robotami i...

I naprawdę nie ma powodu, żeby wysiadać z samochodu, otwierać wątrobianą furtkę, wchodzić po cuchnących schodach i dzwonić do tych cholernych drzwi. Żadnego powodu, możesz sobie siedzieć przy tym nieszczęsnym stole w kuchni, Alfonsie Söderbergu, możesz pluć do spluwaczki, czując, jak dni przeciekają ci przez palce, a śmierć już dyszy za plecami. Mam to gdzieś, ha, ha, tak, do jasnej cholery.

Kiedy już pomyślał to wszystko, wyszedł z samochodu i przeciął ulicę, kierując się w stronę 16B.

Söderberg nie kupił migdałowych bułeczek, ale zapytał, czy pan policjant napije się piwa.

Pan policjant podziękował za propozycję, po czym usiedli po obu stronach stolika, na którym stał komputer i sześć szachownic.

- Hobby - wyjaśnił Söderberg i zakaszał. - Utrzymuje sprawność umysłu. Kiedyś byłem mistrzem juniorów. Pan gra?

- Nie - odparł Barbarotti. - Dawno nie grałem.

- W Ljusdal - powiedział Söderberg.

- Słucham?

- Tam zostałem mistrzem juniorów. Choć nie było to wczoraj.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti.

- Zapali pan?

- Rzuciłem.

- Też zamierzam rzucić - rzekł Söderberg. - W dniu swojej śmierci.

- Rozsądnie - stwierdził Barbarotti. - Wszystko ma swój czas. Söderberg zapalił papierosa i wydmuchnął dym na komputer.

- Gram na komputerze, ale potrzebuję szachownic, żeby orientować się w sytuacji - wyjaśnił, przesuwając dłonią nad poszczególnymi partiami. - Komputery są dobre, ale nie mogą się równać z rzeczywistością. Tą trójwymiarową.

W głowie Barbarottiego zrodziło się pytanie, ile wymiarów ma obecnie jego własna rzeczywistość. Czuł się tak, jakby był tylko jeden. Jego rzeczywistość to równia pochyła. Zaczął przeszukiwać kieszenie i stwierdził, że nie wziął notatnika.

- Szuka pan snusa? - zapytał Söderberg.

- Nie - odparł Barbarotti. - Snusa też nie zażywam.

Söderberg zaciągnął się dymem i kaszlnął.

- Żadnego piwa. Żadnych fajek. Żadnego snusa. Może przynajmniej kobietę pan ma.

- Miałem - powiedział Barbarotti. - Ale nie żyje.

- U mnie to samo - odparł Söderberg. - Moja była niespecjalna, ale, Bogiem a prawdą, jeszcze kilka lat mogłaby pożyć.

- Wspominał pan o tym wczoraj. Przez telefon.

- Naprawdę? - zdziwił się Söderberg. - Człowiek plecie, co mu ślina na język przyniesie. Ale co jest powodem pańskiej wizyty? Pewnie chodzi o Morindera?

- Tak jest, chodzi o Arnolda Morindera. Co mógłby pan o nim powiedzieć?

- Dlaczego pan pyta?

- Mamy kilka luźnych wątków - powiedział Barbarotti.

- Złapaliście trop?

- Niezupełnie - przyznał. - Chcemy tylko sprawdzić kilka rzeczy.

- Czyli on się nie pojawił?

- Nie. Nie pojawił się.

- Nie będzie pan nic zapisywał?

Barbarotti pokręcił głową.

- Ani nagrywał?

- Nie ma takiej potrzeby. Przynajmniej na razie.

- Aha - odparł Alfons Söderberg i odchrząknął głośno. - Nie mam bladego pojęcia.

Morinder był, jaki był. To jedno jest pewne.

- Czytałem, co pan o nim powiedział pięć lat temu - oznajmił Barbarotti.

- A co takiego powiedziałem?

- Nie pamięta pan?

- Nie.

Barbarotti zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie postanowił zapomnieć o wszystkich zasadach prowadzenia przesłuchań - w końcu była to tylko skazana na porażkę rozmowa dwóch skazanych na porażkę ludzi.

- Określił go pan jako człowieka trudnego w kontakcie, nieśmiałego i zamkniętego w sobie.

- Tak mówiłem? No tak, to się zgadza. Poza tym był uparty jak osioł, jeżeli mamy mieć kompletny obraz.

- Jak pan myśli, co się z nim stało? - zapytał Barbarotti.

Söderberg zaciągnął się dymem i podrapał po szyi - wyglądało na to, że się zastanawia.

- Nie wydaje mi się, żeby poprzednim razem zadawano mi to pytanie.

- Naprawdę? - odparł Barbarotti. - W takim razie teraz je zadaje. Jak pan myśli, co się stało z Arnoldem Morinderem?

- Nie żyje - rzekł Söderberg. - Jasne jak słońce: chłop nie żyje.

- Jak?

- Słucham?

- Jak pańskim zdaniem umarł?

- To chyba nie ja mam to ustalić, do cholery - odparł Söderberg. - To ja jestem policjantem czy pan?

- Słuszna uwaga - powiedział Barbarotti. - Ale pytałem tylko, czy ma pan jakieś zdanie w tej sprawie. Jeżeli nie, nie musi pan odpowiadać.

Söderberg przez chwilę palił, kaszłał i charczał.

- To pewnie ona.

- Co pan ma na myśli? - spytał Barbarotti.

- Ta Rzeźniczka.

- Mhm?



- Kiedyś już to przecież zrobiła. Jeśli ktoś jest na tyle głupi, żeby zadawać się z takim babsztylem, może mieć pretensje tylko do siebie.

- Więc tak pan uważa - odparł Barbarotti. - Czy pańskim zdaniem Morinder był na tyle głupi?

Söderberg zdusił niedopałek i zastanowił się.

- Głupi czy nie głupi - powiedział po chwili. - Nie wiem. Trudno było go rozgryźć, taki typ. Poza tym nie spotykałem się z nim zbyt często, zresztą chyba jak wszyscy.

- Nocował pan w jego domku. Z tego, co wiemy, jako jedyny.

- Nie licząc Rzeźniczki - odparł Söderberg.

- Zgadza się. Ale jeszcze w latach osiemdziesiątych był pan tam na rybach, prawda?

- Tak jest. Ale tylko raz. Nic się nie złapało, chociaż siedzieliśmy w tej jego cholerniej przeciekającej łódce kilka godzin. Jedliśmy, piliśmy i się upiliśmy. To wszystko. Po wypiciu nie stawał się bardziej rozmowny. Większość tak ma, ale nie Morinder.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Z jakiego powodu wasza przyjaźń się zakończyła?

- Przyjaźń?

- Może pan to nazywać, jak pan chce.

- No - odparł Söderberg - przestał pracować w firmie, to i się skończyło, to chyba jasne.

- Dlaczego przestał tam pracować?

- Był problem w jednym z budynków. Pokpił sprawę i nie chciał wziąć za to odpowiedzialności.

Barbarotti czekał.

- Cholerna sauna spłonęła doszczętnie, a to on robił instalację. Sprawa jasna jak słońce.

- Ale się nie przyznawał?

- Kłamał w żywe oczy. I musiał odejść.

- Była awantura?

- Nie. Po prostu odszedł. Dostał chyba odprawę za kilka tygodni pracy. Wiedział, że zawinił, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać.

- Uważał pan, że to dziwne?

- Wszyscy tak uważaliśmy. Ale wiedzieliśmy, że on jest dziwny.

Barbarotti podniósł wzrok na mocno okopcony sufit i zastanawiał się chwilę.

- A jego żona? - zapytał. - Ta Brytyjka. Był pan na ich ślubie, prawda?

Söderberg skinął głową.

- Tak, byłem. W urzędzie i później w lokalu. Była nas najwyżej szóstka.

- Kim były pozostałe osoby?

- Dobrze pamiętam tylko parę młodą.

Barbarotti wyjrzał przez okno.

- Był tam też jakiś jego krewny, kuzyn czy ktoś w tym stylu. Wielkie chłopisko z wystającą dolną szczęką i przyrośniętym językiem, chyba miał na imię Bertil. I dwie przyjaciółki panny młodej.

- Czyli przyjęcie w niewielkim gronie?

- Tak jest. A małżeństwo przetrwało mniej więcej rok. Ona była od niego dużo młodsza. Miałem wrażenie, że już podczas ślubnej kolacji żałowała tej decyzji. Poza tym była ładna, o wiele za ładna dla takiego faceta jak Morinder. Może tylko trochę za chuda.

Barbarotti ziewnął.

- Co, do cholery? Siedzi pan tu i ziewa?

- Przepraszam - powiedział Barbarotti. - Kiepsko spałem tej nocy.

- Nie nagrywa pan, nie zapisuje i jeszcze ziewa, kiedy ja podaję istotne informacje.

O kant dupy potłuc takiego policjanta.

- Proszę mi wybaczyć. Tu w pokoju jest trochę duszno.

- Duszno?

- Nie ma wystarczającej ilości tlenu - uściślił Barbarotti. - Wtedy się ziewa. Kiedy we krwi brakuje tlenu.

Söderberg zaciągnął się mocno dymem i wlepił wzrok w Barbarottiego.

- Jeszcze jakieś pytania? Nie mam całego dnia.

- Jedno - odparł inspektor. - O Ellen Bjarnebo, partnerkę

Morindera. Miał pan okazję ją poznać?

- Rzeźniczkę?

- Tak.

- Tylko ją widziałem - powiedział Söderberg. - Mieszka w tym mieście, więc wiadomo, że od czasu do czasu się ją spotyka. Jakiś czas pracowała też na poczcie.

- Rozmawiał pan z nią?

- Ani razu - odparł Söderberg. - Ostrożności nigdy za wiele.

- No dobrze - rzekł Barbarotti, wstając. - Dziękuję za rozmowę.

- Proszę dać mi znać, jeśli go znajdziecie - powiedział Söderberg. - Żywego lub martwego, jak to mówią. Tylko niech pan, do jasnej cholery, nie ziewa, kiedy przesłuchuje pan ludzi.

- To nie było przesłuchanie. To była tylko rozmowa.

- Tak czy inaczej niech pan nie ziewa.

- Okej - odparł Barbarotti. - Będę o tym pamiętał.

- Proszę już iść. Teraz muszę w godzinę wykonać sześć posunięć. Znajdzie pan drzwi?

- Bez najmniejszego problemu - powiedział Barbarotti, uściśniętą Söderbergowi rękę i stłumił kolejne ziewnięcie.

Już w samochodzie poczuł, że zbiera mu się na płacz.

Chcę usłyszeć twój głos, Marianne, pomyślał. Lada chwila muszę otrzymać jakiś znak, bo inaczej się rozsypię. Mówiłaś wczoraj, że do mnie napisałaś, czy się przesłyszałem? Naprawdę jestem na granicy załamania nerwowego.

Jak dokładnie objawiałoby się takie załamanie, trudno było powiedzieć, jednak zaatakowałoby od dołu i od środka, siateczka normalności, opanowania i tego czegoś, co trzymało wszystko w ryzach, wydawała się naprawdę cienka. Jak sieć, w którą pająk próbuje złapać bawoła.

Tak właśnie, przynajmniej czasami, w niektórych bezbarwnych sekundach i zamrożonych chwilach, wyglądała sytuacja.

Na przykład teraz, po dwudziestu pięciu minutach rozmowy z zamieszkałym przy Fabriksgatan 16B szachowym mistrzem juniorów z Ljusdal. Zgadzało się to ze słowami Rönna na temat skamienienia z żalu - może był to jeden z wariantów, albowiem podczas takich chwil, albo tuż przedtem, było najtrudniej.

Kiedy człowiek nie ma nawet siły skamienieć. Jak woda, która nie potrafi zamarznąć, choć temperatura spadła do kilku stopni poniżej zera. Jeżeli. jeżeli nie zapali silnika i nie odjedzie za pięć, sześć sekund, może być już za późno. O wiele za późno.

I to tak nagle.

Zapalił silnik.

Wrzucił bieg.

Zapiął pas i odjechał.

Udało mi się, pomyślał. Co mam teraz zrobić? Siedzę w samochodzie, ale dokąd mamjechać?

## 12

Zamiast ruszyć na komisariat, wyjechał z miasta, skręcił w lewo na rondo w Rocksta i skierował się na zachód drogą numer 272. Z jakiegoś powodu było mu łatwiej prowadzić samochód niż po prostu siedzieć, a jeżeli rzeczywiście był teraz policjantem na służbie, znalezienie uzasadnionego celu podróży nie było szczególnie trudne. Rozumie się samo przez się.

Rybny Domek. Znajdował się nieco ponad dwadzieścia kilometrów od Kymlinge, po zachodniej, zwężającej się części cypla Kymmen. Po dwudziestu minutach był już na miejscu. Skręcił w małą, wysypaną żwirem drogę, przy której stała stara żółta tablica z napisem „Gertrudsholm”. Pomiędzy sosnami połyskiwało leżące kilkaset metrów dalej jezioro. Droga wiodła w lewo, jednak domek Morindera znajdował się kawałek na prawo. Jadąc nierówną i wyboistą leśną dróżką, Barbarotti dotarł do szerszego miejsca, w którym można było zawrócić, i zatrzymał samochód. Tuż obok leżał stos drewna, a za nim zaczynała się ścieżka prowadząca do ciemnej budowli na brzegu jeziora. Barbarotti dostrzegł ją, wysiadając z samochodu, i pomyślał, że wygląda jak dom z *Amityville*. Chyba tak się nazywał ten stary horror?

Pokonał ostatnie pięćdziesiąt metrów. Ścieżka wyglądała na nieuczęszczaną, a fakt, że Rybny Domek odegrał już swoją historyczną rolę, jakakolwiek by ona była, nie pozostawiał

żadnych wątpliwości. Buda miała jakieś pięć na sześć metrów, otaczały ją wybujale zarośla, a od strony jeziora znajdowała się mała weranda. Domek miał blaszany dach, a weranda plastikowy.

Z tego, co dało się zauważyć, nie było ani prądu, ani bieżącej wody. Drewno, pokrywające ściany od zewnątrz, pociemniało, a może nawet zbutwiało od deszczu. Barbarotti obszedł domek, torując sobie drogę wśród zarośli. Trzy okna były zasłonięte przez krzywo wiszące okiennice i nic nie wskazywało na to, aby czykolwiek noga powstała tu w ciągu kilku ostatnich lat. Pod rozłazącą się plandeką przy ścianie leżał stos drewna opałowego w tym samym szaroburym odcieniu co dom. Obok stały dwa odwrócone do góry dnem i przerdzewiałe wiadra oraz para gumowych ekskaloszy. Prócz tego plastikowy kanister z wygryzionymi przez myszy dziurami. Kawalek dalej można było dostrzec wychodek.

Może nie było tu nikogo od sierpnia 2007 roku? Albo przynajmniej od jesieni tegosamego roku, kiedy to policjanci stracili zainteresowanie sprawą. Barbarotti postanowił zrobić jeszcze jedno kółko - w przeciwnym kierunku - i szedł pogrążony w myślach. Od zaginięcia Morindera minęło prawie pięć lat, a mimo to wciąż jeszcze nie został uznany za zmarłego. Zazwyczaj czekano z tym właśnie pięć lat, w tym zaś przypadku nie było chyba nikogo, kto domagałby się spadku. Nikt nie wnioskował o uznanie go za zmarłego, więc w papierach wciąż żył. Czyż nie? Żadnych dzieci, żadnego rodzeństwa. Jeżeli w ogóle istniał jakiś spadkobierca, była nim prawdopodobnie jego partnerka.

Jakiegokolwiek zaś kosztowności posiadał poza tą rudą i kilkoma ruchomościami w spółdzielczym mieszkaniu w Rocksta, raczej nie były one warte szczególnego zachodu.

Z takimi właśnie nieprzychylnymi myślami inspektor Barbarotti szedł nad jezioro, przedzierając się przez kolejne zarośla i stąpając po śliskich korzeniach drzew. Między dwiema olchami leżała przegniła łódka, ta sama, w której na początku lat osiemdziesiątych siedział Alfons Söderberg. Brzeg był porośnięty krzakami i trudno dostępny, dno jeziora

najprawdopodobniej muliste i nierówne, jednak jeśli się miało wysokie gumy i odpowiednią dawkę entuzjazmu, można się było wybrać na ryby nawet z tego miejsca.

Zresztą pięć lat temu wszystko to wyglądało przypuszczalnie nieco lepiej.

Mimo wszystko trudno sobie wyobrazić, jak w takie miejsce można zaprosić kobietę, myślał dalej Barbarotti, nie bez uprzedzeń. Nic nie wskazywało na to, żeby Morinder miał w sobie cokolwiek z kobieciarza. Co sprawiło, że Ellen Bjarnebo dała się uwieść?

Jedyną okolicznością łagodzącą dla tego miejsca, jaka przychodziła mu do głowy, był fakt, że nie było tu żadnych sąsiadów. Przynajmniej w zasięgu wzroku i słuchu.

Co z kolei oznacza, że to idealne miejsce, żeby kogoś zabić. Pociąć go na kawałki i w spokoju zakopać.

Jeżeli chodzi o miłość, partnerów i takie tam, eksrzeźniczka nie mogła się chyba spodziewać, że będzie jej dane przebierać jak w ulęgawkach?

Trzeba brać to, co jest - podsumował z westchnieniem Barbarotti.

Trzymając ręce w kieszeniach, patrzył na czarną, błyszczącą wodę. Pomyślał, że śledztwo prowadzone przez policjantów z Kymlinge jesienią 2007 roku nie było chyba mistrzostwem świata. Tej samej jesieni on i Eva Backman byli zajęci człowiekiem z Moustertin, piszącym listy mordercy, i sprawą, której korzenie sięgały francuskiej Bretanii, więc naprawdę nie miał czasu na przyglądanie się temu, co robili koledzy. Poza tym był wtedy zawieszony na kilka dni, ale to osobna historia, tamta jesień zaś poprzedzała zimę, kiedy on i Marianne zamieszkali razem.

Takie myśli w posępnym otoczeniu przy brzegu czarnego jeziora niczemu dobremu nie służą, to pewne, pomyślał Barbarotti, podniósł z ziemi płaski kamień i spróbował puścić kaczkę.

Kamień przeciął powierzchnię wody bez ani jednego podskoku, Barbarotti zaś zmusił się, żeby wrócić myślami do sprawy Morindera.

Postępowanie przygotowawcze prowadził Månsson Ciapa, a śledztwo leżało najpierw na biurku Smutasa, który później zaangażował się w całą tę historię z Bretanią, i odpowiedzialność przejął inspektor Gunvaldsson.

Pamiętał Gunvaldssona, choć może nie wyrył on się w jego pamięci szczególnie mocno. Był to wielki, silny i przyjaźnie nastawiony facet, pochodzący z Gävle. Kiedy w spektakularny sposób odeszła od niego żona, starał się o przeniesienie i wylądował w Kymlinge. O ile Barbarotti dobrze pamiętał, pojawił się w maju i zniknął w grudniu. Nie wiedział, na czym polegała spektakularność odejścia małżonki ani co się potem stało z Gunvaldssonem, ale któregoś razu, gdy o nim rozmawiali, Eva Backman określiła go jako bardzo zdolnego śledczego, o ile tylko śledztwo przebiega gładko.

Barbarotti nie wiedział, jak bardzo ugruntowana jest ta opinia, jednak przejrząwszy dokumentację na temat Morindera, pomyślał, że chyba teraz rozumie, co Backman miała na myśli.

Kluczem do wszystkiego była Ellen Bjarnebo. Koniec kropka. Jeżeli za zniknięciem zamkniętego w sobie elektryka naprawdę kryła się jakaś zbrodnia, to istniał jeden - słownie jeden - podejrzany: jego partnerka, kiedyś i na zawsze znana jako Rzeźniczka z Małej Birmy. Obie te sprawy były do siebie podobne jak dwie krople wody. W obu przypadkach wspomniana Rzeźniczka zgłosiła na policję, że jej mąż/konkubent już od jakiegoś czasu nie daje znaku życia. W roku 1989 zaginionego zaczęto znajdować po kilku miesiącach, a gdy tylko się okazało, że został zabity i poćwiartowany, przyznała się do winy. Osiemnaście lat później nie znaleziono żadnych szczątków, a więc nie musiała się przyznawać.

Tak rozumował Gunvaldsson i trudno było mieć mu to za złe. Jeżeli Morinder naprawdę został pozbawiony życia, główną podejrzaną była Ellen Bjarnebo. Pozostawała z nim w zażyłych stosunkach, a przecież, jak to zwykle podkreślał posepny kryminolog z telewizji, w dziewięciu przypadkach na dziesięć morderstw dopuszczają się osoby z bliskiego otoczenia ofiary.

Poza tym można powiedzieć, że miała wprawę.

Problem polegał na tym, że śledztwo stanęło w miejscu. Znalaziono tylko moped. Nie było żadnych wskazówek, a Ellen Bjarnebo podczas przesłuchania nie złamała się i nie przyznała do winy.

Barbarotti przeczytał wszystkie protokoły przesłuchań i wynikało z nich jasno, że taka była taktyka, jedyna taktyka: przesłuchiwać ją, przesłuchiwać i przesłuchiwać, aż w końcu popełni błąd, wygada się albo najlepiej załame i wyzna, że znów to zrobiła.

Tak się jednak nie stało. Ellen Bjarnebo wytrzymała wszystkie ataki bez widocznego trudu. Z jej odpowiedzi można było wywnioskować, że przez cały czas była spokojna i opanowana. Zdawała relację z wydarzeń, raz za razem, opowiadała o tym, jak Morinder odjechał na mopedzie i nie wrócił. Jak kilka dni czekała i jak później zawiadomiła policję.

Nie była to oczywiście historia, której szczególnie trudno byłoby się trzymać, zwłaszcza jeśli była prawdziwa. Barbarotti poczłapał z powrotem do samochodu. Po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego, u diabła, Asunander kazał mu zerknąć na tę sprawę, i po raz kolejny przyszła mu do głowy ta sama odpowiedź: rehabilitacja zawodowa. Coś, co sprawi, że się czymś zajmie, jednocześnie nie wyrządzając żadnej szkody.

A może chodziło o coś innego? O coś więcej? Asunander był starym szczwanym lisem u progu emerytury, tak samo nieprzeniknionym jak dawniej. Tak czy inaczej w przyszłym tygodniu trzeba będzie z nim porozmawiać. Zapytać, co, u licha, sobie myślał, i mieć nadzieję na coś w rodzaju szczerzej odpowiedzi. Następnie zaś oznajmić, że jest gotów do rozpoczęcia prawdziwej pracy.

O ile rzeczywiście tak było.

A sprawa Birmy? Czy naprawdę interesowała komisarza?

Barbarotti miał na biurku również te materiały, jednak jeszcze się w to nie zagłębił. Nie były może tak obszerne, jak można by się spodziewać, ale Ellen Helgesson z domu Bjarnebo przyznała się przecież do winy, więc bardziej drobiazgowo czynności śledcze nie były konieczne.

Proces był zaś formalnością, nawet jeśli jej adwokat dla



zasady wskazał kilka okoliczności łagodzących.

I to byłoby tyle - stwierdził Barbarotti, rzucając ostatnie spojrzenie na opuszczoną rudere. Ależ smętnie wyglądasz, zwrócił się do niej w myślach. Powinno się ciebie spalić.

Kiedy znalazł się z powrotem na drodze numer 272, było w pół do drugiej. Zorientował się, że jest piątkowe popołudnie i czeka go długi weekend z dziećmi. Rodzina bez matki.

Gromadka ludzi, którzy stracili swoją kotwicę. Poczul, że znów zbiera mu się na płacz - wisiał nad nim jak mokry koc i chyba właśnie po to, żeby poradzić sobie z ową bezdenną rozpaczą, zdecydował się wstąpić na komisariat i zabrać akta sprawy Małej Birmy. Na pewno nie zaszkodzą.

Przepracowywanie żałoby? Tak naprawdę chyba nie o to tu chodziło, by pracować, zamiast rozpaczać, ale był gotowy na wszystko, byle tylko poczuć ulgę.

Życie robota.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy te grzeszne słowa pojawiły się w jego myślach, minął inną boczną drogę prowadzącą do jeziora. Gdyjechał w tamtą stronę, nie przyszło mu to do głowy, a przecież powinno było.

Axel Wallman.

Jego dawny kolega ze szkoły średniej, który nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca. Wilk stepowy, geniusz językowy, hodowca psów i co tam jeszcze. Jego pies wabił się Saarikoski na cześć fińskiego poety i poligloty. Odkąd Wallman został wyrzucony na akademicki śmietnik i wylądował na wcześniejszej emeryturze, para ta mieszkała w domku w lesie na północy cypla Kymmen. Przynajmniej tam właśnie mieszkali, kiedy Barbarotti po raz ostatni ich odwiedził - po namyśle doszedł do wniosku, że od tego czasu również minęło pięć lat, a więc było to tego samego lata, w 2007 roku, i naturalne wydawało się pytanie, dlaczego tak po prostu wyrzucił Wallmana z pamięci. To, że Wallman sam miałby się z nim skontaktować, było nie do pomyślenia.

Z drugiej strony było to jego pierwsze lato z Marianne, więc taki stan rzeczy dało się wytłumaczyć i usprawiedliwić. Dużo się spraw uzbierało. Ludzie pojawiają się i znikają.

Znikają? Co to za egoistyczne brednie? Barbarotti zahamował na parkingu. Zakręcił i ruszył w przeciwną stronę. Zjechał na wyboistą drogę wiodącą do gniazda Wallmana - wyglądała prawie identycznie jak ta, którą dojeżdżał do Rybnego Domku.

Sam domek na szczęście wyglądał nieco bardziej przyzwoicie.

Nawet jeśli różnica była nieznaczna, pomyślał Barbarotti, wysiadając z samochodu.

Był trochę większy, ale za to zarośnięty i niezdradzający żadnych oznak życia.

Axel Wallman miał w każdym razie skrzynkę na listy: szare nie wiadomo co wiszące krzywo na słupie i owinięte sznurkiem. Na klapce znajdowała się laminowana kartka z wydrukowaną wiadomością.

„Arne! Wyjechałem na jakiś czas. Bądź tak miły i odkładaj moją korespondencję, dopóki się nie odezwę. In fide. AW”.

Arne? To pewnie listonosz. Jeden z tych prawdziwych wiejskich listonoszy, z którymi można wejść w komitywę. Taki, który w razie potrzeby obejdzie sztywne pocztowe przepisy. Barbarotti już miał wejść do samochodu z poczuciem, że nie załatwił sprawy, kiedy jego wzrok padł na małą tabliczkę z nazwiskiem na skrzynce: „WallmanBraun”.

Braun?

Co to znaczy? Czy?

Barbarotti pokręcił głową i uśmiechnął się przelotnie w duchu. Czyżby Wallman przygruchał sobie jakąś kobietę? Wydawało się to, za przeproszeniem, niedorzeczne. Kiedy się ostatnio widzieli, Wallman deklarował, że wciąż jest prawiczkiem, samotnym jak palec, i że kobieta jest tajemnicą, na której rozwikłanie już dawno porzucił wszelką nadzieję.

Jego ogólny wygląd, hałaśliwa i nieprzejednana genialność, zwyczaj czytania długich i zawiłych wierszy w języku starocerkiewnosłowiańskim, a także skłonność do zarastania brudem musiały. musiały stanowić niedające się pokonać przeszkody na drodze do zawarcia jakiegokolwiek związku - pomyślał Barbarotti i włączył silnik.

Wallman wprawdzie mówił płynnie dwudziestoma jeden językami, ale był zwariowanym odludkiem.

Ale Braun?

Pytanie to tkwiło na skraju jego świadomości przez resztę dnia. Towarzyszyło mu, kiedy zabierał z policji materiały w sprawie Birmy, podczas pełnego czułości i niepewności wieczoru spędzonego z dziećmi i kiedy po północy leżał samotnie i bezsennie w wielkim łóżku, w którym niecały miesiąc temu zostawiła go żona.

WallmanBraun?

Tajemnica.

### 13

Okolo wpół do ósmej w sobotni poranek Eva Backman obudziła się z bardzo nieprzyjemnego snu. Klóciła się gwałtownie ze swoim byłym mężem i na zakończenie oboje kazali sobie iść do diabła.

Kiedy przecierając oczy, usunęła z nich resztki snu i weszła do łazienki, zrozumiała, że nie był to sen. To się działo naprawdę. Naprawdę krzyczeli na siebie przez telefon zeszłego wieczoru - dokładniej rzecz biorąc, chwilę przed tym, zanim położyła się do łóżka i przynajmniej ona kazała mu iść tam, gdzie panuje wysoka temperatura. Nie pamiętała, czy on odwdzieczył się tym samym, ale jeśli zatrzymał to dla siebie, to tylko ze względu na swoją nową żonę i na fakt, że wychowano go na tchórza.

Nowa żona nazywała się Blanche - co za imię - i była najbardziej sprzedającą, najżałośniejszą istotą, jaką Eva Backman kiedykolwiek spotkała. Poza tym skąpą niczym dziecko Szkotki i Smålandczyka.

Znowu chodziło o dom, ten w dzielnicy Haga, w którym przez prawie dwadzieścia lat mieszkała z Villem i ich trzema synami i który obecnie zajmują Ville, Blanche i Kalle - on jako jedyny z synów jeszcze się nie wyprowadził. Oprócz nich mieszkała tam jeszcze córka Blanche, zahukana dziewięcioletnia dziewczynka, Ellinor.

Ściślej mówiąc, chodziło o pieniądze i rzekome zobowiązania. Pół roku temu Eva Backman uwolniła się od nieruchomości, którą od końca lat osiemdziesiątych posiadała na spółkę z Villem. W każdym razie wydawało jej się, że się uwolniła, do czasu kiedy Blanche zaczęła mącić i wyszukiwać ukryte usterki, które wymagały naprawy, jak podłoga, którą należało zerwać, rdza w przewodach wentylacyjnych i diabli wiedzą co jeszcze. Usterki, za które zgodnie z prawem powinni zapłacić oboje byli już małżonkowie - jak to w najlepszej intencji wyjaśniła Blanche spokojnym głosem, bez ani odrobiny złości. W końcu usterki owe powstały w czasie, kiedy eksmałżonkowie wciąż jeszcze byli współwłaścicielami nieruchomości. Sprawa tak właśnie wyglądała i choć oczywiście nie chcą robić Evie problemów czy wchodzić z nią w konflikt, to prawo jest prawem, a poza tym jesteście przecież dorośli, prawda? Sto pięćdziesiąt tysięcy koron powinno wystarczyć, można przecież wziąć pożyczkę. Nie będziemy chyba wrogami?

To i temu podobne. Najgorszy był fakt, że Blanche była lizuską i manipulantką, jedną z tych dobrze wychowanych, grzecznych gąsek, przypominających mambę z faktorem ochronnym. I to, że Ville był tak cholernie durny, że się na to nabierał.

A także fakt, że buntowała dzieci, przynajmniej Kallego, przeciwko matce. Zaciskając zęby, tak mocno, że aż krwawiły dziąsła, Eva Backman czuła, jak się w niej gotuje. Po raz kolejny. Dlaczego, do cholery, Ville ożenił się z taką kretynką? W jakimś sensie rzucało to cień także na nią - był to niewygodny, ale trafny wniosek. Jeżeli postanowił ożenić się z idiotką, to jego była żona także musiała nią być? A może chodziło po prostu o to, że Blanche była jedenaście lat młodsza, była tancerką i dopiero co podniosła sobie cycki? W takim razie tylko Ville był idiotą, ale nie rozjaśniało to zbyt wiele sytuacji.

Jak było z Kallem? Co jeśli stał po stronie Blanche? Tylko po to, żeby sprawić przyjemność ojcu. Co w taki dzień jak dzisiaj mówiło się przy śniadaniu? Że stara mama próbuje naciągnąć tatę i nową mamę na pieniądze? Czy było to ukryte pod mnóstwem podstępnych psychologicznych ozdobników,

których osiemnastolatek tak łatwo nie przejrzy?

Muszę się nad tym zastanowić, postanowiła Eva. W poniedziałek dzwonię do adwokata.

Podjąwszy tę decyzję, włożyła dres i wyszła pobiegać. Zazwyczaj przed ćwiczeniami potrzebowała lekkiego śniadania, ale adrenalina jest przecież równie dobrym paliwem.

O wpół do dwunastej skończyła biegać, wzięła prysznic i odbyła krótką rozmowę z byłym mężem, podczas której wyjaśniła, że w przyszłości wszystkie takie gówniane gadki będą prowadzili za pośrednictwem adwokata. Zadowolona z tego jasnego komunikatu - oraz z faktu, że nie odebrała, kiedy zadzwonił znowu - przygotowała sobie solidne śniadanie na tacy, zabrała gazety i usiadła pod parasolem na balkonie.

Bez wątpienia zaczynało się lato. Kasztan w ogrodzie wypuszczał pąki, bzy kwitły jak szalone, cały świat zdawał się mieć jakieś siedemnaście lat.

Ona sama miała czterdzieści dziewięć i kiedy ta niechciana myśl zagościła w jej głowie, odsunęła gazety i zaczęła myśleć o kobiecie, która dożyła tylko czterdziestu siedmiu. I o jej mężu, który wprawdzie miał pięćdziesiąt jeden, ale odnosiło się wrażenie, że jedną nogą stoi już w grobie.

Co jest z nami, ludźmi? - pomyślała Eva Backman. Wydajemy się nieprzygotowani do tego świata. Cały czas gaśniemy, właśnie na tym upływa nam życie.

Na gaśnięciu, kłótniach i wzajemnym niezrozumieniu.

A potem umieramy.

Za wcześnie albo za późno.

Pogrzeb Marianne nie był jedynym, w którym uczestniczyła w tym roku, choć do końca pozostało jeszcze ponad sześć miesięcy. W styczniu ze światem pożegnał się w końcu jej ojciec i naprawdę można było zadać sobie pytanie, czemu miały służyć ostatnie dwa, trzy lata jego życia. Do jesieni 2009 roku mieszkał u brata i szwagierki Ewy w ich gospodarstwie nieopodal Kymlinge, ale któregoś dnia uznali, że dłużej tak się nie da. Jego alzheimer był już w pełni rozwinięty, przeniesiono go więc do kliniki Herta w Valbo i podczas ani jednej z wielu wizyt, jakie mu złożyła, nie miał pojęcia, kim ona jest.

U niego koniec nadszedł za późno. Pod wszelkimi istotnymi względami Rune Backman był martwy na długo, nim umarł.

Z Marianne było dokładnie odwrotnie. Odeszła za wcześnie. Nie żyła, ale w pewnym sensie trudno było to uznać. I uznać, i pojąć, i wbić sobie do głowy.

A jeżeli ona, właściwie najlepsza przyjaciółka, nie mogła się z tym pogodzić, jak można oczekiwać tego od dzieci i Barbarottiego. Spodziewać się, że zrozumieją i będą żyć dalej.

Choć Barbarotti był wierzący.

Przynajmniej tak twierdził - nigdy o tym na poważnie nie rozmawiali.

A o czym właściwie rozmawialiśmy na poważnie? - pomyślała Eva Backman i wypila łyk herbaty. My, którzy znamy się tak dobrze po dwudziestu latach spędzonych w tym samym domu wariatów.

Było to pytanie zarówno dobre, jak i niewygodne. Dobre, ponieważ trzeba je było zadać, a niewygodne z uwagi na ewentualną odpowiedź.

Że w ogóle nie rozmawialiśmy poważnie? - myślała. Co chcę przez to powiedzieć? Jeżeli nie rozmawiałam poważnie z Barbarottim, to z kim?

Z Villem, którego żoną była dwadzieścia jeden lat? Patrząc z perspektywy czasu, raczej nie. Cóż były warte wszystkie jej słowa? Perły przed wieprze, woda po kacze? A poza tym człowiek, który wybrał sobie taką kobietę jak Blanche, nie zasługiwał po prostu, żeby go traktować poważnie.

Dzieci? Miejmy nadzieję, że z nimi było lepiej, ale to się okaże z czasem i to one będą miały w tej ocenie decydujący głos.

Marianne? Tak, tu nie dało się zaprzeczyć. Rozmawiały ze sobą o sprawach, o których należy rozmawiać. O życiu, śmierci i miłości. O motywach postępowania i poznaniu samego siebie. O męskiej głupocie, kobiecej głupocie i cierniu w duszy.

Ale Marianne już nie istniała - tak właśnie w tej chwili była urządzona rzeczywistość i Eva Backman zaczęła płakać, ponieważ nagle zdała sobie sprawę, że jest równie nieprzygotowana do tego świata jak wszyscy inni.

To nie umarłych oplakujemy, pomyślała. Oplakujemy nas samych.

Nie śmierć, lecz życie.

Kilka godzin później kasztan i bzy kwitły nadal. Zabrała do domu na weekend trochę papierów - przede wszystkim dotyczących sprawy Fängströma, w której nadal nic nie drgnęło. Mimo szeroko zakrojonych działań nie udało im się nawet ustalić tożsamości osoby, która tego wieczoru gościła u polityka, medialne przekazy nabierały zaś dobrze znanego szyderczego tonu.

Dopiero sobota, pomyślała Eva Backman. Nie jestem w stanie dziś się na tym skupić. Niedziela z pewnością będzie deszczowa i sprzyjająca pracy, zapewniła się w duchu, po czym odłożyła materiały i postanowiła wybrać się na długi spacer.

Mimo że już wcześniej przebiegła osiem kilometrów, adrenalina uwolniona za sprawą Blanche wciąż jeszcze na nią działała. A może to myśli o Marianne, Barbarottim i wszystkim innym nie pozwalały jej usiedzieć w miejscu.

A może po prostu świat wciąż miał dopiero siedemnaście lat i domagał się uwagi?

Cel z początku był niesprecyzowany, kiedy jednak przeszła już kawałek wzdłuż rzeczki, zorientowała się, że zmierza w kierunku cmentarza. Grób jej rodziców i grób Marianne były od siebie oddalone o nie więcej niż sto metrów - skoro już tak się stało, mogła sobie pozwolić na spędzenie chwili przy jednym i drugim. W taki dzień jak dziś.

Zaczęła od rodziców: zmieniła kwiaty, podlała je, zebrała wiaderko śmieci i kiedy szła w stronę nowszej części cmentarza, zobaczyła Barbarottiego.

No tak. Na co miałby poświęcić wolne sobotnie popołudnie, jeśli nie na wizytę u ukochanej żony.

Przyglądała mu się z pewnej odległości. Stał zwrócony do niej plecami, a twarzą do grobu, na którym nie było jeszcze nagrobka, a jedynie prowizoryczny drewniany krzyż. Stał, wtulając głowę w ramiona, jakby marzył w słońcu, nieruchomo patrząc w ziemię, jak ktoś, kto się modli. Może chciał nawiązać kontakt. Backman pomyślała, że wygląda jak obraz, olejne

dzieło jakiegoś malarza z początku XIX wieku - *Przy grobie*.

Minęło pół minuty, po czym Barbarotti obrócił się i ją zobaczył. Eva podniosła rękę na powitanie i podeszła.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać - powiedziała.

Barbarotti pokręcił głową.

- Nie przeszkadzasz. Już spędziłem z nią dobrą chwilę.

- Byłam na grobie moich rodziców i pomyślałam, że zajdę też do Marianne.

- Oczywiście.

- Ładny dzień.

- Tak.

Backman się zawahała.

- Chcesz być sam?

Barbarotti zdobył się na uśmiech.

- Nie, do licha. Przepraszam cię, możemy chwilę porozmawiać, jeśli chcesz. Usiądźmy na tamtej ławce. Młodzi zaraz przyjdą.

- Młodzi?

- Dzieciaki. Przynajmniej troje, Johan pracuje. Po prostu chciałem mieć chwilę dla siebie.

- Rozumiem.

Usiedli na ławce w słońcu, kawałek od grobu Marianne. Eva pomyślała, że choć nigdy nie była skępowana w towarzystwie Barbarottiego, teraz tak się właśnie czuła.

- Nie wiem, co powiedzieć, Gunnar.

Wzruszył ramionami.

- Można też siedzieć cicho, to nie jest zabronione.

Eva Backman skinęła głową.

- Możemy też porozmawiać trochę o Ellen Bjarnebo, chętnie posłuchałbym twojej opinii.

- Zajmujesz się tym?

- Na tyle, na ile się da. Ale nie rozumiem, dlaczego Asunander to wygrzebał. o ile nie chodziło mu tylko o to, żebyśmy miał zajęcie.

- Z Asunanderem nigdy nie wiadomo.

- To prawda. Tak czy owak zacząłem przyglądać się również tej starej sprawie. historii z Birmą. Nie jest szczególnie



skomplikowana, ale człowiek zaczyna się nad nią zastanawiać.

Eva Backman przełknęła ślinę.

- Nad Ellen Bjarnebo?

- Tak.

- Co cię zastanawia?

Barbarotti przez chwilę myślał.

- Parę różnych rzeczy, ale przede wszystkim jedna.

Dlaczego, u diabła, wróciła tutaj po powrocie z więzienia?

- Może nie miała dokąd pójść?

Barbarotti skinął głową.

- Też tak pomyślałem, ale to mimo wszystko dziwne.

- Dlaczego?

- Myślę sobie w ten sposób: jeżeli zabije się człowieka i odsiaduje za to w więzieniu ponad dziesięć lat, to po wyjściu na wolność i tak trzeba zacząć wszystko od nowa. Nie ma do czego wracać. A jeżeli gdziekolwiek znają ją jako Rzeźniczkę, to na pewno tutaj, w Kymlinge. Prawda? A więc dlaczego się tu osiedla?

- Nie wiem - odparła Backman. - Nigdy nie siedziałam dziesięć lat w więzieniu i nie mam pojęcia, w jaki sposób myśli rzeźnikmorderca.

- Teraz jesteś oporna - stwierdził Barbarotti. - Przyznaj chociaż, że to dziwne.

- Okej - powiedziała. - To jest dziwne. Ale przecież wszystko się ułożyło. Znalazła tu pracę i mieszkanie. Z czasem poznała faceta i...

- I później ten facet zniknął. A co robi wtedy Ellen Bjarnebo? Zostaje w mieszkaniu, nie wyjeżdża z miasta.

- Ale już nie pracuje, prawda?

Barbarotti pokiwał głową.

- Otóż to. Wyobraź sobie, że po sprawie Morindera przeszła na wcześniejszą emeryturę. Mając dopiero pięćdziesiąt cztery lata. Jak myślisz, dlaczego? Otóż na poczcie zorientowali się nagle, że mają za dużo pracowników, jednocześnie ich lekarz stwierdził, że Bjarnebo nabawiła się zawodowej choroby płców, i w przeciągu miesiąca już nie było jej na liście. Wygodne, nie?

- Bardzo - zgodziła się Backman. - Uważasz, że koledzy nie chcieli już z nią pracować, czy co sugerujesz?

- Może nie tyle oni - odparł Barbarotti - ile szefowie. Dziś rano rozmawiałem dziesięć minut z jednym z nich. To mi w zupełności wystarczyło. A mimo to.

- Mimo to ona nadal tu mieszka.

- Właśnie. Chciałbym, żebyś mi to wyjaśniła, po prostu.

Eva Backman myślała przez chwilę.

- Ale z nią nie rozmawiałeś? To chyba ona zna odpowiedź, a nie ja.

- Mam się z nią spotkać w przyszłym tygodniu - powiedział Barbarotti i spojrzął na zegarek. - Wspominałem już chyba, że teraz przebywa w pensjonacie w Norrlandii. Backman skinęła głową.

- No tak.

- Oczywiście jest tak, jak mówisz. Wszystko się wyjaśni, kiedy z nią porozmawiam. Ale dzięki za wysłuchanie. Dzieciaki powinny już tu być.

Jak tylko to powiedział, Eva ich zobaczyła. Larsa, Martina i Jenny. Jenny szła pośrodku, obejmując każdego z chłopców. Eva poczuła ucisk w gardle i pomyślała, że widzi właśnie inny obraz tego samego dziewiętnastowiecznego malarza, zatytułowany *W drodze do grobu*.

Kiedy podeszli, przytuliła wszystkich troje - chłopcy wydawali się trochę skrępowani, ale zwykle tacy byli. Z Jenny było łatwiej, choć kiedy zbliżyła się do grobu, zaczęła płakać. Po chwili niepewności stanęli obok siebie i chwycili się za ręce. Przez moment stali nieruchomo przed prostym krzyżem, a cisza nie była ani trochę uciążliwa. Nagle nadleciał mały ptaszek, usiadł na krzyżu, po czym znowu odleciał i nietrudno było wyobrazić sobie, że Marianne na nich patrzy. Albo nawet że to ona była tym ptakiem.

W rzeczy samej, nietrudno. Eva Backman pomyślała, że była to minuta, godności? Wieczności?

Zanim się rozstali, Jenny przytuliła ją raz jeszcze.

- Proszę pozdrowić Kallego.

Ona i Kalle chodzili do równoległych klas w szkole średniej i

należeli do tego samego kręgu znajomych; ten prosty fakt nagle ucieszył i wzruszył Evę Backman. Jenny i Kalle mieli własną relację, zupełnie niezależną od rodziców - od niej samej, od Villego, Barbarottiego i Marianne - i nagle wydało jej się to niezwykle kojące.

Tak jakby mogła na chwilę odpuścić. Zdjąć ze swych barków trochę odpowiedzialności i przekazać młodszemu pokoleniu. Pomyślała, że naprawdę nie ma sensu marnować energii na tę idiotkę Blanche.

- Do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała do Barbarottiego.

- Nie chcesz iść z nami coś przekąsić?

- Nie, dzięki. Innym razem.

- No dobrze.

Rozdzielili się.

## 14

### 2 czerwca 1989

Kiedy stała przy kuchence i obierała ziemniaki, on, przechodząc obok, złapał ją za tyłek. Śmierdział piwem, dymem papierosowym i potem. Bezwiednie ścisnęła mocniej trzymany w ręku nóż.

Jako swego rodzaju makabryczną odpowiedź, przygotowanie; ta myśl pojawiła się w jej głowie i szukała oparcia - przypomni sobie o niej później, kiedy już będzie po wszystkim. Po chwili zapytał, gdzie się podziewa ten gnojek.

- Nie wiem - odpowiedziała Ellen zgodnie z prawdą. - Pewnie jest w swoim pokoju.

Wymruczał coś i poszedł. Usłyszała, jak bierze garść chipsów z miski na stole w dużym pokoju i głośno opada na kanapę. Żuje, wypija łyk piwa, beka.

Nie wiedziała, czy Billy naprawdę jest w swoim pokoju, ale gdzie indziej miałby być. Pewnie siedział przy biurku i bawił się ołowianymi żołnierzami. Ustawiał je w różnych szykach, milczący i świadomy celu. Miał ich ponad sto pięćdziesiąt - nie wiedziała, co dzieje się w jego głowie, kiedy się nimi zajmuje,

ale mógł to robić godzinami.

Choć z drugiej strony to, co działo się w głowie chłopca, kiedy nie bawił się żołnierzami, również było dla niej tajemnicą. W każdym razie w dużej mierze, ponieważ nie mówił.

Zdarzało się, że mówił „tak” albo „nie”, „jeść” albo „pić”, ale nic poza tym. Nauczycielka z klasy specjalnej, do której chodził z ośmioma innymi dziećmi z problemami, twierdziła, że czasami mówi też inne rzeczy, jak na przykład „ja umiem” albo „nie rozumiem”. Miała na imię Eivor i Ellen wiedziała, że Billy ją kocha. Chodziły słuchy, że jesienią nauczycielka może już nie wrócić, i Ellen drżała na samą tę myśl. Nauczycielom, którzy wcześniej próbowali uczyć Billy’ego, nie udało się nic osiągnąć i pojawiały się głosy, żeby posłać go do szkoły specjalnej. Teraz, kiedy chodził do normalnej szkoły, do klasy dla uczniów o szczególnych potrzebach edukacyjnych, jak to się oficjalnie nazywało, i był uważnie prowadzony przez Eivor, okazało się przynajmniej, że nie jest idiotą. Teraz, w wieku niespełna dwunastu lat, potrafił czytać, pisać i liczyć.

Inaczej rzecz się miała z nieśmiałością i zamknięciem w sobie. Ellen zastanawiała się czasem, jak wiele z niej samej jest w jego nadęsaniu i odwróconym wzroku. Jeżeli było w życiu coś takiego, do czego nie chciałyby wrócić, to właśnie wiek kilkunastu lat. Albo w ogóle czasy szkolne.

Czy w ogóle do czegoś chciałyby wrócić? Jeszcze jedno pytanie, którego wołała sobie zadawać.

Billy był duży i silny - nie ulegało wątpliwości. Na pewno by się obronił, gdyby tylko przyszło mu to do głowy. Już przerósł matkę o pół głowy i miał szerokie ramiona. Wiedziała, że ma przewisko Świnia - to pewnie przez niemal białe, proste jak druty włosy. Ją dwadzieścia lat temu nazywano Myszą - niektóre rzeczy są dziedziczne, czy się tego chce, czy nie.

Do jakiego zwierzęcia najbliżiej jest Harry’emu, nie wiedziała, ale pewnego razu słyszała, jak ktoś woła do niego: „Ty pieprzona hieno”, i bez względu na to, czy było to trafne określenie, czy nie, utkwilo jej w pamięci.

Świnia, mysz i hiena. Witamy u rodziny Helgessonów z

Małej Birmy.

Choć hiena zaczynała chyba być odrobinę za duża i za ciężka jak na hienę. Ellen rozsmarowała masło po ziemniakach i mięsie i włożyła blachę do piekarnika. Wołowina po marynarsku albo przynajmniej jej wersja. Jedno z czterech, pięciu standardowych weekendowych dań. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po siódmej, do stołu powinni zasiąść przed ósmą. Zdjęła fartuszek i wymknęła się z kuchni, żeby sprawdzić, czy Billy naprawdę jest u siebie, a potem wziąć prysznic.

Z dużego pokoju dobiegały odgłosy telewizora. Sądząc po ścieżce dźwiękowej, Harry oglądał amerykańską komedię. Wesołe głosy i śmiech z puszek. Pomyślała, że powinna podlać kwiaty, ale przełożyła to na później. Lepiej zamknąć się na pół godziny w łazience i udawać, że nie słyszy, gdyby zaczął łomotać do drzwi, chciał wejść do środka i się na nią wgramolić.

Nie przed jedzeniem. Nie kiedy chłopiec nie śpi - tę granicę udawało jej się utrzymać.

Uchyliła drzwi i zobaczyła, że Billy siedzi w środku. W oczy rzucił jej się sprany zielony T-shirt i kawałek skóry wylewającej się z džinsów. Chłopak siedział pochylony nad biurkiem i mimowolnie pomyślała, że wygląda naprawdę niezgrabnie. Nie był świadomy jej obecności - z jego ust wydobywał się cichy dźwięk, nie słowa, tylko odgłos, niemal zwierzęcy, ale nie agresywny. Przeciwnie, raczej podobny do tego, jakim samica goryla usypia swoje młode.

Dziwny widok. Przecież on był świnia, a nie gorylem?

Zamknęła drzwi i weszła na piętro, do łazienki. Pomyślała o głosie Muttiego, który słyszała, siedząc w autobusie.

„Nie zatrzymuj się”.

Do obiadu wypła o jeden kieliszek wina za dużo. Albo o dwa.

Nie było to świadome ani nieświadome. Nie chciała tego robić, ale czasem ustępowała, kiedy on naciskał i dolewał. Poza tym łatwiej było z nim wytrzymać, kiedy była trochę pijana. Alkohol we krwi stępiał jej zmysły, mogła się wyłączyć i

pozwolić mu się trzymać - czasem udawała nawet, że jej się to podoba. Że lubi i jego, i te zachowania. Nie wiedziała, czy ją przejrzał - być może zrobiłby to, gdyby był trzeźwy, ale nie był.

Ostatnio rzadko bywał trzeźwy. Nigdy w weekendy - piątkowe i sobotnie wieczory były po to, żeby chlać, do czego innego miałyby służyć? W tygodniu pił tylko piwo, kilka puszek każdego wieczoru po dziennej harówce, robił się od tego senny i nie było powodu do obaw. Nigdy jej wtedy nie dotykał.

Siedząc przy stole razem z Billym, pili wino. Billy jak zwykle pił fantę, swój ulubiony napój. Kiedy poszedł do siebie, spać albo dalej bawić się ołowianymi żołnierzami, Harry otworzył przed telewizorem trzecią butelkę. Wkrótce jednak wyłączył telewizor i nastawił muzykę. Tego wieczoru nie Creedence, a starego Ulfa Lundella. Pomyślała, że pewnie uważa to za romantyczne: pili wino, on palił papierosa za papierosem i wtórował wykonawcy przy każdej piosence. Od czasu do czasu błdził ręką po jej udzie i wyżej w kierunku łona, ale na razie nie całkiem na poważnie. Ellen wypila łyk, oparła głowę o brzeg kanapy i zamknęła oczy. Był piątkowy wieczór w Małej Birmie, taki jak wszystkie inne.

Trudno powiedzieć, kiedy pojawił się opór. I dlaczego. I w jaki sposób.

A jednak się pojawił i kiedy już chwycił, nie chciał ustąpić. Może miało to coś wspólnego z winem - to był nowy gatunek, z Chile, który zamiast uczynić ją słabą, bezsilną i bezwolną, najwyraźniej dodał jej sił. Ale jak coś takiego mogło być możliwe? Jakie winogrona mogły mieć taką magiczną moc? A może miało to coś wspólnego z Ulfem Lundellem?

„Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt siedem, gdzie się podziałeś, nie wiem”. W 1967 roku miała czternaście lat. Naprawdę można było zadawać sobie pytanie, gdzie się to wszystko podziało. Odepchnęła rękę Harry’ego i wstała. Zatoczyła się lekko - zdarzało się to czasem, kiedy była pijana i zbyt szybko zerwała się na nogi.

- Co z tobą?

Przeciągnęła dłońmi po włosach i poczuła, że był to w pewien sposób gest niezależności. Sprawił, że jej plecy się

wyprostowały, a płuca rozszerzyły, ogarnęło ją złudzenie wolności i siły do działania, i pomyślała, że wszystko jest możliwe. Że gdyby tylko podjęła taką decyzję,

mogłaby spakować lekką walizkę, włożyć płaszcz albo kurtkę i wyjść. Zostawić świnię i hienę na pastwę losu i pójść w świat.

Trwało to sekundę, może dwie. Zaraz potem znów była w rzeczywistości. Z powrotem w Małej Birmie. Choć jednak nie do końca; opór - czymkolwiek był i skądkolwiek pochodził - wciąż jej nie opuszczał. Nie uciekając wzrokiem, spojrzała mu prosto w oczy, kiedy pólleżał w rogu kanapy ze świeżo zapalonym papierosem w ustach.

- Toaleta - powiedziała i zauważyła, że trochę płacze jej się język. - Zaraz wrócę.

- Zdejmij majtki, skoro i tak je opuścisz.

Wyszczerył zęby zadowolony z własnej pomysłowości i zaciągnął się dymem. Położył rękę na kroczu i mrugnął do niej.

Ohyda, pomyślała. Sam jesteś wielką ohydą i niczym więcej, Harry Helgessonie.

Minęła dobra chwila, zanim przyszedł i załomotał do drzwi. Dwadzieścia minut? Może nawet pół godziny? Siedziała na podłodze oparta o wannę i prawie zasypiała.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Wzdrygnęła się i uderzyła szyją o krawędź wanny.

- Już idę.

- Siedzisz tam cały wieczór, do kurwy nędzy.

Z wysiłkiem wstała i rzuciła okiem na zegarek. Wpół do jedenastej. Obejrzała swoją twarz w lustrze nad umywalką. Wyglądała na czerwoną od płaczu, choć nie przypominała sobie, żeby płakała. Może to tylko wino w ten sposób wychodziło na zewnątrz. Jej wargi i zęby miały niebieskawy odcień. Musi być chory na umyśle, skoro chce zerznąć kogoś takiego jak ona.

Zerznąć? Zebrało jej się na płacz na myśl, że sama używa takiego określenia.

- Co robisz, do cholery?

Odkręciła wodę.

- Już idę. Za minutę.

- Kurwa mać!

Ochlapując twarz zimną wodą, słyszała, jak odchodzi sprzed łazienki i schodzi do pokoju Billy'ego. Jak otwiera drzwi i znów przeklina. Coś upadło na podłogę i chłopak wydał z siebie dźwięk. Nie słowa, tylko dźwięk. Harry na pewno go przestraszył, gwałtownie otwierając drzwi.

Rozległo się kolejne przekleństwo i kilka donośnych głuchych odgłosów. Nie miała kłopotów z wyobrazeniem sobie tej sceny. Jak chłopak kuli się nad biurkiem, osłaniając ramionami głowę, a ojciec go bije. Słyszała to już wcześniej i widziała. Nie miała pojęcia, co zdenerwowało Harry'ego tym razem. Może tylko to, że chłopak nie leżał w łóżku, mimo że było późno. Może zepsuł coś w swoim pokoju albo dłużył w nosie.

Nie potrzeba było wiele, a poza tym może to ona rozwścieczyła go zbyt długim siedzeniem w łazience. Wyłączyła wodę, usłyszała jeszcze trzy, cztery uderzenia, trzaśnięcie drzwiami i okrzyk Harry'ego:

- Wypierdek!

Następnie Harry wrócił do drzwi łazienki i pociągnął za klamkę.

- Kurwa, dość już tego! Otwieraj albo wyłamię te pierdolone drzwi!

Najwyraźniej kiedy siedziała w łazience, wypił kilka następnych kieliszków. Brzmiał jak zawsze, gdy tracił nad sobą kontrolę, i przemknęło jej przez głowę, żeby go nie wpuścić. Wtedy jednak mógłby zrobić to, co zapowiadał: wyłamać drzwi. Albo wrócić do chłopaka i sprać go jeszcze mocniej. Zadrzała i przekreśliła zasuwkę.

Wtoczył się do środka i o mało nie runął na podłogę. Chwycił się wieszaka na ręczniki i udało mu się stanąć na nogi.

- Kurwa, muszę się odlać. Przesuń się.

Wydostała się na zewnątrz i postanowiła, że da mu wszystko, czego będzie chciał, byle tylko jej nie bił.

Tylko nie to. Po oporze, jaki przeblyskiwał w niej jakąś godzinę temu, nie było ani śladu. Kiedy wrócił do pokoju, siedziała na kanapie z do połowy obnażonymi udami, majtki



zaś wcisnęła pod jedną z poduszek.

To była jedyna droga. Żaden wewnętrzny głos nie dawał jej innych wskazówek.

## 15

Późnym wieczorem w niedzielę - kiedy już powiedział całej gromadce dobranoc i zamknął drzwi sypialni - wreszcie wyciągnął Biblię. Przeczytał najpierw fragment Listu do Hebrajczyków, który został mu polecony - traktował głównie o znoszeniu cierpień i niezłomnej wierze i Barbarotti nie uważał go za szczególnie adekwatny. Od otrzymania wskazówki minęło jednak kilka dni, on zaś zdążył się już nauczyć, że często chodzi o to, by korzystać z okazji i nie zwlekać.

Po chwili wahania zdecydował się na Pierwszy List do Koryntian. Trzynasty rozdział, równie dobrze można było zacząć od sedna.

Nauczę się na pamięć, a potem porozmawiam z Bogiem - postanowił, poprawiając poduszki pod plecami.

Trwało to jakiś czas. Minęła północ, potem wpół do pierwszej, później jednak odtworzył cały tekst trzy razy z rzędu z zamkniętymi oczyma, za ostatnim razem nie czując nawet, że powtarza: „z nich zaś największa jest miłość”<sup>2</sup>. Tak jakby przemawiał w nim inny głos, a słowa stawały się ciałem. W każdym razie lubił to sobie wyobrazać. Następnie przeskoczył o dwa rozdziały do przodu.

*Trzeba, ażeby to, co niszczałne,  
przyodziało się w niezniszczalność,  
a to, co śmiertelne,  
przyodziało się w nieśmiertelność.  
A kiedy już to, co niszczałne,  
przydzieje się w niezniszczalność,  
a to, co śmiertelne,  
przydzieje się w nieśmiertelność,  
wtedy sprawdzą się słowa,*

---

<sup>2</sup> Kor 13, 13 (wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia) (przyp. tłum.).

*które zostały napisane:*

*Zwycięstwo pochłonęło śmierć.*

*Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo?*

*Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? .<sup>3</sup>*

Otworzył oczy, zgasił lampę i wyjrzał przez prostokątne okno. Zobaczył koleczasty pas lasu i niebo.

Co to znaczy? - zapytał. - Czy to, że naprawdę masz ją u siebie? Jak mam to rozumieć, kochany Boże? Czy oścień śmierci jest złamany?

Minęło kilka sekund, zanim uzyskał odpowiedź. W końcu jednak nadeszła i w jednej chwili był absolutnie pewny, że po drugiej stronie jest Bóg. Że to nie jego głos, odgrywający podwójną rolę - zastanawiające, jak łatwo było to rozstrzygnąć. Nie zawsze, ale czasami tak.

- Co tak naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał Bóg.

- No więc tak - zaczął Barbarotti. - Wkrótce minie miesiąc od jej śmierci, a mnie dręczy wątpliwość.

- Jaka wątpliwość?

- Czy ona naprawdę wciąż istnieje? Czy naprawdę poszła do domu, jak to zwykle nazywała? Nie dała mi żadnego znaku.

- Żądasz znaków, żeby móc wierzyć?

- Słyszałem raz jej głos, ale może mi się tylko wydawało. Mówiła, że przyśle mi list. Ale jeszcze żadnego nie dostałem.

- Wszystko pokręciłeś - odparł Bóg.

- Jak to? - zapytał Barbarotti.

Bóg westchnął, a Jego głos nabrał ostrzejszego tonu:

- Chcesz dowodów, abyś mógł uwierzyć. Cóż to za wiara, jeśli jest na tyle słaba, by stawiać żądania? Twoja wiara powinna wytrzymać czterdzieści lat na pustyni, że pozwolę sobie przytoczyć fragment księgi, którą trzymasz w ręku. Jeżeli naprawdę wierzysz, dostaniesz to, do czego dążysz. Ale tylko poprzez wiarę. Przeczytaj nieco dokładniej ustęp, który ci wskazałem.

I pamiętaj: łaska przez wiarę. Nie przez dokonania, uczynki czy targi. „Daj mi tylko jakiś znak”! Cóż to za bzdury? Uwierz, a

zobaczysz znaki.

- Przepraszam - powiedział Barbarotti. - To jest takie trudne.

- No jasne, że trudne - odpowiedział Bóg. - A czego się spodziewałeś? Dni mlekiem i miodem płynących? Ale nie zapominaj, że jest ktoś, kto cię kocha. Największa jest miłość, jak sam przed chwilą stwierdziłeś.

- Zgadza się - powiedział Barbarotti.

- Jeśli tylko uda ci się wzbudzić w sobie wiarę i nadzieję, znów spotkasz się z Marianne. Odrzuć wątpliwość, którą nosisz w środku.

- Chodziłem do szkoły w latach siedemdziesiątych. Wtedy uczono, żeby wątpić we wszystko.

- Myślałem, że szkołę masz już za sobą.

- To prawda - odparł Barbarotti. - Masz oczywiście rację. Ale mimo wszystko ja,

- O co znowu chodzi? - przerwał Bóg z nutą irytacji w głosie.

- Ten list.

- List do Hebrajczyków?

- Nie, list od Marianne - wyjaśnił Barbarotti. - Kiedy usłyszałem jej głos, powiedziała, że do mnie napisała. A ja nie dostałem żadnego listu, ale skoro mam nie wątpić, to chyba,?

- A, o to chodzi - odparł Bóg. - Przyjdzie w czwartek.

- Słucham?

- W czwartek! O ile tylko osoba, która miała wrzucić go do skrzynki, zrobi to w środę przed szóstą wieczorem. Ale dopilnuję, żeby tak się stało. Czy coś jeszcze leży ci na sercu?

- Chyba nie - rzekł Barbarotti. - Dziękuję, dobry Boże, i obiecuję, że będę mocniejszy w wierze.

- Obiecywać to jedno, dotrzymywać drugie - spuentował Bóg. - Ale ty zaznajesz miłości, a moja cierpliwość jest nieskończona. Dobranoc.

- Dobranoc - powiedział Gunnar Barbarotti, odwrócił się na bok i zasnął.

W czwartek?

Poniedziałek przyniósł deszcz w Kymlinge i okolicach. Barbarotti odwiózł dwoje dzieci do dwóch różnych szkół (trzecie mogło tego dnia pospać dłużej) i zmierzając na

komisariat, pomyślał, że trudno uwierzyć, iż wkrótce nadejdzie lato. W piątek był pierwszy czerwca i w zasadzie wszystko dookoła kwitło jak należy, ale otaczająca go tego ranka szarówka i bębniący o dach samochodu deszcz przywodziły na myśl raczej listopad albo luty.

Zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie jest mu to na rękę. Początek lata to czas niekłamanego optymizmu i jeżeli istniało coś, z czym obecnie nie czuł żadnego związku, był to właśnie ów niekłamaný optymizm.

A więc tylko stałość w wierze. Żadnych gwałtownych skrętów w którąkolwiek stronę - dzieci potrzebują skały, nie grzęzawiska. Jak brzmiał ten zwariowany wiersz Frödinga? „*Stala szara, stala szara skała*”<sup>4</sup>?

Zaparkował tak blisko wejścia, jak było to możliwe, i wbiegł truchtem pod dach. Kiwnął Sippan i Jörgenssonowi z recepcji i wszedł schodami na trzecie piętro.

Zamknę się w swoim pokoju i poświęcę trzy godziny na sprawę Morinder-Bjarnebo - postanowił. - Nic innego. Żadnego oglądania się za czymkolwiek, żadnego rozczulania nad sobą, żadnych rozmyślań. Czerwona lampa, czarna kawa.

Zaczął od wybrania numeru komórki Ellen Bjarnebo. Nikt się nie zgłosił.

W domu to samo.

No dobra, pomyślał. Powiedziała, że wróci w tygodniu, nie podała konkretnego dnia.

Można się było zastanawiać, co robi w maju w laplandzkim pensjonacie.

Tam na północy nie ma chyba jeszcze nawet wiosny? - pomyślał Barbarotti, który tylko raz w życiu był na północ od Östersundu.

Mimo wszystko nie spędził w weekend zbyt wielu godzin nad którąkolwiek ze spraw i chyba był to dobry znak. Miał do przejrzenia kilka protokołów przesłuchań, wśród nich dwa przesłuchania Ellen Bjarnebo i jedno Sofii LindgrenPallin, jej

---

4 Gustaf Fröding, *Pieśń szarej skały*, [w:] *Rytmy i obrazy. Antologia poezji szwedzkiej*, wybór i tłum. Anna Fiutak, Fundacja Szwedzka, Wrocław 2005.

koleżanki ze sklepu z artykułami metalowymi, w którym pracowała do lata 1989 roku.

Lata, w którym to się stało.

Przeczytał już dobry kawałek pierwszego wydruku, kiedy wzdygnął się na widok jednego pytania i jednej odpowiedzi. Większość przesłuchań prowadził niejaki komisarz Kartén. Barbarotti pamiętał go mgliście jako wysokiego i chudego, skrupulatnego pana w brązowych okularach, cierpiącego na problemy żołądkowe. Wiosną 1990 roku, zaledwie pół roku po morderstwie, odszedł na emeryturę i Barbarotti nigdy go nie poznał.

Kartén: Młot kowalski trafia pani męża prosto w tył głowy. A mimo to mówi pani, że działała w złości i pod wpływem impulsu. Dlaczego on nie zareagował?

Ellen Bjarnebo: Zdążyłam się chwilę zastanowić. Ale to niczego nie zmieniło.

Barbarotti cofnął się kawałek. Pytanie i odpowiedź nie bardzo do siebie pasowały, ale tak czasem bywa. Chodziło więc o motyw. Ellen Bjarnebo utrzymywała, że mąż okropnie ją obraził, użył w stosunku do niej słów, których nie chciała powtórzyć, i że właśnie to przelało czarę. Poprzedniej nocy bił ją i syna. Zdarzało się to już wcześniej niejednokrotnie, a wiosną przybrało na sile. Stała za jego plecami w czymś w rodzaju pracowni, urządzonej w rogu obory, on siedział przy biurku i coś robił. Z dokumentów nie wynikało, dlaczego akurat tam byli. Mąż, nie odwracając się, powiedział coś bardzo obraźliwego, ona zobaczyła leżący na ławce młot i straciła nad sobą panowanie.

Tak opisywała całą sytuację, zarówno podczas tego przesłuchania, jak i w czasie kilku wcześniejszych.

Ale „zdążyła się chwilę zastanowić”.

I ten namysł „niczego nie zmienił”.

Barbarotti rozważał. Po krótkim zastanowieniu Ellen Bjarnebo uderzyła męża w głowę młotem - narzędziem średniej wielkości, którym, jak wykazały badania, bez większych problemów mogła się posłużyć osoba o przeciętnej sile - a następnie wieczorem i w nocy (dokładnie z trzeciego na

czwartego czerwca) poćwiartowała ofiarę, włożyła szczątki do czarnych worków na śmieci i rozrzuciła w kilku różnych miejscach w lesie za domem. Próbowwała je zakopać, ale musiała się zadowolić przykryciem ich ściółką. Przyczyna poćwiartowania była prosta: nie miała siły zanieść go tam w całości. Żywy Harry Helgesson ważył przynajmniej dziewięćdziesiąt kilogramów, a po śmierci człowiek raczej nie staje się lżejszy. Przynajmniej nie od razu.

Pozbywszy się w ten sposób męża, Ellen Bjarnebo odczekała kilka dni, po czym zawiadomiła policję, zgłaszając zaginięcie. Twierdziła, że mogłaby poczekać dłużej, gdyby nie

mieszkający po sąsiedzku w Wielkiej Birmie członkowie rodziny, którzy zaczęli zadawać pytania. Nie tęskniła za mężem - ani żywym, ani martwym.

Ogłędziny miejsca zbrodni, przeprowadzone ponad dwa miesiące po samym morderstwie, zgadzały się z wersją Ellen Bjarnebo, na ile to było możliwe. We wspomnianym pomieszczeniu znaleziono ślady krwi Harry'ego Helgessona na krześle przy biurku i na podłodze, ale to było w zasadzie wszystko. Faktu, że został zabity w opisywany sposób, nie udało się ani potwierdzić, ani obalić. Choć oczywiście nie było powodu wątpić w słowa Ellen Bjarnebo.

Barbarotti stwierdził, że latem policjanci pracowali nad sprawą na pół gwizdka. Dowody na to, że Harry Helgesson naprawdę nie żyje, były słabe, jeszcze słabsze zaś na to, że został zabity. Ani żona, ani krewni z Wielkiej Birmy nie uważali za nieprawdopodobne, iż mógł po prostu gdzieś wyjechać. Jego niesolidność była dobrze udokumentowana, a nieliczni koledzy, jakich miał w mieście i z którymi przeważnie pił piwo i grał w karty, postawili tezę, że cholernik wygrał w totka lub na wyścigach i uciekł z pieniędzmi. Do Danii, do Niemiec czy cholera wie gdzie. To, że nie zabrał ubrań, rzeczy osobistych czy nawet paszportu, było może nieco dziwne, ale nie na tyle, by się tego trzymać. Jak człowiek ma pieniądze, to całą resztę może sobie załatwić: ubrania, gorzałę, dupy, co tylko chce - twierdził na przykład niejaki Ziggy Pärsson, który, jak podano, mówił to z własnego doświadczenia i który zresztą był znany

Barbarottiemu i jego kolegom z policji w Kymlinge.

Obecnie spał już jednak wiecznym snem. Zmarł, zadławiwszy się własnymi wymiocinami na polu namiotowym w Dalarnie w wigilię świętego Jana w 2008 roku.

Pierwszy pakunek - który ostatecznie obalił teorię o ucieczce - został znaleziony na początku sierpnia przez zbieracza jagód. Zawierał zapakowaną w czarny plastikowy worek głowę oraz rękę Harry'ego Helgessona. Szybko ustalono tożsamość, a podejrzenia praktycznie od razu padły na żonę. Przyznała się już w trakcie drugiego przesłuchania, dzień po makabrycznym odkryciu. Chętnie udzieliła też wskazówek, gdzie można znaleźć resztę małżonka. Były jeszcze dwa worki: jeden z nogami, a drugi z tułowiem.

Barbarotti patrzył przez okno na deszcz i próbował wyobrazić sobie scenę w pracowni. Żadnej bezpośredniej kłótni. Mąż i żona, którzy przysięgali sobie miłość w zdrowiu i w chorobie, prawdopodobnie budzący w sobie nawzajem jednakową odrazę. Być może przed wybuchem nastąpiła kilkusekundowa cisza. Kilkoma źle dobranymi słowami Harry Helgesson podpisał na siebie wyrok śmierci. Nawet się nie odwrócił.

Gdyby to zrobił, gdyby choć leciutko odwrócił głowę, zorientowałby się, rzecz jasna, że żona unosi młot kowalski, przygotowując się do zadania mu ciosu w głowę.

Broniłby się. Skutecznie albo nie. Przynajmniej podniósłby rękę. Prawda?

Młot trafił go jednak w sam środek głowy. Zgruchotał czaszkę i wszedł w mózg. Śmierć prawdopodobnie nastąpiła od razu.

Ellen Bjarnebo pozbyła się młota, ale niezbyt się przy tym postarała. Podążając za jej instrukcjami, policjanci znaleźli go w pokrzywach jakieś dwadzieścia metrów za oborą. Były na nim jej odciski palców.

- Dlaczego nie schowała pani lepiej narzędzia, skoro ciało ukryła w lesie? - dopytywał się Kartén.

- Nie pomyślałam o tym - zeznała Bjarnebo. - Nie wydawało mi się to ważne.

Barbarotti pogrzebał w papierach i znalazł protokół rozprawy. Oparł się na krzesło

i zaczął czytać. Opis przebiegu zdarzenia był w zasadzie identyczny z tym z przesłuchania. Ellen Bjarnebo twierdziła, że zdążyła pomyśleć kilka sekund, zanim zadała śmiertelny cios, i można się było zastanawiać, dlaczego. Czy w innym przypadku nie skończyłoby się na uznaniu tego za nieumyślne spowodowanie śmierci? Fakt, że pozwoliła sobie na te sekundy, sprawił, że jej czyn zaklasyfikowano jako morderstwo.

Dlaczego? Po co te sekundy, które „niczego nie zmieniły”?

Gunnar Barbarotti nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, wzruszył ramionami i przeszedł do przesłuchania Sofii LindgrenPallin. Jej nazwisko wydawało mu się znajome - po chwili przypomniał sobie, o co chodzi.

Była zamieszana również w drugie śledztwo. W sprawę Morindera.

Znów zaczął przeglądać materiały i znalazł właściwy fragment.

Zgadza się. Choć wtedy, na początku XXI wieku, nazywała się po prostu Pallin. Gunvaldsson w żaden sposób nie odniósł się do tego powiązania, nie wiadomo, czy w ogóle zdawał sobie z niego sprawę. Tak czy owak Sofia LindgrenPallin w 1989 roku była żoną niejakiego Torstena Lindgrena, właściciela firmy Lindgrens Järn z Södra Torg, sklepu, w którym Ellen Bjarnebo została zatrudniona dwa lata przed popełnieniem zbrodni. Raz na jakiś czas Sofia LindgrenPallin zastępowała kogoś za ladą, niekiedy zajmowała się też księgowością, no i oczywiście знаła pracowników. W swoim krótkim zeznaniu na temat charakteru Ellen Bjarnebo stwierdziła, że jako pracownicy nie można jej było nic zarzucić. Może tylko mogłaby być nieco bardziej towarzyska, ale klienci w sklepie metalowym raczej nie lubią nadskakującego personelu, więc nie było o czym mówić.

Powód, dla którego Sofia Pallin pojawiała się także w drugim śledztwie, tym dotyczącym Arnolda Morindera, był taki, że i wtedy pracowała tam, gdzie Bjarnebo - na poczcie. Tak jak z resztą personelu policja przeprowadziła z nią krótką rozmowę. Sofia nie wspomniała wówczas, że już wcześniej



znała słynną Rzeźniczkę.

Gunvaldsson to przeoczył.

Przynajmniej w papierach nie było nic, co by temu przeczyło.

Po krótkim namyśle Barbarotti doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie ma to żadnego znaczenia. Ale ponieważ miał za zadanie badać te stare historie gwałtownej śmierci i ludzkich słabości, a najciekawszy obiekt przesłuchań był teraz w okolicach Vilhelminy, postanowił dotrzeć do byłej ekspedientki ze sklepu z artykułami metalowymi.

Po kolejnej minucie miał ją na linii. Wyjaśnił, w czym rzecz, i zapytał, czy Sofia Pallin miałaby czas na krótkie spotkanie.

Ponieważ - jak wyjaśniła - od ponad roku była na emeryturze i nie interesował jej golf ani autokarowe wycieczki do hut szkła, miała mnóstwo czasu. Barbarotti mógł przyjść za pół godziny. Spytała, czy zna adres.

Barbarotti zapytał, czy mieszka przy Tulpanvägen 12, i okazało się, że tak.

Zanim opuścił komisariat, jeszcze raz zadzwonił na komórkę Ellen Bjarnebo. Nikt nie odbierał. Nie odzywała się poczta głosowa. Wysłał wiadomość, prosząc, by się z nim skontaktowała, jak tylko będzie miała czas.

Czuję się prawie tak, jakbym pracował, pomyślał, wyjeżdżając z parkingu.

Deszcz wciąż padał z taką samą siłą.

„Stała szara skała”.

## 16

Był to spłaszczony szeregowiec z lat sześćdziesiątych, położony tuż obok lasku miejskiego. Barbarotti pomyślał, że ostatni raz na Tulpanvägen był w późnych latach siedemdziesiątych. Nie pod numerem 12 co prawda, ale nagle zobaczył całą sytuację ze zdumiewającą ostrością: bal maskowy u długonogiej blondynki o głębokim spojrzeniu, tak, to

było pod numerem 15 po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie widać kwitnącą czereśnię i świeżo pomalowany drewniany płot.

Chodziła z nim do jednej klasy w szkole średniej i miała na imię Blondie. A w każdym razie tak się do niej zwracano - koło 1960 roku raczej nie nadawano córkom takich imion. Barbarotti był przebrany za pirata, ponieważ tematem przewodnim balu było morze, a większą część wieczoru spędził na macankach z koleżanką z klasy, Ås^ a może Anną - przypominała meduzę, nie obyło się więc bez pewnych komplikacji.

Sofia Pallin, kiedy otworzyła mu drzwi, nie była za nikogo przebrana: Barbarotti zobaczył dość wysoką, elegancką kobietę w czerwonej tunice i czarnych dżinsach. Wiedział, że skończyła sześćdziesiąt siedem lat, ale zadała sobie sporo trudu, aby to ukryć. Bynajmniej nie bezskutecznie.

Pojawił się też pies, który przyszedł się przywitać. Wielki, brązowy, krótkowłosey - wyglądał równie dystyngowanie jak jego pani i kiedy już poświęcił kilka sekund na inspekcję Barbarottiego, wrócił do leżenia na owczej skórze naprzeciwko akwarium.

- Witam - powiedziała Sofia Pallin. - Herbata czy kawa?

- Kawę poproszę - odparł Barbarotti i usiadł we wskazanym fotelu projektu Brunona Mathssona.

Stół był już nakryty. Sofia Pallin usiadła naprzeciwko w drugim mathssonie i spojrzała na zegarek. Jednym ruchem głowy poprawiła platynowe włosy.

- Przez telefon trochę skłamałam - oznajmiła. - Tak naprawdę mam tylko godzinę. Więc może zaczniemy od razu. Chodzi o Rzeźniczkę z Małej Birmy?

- Godzina wystarczy - zapewnił Barbarotti. - Zgadza się, to jej, że tak powiem, pseudonim artystyczny. Czy pani również myśli o niej jako o Rzeźniczce?

- Absolutnie nie - powiedziała Sofia Pallin. - Tylko żartowałam. Myślałam, że to wy tak ją odbieracie. Ja zawsze miałam dla niej szczególnie szacunek.

- Szacunek? - zapytał Barbarotti. - Czy może to pani rozwinąć?

Sofia Pallin pochyliła się do przodu i nalala sobie kawy z matowego aluminiowego dzbanka. Wskazała tacę z ciastkami

koloru czekolady, które zdaniem Barbarottiego wyglądały jak małe beznogie szcury.

- Najpierw chciałabym wiedzieć, dlaczego znów się nią interesujecie. Myślałam, że obie te sprawy zostały odłożone do akt.

- W pewnym sensie tak jest - odparł Barbarotti. - Ale nierozwiązane sprawy zawsze drażnią.

- Ma pan na myśli Morindera?

- Tak.

Uniosła brew, demonstrując lekki sceptycyzm.

- Wie pan, niezbyt dobrze zajęliście się tą sprawą. Może pan nie brał w tym udziału, ale ona wówczas sporo niepotrzebnie wycierpiała.

- Przykro mi z tego powodu - odparł Barbarotti. - Zgadza się, ja sam nie brałem udziału w śledztwie. Ale to bez znaczenia. To przykre, jeśli toczy się nie tak, jak powinno. Czy może pani wobec tego powiedzieć, jakie są pani odczucia na ten temat? I na temat Ellen Bjarnebo?

Przekłęty Gunvaldsson, pomyślał. Choć z drugiej strony wydawało się jasne, że gospodyni nie darzy szczególną sympatią także reszty policjantów.

- Naturalnie - powiedziała, wypiła łyk kawy i nie ruszając szcurek, oparła się na fotelu.

- Choć będzie to ode mnie wymagało przyjęcia pewnej perspektywy.

- Proszę bardzo. Może pani przyjąć taką perspektywę, jaka pani najbardziej odpowiada.

- Dziękuję - odparła Sofia Pallin. - Tak zrobię. A więc Ellen Bjarnebo zabiła wprawdzie swojego męża, Harry'ego Helgessona, ale miała ku temu powody.

Barbarotti pokiwał głową, nie okazując emocji.

- Byłam jedną z kilku osób, które wiedziały, że w tym domu źle się dzieje. Harry Helgesson, mówiąc delikatnie, nie traktował swojej żony dobrze. Syna chyba też nie. Mogę tylko ubolewać, że byliśmy zanadto bierni, należało jakoś zareagować, ale wówczas nie byłam tą samą osobą co teraz.

- Kim były te pozostałe osoby? - zapytał Barbarotti.

- Oprócz mnie jeszcze Mona Ivarsson i Gun Bierman. Byłyśmy jej koleżankami ze sklepu. Wolaliśmy udawać, że nic się nie dzieje. To było tchórzostwo i wstyd mi, kiedy o tym myślę.

- Skąd wiedziałyście o tym wszystkim? O tym, co robił Harry Helgesson?

- Na pewno nie z jej opowieści - odparła Sofia Pallin, wzruszając ramionami. - Ale miałyśmy oczy i kojarzyłyśmy fakty. Przynajmniej po czasie. Ktoś też widział ich na mieście, kiedy on zachowywał się jak świnia. Tak, nie ulega wątpliwości, że ją bił. Wykorzystywał swoją męską przewagę, jak od zarania dziejów robi to patriarchy. Jak na razie nie ma w tej historii nic niezwykłego.

Barbarotti myślał przez chwilę.

- A Morinder? Jakie ma pani o nim zdanie?

- W związku ze sprawą?

- Na przykład.

- Żadne - przyznała Sofia Pallin. - Nic nie wiem o Arnoldzie Morinderze. On miał na imię Arnold, prawda?

Barbarotti pokiwał głową.

- Tak jak mówię. Nie ma żadnych dowodów na to, że historia się powtórzyła. Ellen nie była pierwszą lepszą idiotką.

- Dobrze ją pani poznała przez te lata? To znaczy, Przerwała mu zdecydowanym ruchem głowy.

- Absolutnie nie. Tak się złożyło, że Ellen Bjarnebo i ja pracowałyśmy razem, ale w dwóch różnych miejscach. Nigdy się z nią nie spotykałam, ani kiedy pracowałyśmy w sklepie, ani później, na poczcie.

- A przyjęcia dla personelu?

- Nie było nic takiego ani tu, ani tam. Nie, to, co powiedziałam o szacunku dla niej, nie wynika z tego, że ją znałam, czy znam. Ale to była kobieta, która w życiu nie dostała nic za darmo. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale uważam, że w Birmie zrobiła to, co musiała zrobić, i poniosła za to karę. Poza tym po odsiedzeniu wyroku wróciła do Kymlinge. Wszyscy wiedzieli, kim ona jest, a jednak zaczęła nowe życie z tak, z podniesioną głową. Jak zareagowała na wiadomość, że znów

nad tym pracujecie?

- Jeszcze z nią nie rozmawiałem - odparł Barbarotti.

- Dlaczego?

- Chwilowo jej nie ma. Jak to właściwie było z jej pracą po zaginięciu Morindera?

Sofia Pallin przez chwilę wyraźnie zastanawiała się, co powiedzieć. Wyciągnęła rękę w kierunku ciastek, ale zaraz ją cofnęła.

- W 2007 roku przeszła na rentę chorobową.

- Tak, wiem - powiedział Barbarotti. - Mamy to w dokumentach. Jednak nasuwa się myśl, że ma to jakiś związek ze śmiercią Morindera, prawda?

Sofia Pallin wzruszyła ramionami.

- Bardzo możliwe. Choć uważam, że było jej to na rękę. Naprawdę dręczyły ją problemy z kręgosłupem i. może miała już wszystkiego dosyć. Proszę wziąć pod uwagę, że była na serio podejrzewana. Przez policję i przez wszystkich innych. Szczególnie przez wszystkich innych.

- Ale pani jej nie podejrzewała?

- Nie miałam zdania. Nadal go nie mam.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Czyli można powiedzieć, że atmosfera wokół niej zrobiła się trochę zbyt gęsta?

- Coś w tym stylu. Nie było sensu trzymać jej dłużej na stanowisku. Dziwi mnie tylko, dlaczego się stąd nie wyprowadziła. Jej syn mieszka chyba w Sztokholmie, ale możliwe, że z nim również nie ma dobrego kontaktu. Po tym, co stało się w Birmie, zaopiekowali się nim inni ludzie, prawda?

- Zgadza się. Wie pani coś o nim?

- Nie.

Barbarotti wypił łyk kawy i po chwili ciszy zapytał:

- Rozmawiała z nią pani kiedyś na ten temat? O mężu i o tym, co się tam wydarzyło. kiedy znów zostałyście koleżankami z pracy?

Sofia Pallin zastanowiła się po raz kolejny.

- W zasadzie nie. Wydawało się, że ona nie chce tego wyciągać, więc nikt tego nie robił. Żałuję, że nie miałam odwagi

bardziej się do niej zbliżyć, ale ta praca niezbyt sprzyjała kontaktom. Każdy po prostu siedział w swoim boksie i obsługiwał klientów. Żadnych wspólnych przerw ani nic takiego. Ale szkoda, że nie miałam odwagi.

- Wspominała pani, że wciąż tak było, kiedy znów ją pani spotkała?

Sofia Pallin milczała przez chwilę.

- Może i tak. Z drugiej strony dało się zauważyć, że ona nie chce rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Ellen Bjarnebo była silna. pewnie nadal jest. Bez tego nie mogłaby chyba dalej żyć. Pamiętam, że kiedy wypłynęła sprawa Morindera, rzeczywiście próbowałam z nią pogadać, ale powiedziała, że nie chce rozmawiać na ten temat.

- Pomyślała pani, że to dziwne?

- Skądże. I tylko raz o tym wspomniałam. Kiedy sprawa zyskała rozgłos, pracowała już tylko ze dwa, trzy dni. I, o ile się nie mylę, wróciła z urlopu, a wtedy. tak, praktycznie od razu ją zwolnili.

- Bezpłatny urlop?

- Tak to nazwali.

- Rozumiem. Cofnijmy się trochę. Czy pamięta pani, w jaki sposób dowiedziała się o zaginięciu jej partnera?

Sofia Pallin zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam dokładnie. Ktoś o tym wspominał. W każdym razie nie ona i wiedziałam o tym, zanim spotkałam ją w pracy.

- Czy z tego, co pani wiadomo, Ellen Bjarnebo miała jakieś koleżanki? Takie, z którymi mogłaby rozmawiać szczerze?

Sofia Pallin pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że nie. Wszystko wskazywało na to, że Ellen Bjarnebo jest samotna. Bardzo samotna. Ofiara skurczybyka, ale nie bezbronna ofiara. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Barbarotti pokiwał głową i zmienił temat.

- Co się stało z pani mężem, sprzedawcą artykułów metalowych? Rozwiedli się państwo czy...?

- Odeszłam od Torstena - uściśliła i przełamała na pół jednego ze szcurów. - Już dawno byłam na to zdecydowana, chciałam tylko poczekać, aż dzieci się usamodzielnią.

- Ile mają państwo dzieci?

- Pięcioro. Prawda jest taka, że mam już dosyć facetów. Ale proszę też mi coś powiedzieć. Dlaczego nadal to drążycie? Ten cały Morinder nie pojawił się chyba tak ni stąd, ni zowąd?

Barbarotti pokręcił głową.

- Nie. Po prostu związujemy ze sobą parę luźnych wątków.

Usta Sofii Pallin na sekundę wykrzywiły się pogardliwie.

- To nie jest odpowiedź, panie inspektorze. Ale coś panu poradzę. Jeżeli zamierzacie wziąć się za Ellen Bjarnebo, lepiej, żebyście mieli dobre powody.

Kiedy jechał z powrotem, to zdanie dźwięczało mu w uszach. „Lepiej, żebyście mieli dobre powody”.

Nie odpowiedział. Nie wyjaśnił Sofii Pallin, że nie ma nic i zajmuje się tą beznadziejną sprawą tylko przypadkiem, ponieważ miesiąc temu zmarła mu żona i jego szef nie sądzi, że jest zdolny do prawdziwej pracy.

Jednak kiedy tylko zdał sobie z tego sprawę po raz siedemdziesiąty w ciągu tych siedmiu dni, zrozumiał także, że czas już przerwać tę absurdalną sytuację. Najwyższy czas pójść do Asunandera i powiedzieć mu, żeby wyłożył karty na stół. O ile w ogóle jakieś ma.

Po co właściwie wałkować katastrofę sprzed pięciu lat? Jaki cel ma niepokojenie tych Bogu ducha winnych ludzi? Czy nie lepiej uznać Arnolda Morindera za zmarłego i zająć się świeższymi, możliwymi do rozwiązania problemami?

Dobre pytania.

Asunandera jednak nie było. Jak wyjaśniła Sippan w recepcji, miał wolne do środy ze względu na jakieś sprawy osobiste. Zanim więc Barbarotti zadzwonił do Gunvaldssona, postanowił zamienić kilka słów z Evą Backman. To nigdy nie zaszkodziło.

- Masz czas?

Spojrzała znad stosu papierów i pokręciła głową.

- Nie. Ale siadaj.

Zdjął z krzesła trzy segregatory i usiadł.

- Fängström?

- Tak - odparła Backman. - Ale nie mówmy o beznadziejnych przypadkach. Jak tam u ciebie?

- W porządku. Ale zastanawiam się nad jedną rzeczą.

- Słucham. - Backman oparła brodę na dłoni i mu się przyjrzała.

Pomyślał, że wygląda, jakby miała lekkiego zeza. Wcześniej tak nie było.

- Kiedy rozmawiałaś z Asunanderem.

- Mhm?

- O tym bajzlu, w którym się teraz grzebię. co takiego mówił?

- W jakim sensie?

- Musiał chyba wyjaśnić, dlaczego chce odkurzyć tę starą sprawę?

Eva Backman oparła się na krzesle i zastanawiała przez chwilę. Przynajmniej wyglądała, jakby się zastanawiała, ale może tylko udawała.

Dlaczego wmawiam sobie coś takiego? - zapytał Barbarotti w duchu. - Że ona udaje? Dlaczego miałaby. - przerwał ciąg myśli, ponieważ Backman odchrząknęła i powiedziała:

- Właściwie nie mam pojęcia. mówiłam już chyba? Oczywiście zapytałam go o to, ale wiesz, jaki potrafi być.

- Ale musiał chyba coś powiedzieć? Zastanów się.

- Dlaczego to nagle takie ważne? - odparła. - Idź i sam go zapytaj.

- Nie da się. Wyjechał, będzie w czwartek.

- Oj. Jestem pewna, że nawet się na ten temat nie zająknął. Ale mimo wszystko powinien być j jakiś powód. Nawet j eśli...

- Jeśli co?

- Nawet jeśli obecnie nie jest to najważniejsza sprawa na komisariacie. Uznał na pewno, że potrzebujesz jakiejś nie za bardzo wyczerpującej pracy, ale nie sędzę, żeby wyciągnął tę sprawę na chybił trafił.

- Mam taką nadzieję.

- Może do niego zadzwoń - podsunęła Backman. - Podobno



ma komórkę.

- Tak zrobię - odparł Barbarotti.

- Nie rozmawiałaś jeszcze z główną bohaterką? To znaczy z Bjarnebo.

Barbarotti pokręcił głową.

Backman zmarszczyła czoło.

- Czym wobec tego się zajmujesz?

Barbarotti westchnął.

- Przeczytałem materiały z obu śledztw. Porozmawiałem z niektórymi pobocznymi osobami. Można rzec, że to wszystko pracuje raczej na jałowym biegu, a ja nie mam ochoty jeździć i rozmawiać z każdym, kto. kto akurat był w to wszystko w jakikolwiek sposób zamieszany. Pomijając fakt.

- Jaki fakt? - zapytała Backman, kiedy Barbarotti wstał i zaczął odkładać segregatory na miejsce. - Nie, nie musisz.

- Pomijając fakt, że zaczynam się zastanawiać, co do cholery stało się z Morinderem - powiedział Barbarotti. - I jaka naprawdę jest Ellen Bjarnebo. Chyba do czasu spotkania będę musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Nie ma to jak spotkania oko w oko - odparła Backman. - A propos, kiedy wpadniesz do mnie na kolację? Wiesz, że masz stałe zaproszenie.

- Może w przyszłym tygodniu. Na weekend pojedę chyba do Sztokholmu.

- Do Sztokholmu?

- Kilka rozmów. no i Sara.

- Dobrze - powiedziała Backman. - Dobrze, że zajrzysz do Sary. Barbarotti pokiwał głową i wrócił do swojego pokoju.

## 17

Sądząc po głosie, inspektor Gunvaldsson był przeziębiony.

- To alergia - wyjaśnił. - Pyłki. Zawsze tak jest o tej porze roku.

- Nie wcinasz leków antyhistaminowych? Czy jak to się tam nazywa.

- Nie zawsze pomagają. Lepiej zrobiłaby mi podróż do Maroka.

- Rozumiem. Ale siedzisz w Karlstad?

- Tak jest - odparł Gunvaldsson. - Ktoś musi. Dlaczego dzwonicz?

Barbarotti odchrząknął.

- Chodzi o starą sprawę, którą się tu u nas zajmowałeś. Nie wiem, ile z tego pamiętasz. Właśnie przeglądam materiały.

- Aha?

- Arnold Morinder. Zaginiony, który mieszkał z kobietą znaną jako Rzeźniczka z Małej.

- A, to - przerwał Gunvaldsson i kichnął. - Wyszło, jak wyszło.

- Zgadza się - odparł Barbarotti. - I na zdrowie. Co o tym sądzisz?

- O Morinderze?

- Tak.

- Dlaczego się tym zajmujesz?

- Rozkaz - rzekł Barbarotti. - Nie wiem, czy pamiętasz Asunandera. Szefa.

- Trudno go zapomnieć - powiedział Gunvaldsson. - Rozumiem, że pojawiło się coś nowego?

- Niezupełnie - odparł Barbarotti.

- Nie znaleźliście Morindera?

- Niestety nie.

Gunvaldsson wydmuchał nos.

- I właśnie o to chodzi. Kiedy nie ma ciała, trudno ująć sprawcę.

- A co ty o tym myślisz? - zapytał Barbarotti.

- Co myślę. - zastanowił się Gunvaldsson. - Teraz już nie wiem, ale kiedy się tym zajmowałem, wydawało mi się, że to ona. Choć nadal nie rozumiem, dlaczego w tym węszysz. Nie macie tam u siebie ważniejszych rzeczy do roboty? Chyba słyszałem o jakimś otrutym polityku.

- To nie moja działka - wyjaśnił Barbarotti. - Ja prowadzę teraz małe, jednoosobowe śledztwo. Asunander za miesiąc odchodzi na emeryturę i wygląda na to, że chce po sobie posprzątać. Przejrzyć sprawy, które być może da się rozwiązać, zanim się wycofa.

- Rozumiem - rzekł Gunvaldsson. - Takie nierozwiązane

sprawy stały się ostatnio popularne. Choć chyba niewiele mogę pomóc. Rozumiem, że zapoznałeś się z materiałem?

- Właśnie się zapoznają - odparł Barbarotti.

- Pamiętam, że uważałem tę sprawę za trudną - powiedział Gunvaldsson i westchnął.

A może tylko wciągnął powietrze, ponieważ nos miał zatkany. - Właściwie to jedyne, nad czym zdążyłem u was popracować. Po kilku miesiącach znalazłem się tutaj. Fakt, mogło być gorzej, ale nigdy nie zapomnę mopedu w tym przeklętym bagnie. Co on tam robił?

- Dobre pytanie.

- No właśnie. Jeśli ona albo ktoś inny, jeśli ktoś chciał się go pozbyć, mógł przecież wrzucić go do jeziora czy gdziekolwiek. Jeżeli można pozbyć się ciała, to sprawienie, by zniknął motorower, nie powinno być chyba wielką sztuką?

- Otóż to - odparł Barbarotti. - Jakie wysnuliście z tego wnioski?

- Z czego?

- Z tego, że w ogóle znaleziono moped.

- Wnioski? Nie wiem. - Gunvaldsson znów kichnął. - A ty jak myślisz?

- Na zdrowie - powiedział Barbarotti i przyznał, że nie ma zdania w tej sprawie.

- Pojawiła się pewna hipoteza. Choć to ona była jej autorką i nie bardzo w to wierzyliśmy.

- Jaka hipoteza? - spytał Barbarotti.

- Bjarnebo twierdziła, że mógł wyjechać do Norwegii.

- Tak, czytałem o tym. Ale co miałyby tam robić? O tym chyba nie było mowy.

- Odwiedzić przyjaciela - odparł Gunvaldsson lakonicznie. - Najwyraźniej w Drammen mieszkał jego stary znajomy. A może w Hamar, już nie pamiętam. Wiem, że miał na imię Bjarne, bo skojarzyło mi się to z jej nazwiskiem. Choć równie dobrze mogło jej się tylko tak wydawać.

- Próbowaliście go odszukać?

- Staraliśmy się ostrożnie wybadać sprawę, ale nic z tego nie wyszło. Nie znaleźliśmy zresztą nazwiska. Poza tym dlaczego

Morinder miałby ni z tego, ni z owego jechać motorowerem do Norwegii. Ponad dwieście kilometrów. To nie brzmi rozsądnie. Gdyby moped się zepsuł, resztę trasy musiałby pokonać autostopem. Nie wydaje się to zbyt wiarygodne, nie uważasz?

Barbarotti nie miał zdania także i na ten temat.

- A Ellen Bjarnebo? - zapytał. - Jakie wrażenie na tobie sprawiła? Spędziła z nią chyba wiele godzin.

- Czytałeś protokoły przesłuchań? - zapytał Gunvaldsson.

- Tak.

- Coś ci to pomogło?

- Niewiele.

- To tak jak mnie i chyba na tym polega problem. Ale jest tak, jak mówisz. Łącznie rozmawiałem z nią na pewno ponad dobę. Sądziłem, rzecz jasna, że prędzej czy później się podda, ale tak się nie stało. Widziałeś się z nią?

- Jeszcze nie - przyznał Barbarotti. - Ale zamierzam. Chwilowo jej nie ma.

- Powodzenia - powiedział Gunvaldsson.

- Jak to właściwie było? - kontynuował Barbarotti. - Mieliście jakieś inne teorie. poza tą, że ona go zabiła, i poza historią z Norwegią? Domyślałem się, że śledztwo nie było, że się tak wyrażę, zbyt szeroko zakrojone?

Gunvaldsson przeprosił i na chwilę odszedł od telefonu.

- Wybacz - powiedział, kiedy już wrócił. - Musiałem zamknąć okno. Pyłki atakują. Szeroko zakrojone, mówisz? Postępowaliśmy zgodnie z procedurami, ale nic nie można było poradzić na to, że od samego początku skoncentrowaliśmy się głównie na jednym. To chyba całkiem naturalne? Przecież ona już raz zamordowała i poćwiartowała człowieka, to co mieliśmy sobie myśleć?

- Jak dokładnie przyglądałeś się tej starej sprawie? Morderstwu, za które została skazana?

- Niezbyt dokładnie - przyznał Gunvaldsson. - To było przecież jasne jak słońce. Przyznanie się, materiały dowodowe itede.

- Nie jestem pewien co do tych dowodów. Ale zgadza się, w pewnym sensie było to jasne jak słońce.

- I na tym właśnie polegał problem ze sprawą Morindera - stwierdził Gunvaldsson i pociągnął nosem. - Tym razem wszystko również wydawało się jasne. Różnica polegała na tym, że się nie przyznała. No i oczywiście brakowało ciała.

- To dość spora różnica.

- Owszem.

Barbarotti chwilę się zastanawiał.

- A jednak wydaje mi się, że zmieniłeś zdanie - powiedział. - Czy może się myłę?

- Aj tam, od razu zmieniłem - odparł Gunvaldsson, a Barbarotti odniósł wrażenie, że wzruszył przy tym ramionami.

- Po prostu w którymś momencie przychodzi niepewność. Kiedy człowiek od samego początku myśli, że zna odpowiedź, a potem nie udaje mu się wszystkiego poukładać. Jasne, że zaczyna wątpić.

- Tak bywa - powiedział Barbarotti. - Ale nie mieliście podejrzeń skierowanych w inną stronę?

- To znaczy na innego sprawcę?

- Na przykład.

- Właściwie to nie - odparł Gunvaldsson po krótkiej pauzie. - Z tego całego Morindera był kawał samotnika. Nie dało się namierzyć żadnych jego znajomych. Nie bardzo wierzyliśmy, żeby ów Bjarne rzeczywiście istniał. Z kolei była żona twierdziła, że nie widziała się z nim od dwudziestu lat. To kogo mieliśmy podejrzewać? Nie miał przyjaciół ani wrogów.

- Może napad rabunkowy? - podsunął Barbarotti.

- Niewykluczone - odparł Gunvaldsson. - Miał ponoć przy sobie prawie sto koron.

- A potem sprawca odjechał na mopedzie i porzucił go, kiedy skończyła się benzyna?

- Benzyny starczyłoby na dłuższą jazdę. Bak był prawie pełny. Morinder dopiero co był na stacji.

- A no tak, oczywiście. Przepraszam, że tak zrzędzę, ale jakie miałś wrażenie, kiedy rozmawiałeś z Ellen Bjarnebo? Powiedziałbyś, że to ona go zabiła?

Gunvaldsson znów chwilę się zastanawiał.

- Nie wiem. Na początku jak najbardziej. Ale cały czas

trzymała się swojej wersji, więc co mieliśmy zrobić?

- Chyba nie była zbyt skomplikowana, żeby dało się jej trzymać, co?

- No nie. Wsiadł na moped, pojechał zatankować i już nie wrócił. Siedmiolatek potrafiłby to zapamiętać. Gdybyśmy mieli ciało, byłyby to zupełnie inna para kaloszy.

- Ma się rozumieć - odparł Barbarotti. - A właśnie, czytałem coś o kłótni w restauracji.

Gunvaldsson westchnął po raz kolejny.

- Nigdy nie powiedziała, o co poszło. Powtarzała tylko, że to prywatna sprawa, niemająca z tym nic wspólnego.

- I to ci wystarczyło?

- Jeśli tę samą odpowiedź słyszy się trzydzieści razy, to musi wystarczyć.

Barbarotti zgodził się z tym, zapytał, czy może zadzwonić, kiedy pojawi się coś więcej, i życzył Gunvaldssonowi spokojniejszego oddechu.

- Śmierć wszystkim cholernym pyłkom - odrzekł na to inspektor Gunvaldsson. - Powodzenia i odezwij się, jak będzie coś nowego.

Barbarotti obiecał, że tak zrobi, i odłożył słuchawkę.

## 18

Rönn miał plaster na szyi, tuż pod prawym uchem.

- Mój kot - odpowiedział zapytany przez Barbarottiego, jednak coś w tonie jego głosu zdradzało, że istnieje alternatywne wytłumaczenie.

A przynajmniej jedno. Barbarotti nie wiedział, dlaczego takie bzdurne rozważania rodzą się w jego smutnym umyśle. Może odpowiedź była już zawarta w pytaniu? Może smutek rzutował na wszystko, czym zajmowały się jego myśli. WallmanBraun. Beznadziejnie stare morderstwo. Plaster na szyi sześćdziesięcioletniego terapeuty.

Choć oczywiście to morderstwo nie miało nic wspólnego z jego osobistą tragedią. To drugie pewnie też nie.

- Zawsze tak mówią - rzekł Barbarotti, zakładając prawą

nogę na lewą.

- Słucham? - odparł Rönn. - Kto i jak mówi?

- Ofiary przemocy - odparł Barbarotti. - Kiedy nie chcą powiedzieć, co się naprawdę stało. Kobiety, które wpadły na drzwi, ci wszyscy, którzy spadli ze schodów albo zostali zaatakowani przez kanarka. czy własnego kota.

Rönn przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, ale nie tam, gdzie znajdował się plaster, i przyjrzał się Barbarottiemu znad okularów.

- *I prefer to stick to my story* - powiedział. - Trzymajmy się mojej wersji. To był kot.

- Okej, powiedzmy. - Barbarotti wzruszył ramionami. - Niektórzy mówią też prawdę.

Rönn otworzył czarny notatnik, nie spuszczając z Barbarottiego wzroku.

- Odnoszę wrażenie, że jest pan podminowany.

- To było pytanie? - zapytał Barbarotti.

- Jak pan woli.

Barbarotti się zamyślił.

- Nie wiem, czy nazwałbym to podminowaniem. Czuję się tak, jakbym utracił zdolność oceny tego, co ważne. Nie mogę się skoncentrować. Albo koncentruję się nie na tym, co trzeba. Moją uwagę zaprzęta każda możliwa bzdura i zadają sobie pytania, których.

- Których co? - zapytał Rönn z zaciekawieniem.

- Których chyba nie zadawałem sobie, odkąd skończyłem dziesięć lat. Na przykład dlaczego woda nie przecieka przez dno jeziora? Czy wszystkie wędrowne ptaki muszą trzymać kurs, czy tylko przewodnik stada? Nie wiem, może to tylko znak, że wariuję, nie, czym by się trzeba martwić. Po prostu.

- Tak?

- Po prostu trudno jest mi poradzić sobie z życiem. Mówiąc w wielkim skrócie.

- Hm - odparł Rönn, splatając ręce. - Więc może spróbujemy zmniejszyć trochę tempo i znaleźć coś, na czym moglibyśmy się oprzeć?

- My? - zapytał Barbarotti.

- Pan. Mówiąc precyzyjniej.

Barbarotti oparł nogę na kolanie i wziął kilka głębokich oddechów.

- Ma pan rację - powiedział. - Chodzi tylko o to, że nie widzę żadnego światła.

- Proszę to wyjaśnić - zaproponował Rönn.

Barbarotti zamyślił się i próbował znaleźć odpowiedni obraz.

- Jestem ptakiem, który spada na ziemię. Macham skrzydłami tak mocno, jak potrafię, ale, to nie wystarcza. Czuję, że i tak spadnę.

Rönn pokiwał głową.

- To nie miesiące i lata są trudne - ciągnął Barbarotti w ponurym natchnieniu. - Najtrudniejsze są dni i godziny. Nawet minuty.

Na pewno gdzieś to wyczytał.

- Zwykle tak jest - odpowiedział Rönn. - A jak to jest właściwie z pańską wiarą?

- Z moją wiarą?

- Zeszłym razem rozmawialiśmy o tym, że Marianne poszła do domu, a pan do niej dołączy, kiedy nadejdzie czas.

- Tym większy mam powód, żeby spaść.

Rönn zdjął okulary.

- Teraz jest pan cyniczny - powiedział. - Ma pan pięcioro dzieci, które pana potrzebują. Musi pan przetrzymać ten trudny czas. Pańskie życie nie należy tylko do pana.

- Moje życie nie należy. ?

- Otóż to - rzekł Rönn. - Nie należy tylko do pana.

- Ma pan rację - odparł Barbarotti. - I powoduje to u mnie wyrzuty sumienia.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie zajmuję się nimi tak, jak trzeba. Nie jestem w stanie.

- Myślę, że to rozumieją. Może pan z nimi o tym porozmawiać?

- Nie wiem - odpowiedział Barbarotti. - Może. Chłopcy są raczej milczący. to chyba męska przypadłość.

- Ale ma pan dwie córki?



- Tak. Jedną w domu, drugą w Sztokholmie.

- Dobrze, żeby pan nie rezygnował z rozmowy - powiedział Rönn. - Cisza raczej nie jest wskazana.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł Barbarotti. - Ale nie czuję, żeby cokolwiek zmieniło się na lepsze. Wręcz przeciwnie. A minął już miesiąc.

- Co się panu wydawało? - zapytał Rönn.

- Co mi się wydawało? Że się z nią skontaktuję. w jakiś sposób.

- Ale tak się nie stało?

Barbarotti się zawahał, a następnie potrząsnął głową.

- Nie śniła się panu?

- Jeśli człowiek nie śpi, nie ma żadnych snów.

- Tak źle chyba nie jest?

- Nie do końca. Tak czy owak tam również mi się nie pokazała. Przynajmniej sobie nie przypominam, a jestem pewien, że bym pamiętał. Wiem tylko.

- Tak?

- Wiem tylko, że do mnie napisała i dostanę tę wiadomość w czwartek.

Rönn przesunął okulary na czubek głowy. Wyglądał na skonsternowanego.

- Napisała do pana?

- Tak.

- A skąd pan to wie?

- Pokazała mi się i to powiedziała.

- Teraz, niedawno?

- Tak. Ale tylko na kilka sekund. List dostanę w czwartek.

- Więc jednak nawiązaliście kontakt?

- Bardzo krótki. To było w samochodzie, kilka dni temu. Siedziała na tylnym siedzeniu, za moimi plecami. Nie widziałem jej. - Rönn milczał. - Bóg potwierdził to w rozmowie ze mną.

Barbarotti rzucił okiem na terapeutę i zrozumiał, że coś się stało. Być może Rönn doszedł do wniosku, że jego klient stracił nad sobą kontrolę. Że nie ma już powodu, by traktować tego zbłąkanego inspektora poważnie. Może nawet uznał, że teraz wymaga on zupełnie innego rodzaju terapii. Nie wiedział, o co

dokładnie chodziło, ale Rönn najwyraźniej dokopywał się właśnie do najgłębszych czeluści swojej psychologicznej piwnicy.

- To jest tak niesamowicie trudne - powiedział w końcu Barbarotti. - Tak niesamowicie trudno wyobrazić sobie, że nie jest się martwym, kiedy jest się martwym.

- Wiem - oznajmił Rönn. - Robię to od dwudziestu pięciu lat.

- Dwudziestu pięciu lat? Dlaczego pan.?

Rönn wziął głęboki wdech i przyjrzał się swoim splecionym dłoniom.

- Moja córka odeszła w wieku dwunastu lat.

Barbarotti przełknął ślinę.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Przepraszam, że sam się tak skarżę. Czy dlatego pan...?

- Tak, dlatego uprawiam ten zawód. W każdym razie to jeden z powodów. Nie chcę twierdzić, że rozumiem pański ból, ale przynajmniej go rozpoznaję.

- Czy z czasem jest łatwiej? - zapytał Barbarotti. - Przepraszam, że wątpiłem z tym kotem.

- Bywają dni, kiedy potrafię nie myśleć o niej przez kilka godzin - odpowiedział Rönn.

W jaki sposób ludzie dają sobie radę? - pomyślał Barbarotti po wyjściu z gabinetu. Może po prostu uczą się żyć ze skamienieniem? *Modus vivendi*, czy nie tak się to nazywało? Innego rodzaju stan, do którego człowiek się przyzwyczaja, czy chce tego, czy nie?

Poza tym dlaczego nie potraktował poważnie jego słów o królestwie niebieskim? Gdyby tylko uwierzył w ten mały szczegół, wszystko byłoby dobrze.

Po co zresztą dzień po dniu rozczulać się nad sobą, po co się w tym taplać? Przecież on wciąż żyje. A bliskim kuzynem takiego uzalania się jest wstyd. Wstyd pojawiający się w obliczu tego, co wycierpieli inni, którzy mimo wszystko potrafili żyć dalej. Wciąż podążać w obranym kierunku, w pewnym sensie próbując od nowa. Pogrążeni w rozpacz, jednak niedający się złamać: więźniowie obozów koncentracyjnych, ludzie, którym wymordowano całe rodziny, którzy widzieli, jak zabijano im

dzieci, jak gwałcono ich żony i córki, jak zamęczano na śmierć krewnych - ta lista nigdy się nie kończy. Historia ludzkości jest historią ludzkiego cierpienia, nic w tym nowego.

Słowa z Listu do Hebrajczyków, które kilka dni temu od siebie odpędził, znów o sobie przypomniały:

Kamienowano ich, przeryzano piłą, przebijano mieczem; tułali się w skórach owczych, kozich, w nędzy, w utrapieniu, w ucisku - świat nie był ich wart - i błakali się po pustyniach i górach, po jaskiniach i rozpadlinach ziemi. A ci wszyscy, choć ze względu na swą wiarę stali się godni pochwały, nie otrzymali przyrzeczonej obietnicy<sup>5</sup>.

Jestem w dobrym towarzystwie, pomyślał Barbarotti. Nie ja pierwszy znalazłem się w takiej sytuacji, tak to już jest.

Po raz kolejny wsiadł do samochodu i ruszył na cypel Kymmen. Po raz kolejny przyszedł czas, aby spotkać się z dziećmi, przyjąć rolę czynnika spajającego, być ich ucieczką i mocą - dlaczego zresztą w Biblii jest napisane „mocą” zamiast „siłą”? Przynajmniej w jego wydaniu. Nad tym również można się było zastanawiać, choć to nic innego jak kolejna sprawa bez znaczenia, która go atakowała. Zupełnie nieistotna kwestia pływająca w morzu samowoli, jakim była jego świadomość. Siła czy moc? Pies czy wydra? Nieistotne.

Pod koniec rozmowy Rönn poruszył temat depresji. Wspomnił, że można pomóc sobie lekami, ale wspólnie postanowili przełożyć to na później. Lepszy ból niż otepienie, przynajmniej dopóki sprawy dają się jako tako ogarnąć.

- Nad czym pan teraz pracuje? - zapytał go Rönn.

- Nad starą sprawą - odpowiedział Barbarotti. - Kobiety, która zabiła i poćwiartowała swojego męża. Może oprócz niego jeszcze kogoś, ale to nie jest pewne.

- Brzmi makabrycznie.

- I takie jest. Choć nie wiem, czy to wszystko na poważnie. Może szef po prostu urządził mi terapię. Do niczego pewnie w tej sprawie nie dojdę.

Rönn przez chwilę mamrotał coś zamyślony. Stracił wątek i zmienił temat.

---

<sup>5</sup> Hbr 11, 37-39.

- Myślę, że musi pan próbować odnaleźć całą swoją wiarę - powiedział. - Połowa wiary to nie wiara, tak samo dwie trzecie.

- Proszę mówić dalej - poprosił Barbarotti.

- Nie musi pan brać tego do siebie, jeżeli pan nie chce. A ja raczej nie powinienem rozmawiać o takich rzeczach z moimi klientami. Ale jeśli naprawdę jest pan człowiekiem, który potrafi wierzyć, a Bóg jeden wie, że nie każdemu jest to dane, powinien pan zupełnie zawierzyć łasce.

- Tak. Zaufać potędze silniejszej od pana, zaufać i jeszcze raz zaufać. To nie prawo, uczynki czy sprawiedliwość prowadzą do zbawienia. Tylko wiara i łaska. Ale to rzecz między panem a Bogiem.

- Wygląda na to, że wie pan, o czym mówi - odpowiedział Barbarotti po chwili.

- *Don't shoot the messenger* - odparł Rönn, zdradzając wyraźną słabość do angielszczyzny.

- Tak, wiem - mamrotał inspektor Barbarotti, skręcając między krzywe słupy bramy willi Pickford. - Wiem to równie dobrze jak Rönn. Ja jednak od urodzenia mam słomiany zapał, a zmiana charakteru wymaga czasu. Rozsądkiem nie ukoję płaczącego serca.

Zastanowił się, skąd te słowa przyszły mu na myśl. Pewnie jak zwykle gdzieś to wyczytał, może w czasach licealnych, kiedy miał pojemną głowę. Rozsądek nie ukoji płaczącego serca.

Wyłączył silnik, podniósł wzrok i zobaczył, że w każdym oknie willi pali się światło.

19

3 czerwca 1989

Poranek jak każdy inny.

Chciało jej się wymiotować.

Albo nie wstawać z łóżka, dopóki to nie minie. Była ósma, sobotni poranek w Małej Birmie, i nie spała już od dobrych trzydziestu minut. Obok niej, na plecach, leżał Harry i chrapał z otwartymi ustami. Pomyślała, że gdyby - choć przez krótką chwilę - ważyła trzysta kilo, mogłaby położyć mu na twarzy

poduszkę i na niej usiąść. Posiedzieć tak może z minutę. Położyć kres chrapaniu i Harry'emu.

Czuła ból pod okiem. Uderzył ją w to miejsce, nie pamiętała już dlaczego. O ile w ogóle był jakiś powód - jemu nigdy nie trzeba było wiele. Billy miał gorzej; nie kontrolowała sytuacji, ale była pewna, że w swoim pokoju musiał znieść już niejedno.

Zanim rozłożyła nogi i przyjęła go na sofie. Jedyne sposoby.

Choć stosunki również były czymś w rodzaju rękoczynów. Przynajmniej niektóre. Harry miał w sobie gniew, którego nie potrafiła zrozumieć, i bił ją podczas miłosnego aktu. Jakby uważał, że przemoc jest jego częścią. Jakby nie mógł tego zrobić bez uprzedniego wyładowania swej złości.

Akt miłosny? Tu nie było o tym mowy. Nie w Małej Birmie.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy przyjęła jego święte nasienie, on wypił jeszcze jeden kieliszek wina, wypalił papierosa i zasnął. Bez słowa. Znów przy Ulfie Lundellu. Zostawiła go na kanapie i poszła na górę do sypialni, a on w nocy jakoś do niej dołączył. Najwyraźniej. Leżał tu bowiem teraz i chrapał, a z kącika ust zwisała mu strużka śliny, przypominająca miniaturowy kondom.

Tak nie może dalej być, pomyślała. To się musi skończyć.

Ta myśl towarzyszyła jej od dawna.

Dwie godziny później wsiadł w samochód i pojechał do miasta. Coś trzeba było kupić w sklepie Lantmännen. Przynajmniej tak twierdził, a może po prostu chciał wyjść z domu.

Stała przy oknie w kuchni, patrzyła, jak stare volvo mija Wielką Birmę, i zastanawiała się, czy telefon zadzwoni, czy nie. Nie wymiotowała, ale nadal było jej niedobrze. Pod oko przyłożyła sobie plastikową torebkę z lodem.

Z pokoju Billy'ego wciąż jeszcze nie dobiegł żaden dźwięk, ale chłopak w weekendy zwykle spał długo. Do lunchu albo jeszcze dłużej, jeśli się go nie budziło.

Nie chcę do niego zaglądać, pomyślała. Nie mam teraz siły.

I nie chcę, żeby dzwonił telefon.

Ale zadzwonił. Jak zwykle po jakichś pięciu minutach od chwili, kiedy zobaczyła odjeżdżający samochód.

W pierwszej chwili chciała nie odbierać, ale nie było takiej możliwości. Wiedział przecież, że jest w domu. I że Harry'ego w nim nie ma. Na tym właśnie polegał chytry plan. Raz nawet sam tak powiedział:

- Chytrze to wymyśliliśmy, no nie?

Poza tym mówił niewiele, on również.

Więc odebrała. A on przyjechał. Wszystko zajęło pół godziny, również jak zwykle, a kiedy pojechał, w głowie pojawiło jej się to samo usprawiedliwienie co zawsze.

Skoro mogę oddawać się Harry'emu, to jemu także. Każdemu mogę się oddawać i nie ma to żadnego znaczenia.

Bo z Harrym zawsze jest najgorzej.

Chłopak nadal spał.

Zacząło się pół roku temu. Między pierwszą a drugą niedzielą adwentu. Obierała wtedy w kuchni ziemniaki. Harry'ego nie było w domu. Był wczesny wieczór i nagle zobaczyła go siedzącego przy stole. Samo w sobie nie było to szczególnie dziwne, a mimo wszystko się zdziwiła. Nie słyszała, jak wchodził - musiał się skradać. Choć radio było oczywiście włączone, pamiętała, że na jego widok je wyłączyła.

Zapytała, czy napije się kawy, a on pokręcił głową.

- Tu nie o kawę chodzi - powiedział.

Pomyślała, że jego głos brzmi dziwnie. Nie poznawała go. Jakby się czymś denerwował, a to nie zdarzało się często. Z pewnością nie.

- Ta pożyczka. - odezwał się.

Nie odpowiedziała. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie.

- Termin upływa przed świętami.

- Musisz porozmawiać o tym z Harrym.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- O co ci chodzi?

W całej sytuacji było coś niejasnego, czego nie potrafiła zinterpretować, ale dalej obierała ziemniaki odwrócona do niego plecami - tak czuła się najbezpieczniej. Nie pierwszy raz przychodził po swoje pieniądze - nie wiedziała, ile dokładnie są winni, ale na pewno było tego sporo. Harry nie zarządzał gospodarstwem tak, jak powinien, zawsze brakowało pieniędzy

i zawsze w takich sytuacjach zwracano się do kuzyna z Wielkiej Birmy. Jasne było, że komuś takiemu jak Harry niełatwo jest schować dumę do kieszeni i chodzić po prośbie - za każdym razem podsycalo to tylko jego gorycz i wściekłość. I oczywiście nie rozmawiał z nią na ten temat. Ograniczał się ledwie do stwierdzenia, że życie to gówno. Wielkie, niesprawiedliwe, pierdzielone gówno - nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wypisać mu to na nagrobku.

Nie od razu odpowiedział na jej pytanie. Bawił się czymś na stole, łyżkami czy czymś takim - pamiętała ciche pobrzękiwanie, jakie słyszała, zanim wypowiedział te słowa i zanim ona je zrozumiała, pamiętała to wszystko tak dobrze, jak gdyby działo się przed chwilą, a nie przed sześcioma miesiącami.

Cisza. Tylko tykanie kuchennego zegara i brzęk łyżek. I odgłos obierania ziemniaków. Tak jakby to było wczoraj.

- Moglibyśmy załatwić to inaczej.

- Co?

- Ty i ja moglibyśmy to załatwić.

Przerwała obieranie. Jego głos zdradzał, o co chodzi, zanim jeszcze padły słowa. Był zarazem gruby i przestraszony. Przestraszony własną bezceremonialnością.

- Jesteś piękną kobietą, Ellen.

Zegar tykał.

Odchrząknął, zbierając się na odwagę.

- Przed świętami przydałoby się trochę pieniędzy.

Odłożyła obieraczkę do zlewu. Odwróciła się powoli i wytarła ręce w fartuch.

- Szkoda byłoby.

Urwał. Przez krótką chwilę jego słowa rozbrzmiewały w jej głowie - ten moment również zapamiętała wyraźnie i na długo. To, że równie dobrze mogła kazać mu iść do diabła. Że prawie miała to na końcu języka, ale zobaczywszy jego zawstydzone spojrzenie i bezbroną chciwą, zdecydowała się na drugie rozwiązanie.

Ustąpiła.

Po prostu.

Czy naprawdę tak to się odbyło? Mimo że w pamięci miała

wyjatkowo jasny obraz ich wymuszonej rozmowy w kuchni, z perspektywy czasu trudno jej było uwierzyć w prostotę całej sytuacji. Za pierwszym razem nie musiała nawet rozbierać się do naga. Ściągnęła tylko majtki i podniosła spódnice. Zrobili to w pralni. Po pięciu minutach było po wszystkim.

Kolejny raz miał miejsce w styczniu. Znów ta sama nieporadna rozmowa, ta sama uwaga o pieniądzach, które są winni, ale tym razem robili to w sypialni. W zasadzie nago i prawie kwadrans.

Nigdy o tym nie rozmawiali. Nawet wtedy, kiedy to się działo. Było to jak milczący układ - nie potrzebowali żadnych słów. Tym lepiej. Myślała zazwyczaj, że pieprzą się jak nieme zwierzęta. Jeden raz, w połowie marca, poczuła nawet coś, co trochę przypominało podniecenie. Ale tylko ten jeden raz. Więcej się to nie powtórzyło. Dochodził tylko on. Dochodził i przychodził znowu.

Gdyby sprawiało jej to przyjemność, cóż by to był za układ?

Stojąc w oknie, patrzyła, jak wraca do Wielkiej Birmy. Znów przypomniały jej się zwierzęta. Jakim zwierzęciem był Göran? Hiena, świnia, mysz i.? To, że Ingvor była krową (bardziej mleczną niż mięsną), wiedziała od dawna, jednak z jej mężem sprawa była trudniejsza. Choć robił to, co robił, buhajem z pewnością nie był. Nie istniało żadne inne skojarzenie, które by do niego pasowało - miał zbyt niewyraźne kontury. I w pewnym sensie zamazany charakter. Nawet jeśli miała okazję widzieć już większą jego część, trudno jej było wyobrazić go sobie nago. Zawsze był elegancko ubrany, nawet na co dzień, choć mieszkali na głębokiej wsi, a praca ze zwierzętami i na polu zawsze wiąże się z brudem. A jeżeli jest jakiś wspólny mianownik dla wszystkich zwierząt, to taki, że nie mają ubrań.

Tylko człowiek, pomyślała, patrząc, jak znika za świerkowym żywopłotem. Tak po prostu, ponieważ w jego przypadku była to zdecydowanie degradacja. Jak zwykle wybrał drogę na wschód, przez pola: w ten sposób docierał do domu z innej strony. Gdyby ktokolwiek - krowa albo dzieciaki (cielaki?) - zastanawiał się, gdzie był przez ostatnią godzinę, mógłby odpowiedzieć, że doglądał gospodarstwa. Sprawdzał płot,



szukał owcy czy czegokolwiek. Nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć, że był w Małej Birmie spotkać się z żoną Harry'ego. Że chwilę się ze sobą pieprzyli, jak to mają w zwyczaju raz na jakiś czas. Bo nie wiadomo, co wtedy mogłoby się zdarzyć w Wielkiej Birmie.

Czasami myślała, że ma przewagę. Cokolwiek by się działo w życiu, jakkolwiek źle by się wiodło, zawsze mogła któregoś dnia usiąść po drugiej stronie stołu w ich wypolerowanej na błysk, ociekającej miedzią kuchni, wlepić wzrok w oziebłą Ingvor i oznajmić, że jej wspaniały bogaty gospodarz nie jest na tyle wspaniały, żeby nie łązić do nędznej Małej Birmy i nie posuwać tam równie nędznej baby z sąsiedztwa.

Ponieważ nie może tego robić ze swoją elegancką żoną. Z tego, co wiadomo.

Tak, byłyby to swego rodzaju zemsta. Niewątpliwie krótkotrwała i niedająca radości. I nie było nawet sensu wyobrazić sobie, jak by się to dla niej skończyło. Biorąc pod uwagę zarówno to, do czego Harry był zdolny na co dzień, kiedy wszystko było dobrze, jak i inne rzeczy.

Poszła do łazienki i włączyła prysznic. Pozwoliła wodzie obmywać jej zmęczone ciało w akcie niezasłużonej łaski. Wypływało z niej nasienie obu kuzynów.

Potem wreszcie poszła do chłopca. Była za piętnaście dwunasta. Nadal było jej niedobrze.

## 20

We wtorek i środę Gunnar Barbarotti na darmo próbował skontaktować się z Ellen Bjarnebo. Mniej więcej raz na godzinę dzwonił zarówno na jej komórkę, jak i na numer stacjonarny w Rocksta - i tu, i tam nikt się nie zgłaszał, a nie dało się nagrać wiadomości. Wysłał dwa kolejne esemesy i oba pozostały bez odpowiedzi, tak samo jak te wysłane w poprzednim tygodniu.

Zawitał też na ulicę Valdemara Kusko, nic jednak nie wskazywało na to, by eksrzeźniczka wróciła z norrlandzkiego pensjonatu. Porozmawiał z dwójką sąsiadów - nikt nie widział jej od kilku tygodni. I nie, nie byli jej znajomymi, ale wiedzieli,

kim jest.

Każdy w okolicy wiedział.

W środę przed południem namierzył pensjonat koło Vilhelminy, a po południu zadzwonił. Okazało się, że nosi nazwę Górski Pensjonat Ragnhildy, na cześć matki obecnej właścicielki. Sama właścicielka nazywała się Mona Frisk. Powiedziała, że pensjonat jest bardzo lubiany przez gości, że liczy sobie ponad sześćdziesiąt lat i że rzeczywiście przez dwa tygodnie w pokoju numer 12 mieszkała Ellen Bjarnebo, ale, tak jak planowała, wyjechała w niedzielę przed południem.

- Wyjechała? - zapytał Barbarotti.

- Autobusem z przystanku tu niedaleko - wyjaśniła Mona Frisk. - Lycksele i Umeå, a później pociągiem na południe. O ile dobrze rozumiałam. Można też oczywiście polecieć z lotniska Vilhelmina. Godzina i jest się na Arlandzie, ale Bjarnebo nie lubiła latać. O ile dobrze rozumiałam. Dlaczego pan dzwoni?

Barbarotti wykręcił się od odpowiedzi. Podziękował, odłożył słuchawkę i dobrą chwilę siedział zatopiony w myślach.

Pociąg z Umeå? Jak obecnie wygląda transport kolejowy? Tory zaludnili rozmaici przewoźnicy, nie jest już jak kiedyś, gdy Koleje Szwedzkie miały monopol, ale czy to ma jakieś znaczenie? Jeżeli wyjechało się z Umeå w sobotni wieczór, to do Kymlinge tak czy inaczej powinno się dotrzeć w ciągu doby.

Najpóźniej we wtorek rano. Dziś była środa. Wpół do trzeciej. Spróbował raz jeszcze. Nikt nie odbierał ani komórki, ani telefonu stacjonarnego.

Komórka mogła być zepsuta - sam zwykle był zmuszony kupować nowy aparat raz na dwa lata. Telefon Ellen Bjarnebo działał przez kilka sekund w zeszłym tygodniu, kiedy Barbarotti z nią rozmawiał, ale od tego czasu mógł przecież ulec uszkodzeniu. A opóźnienie mogło wynikać z faktu, że zaplanowała jakiś przystanek po drodze do Kymlinge. Może odwiedziła syna w Sztokholmie? Dlaczego nie?

Wybrał numer. Odebrała ta sama kobieta co poprzednio. Billy także i tego dnia był w pracy, czy nie umawiali się na weekend? Wydawała się bystrzejsza niż podczas pierwszej rozmowy.

Barbarotti odparł, że to prawda, ale dzwoni, ponieważ próbuje się skontaktować z mamą Billy'ego. Zapytał żonę (zdając sobie przy okazji sprawę, że albo mu się nie przedstawiała, albo zapomniał, jak się nazywa), czy nie wie, gdzie przebywa teraz jej teściowa. Może akurat przyjechała do nich z wizytą.

Nic z tych rzeczy. Nie utrzymywali zbyt często kontaktu z matką Billy'ego, mieli ku temu swoje powody, i jeśli żona Billy'ego dobrze pamięta, teściowa po raz ostatni odzywała się do nich na Wielkanoc. Choć może wtedy rozmawiała tylko z synem, nie była pewna.

To było wszystko. Barbarotti podziękował i odłożył słuchawkę.

W przyszłym tygodniu? - pomyślał. Ellen Bjarnebo obiecywała, że wróci w przyszłym tygodniu, ale nie sprecyzowała kiedy. Nie podała konkretnego dnia. Według jego komórki rozmawiali zaledwie osiemnaście sekund, ale tyle zdążył się dowiedzieć.

Było oczywiście najzupełniej możliwe, że pojawi się w czwartek lub w piątek, że spędziła około doby gdzieś po drodze u jakiegoś kolegi albo jakiejś koleżanki. W Gävle, w Sztokholmie albo w Katrineholmie, czemu by nie? Po co miałyby się spieszyć z powrotem do Rocksta w Kymlinge i smętnego inspektora, który, jak można się było domyślać, zamierzał rozgrzebywać stare sprawy? Nie było żadnego powodu.

Kłopot w tym, że nie kupował tego prostego wytłumaczenia. Można było zadawać sobie pytanie, dlaczego. Dlaczego z każdym upływającym dniem, z każdą godziną, czuł, że coś tu nie gra? Że Ellen Bjarnebo w ogóle nie wróci do Kymlinge - ani pod koniec tego tygodnia, ani później.

Ponieważ jednak Gunnar Barbarotti zawsze miał, delikatnie mówiąc, ambiwalentny stosunek do pojęcia intuicji, także tego popołudnia odsunął od siebie pytania i wątpliwości.

Tego pięknego majowego popołudnia, mówiąc dokładniej. Pogoda wreszcie zmieniła się na coś, co przypominało początek lata, i gdyby nadal miał żonę, najprawdopodobniej z radością w

sercu zadzwoniłby do niej do pracy i zaproponował kolację w którejś z restauracji na powietrzu.

Ale nie miał już żony.

Czwartek pod względem pogody nie ustępował środznie. Barbarottiego wcześniej obudziło słońce, tworzące na podłodze sypialni znajomą ścieżkę, i ptaki, od których śpiewu w ogrodzie aż huczało. Było wpół do szóstej.

Dzisiaj dostanę od niej list, pomyślał. To dzisiaj.

Ta myśl całkowicie go rozbudziła. Po dziesięciu minutach uznał, że już więcej nie pośpi, wstał, wszedł pod prysznic i zastanawiał się, co robić.

Zostać w domu i czekać na listonosza czy jechać do pracy? Coś - ale nie intuicja - mówiło mu, że nie ma sensu czekać na list. Byłoby to rzucanie wyzwania losowi, łasce i sumieniu - nie, wiadomość od Marianne musi poczekać do wieczora i tyle. A przynajmniej do czasu, aż zje obiad. Jeżeli zaś chodzi o kwestię pisania i wysyłania listów po śmierci, również nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć, jak to możliwe. Wstępnie postanowił, że wczesnym popołudniem zajedzie do domu i zajrzy do skrzynki - to był dobry kompromis. I tak nikt nie nadzoruje jego poczynań.

Tak się jednak nie stało. Czwartek był dniem, kiedy Asunander miał wrócić na komisariat po załatwieniu swoich spraw osobistych; Barbarotti nie musiał zabiegać o audiencję, jak to sobie wcześniej wymyślił, ponieważ komisarz zostawił na jego biurku karteczkę z informacją, że chciałby się z nim spotkać o drugiej w swoim gabinecie.

To zaś stanowiło decydującą przeszkodę na drodze do domu. A przynajmniej wyraźny sygnał, żeby dał sobie z tym spokój.

Przedpołudnie spędził na czytaniu, telefonowaniu i rozmyślaniu. Ellen Bjarnebo wciąż nie odbierała żadnego z telefonów i nie reagowała na jego wiadomości. Miał cztery jej fotografie, wszystkie zrobione ponad dwadzieścia lat temu - w tym dwie przed zamordowaniem męża - i z braku lepszych rzeczy do roboty próbował przez chwilę wyczytać coś z jej twarzy. Pomyślał, że patrzy na delikatną, ładną kobietę. Czyste

rysy, wysokie kości policzkowe. Mniej więcej ten sam ciemnoszary kolor włosów na każdym zdjęciu, co mogło świadczyć o tym, że ich nie farbowała - według informacji zdjęcia zrobiono na przestrzeni jakichś ośmiu miesięcy. Do żadnych późniejszych nie miał dostępu. Nie było potrzeby jej fotografować w związku z zaginięciem Morindera. Może jednak czegoś da się dowiedzieć, choć minęło kilkadziesiąt lat?

Otwarte spojrzenie i cień uśmiechu. Dostrzegł w niej pewnego rodzaju kruchość, przynajmniej na trzech zdjęciach. Fotografia numer cztery przedstawiała jej profil i nie mówiła zbyt wiele, ale trudno było uwierzyć, że kobieta z pozostałych trzech zdjęć zatłukła męża młotem i poćwiartowała. Ktoś o tak bezbronnym spojrzeniu?

Choć oczywiście trudno powiedzieć, jak właściwie powinna wyglądać kobieta tego kalibru. Mordercy w dzisiejszych czasach rzadko kiedy mają czarną przepaskę na oku, złamany nos i kalafiorowate uszy i Gunnar Barbarotti pomyślał, że to całe gadanie o fizjonomii przestępcy nadaje się tylko na śmietnik historii kryminalistyki.

Ćwiartowanie było jednak nietypowe, nawet jeśli z czysto technicznego punktu widzenia poćwiartowanie człowieka nie jest trudniejsze niż poćwiartowanie świni. A Ellen Bjarnebo pracowała jako rzeźniczka u Köttmana w Göteborgu, może więc dla niej nie było to nic nadzwyczajnego? Podczas każdego przesłuchania mówiła, że zadecydowały względy praktyczne. Mąż był po prostu za ciężki, a nie chciała, żeby leżał zbyt blisko domu.

Barbarotti schował zdjęcia i wyjął przesłuchanie Gunvaldssona. Przesłuchiwaną była tym razem niejaka Lisa Koskinen, która mieszkała z Morinderem po sąsiedzku na długo przed tym, jak zaczął się zadawać z Ellen Bjarnebo i przeprowadził do Rocksta. Czytał ten wydruk kilka dni temu późnym wieczorem i teraz postanowił, że zrobi to jeszcze raz przy świetle dziennym. Właśnie realizował to postanowienie. Choćby dlatego, że można się było z niego dowiedzieć czegoś o charakterze zaginionego. A może nie?

Gunvaldsson: Ile lat mieszkali państwo w tym samym

budynku?

Koskinen: Boże kochany, chyba z dziesięć. Tyle, ile ja tam mieszkałam, czyli mniej więcej od 1976 do 1986 roku.

G: Dobrze go pani poznała?

K: Nie, nie bardzo.

G: To znaczy?

K: Trudno go było rozgryźć.

G: Proszę mówić dalej.

K: Był typem samotnika. Mówił dzień dobry, ale nic poza tym. W sumie był trochę nieprzyjemny.

G: Nieprzyjemny?

K: Coś w tym stylu. Miał to swoje spojrzenie. Takie, jak u niektórych mężczyzn. Wie pan, o co chodzi.

G: Powiedzmy. Czy było coś jeszcze? Jakiś inny powód, dla którego go pani nie lubiła?

K: Nie wiem.

G: Mówi to pani tak, jakby się wahała.

K: Nie wiem, czy to prawda. Nic z tego nie było.

G: Z czego, mianowicie?

K (po chwili wahania): Była jeszcze jedna sąsiadka. Młoda dziewczyna, mieszkała na parterze.

G: Tak?

K: Podglądał ją.

G: Podglądał?

K: No, wie pan. Zaczynał się i patrzył. Mieszkała na samym dole i, no, w każdym razie doniosła na niego na policję.

G: Mówi pani, że ta sąsiadka na niego doniosła? Za co?

K: A cholera wie. Pewnie za molestowanie. Ale nic z tego potem nie było, a ona się wyprowadziła.

G: Jak ona się nazywała? Ma pani z nią jakiś kontakt?

K: Nie, nie mam. Linda Jakaśtam. Bengtsson, tak mi się wydaje, w każdym razie zakończone na -son. Chyba spiknęła się z jakimś Amerykaninem i wyjechała za granicę. Pewnie do Stanów.

G: Kiedy to się stało?

K: Co takiego?

G: Kiedy doniosła na Morindera?

K: To było jakoś około roku 1980. Albo troszkę później. tak, powiedziałabym, że w 1981 albo 1982.

G: Dużo z nią pani na ten temat rozmawiała?

K: Nie, ja jej nie znałam. Raz na jakiś czas wpadałyśmy na siebie w pralni i to wszystko. To tam mi o tym powiedziała. Mówiła, że widziała go przed domem, kiedy szła się położyć. Kilka razy. W krzakach bzu czy czymś takim. Nieprzyjemne jak cholera. Pewnie chciał podejrzeć, jak się rozbiera. Pewnie stał tam i walił konia.

G: Nie był w tym czasie żonaty?

K: Żonaty? Morinder? Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić. Trochę później mieszkała u niego jakaś kobieta, ale to nie trwało długo. Wyprowadziła się dość szybko, nie widziałam jej często.

G: Wie pani, jak się nazywała?

K: Nie, pamiętam tylko, że słabo mówiła po szwedzku. Chyba była Angielką, jakoś tak.

G: Rozumiem. Czy chciałaby pani coś jeszcze dodać w sprawie Morindera?

Lisa Koskinen nie chciała nic dodać, Barbarotti zaś zaczął się zastanawiać, czy z jej zeznań da się wyczytać tak dużo, jak mu się wydaje. Między wierszami i w nich. Poszukał w rejestrze skargi na Morindera, ale nic nie znalazł. Może sąsiadka zmieniła zdanie albo Lisa Koskinen źle zrozumiała sytuację. Niestety, trudno było to sprawdzić, ponieważ Lisa Koskinen utopiła się, nurkując w Australii. Trzy dni przed końcem starego tysiąclecia, gwoli ścisłości dwudziestego ósmego grudnia 1999 roku na Wielkiej Rafie Koralowej.

A Linda ze Stanów? Domyślał się, że mieszka tam więcej niż jedna Linda.

Wprawdzie można by pójść dalej i odszukać dawnych sąsiadów z lat osiemdziesiątych, ale Barbarotti czuł, że brakuje mu zapachu. Jakie to ma znaczenie, czy Morinder był podglądaczem, czy nie. Może ta młoda kobieta ubzdurzyła to sobie? To było trzydzieści lat temu i Morinder skończył z podglądaniem. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Prościej byłoby zadzwonić jeszcze raz do Slite do byłej żony

- gdyby chciało mu się zagłębiać w charakter Morindera - ale także to nie wydawało się zbyt sensowne.

Wiedział, że Eva Backman, choćby ona, nigdy nie uznałaby tych wymówek, ale teraz prowadził jednoosobowe śledztwo i nie zamierzał poruszać z nią tej kwestii. Nie było żadnych konkretnych przesłanek, aby uznać, że ewentualne ekscesy Arnolda Morindera na Norra Kyrkogatan miały cokolwiek wspólnego z jego zaginięciem dwadzieścia pięć lat później.

A może?

Nie! - powiedział sobie Barbarotti i z trzaskiem zamknął segregator. Po południu powiem Asunanderowi, żeby umorzył tę sprawę - dodał w myślach.

- Usiądź, proszę - powiedział Asunander. - No to na czym stoimy?

Tym pytaniem w ciągu piętnastu lat zaczynał praktycznie każdą wymianę zdań.

Barbarotti usiadł. Asunander pochylił się do przodu, zaznaczając w ten sposób, że zamienia się w słuch.

- Zaczynaj.

- Mam kilka pytań - powiedział Barbarotti.

- Naprawdę?

- Zajmuję się tym już od prawie dwóch tygodni. Nie mogę powiedzieć, że bym zaszedł szczególnie daleko. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Co dlaczego? - spytał Asunander.

- Dlaczego w ogóle zajmuję się tą starą sprawą. Musi być jakiś powód.

- I jest - odparł Asunander.

Barbarotti czekał, ale komisarz nie powiedział nic więcej.

- Czy żądałbym zbyt wiele, chcąc wiedzieć, jaki to powód?

Asunander pociągnął się za płatek ucha i puścił. Otworzył szufladę biurka i zamknął. Splótł ręce i wyjrzał przez okno.

- W tej chwili muszę odpowiedzieć twierdząco. Żądałbyś zbyt wiele.

Widać jednak było, że zaraz powie coś więcej, a Barbarotti miał na tyle przytomności umysłu, żeby się nie odzywać.

- Mam przed sobą dokładnie miesiąc na tym krześle.



Co ty powiesz? - pomyślał Barbarotti.

- Wiem - powiedział tylko.

- Parę starych spraw nie daje mi spokoju.

- Wyobrażam sobie.

- Chociażby ten cholerny Morinder.

- Tak? - odparł Barbarotti. - A to dlaczego?

- Znów pytasz o powód - rzekł Asunander.

- Przepraszam - odpowiedział Barbarotti. - Ale czy nie jest tak, że po prostu chcesz mi zorganizować warsztat pracy chronionej, bo zmarła mi żona?

Asunander wlepił w niego wzrok.

- W żadnym wypadku - powiedział. - Gdyby tak było, dostałbyś kradzieże rowerów. Nie, ja chcę po prostu wiedzieć, co się stało z Morinderem i czy ma to związek ze starą sprawą z Małej Birmy.

- Wydaje mi się, że coś sugerujesz - oznajmił Barbarotti.

- Bo sugeruję - odparł Asunander z irytacją. - Rozmawiałeś z nią?

- Z Ellen Bjarnebo?

- A z kim?

Barbarotti westchnął.

- Nie, nie rozmawiałem.

- Dlaczego, do cholery?

- Nie udało mi się jej złapać. Jest w pensjonacie w Lapplandii.

- W Lapplandii? Więc ją tu ściągnij. Albo tam pojedź. To nie powinno być tak cholernie trudne.

- Już jej tam chyba nie ma - skorygował Barbarotti.

- Nie ma? To gdzie jest?

- Nie wiem.

Asunander wydał z siebie dźwięk będący czymś pomiędzy chrząknięciem a pomrukiem.

- Co, do diabła? - wydusił. - Rozmawiałeś z nią chociaż przez telefon?

- Osiemnaście sekund - przyznał Barbarotti.

- Niech to jasny szlag trafi. Powinieneś jednak dostać te rowery. Czyli rozumiem, że całymi dniami siedziałeś i rozwiązywałeś krzyżówki?

- Może się tak wydawać - przyznał Barbarotti. - I możesz odsunąć mnie od tej sprawy, proszę bardzo. Rowery to muzyka dla moich uszu.

Asunander otworzył usta, ale nic nie powiedział. Może w jego mętnych oczach zaiskrzył ponury uśmiech, ale Barbarotti wolał w to nie wnikać.

- Nie dostaniesz żadnych rowerów.

- Tak podejrzewałem.

- Co planujesz?

- Pojechać jutro do Sztokholmu i porozmawiać z synem.

- Z synem? - odparł Asunander na nowo zainteresowany. -

To dobrze.

- Plus przesłuchanie w Hallsbergu.

- Przesłuchanie? - spytał Asunander.

- Rozmowa - poprawił się Barbarotti.

- W Hallsbergu?

- Tak.

- A Bjarnebo?

- Spróbuję ją złapać - zapewnił Barbarotti.

- Możemy się umówić, że we wtorek złożysz raport? - zapytał Asunander, spoglądając na zegarek.

- Zakładam, że będę wtedy lepiej poinformowany - odparł Barbarotti.

- Chodzi mi o powód.

Ku jego zdziwieniu Asunander sprawiał wrażenie, jakby rozważał to żądanie.

A przynajmniej zmarszczył czoło.

- Pomyślę nad tym - powiedział. - To w zasadzie trochę osobiste. Teraz się odmelduj, czeka na mnie dwóch gości ze służb specjalnych.

- Służby specjalne? - zapytał Barbarotti.

Osobiste? - pomyślał.

- Nasz przyjaciel Fängström - rzekł Asunander i się skrzywił.

- Nasz otruty demokrata. We wtorek o tej samej porze.

- O tej samej porze - potwierdził Barbarotti.

List jak każdy inny.

Biała koperta A5, jego nazwisko i adres napisane odręcznie, brak nadawcy.

Charakter pisma nieznany, w żadnym razie nie było to pismo Marianne.

Począł z otwarciem do momentu, kiedy został sam. Kolacja, rozmowa o minionym dniu, spóźniony referat o Axelu Sandemose i chwila spokoju z Jenny - to ostatnie stało się swego rodzaju rytuałem. Zastanawiał się, czy powiedzieć jej o liście, ale postanowił tego nie robić. Lepiej go najpierw przeczytać, może był skierowany tylko do niego.

Leżąc w łóżku, rozcinał kopertę. Było w pół do dwunastej.

Wewnątrz znajdowała się mniejsza, bladeżółta koperta z napisem: „*Dla mojego kochanego Gunnara*”. Bez wątpienia pismo Marianne. Była też mała kartka od Elisabeth, siostry Marianne. Od niej zaczął:

*Kochany Gunnarze, nie wiem, czy dobrze robię, ale Marianne dała mi ten list mniej więcej pół roku temu. Kazała mi dopilnować, żeby trafił w Twoje ręce w razie Jej śmierci. Jak widać, coś jednak przeczuwała. Prosiła, żebym zaczekała miesiąc, a ponieważ tyle właśnie już minęło, odkąd nas zostawiła, spełniam Jej życzenie. Nie wiem, rzecz jasna, co jest napisane w liście, ale mam nadzieję, że będzie on dla Ciebie jakąś pociechą.*

*Dzwoń, kiedy tylko chcesz. Myślami jesteśmy z Tobą i dziećmi.*

*Uściski*

*Elisabeth*

*PS. Bosse i dzieci oczywiście pozdrawiają.*

A więc to było takie proste. Napisała list wcześniej, na wypadek gdyby to się stało.

Oto cała tajemnica. Poczł lekkie rozczarowanie, ale z drugiej strony nie wiedział, czego innego właściwie się

spodziewał.

Że Marianne napisze do niego z drugiej strony? Wyśle list z Krainy Zmierzchu, z larkinowskiego „nieuchronnego wymarcia”, do którego podróżujemy, żeby zniknąć? Albo z tej alternatywnej rzeczywistości, tak niepojętej, że na samą myśl kręci się w głowie, a wszystkie słowa wypadają z utartych kolein. Z nieba? Z raju?

Ale przecież. przecież naprawdę przyszła do niego i z tylnego siedzenia samochodu powiedziała o liście, trzymanym właśnie w dłoni, dłoni, która drżała, nie rozumiejąc, co się dzieje, i nie mając odwagi go otworzyć.

No tak, po śmierci mówiła mu o tym, tylko raz, ale wystarczająco dobitnie. „Napisałam do ciebie”. Bóg zaś to potwierdził i obiecał, że przypilnuje dostarczenia przesyłki. Tak było. Tak to naprawdę wyglądało.

Dlaczego mam wątpliwości? - pomyślał Gunnar Barbarotti. Co mnie pcha do tego, żeby próbować złapać rzeczywistość za wszystkie cztery rogi? To przecież takie nudne i beznadziejne. Dlaczego moja wiara jest taka słaba?

Zawierzyć łasce, to właśnie powinien pan zrobić - powiedział mu Rönn.

Barbarotti wziął głęboki oddech, rozciął kopertę i przeczytał:

*Kochany Gunnarze,*

*kiedy to czytasz, ja już jestem w domu. Niestety. Wiesz, że nigdy nie bałam się śmierci, ale mówię „niestety” ze względu na Was. Czuję, że ze względu na Ciebie i dzieci powinnam była pożyć jeszcze kilka lat, ale człowiek nie ma władzy nad życiem i śmiercią. Rozmawialiśmy o tym przecież od czasu mojego małego wypadku i wiem, że w pewien sposób byłeś przygotowany.*

*Ale wiem również, że teraz jest Ci ciężko. Wyobrażam sobie, że nie śpisz po nocach, martwisz się, że sam jeden nie wystarczysz dzieciom, że próbujesz na różne sposoby skontaktować się ze mną i popadasz w zwątpienie i przygnębienie, kiedy to się nie udaje.*

*Pisząc te słowa, nie wiem, jak to działa. Być może damy*

radę się spotkać w Twoich snach, może w pewnych sytuacjach będę mogła Cię nawiedzać, ale nawet jeśli moja wiara jest silniejsza od Twojej, nie mam pojęcia, co mnie czeka po drugiej stronie. Wiem tylko, że się tego nie boję. Czuję ufność i chęć, abyś Ty także ją czuł. Czas, jaki spędzamy na ziemi, jest tylko mgnieniem w wieczności i jeżeli podczas tego mgnienia nie uda nam się nawiązać takiego kontaktu, na jaki liczymy, nawiążemy go potem. Wkrótce i na wieki, spróbuj to zrozumieć.

Teraz jednak, jeśli mi wybaczysz, kochany przyjacielu, chciałabym się skupić na bardziej praktycznych sprawach. Jak najbardziej oczekuję, że jakiś czas będziesz mnie oplakiwał, jestem tego warta, ale kiedyś musi nastąpić koniec. Smutek nie jest stanem, w którym powinno się być zbyt długo. Nie rób tego, proszę. Nie chcę, żebyś całymi dniami był pogrążony w smutku i apatii; to nie pomoże ani Tobie, ani dzieciom i nikogo nie uszczęśliwi. Doglądaj mojego grobu, raz w miesiącu stawiaj świeże kwiaty, przynajmniej przez pierwszy rok, niczego więcej nie chcę.

I żadnych goździków, pamiętaj, że nie ma dla mnie gorszych kwiatów! I możesz rozmawiać ze mną na głos, jeżeli będziesz miał chwilę czasu, a w pobliżu nie będzie zbyt wielu osób. Może mogę Cię słyszeć, nawet jeśli Ty nie słyszysz mnie. Ale nie taplaj się w rozmyślaniach i osamotnieniu, wtedy mnie rozczarujesz. Myślę, że potrzebujesz kobiety u boku - przez lata, jakie spędziliśmy razem, uważałam, że wyglądasz na lekko upośledzonego, kiedy masz poradzić sobie sam. Ale tak jest najczęściej z delikatnymi mężczyznami. Nie chcę od razu wysyłać Cię na rynek małżeński, ale musisz wiedzieć, co myślę. Gdyby rzeczywiście było tak, że siedząc w niebie, można pociągać za sznurki (jak wierzą niektórzy, choć my się do nich nie zaliczamy), spróbowałabym przyciągnąć Was, Ciebie i Evę Backman, do siebie. Nie bądź zszokowany - mówię tylko to, co mówię, ale ona jest jedną z najwspanialszych osób, jakie spotkałam, i jeśli chociaż nie spróbujecie, pomyślę, że jesteście świrusami. Choć głównie o Tobie tak pomyślę. No i tylko Ty dostajesz taki list. Jeśli umrę,

*oboje będziecie wolni. Przynajmniej o ile ostatnio nie znalazła sobie nowego faceta, bo w takim wypadku cofam propozycję.*

*No dobrze, nie jest to może list, jaki miałam zamiar napisać, ani taki, jakiego się spodziewałaś, ale jeśli nie wymyślę nic lepszego, zostanie, jak jest. Zamierzam poprosić o pomoc siostrę i jestem pewna, że wypełni moją wolę. Wiedz dwie rzeczy: po pierwsze, kocham Cię i jestem niesamowicie wdzięczna za wszystkie spędzone razem lata; po drugie, czekam na Ciebie i mam Cię na oku. Z miłości, ma się rozumieć.*

*Najlepiej nie mów dzieciom o liście, a zwłaszcza o tym, co napisałam o Evie - młodzi są bardzo wrażliwi. Ale zrobisz, jak będziesz chciał. Wiem w każdym razie, że dobrze się nimi zaopiekujesz, całą piątką. A oni zaopiekują się Tobą. Są już na tyle dorośli, że to działa w obie strony. Johan pewnie już wkrótce dojrzeje do tego, aby wyfrunąć z domu, ale koniecznie zatrzymaj przy sobie Jenny, a jeśli jej tata będzie miał inne pomysły, pozdrów go ode mnie i powiedz, że nie ma mowy. Wiem, że macie z Jenny dobry kontakt i że ona pod żadnym pozorem nie chce mieszkać z Tommym i jego kolejną nieszczęsną gąską, więc jeśli będzie o to walka, musisz walczyć. Bo jak nie, to będziesz miał ze mną do czynienia, kiedy się zobaczymy. Pamiętaj, że Cię widzę, ha, ha.*

*To było najważniejsze. Może z czasem coś jeszcze dodam. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek będziesz musiał to czytać, ale może jednak, mimo wszystko.*

*Buziaki z nieba M.*

Plakał.

Plakał i się śmiał. Przeczytał jeszcze raz. Powoli, słowo po słowie, niemalże sylabę po sylabie. Następnie objął ramieniem jej poduszkę i ścisnął.

Dziękuję, kochanie, pomyślał. Właśnie tego potrzebowałem.

Ale żeby. żeby nieżyjąca żona musiała go wypychać na rynek matrymonialny? Bardzo dziwne. A Eva Backman?

Czasami Marianne nie wiedziała, co mówi - zauważył to, kiedy jeszcze była wśród żywych, a teraz, po drugiej stronie,

najwyraźniej nic się nie poprawiło.

Poczuł jednak, że się uśmiecha. I za cholere nie mógł się pozbyć tego uśmiechu.

Wziął Biblię i odszukał Lamentacje. Stare wahadło w dużym pokoju wybiło dwunastą i nastał czerwiec.

### III

## Czerwiec 2012

## Czerwiec 1989

22

Z Lisbeth Mattson coś było nie tak.

Doszedł do takiego wniosku już w ciągu pierwszych dziesięciu sekund ich spotkania. Miała jakieś siedemdziesiąt lat, może niewiele mniej, była chudą, lekko zgarbioną kobietą o drobnych, nerwowych ruchach i głosie, który był o oktawę wyższy, niż powinien.

Ale to nie jej głos wzbudził jego wątpliwości, tylko twarz i mimika. Kiedy podał jej rękę, spojrzała mu w oczy, ale zaraz odwróciła wzrok. W ogóle trudno jej było skupić go w jednym punkcie, a kąciki jej ust cały czas wędrowały w górę i w dół, jakby próbowała się uśmiechnąć i za każdym razem dochodziła do wniosku, że się nie da.

Nerwy, pomyślał Barbarotti i wszedł za nią do dużego, zagraconego pokoju. Niespokojna, stara kobietawiewiórka. Trzeba będzie zwolnić tempo.

Z dworca kolejowego szedł na piechotę. To był zaledwie kilometr drogi. Pomyślał, że miejscowość nie zmieniła się zbyt wiele, odkąd był tu ostatnim razem. Wtedy polował na człowieka z Mousterlin, teraz nie bardzo wiedział, na co poluje.

Minął sklep zegarmistrzowski, w którym kupił najgorszy zegarek, jaki kiedykolwiek miał, jednak nie wszedł do środka się poskarżyć. Czuł, że czas nie odgrywa już w jego życiu tak dużej roli, a sklep mógł przecież zmienić właściciela. W końcu minęło pięć lat.

Willa, w której mieszkała Lisbeth Mattson, jak mnóstwo innych obiektów w Hallsbergu leżała przy torach kolejowych, a Barbarotti wiedział, że mąż Lisbeth, czyli starszy brat Ellen



Bjarnebo, był pracownikiem Kolei Szwedzkich. I że od prawie roku nie żył, kiedy zaś wdowa po nim zajęła miejsce w zielonym fotelu naprzeciwko, zrozumiał, że jej nerwowość ma związek z tym niespodziewanym odejściem. A przynajmniej, że to jeden z powodów.

- Bez Gundera jest tu tak pusto - zaczęła. - Nie wiem, jak sobie dam radę.

- Czy to było niespodziewane? - zapytał Barbarotti.- Jak grom z jasnego nieba - odparła Lisbeth Mattson. - Człowiek nie powinien umierać w ten sposób.

- Ma pani rację - powiedział Barbarotti i przelknął ślinę. Kilka sekund przyglądał się wypchanemu ptakowi na kołku nad telewizorem i próbował dojść do siebie. Nie chciał, żeby rozmowa schodziła na te tory.

- To okropne - powiedziała Lisbeth Mattson.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale zmieniła zamiar. Wyciągnęła rękę w kierunku półmiska z ciasteczkami, ale cofnęła ją w połowie drogi i splotła ręce. Poruszyła lekko mięśniami twarzy, zmieniła zamiar i założyła okulary. Miały jasnoniebieskie oprawki i wydawały się idealne dla dwunastoletniej dziewczynki. Barbarotti odchrząknął.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z panią o Ellen Bjarnebo - oznajmił. - I o Billym.

Nie uspokoilo jej to ani trochę.

- Dlaczego? - zapytała. - Jaki sens może mieć rozgrzebywanie takiej starej sprawy? To znaczy. myślę.

Urwała. Barbarotti wyjaśnił przecież przez telefon powód wizyty. Może uznała, że na zdziwienie jest już za późno. Barbarotti z kolei zastanawiał się nad lepszą odpowiedzią niż beznadziejnie oklepane zdanie o luźnych wątkach, ale nic takiego nie znalazł.

- Mamy kilka luźnych nici - powiedział.

- Nici? - zapytała Lisbeth Mattson, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego określenia.

- Ważne jest, żeby zbadać wszystko gruntownie - wyjaśnił Barbarotti. - Jest jeszcze jedna sprawa, w którą pani szwagierka być może była zamieszana. sprawa, której jak dotąd

nie udało nam się wyjaśnić. Wie pani, o co chodzi.

- Proszę z łaski swojej nie nazywać jej moją szwagierką - odparła Lisbeth Mattson. - Wiem, że my. ale nigdy nie utrzymywałyśmy bliskich stosunków.

- Naprawdę? Ale przecież pani i pani mąż zaopiekowaliście się jej synem.

- Oczywiście.

- Jak to się stało?

- Jak to się stało?

- Tak.

Lisbeth Mattson przechyliła głowę na bok i zdjęła okulary.

- To ze względu na chłopca. Nie na nią.

Barbarotti chciał powiedzieć, że rozumie, ale ugryzł się w język i poprosił, żeby rozwinęła temat.

- Rozwinąć? - zapytała. - Co takiego mam rozwinąć? Tu już nie ma nic więcej do powiedzenia, a gdyby tylko Gunder żył, to.

Dalszego ciągu nie było. Przez jej twarz przeszła seria małych tików, a Barbarotti zaczął żałować, że nie ma z nim Evy Backman. Siedział w milczeniu, próbując nadać sobie wygląd życzliwego spowiednika.

- Przepraszam - powiedziała Lisbeth Mattson po chwili. - Odkąd zostałam sama, nie jestem do końca sobą, a te dawne sprawy rozdrapują w sercu stare rany, budzą smutek. - Mrugnęła kilka razy, najwyraźniej zadowolona z tego poetyckiego sformułowania. Barbarotti odpowiedział mrugnięciem i delikatnie skinął głową. - To prawda, że zajęliśmy się Billym - mówiła dalej Lisbeth Mattson. - Nie wiadomo, co w przeciwnym razie stałoby się z tym biednym chłopcem. Gunnar i ja podjęliśmy decyzję w mgnieniu oka. Nie mieliśmy dzieci i. zawsze traktowaliśmy Billy'ego jak własnego syna.

- Ile miał lat, kiedy z państwem zamieszkał? - zapytał Barbarotti, choć znał odpowiedź.

- Dwanaście - odparła Lisbeth Mattson z głębokim westchnieniem. - Niech pan sobie wyobrazi, że miał już dwanaście lat, a praktycznie rzecz biorąc, nie mówił.

To była dla Barbarottiego poniekąd nowina. Czytał, że Billy

Helgesson był zamkniętym w sobie, trudnym chłopcem, nigdzie jednak nie było napisane, że nie mówił.

- Nie wiedziałem - przyznał. - Z czego to wynikało?

- To ten dom - odpowiedziała momentalnie Lisbeth Mattson. - Mama i tata. Ellen i Harry byli chyba najgorszymi rodzicami, jakich można sobie wyobrazić. Billy się po prostu bał. Był przyzwyczajony do wyzwisk i lania za najmniejsze przewinienie.

- Ale kiedy trafił do was, zaczął mówić?

- Tak jest - potwierdziła gorliwie Lisbeth Mattson. - Już po krótkim czasie. Także w szkole zyskał kolegów. wcześniej ich nie miał.

- Utrzymywali państwo kontakty z rodziną? - zapytał Barbarotti. - Zanim wzięliście pod opiekę chłopca.

Pokręciła głową.

- Żadnych. Ale oczywiście wiedzieliśmy, jak to wyglądało. Byliśmy tam raz tamtego lata i Gunder powiedział, kiedy już to się stało, czyli kilka tygodni po naszej wizycie. trochę gmatwam, ale.

Zawahała się i niespokojnie popatrzyła na Barbarottiego.

- Co powiedział Gunder?

- Powiedział, że go to nie dziwi - odparła.

- Naprawdę?

- Tak. To, że pewnego dnia jedno z nich zabije drugie, było jak najbardziej do przewidzenia, tak się wyraził.

- Czyli między pani mężem a jego siostrą nie najlepiej się układało?

- Tak - powiedziała Lisbeth Mattson. - Rzeczywiście, nie układało się między nimi dobrze. Coś. coś z nią było nie w porządku. Jeszcze zanim. zanim wszystko potoczyło się, jak się potoczyło.

Barbarotti zwrócił uwagę, że w tonie kobiety nie było agresji. Brzmiało to raczej tak, jakby powtarzała smutną oczywistość, która powracała jak refren przez wiele, wiele lat.

Z pewnością to zmarły mąż decydował o wszystkim w domu przy Kvarngatan i to on pisał tego rodzaju refreny. Barbarotti postanowił przeskoczyć odrobinę do przodu.

- Jak wyglądał kontakt między Ellen a chłopcem, kiedy ona siedziała w więzieniu?

- Słucham? - odparła Lisbeth Mattson, jakby nie rozumiała pytania.

- Kontakt między Billym a jego matką - powtórzył.

Nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę poruszała ustami i Barbarotti domyślił się, że meła w ustach nieprzyjemne słowa. Czekał.

- Billy mówi do mnie „mamo” - powiedziała.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - W końcu długo u państwa mieszkał, więc to chyba naturalne. Jak długo to było?

- Prawie dwanaście lat.

Barbarotti wiedział, że w grę mogło wchodzić najwyżej dziewięć, dziesięć lat, ale nie podjął tematu.

- A potem? - zapytał.

- Po wyjściu z wojska poznał Julianę i przeprowadził się do Sztokholmu.

Jeszcze jedno zarzewie konfliktu, trudno było tego nie zauważyć. Kiedy padło imię kobiety, Barbarotti wyobraził sobie wegetariankę, która przez przypadek wzięła do ust wieprzowego klopsika i musi go jak najszybciej wypluć. Obraz był tyleż nieoczekiwany, co trafny, jednak inspektor nie siedział w owym niewygodnym fotelu w towarzystwie poety czy terapeuty, pomyślał więc, że dobrze byłoby nieco uporządkować sytuację. A przynajmniej spróbować to zrobić.

- Rozumiem, że wchodzi tu w grę silne uczucia - powiedział - ale zależy mi tylko na uzyskaniu odpowiedzi na kilka prostych pytań. A więc jak często Billy odwiedzał matkę, kiedy odsadywała wyrok?

- Raz.

- Raz?

- Tak.

- Mówi pani, że chłopiec odwiedził matkę tylko jeden raz w ciągu jedenastu lat?

Lisbeth Mattson najwyraźniej nie widziała w tym nic dziwnego.

- Załatwił to szkolny pedagog - wyjaśniła. - My uważaliśmy,

że to głupi pomysł, a Billy źle się po tym czuł.

- Kiedy to było? - zapytał Barbarotti.

- Kilka lat później - odparła Lisbeth Mattson, wzruszając ramionami. - Billy i pedagog pojechali tam na jeden dzień.

- Stąd nie jest szczególnie daleko do Hinsebergu, prawda?

- Jechali tam chyba godzinę - powiedziała Lisbeth Mattson.

- Albo krócej. Wieczorem Billy był z powrotem w domu. Ale nie czuł się dobrze. To była pomyłka, jednak nigdy nie robiliśmy z tego afery. Ten pedagog odszedł potem z pracy.

Słońce wyszło zza rogu i zaczęło wdzierać się do pokoju. Lisbeth Mattson wstała, podeszła do okna i poprawiała żaluzje tak, że na stół znowu padał cień. Spróbowała kolejnego nieszczęśliwego uśmiechu, po czym z powrotem usiadła.

- Ostatnio za dużo słońca.

- To prawda - zgodził się Barbarotti.

- I tyle okropieństw. Człowiek czyta.

Urwała i zaczęła czyścić okulary. Barbarotti czuł narastające obrzydzenie. Najchętniej zakończyłby rozmowę i wrócił na posterunek. Wypił łyk kawy - miała posmak zwietrzałego pudru. Jeszcze jedno dziwaczne odczucie, ale tak właśnie teraz z nim było. I to usiłował opisać Rönnowi. Pomyślał, że ta rozmowa równie dobrze mogłaby się odbywać w jakimś kącie w domu wariatów.

- Nigdy nie dostała przepustki? - zapytał, próbując wrócić do porządku. - Na spotkanie z Billym.

- Raz - powiedziała Lisbeth Mattson głuchym głosem. - Raz tu była.

- I?

- Billy był wtedy w wojsku. A potem się wyprowadził.

- Do Sztokholmu i Juliany?

- Tak.

Ledwo dało się ją usłyszeć.

- Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

- Ellen?

- Tak.

- Właśnie wtedy. Kiedy tu była.

- Który to był rok?

- 1993. Miała przepustkę. Rok po tym, jak Billy ją odwiedził.
  - W Hinsebergu?
  - Tak.
  - Nie przyszła na pogrzeb brata?
  - Nie.
  - Dlaczego?
  - Prosiłam ją, żeby dała sobie spokój. Nie chciałam, żeby była w kościele ze wszystkimi. Barbarotti milczał przez chwilę. Pomyślał, że gdyby Lisbeth Mattson poprosiła go o pożyczanie dwudziestu koron, odmówiłby.
  - Czy Billy często mówił o matce?
  - On nigdy nie mówił o swojej matce.
  - Nigdy?
  - Tak. Kiedy do nas trafił, w ogóle nie mówił. Już o tym przecież wspominałam. Barbarotti uniósł filiżankę kawy, po czym postawił ją z powrotem.
  - A skoro mowa o Billym, jak wygląda wasz obecny kontakt? Równie dobrze mógłby kopnąć ją kolanem w splot słoneczny. Pochyliła się do przodu, jakby naprawdę to zrobił. Następnie powoli się wyprostowała.
  - Przepraszam. Moje wrzody. Co pan mówił? Zauważył, że nagle zaczęła trzymać większy dystans.
  - Pytałem, jaki kontakt z Billym ma pani obecnie.
  - Dobry.
  - Często się spotykacie?
  - Niespecjalnie. Czasem do siebie dzwoniemy.
  - Jak zarabia na życie?
  - Jest pracownikiem budowlanym. To ciężki kawałek chleba.
  - Kiedy widziała go pani ostatnio?
  - Jakiś czas temu.
  - Jakiś czas?
  - Tak.
  - Mają dziecko, prawda? On i Juliana.
  - Tak, córeczkę. Julię.
  - Jutro będę się widział z Billym. Mam go od pani pozdrowić?
- Wzdrygnęła się.

- Tak. nie, nie trzeba. Dziś wieczorem może do niego przekrećę.

Nie, pomyślał inspektor Barbarotti, wstając. Kończę. Dosyć, bo inaczej pojedę z nią do tego domu wariatów.

- Dziękuję za chwilę rozmowy - powiedział. - Zostawiam panią w spokoju.

- Bardzo dziękuję - odparła Lisbeth Mattson.

Założyła i zdjęła okulary, po czym poszła z Barbarottim do wyjścia.

Nieco ponad godzinę później znów siedział w pociągu. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu był świadkiem bardziej ponurej rozmowy, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Był także pewien, że gdyby Lisbeth Mattson nie mieszkała akurat między Kymlinge a Sztokholmem, nie zwracałby sobie głowy wizytą. Co niewątpliwie byłoby korzystne dla obu stron.

Wprawdzie do spotkania z Billym Helgessonem i jego Julianą również się nie palił, ale w Sztokholmie była przynajmniej Sara. Może dałby sobie spokój także z Billym, gdyby nie ona. Nie ma co ukrywać własnych motywów.

Tylko z jedną zamieszaną w sprawę osobą musiał koniecznie porozmawiać i była nią oczywiście główna bohaterka, czyli Ellen Bjarnebo.

Dzwonił do niej i pisał podczas przedpołudniowej podróży pociągiem, ale tym razem również nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Bez wątpienia zaczynało to być trochę dziwne. Dziś był wtorek, Ellen mówiła, że do Kymlinge wróci w tygodniu, z Vilhelminy zaś wyjechała pięć dni temu.

Co ta kobieta, u licha, kombinuje? - zastanawiał się Barbarotti. Czyżby specjalnie się ukrywała?

I co on sam, u licha, kombinuje? Był to co najmniej równie palący problem. Wracając myślami do spotkania z Asunanderem, mógł tylko stwierdzić, że niczego nie wyjaśniło. No, może tylko tyle, że mimo wszystko istniał jakiś powód.

Powód, dla którego znajdował się w tym pociągu, aktualnie stojącym gdzieś w lesie między Närke a Södermanlandem, i polował na tę lub inną starą prawdę, która jak na razie była dla

niego kompletną tajemnicą.

Prawdę o sprawie Arnolda Morindera?

Prawdę o sprawie Ellen Bjarnebo?

Choć przecież - pomyślał akurat w chwili, kiedy pociąg ostrożnie ruszył - w lesie są polany, do których możemy dojść, jeśli się zgubimy. Może z prawdami jest podobnie? Czemu nie?

O owych polanach czytała mu kiedyś na głos Marianne. To chyba z Tranströmera - leżał zawsze w stosie książek na jej nocnym stoliku.

Nie, nie leżał, przecież stos nadal tam jest. I niech go ręka boska broni przed ruszeniem go, niech broni przed zbyt wczesnym zacieraniem śladów. Odszukał w torbie jej list, oparł się i zaczął czytać.

## 23

**3 czerwca 1989**

Wydawał się taki bezbronny.

To właśnie słowo przyszło jej do głowy, kiedy zobaczyła, jak siedzi na łóżku i czyta komiks. Bezbronny. Mimo swoich rozmiarów - był najwyższym i najcięższym jedenastolatkiem w całej szkole, ale to niczego nie zmieniało. Nie skrzywdziłyby muchy - pomyślała, podeszła i pogładziła go po włosach. Spojrzał na nią spod przetłuszczonej białej grzywki, a kiedy

przyjrzała się jego twarzy, nie spostrzegła żadnych śladów uderzeń. Prawdopodobnie zakrył głowę rękoma i przyjął ciosy na kark i ramiona, jak bywało już wcześniej.

Dlaczego na to pozwalam? - pomyślała. Dlaczego nie robię nic, żeby to przerwać? Dlaczego nie mamy siły się podnieść, ani ja, ani chłopiec?

Pytania jednak jak zwykle do niczego nie prowadziły. Dawka wstydu na drugiej szali była zbyt duża, a kiedy przeciwwagą jest wstyd, nie wychodzi się na tym dobrze. Nauczyło ją tego jej mysie dzieciństwo i mysie dorastanie. Myśleć jeszcze się dało - o różnych sprawach - jednak działanie było wykluczone.

- Wypałeś się?



Popatrzył na nią i skinął słabo głową. Wydał grube wargi, układając je w odwrócone u. Nie spodziewała się odpowiedzi. Z biegiem lat coraz trudniej się z nim rozmawiało. A właściwie mówiło do niego, bo na tym tak naprawdę polegała cała rzecz. Zaczęła myśleć o postępach, o których wspominała nauczycielka - może mówią takie rzeczy, żeby rodzice czuli się lepiej?

Choć potrafił czytać, pisać i liczyć - to był niezaprzeczalny fakt. I nadal ją rozczulał. Czulość przychodziła i odchodziła, teraz jednak, kiedy siedział na niepościelonym łóżku, trzymając na kolanach komiks z Kaczorem Donaldem - zdjął przynajmniej piżamę i włożył dżinsy i zieloną koszulkę, te same ubrania co wczoraj, nigdy ich nie zmieniał, jeśli mu nie kazała - w tej właśnie chwili, kiedy był tak bezbronny, miała ochotę wziąć go w objęcia. I po prostu trzymać, kołysząc, jeśli byłoby to możliwe, i próbując przekazać mu jako takie poczucie bezpieczeństwa. Zaufanie, nadzieję i co tam jeszcze.

Ale on nie lubił przytulania. Zawsze robił się wtedy sztywny i ciężki, jeszcze cięższy - nie wiedziała dlaczego, ale nie ulegało wątpliwości, że było to dla niego nieprzyjemne. Tak jakby w jakiś przykry sposób był wrogiem własnego ciała i dlatego również ciała innych były dla niego wrogami.

Wtedy zorientowała się, że jest sobota.

Harry był na mieście, ale w to, że zatroszczy się o potrzeby kogokolwiek poza sobą, nie było sensu wierzyć. Skacowany i zły. Zastanawiała się chwilę.

- Pójdziemy na spacer? - zapytała. - Na stację benzynową. Kupimy łakocie na sobotę?

Podniósł wzrok i cała jego twarz pojaśniała.

- Taak.

Stacja benzynowa Shella leżała zaledwie pięćset metrów od Drogi Birmańskiej, przy Hamrakorset, więc tam i z powrotem wychodziło niewiele ponad dwa kilometry. Był to uczęszczany odcinek, każdy bowiem, kto chciał zrobić niewielkie zakupy, wpaść po mleko, papierosy czy gazetę, najbliżej miał właśnie na stację. Harry zawsze brał samochód, ona i Billy zwykle jechali na rowerze. Jednak przedwczoraj złapała gumę, a na rozklekotany męski rower Harry'ego nie miała ochoty się

wspinać.

Billy wyraźnie nie miał nic przeciwko wyjściu. Pogoda też była dobra - prawdziwy początek lata z niebieskim niebem i lekkimi, pędzącymi chmurami - i kiedy spojrzała na zieleniejące pola, które otaczały Wielką i Małą Birnę, pomyślała, że takie dni są po to, żeby człowiek był szczęśliwy. Tylko dlatego, że istnieje.

To była kolejna z myśli mieszkających wyłącznie w jej głowie jako zbierające kurz konstrukcje. Szczęście? Radość? Nie liczyła nawet, że taki filmowy rarytas kiedykolwiek znajdzie się w ich zasięgu. Dobre rzeczy na tym świecie nie im się należały i niedorzecznością byłoby wmawiać sobie cokolwiek innego. Chciała potrzymać chłopca za rękę, ale z tym było podobnie. Myśl i nic więcej.

Kiedy zbliżali się do Wielkiej Birny, zobaczyła, że furgonetki ekipy budowlanej stoją tam również dzisiaj. Najwyraźniej spieszyło im się z budową basenu - zapewne miał być gotowy do lata. A może nawet do końca roku szkolnego, który wypadł w przyszły piątek? Może Tomas i Erik zaproszą do domu kolegów z klasy. Albo Inger. Zaproszą ich, żeby rozpoczęli letnie wakacje kąpielą w niebieskiej wodzie basenu. Pięknie jak cholera, nie ma co.

Pomyślała, że robotnicy w sobotę muszą kosztować, ale w Wielkiej Birnie nigdy nie brakowało pieniędzy. A regularne skoki w bok do Małej Birny nie kosztowały przecież nic. Nic ponad odroczenie spłaty niewielkiej pożyczki, bez której prawdopodobnie mogli się obyć.

Zacząła myśleć o kuzynach i gospodarstwach i były to dobrze znane rozważania, toczące się wytartymi koleinami. Można powiedzieć, że w pewnym sensie wytyczonymi już na samym początku, pięćdziesiąt lat temu, kiedy ojcowie Harry'ego i Görana, bracia Helgessonowie, przybyli tu jako osadnicy. W owym czasie były tu tylko dwa niewielkie domki, w których dawniej mieszkali poborowi żołnierze, nawet nie prowadziła do nich żadna porządna droga - to dlatego powstała Droga Birmańska. Chodziło o coś w Azji, jakąś inną słynną drogę z tego samego okresu, ale nie znała zbyt dobrze tej

historii. Tak czy inaczej każdy z braci postawił sobie dom, wyrównał teren i urządził się w gospodarstwie - pieniądze mieli z odziedziczonego gospodarstwa gdzieś w Hallandzie i z tego, co Ellen wiedziała, żaden nie dostał więcej niż drugi.

A może jednak? Może Sven, starszy brat i ojciec Görana, już od początku miał więcej pieniędzy w kufrze niż Arvid, ojciec Harry'ego? Nie miała pojęcia, nigdy o tym nie rozmawiali, wiedziała jednak, że wcześniej pojawiła się różnica. Same nazwy, Wielka i Mała, mówiły już co nieco o układzie sił. I położenie: gospodarstwo Svena na wzniesieniu z widokiem na wszystko i gospodarstwo Arvida kulące się na skraju lasu.

Już ich nie było. Każdy z nich zostawił swemu synowi w spadku dom. Harry był jedynakiem, Göran miał młodszą siostrę, która już w młodym wieku wyszła za mąż za dentystę i w ten sposób w pewnym sensie zniknęła z pola widzenia. Mieszkała w Trondheim w Norwegii i mimo że Ellen była już w Małej Birmie od czternastu lat, spotkała ją nie więcej niż trzy razy.

Z czego dwa na pogrzebie - Svena w 1977 roku i Arvida dwa lata później.

Ale przecież - kontynuowała myśl - kobiety w gospodarstwach w pewnym sensie się nie liczyły. Harry nigdy nie opowiadał o swojej matce, która pod koniec lat pięćdziesiątych umarła na jakąś chorobę płuc. A o żonie Svena - matce Görana - nie wiedziała prawie nic. Leżała w hospicjum już wtedy, gdy Ellen przyjechała do Birmy. Prawdopodobnie zbliżała się do dziewięćdziesiątki. Miała na imię Ludwika, jak dawna królowa.

Harry w chwili śmierci matki miał więc jakieś dziesięć, jedenaście lat i pomyślała, że musiało to zostawić w nim jakiś ślad. Tak samo jak zrobiła to śmierć jej matki. „To zostawia ślad”. Równie oczywiste, co nic niemówiące. Wszystko przecież zostawia ślad. Czy śmierć matki Harry'ego miałaby tłumaczyć to, że trzydzieści lat później bił żonę?

Czy Arvid był równie zgorzkniały jak jego syn? To było kolejne pytanie, nad którym można się było głowić. Czy to tak po prostu przechodziło z pokolenia na pokolenie? Czy życie

Arvida w Małej Birmie upływało na zmartwieniach i wściekłości, tak jak teraz życie Harry'ego? Pamiętała, że w każdym razie nie cieszył się z narodzin wnuka - Billy miał niecałe dwa lata, kiedy zmarł jego dziadek, i nie było wiadomo, czy zachował po nim jakieś wspomnienie.

Życie i śmierć. Pokolenie za pokoleniem. Stara śpiewka.

Sama przyjechała do Małej Birmy, ponieważ była w ciąży. Tak po prostu. Pierwsze dziecko, dziewczynkę, stracili dwa miesiące przed planowanym porodem, ale wtedy już było za późno. Wtedy byli już małżeństwem.

Kiedy z mozołem szli przez pola, myślała również o swojej rodzinie - nie sposób było tego uniknąć. O mamie, która miała nierówno pod sufitem i odebrała sobie życie. O bracie i ojcu, dwóch milczących mężczyznach - w przeciwieństwie do Billy'ego potrafili mówić, ale przez większość czasu woleli tego nie robić. Kiedy Ellen miała osiemnaście lat i skończyła dwuletnie liceum dla mniej uzdolnionych, otrzymała propozycję pracy w masarni u Köttmana w Göteborgu. Załatwiła to jedna z nauczycielek, która z jakiegoś powodu ją lubiła i której mąż był tam chyba kimś w rodzaju szefa.

I bardzo dobrze - mówił jej ojciec. - Jedź.

Gundera już wtedy nie było od kilku lat. Mieszkał w Katrineholmie i pracował na kolei.

I właśnie w Göteborgu, w restauracji z dansingiem poznała Harry'ego. Już po kilku miesiącach. Byli nawaleni i napaleni i poszedł z nią do jej skromnego jednopokojowego mieszkania na Majornie. Na początku opisywała to w myślach innymi słowami, ale z czasem potrzeba upiększania rzeczywistości wyblakła.

Nawaleni i napaleni, ot co. I, jako się rzekło, zaszła w ciążę.

I poniosła konsekwencje.

Jako się rzekło, pomyślała. Tak, wszystko już się rzekło. A teraz, po jakimś czasie, sypiam z dwoma kuzynami. Jako żona jednego i dziwka drugiego.

Kobieta dwóch mężczyzn.

Powinnam należeć tylko do Billy'ego.

Wielką Birmę zostawili już za sobą i kiedy zeszli na długie

prosty odcinek, wiodący do głównej drogi, kiedy minęli dziko rosnące krzaki bzu po prawej stronie, usłyszała głos Muttiego. Jasny i wyraźny, jak zwykle. Tym razem nie mówił do świeżo zatrudnionego kierowcy.

„Jest tu ktoś, kto cię obserwuje”.

Od razu poczuła, że to prawda. Że tuż obok ktoś stoi i się im przygląda.

Zatrzymała się w pół kroku i rozejrzała. Niczego nie zauważyła, to znaczy żadnego człowieka, ale przecież liście bzu się poruszyły, prawda? Kilka sekund stała bez ruchu, Billy również się zatrzymał kilka metrów przed nią, ale wydawał się równie nieświadomy otoczenia co zwykle.

Nic. Żadnego ruchu w krzakach. Ani nigdzie indziej. Tylko świergocące ptaki pod wysokim czerwcowym niebem.

Słowiki, pomyślała. Ktoś mnie obserwuje? Może Ingvor? Bzdury. Świnia i mysz idą kupić słodycze na stacji Shella w Hamrakorset. Komu chciałoby się obserwować taką parę?

Kogóż mogliby obchodzić?

## 24

Spotkał się z Sarą w restauracji Kryp In przy Prästgatan w dzielnicy Gamla Stan, tak jak się umówili. Było kilka minut po siódmej - niecałe trzy godziny wcześniej miała ostatni egzamin w tym semestrze i widział po niej, że dobrze jej poszło. Kiedy usiedli przy stoliku w wąskiej uliczce, Barbarotti poczuł, że jego córka promienieje. Młodością, wiarą w przyszłość. Pięknem, inteligencją, wszystkim po trochu. Czuł się przez to zarówno dumny, jak i stary - podobało mu się to. Czego więcej mógłby chcieć w obecnej sytuacji? Pasywnego, ale zawsze czujnego spojrzenia obserwatora? Gotowego działać w razie potrzeby, ale tylko wtedy. Zaczął się zastanawiać, czy w weekend będzie miał okazję poznać jej chłopaka. Sara dawała to do zrozumienia, on zaś był zdania, że kimkolwiek ów chłopak by się okazał, wypadało mu tylko pogratulować. Lepszą zdobycz trudno było sobie wyobrazić.

Boże kochany, pomyślał, dlaczego nazwałem ją zdobyczą?

Kiedy jednak zajęli miejsca przy stole, promieniała już trochę mniej. Nie była już kobietą, tylko córką.

- Jak się czujesz, tato?

- Musisz przestać mnie pytać, jak się czuję. Po prostu potrzeba mi trochę czasu.

- Pytanie o samopoczucie należy do dobrego tonu.

Barbarotti mrugnął do niej.

- Ten nie był dobry. Powiedziałaś to tak, jakbyś zwracała się do pacjenta. Albo do kogoś, kogo właśnie przejechała równiarka.

- A z tobą tak nie było?

- Rzeczywiście - przyznał. - Ale to było jakiś czas temu. Jestem normalniejszy, niż ci się wydaje.

- To dobrze - odparła Sara. - Wszystko dokładnie obgadamy, ale najpierw musimy coś zjeść. Umieram z głodu.

- Widzę, że dobrze ci poszło na egzaminie.

- Zgadza się.

- Więc teraz mogłabyś mieć wakacje? W zasadzie?

Wybuchnęła śmiechem.

- Tato, mam dwadzieścia cztery lata. Czas wakacji się skończył, dobrze o tym wiesz.

- Tak, tak przypuszczam.

- W niedzielę wieczorem pojedę z tobą i zostanę tydzień. Później czeka mnie siedem tygodni w kancelarii adwokackiej.

- Koniecznie siedem tygodni? - zdziwił się Gunnar Barbarotti, który pracował mniej więcej o połowę krócej w podobnym miejscu w Lund. Ale to było w zamierzonych czasach.

- Czego się państwo napiją? - zapytała kelnerka, która wydawała się być w wieku Sary, ale nie promieniała równie mocno.

- Czerwone wino? - zastanawiał się Barbarotti, spoglądając na córkę.

- Czerwone wino - postanowiła Sara i skinęła kelnerce głową. - Proszę wybrać naprawdę dobrą butelkę, bo chyba ten tutaj płaci.

Barbarotti z uśmiechem rozłożył ręce. Ten tutaj.

Wieczór był ciepły i na Prästgatan spędzili kilka godzin. Wydawało mu się, że rozmawiają naprawdę o wszystkim. O życiu i śmierci, tęsknocie i smutku. O chłopcach, pracy i przyszłości, o Marianne, o chłopaku Sary, Maxie, którego miał poznać następnego wieczoru.

A kiedy już zapłacił rachunek, przeszli się ulicami Sztokholmu, który był tak piękny, że Barbarotti nie mógł zrozumieć, dlaczego mieszka w Kymlinge.

Za pięć lat, pomyślał, za pięć lat wszystkie dzieciaki będą już samodzielne. Wtedy się tu przeprowadzę.

Nie powiedział tego głośno, ale uznał to za znak, że wciąż jeszcze żyje. Kto planuje na kilka lat do przodu, nie może być martwy. A przynajmniej nie całkowicie.

- Co właściwie będziesz tutaj robił? - zapytała Sara, kiedy dotarli do jej dwupokojowego mieszkania przy Vikingagatan. Wynajmowała je z drugiej albo nawet z trzeciej ręki, Barbarotti wiedział jednak, że rynek mieszkaniowy w królewskim mieście właśnie tak wygląda. Prawdopodobnie płaciła dwukrotnie wyższy czynsz, niż powinna, ale to również było zgodne z obowiązującymi tu zasadami. Tak czy inaczej było to piękne stare mieszkanie z drewnianą podłogą o szerokich deskach i z wysokim sufitem. Miało widok na podwórko, na którym kwitły drzewa. Pomyślał, że za te pięć lat chciałby właśnie tak mieszkać.

- Cóż - odparł. - Nie bardzo wiem. Zajmuję się pewną starą sprawą. Jutro spotkam się z kimś, kto był w to trochę zamieszany, i spróbuję wyrobić sobie opinię.

Nalala mu do filiżanki zielonej herbaty i skrzywiła się.

- To najbardziej mętna odpowiedź, jaką słyszałam. Ale nieważne, jeżeli nie możesz o tym rozmawiać, to w porządku. A może powinnam powiedzieć „nie chcesz”?

Po kilkusekundowym namyśle streścił jej pokrótce całą historię. O poćwiartowaniu w Birmie. O Morinderze i jego niebieskim mopedzie. O Asunanderze. O nieosiągalnej głównej bohaterce, a nawet o smętnej rozmowie w Hallsbergu, którą w ciągu tego wieczoru prawie udało mu się wyprzeć z pamięci.

- Potwornie dziwne - stwierdziła Sara, kiedy już skończył. -

Słyszałam coś o tym morderstwie. To musi być ciężka sprawa, co?

- Tak, też mi się tak zaczyna wydawać.

Sara zmarszczyła czoło i dołała mu herbaty.

- Jacy dziwni ludzie są na świecie. I smutni. Choć muszę przyznać, że to jednocześnie ciekawe. Chyba w końcu wyląduję w jakimś sądzie. To całe prawo handlowe, którym mam się zajmować w lecie. nie, to mnie nie interesuje.

- Mnie też nie - przyznał Barbarotti. - Gdybym tylko kontynuował, na pewno skończyłbym w sądownictwie. Ale chyba nie miałem do tego predyspozycji.

- Chcesz powiedzieć, że kiepsko się uczyłeś?

- To były inne czasy - odparł Barbarotti.

- W każdym razie zostałeś dobrym policjantem.

- Tak ci się tylko wydaje.

- No dobrze - powiedziała Sara. - Przyjdiesz mnie odwiedzić, kiedy będę sędzią sądu apelacyjnego w Sztokholmie. Nie wiem, czy wiesz, ale mają nieprawdopodobnie eleganckie siedziby. Na Riddarholmen z widokiem na zatokę, Riddarfjärden. Tak, naprawdę mogłabym pracować w takim miejscu.

Wykrzywiła usta w autoironicznym uśmiechu, ale nagle znów spoważniała.

- A ten Billy? - zapytała. - Co o nim myślisz? Musiał mieć naprawdę okropne dzieciństwo. Ile on ma teraz lat?

- Trzydzieści pięć - odparł Barbarotti i spojrzał na zegarek. - Nie, to nigdy nie sprzyja rozwojowi dziecka, kiedy jedno z rodziców zabija drugie.

- Czasem udaje ci się trafić w sedno - powiedziała Sara.

- Nawet ślepej kurze się zdarza - stwierdził skromnie Barbarotti. - Masz oczywiście rację, że to nie może być dla chłopaka przyjemne. Ale jutro przed południem mam się z nim zobaczyć, więc chyba najlepiej będzie, jeśli spróbuję się trochę przespać. Ta kanapa jest wolna czy mam lulać przy stole?

- No dobra - powiedziała Sara. - Dla ciebie zrobię wyjątek, możesz spać na kanapie.



Następnego dnia drzwi mieszkania przy Blekingegatan 76 nie otworzył Billy Helgesson.

Kobieta, która stała w progu, nie wyglądała, jakby miała ochotę otwierać, ale zmierzwszy go wzrokiem od stóp do głów, pozwoliła mu wejść. Pogryzała marchewkę - Barbarotti zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek wyszła mu na spotkanie kobieta żująca marchewkę, i doszedł do wniosku, że chyba jest wyjątkowa, przynajmniej pod tym względem.

- Juliana Peters - powiedziała, kiedy już skończyła żuć. - Wiedzieliśmy, że pan przyjdzie.

Z pewnością miała metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Postawna, o ciemnej cerze - Barbarotti od razu doszedł do wniosku, że jej korzeni raczej nie należałoby szukać w Knivsta czy na równinie Västgöta. Naraz w jego głowie zrodziło się pytanie, czy wyciąganie takich wniosków nie świadczy o uprzedzeniach, uznał jednak, że nie. Tak czy owak w kobiecie było coś imponującego i wyglądała trochę jak rumuńska oszczepniczka.

Jako oszczepniczka zaś musiała codziennie kilogramami wcinać marchew, żeby utrzymać formę.

Kto wpuszcza takie przemyślenia do mojej głowy? - pomyślał Barbarotti z irytacją. Precz z tym szajsem!

Tak czy siak kobieta miała ciemne oczy i gęste ciemne włosy, w których gdzieś zaczęły się ukazywać pasemka siwizny. Barbarotti uznał, że musi być starsza od męża, przynajmniej o pięć lat, może więcej. Mówiła ze szczyptą obcego akcentu, ale tylko szczyptą. Może nawet była Niemką?

- Dziękuję, że mnie państwo przyjęli - odezwał się Barbarotti. - Tak jest prościej, niż gdybyśmy mieli jechać na komisariat.

Nie zaszkodzi pokazać, jaki jest rozkład sił, pomyślał.

Dostrzegł, że kobietę to zdziwiło. Ale nie skomentowała jego słów.

- Oczywiście - powiedziała tylko. - Billy jest u siebie. Nic nie stoi chyba na przeszkodzie, abym uczestniczyła w spotkaniu?

- Muszę porozmawiać z Billym w cztery oczy - oznajmił Barbarotti. - Może potem zamienię jeszcze kilka słów z panią,

ale nie jestem pewien, czy to będzie konieczne.

Nadal stali w ciasnym przedpokoju. Zaczęła oglądać ostatni kawałek marchewki, który wcześniej chowała za plecami. Jakby próbowała go zbadać. Poznać jego najgłębszą tajemnicę, czy coś w tym stylu, albo porównać z policjantem, którego, chcąc nie chcąc, ściągnęła sobie na głowę. Z głębi mieszkania dochodziły ciche dźwięki muzyki, ale Billy nadal się nie pojawił.

- W takim razie pójdę z Julią po zakupy - zdecydowała Juliana Peters, kiedy próba sił już się zakończyła. Następnie krzyknęła do męża: - Billy, ten gliniarz już tu jest!

Pięć minut później siedział naprzeciwko Billy'ego Helgessona przy owalnym szklanym stole pokrytym ozdobami, głównie małymi zwierzątkami, również ze szkła, stojącymi na malutkich szydełkowych serwetkach. Ledwo starczyło miejsca na dwie filiżanki kawy. Juliana i Julia - wysoka, szczupła dziewczynka w wieku około dwunastu lat, która weszła do środka i grzecznie się przywitała - poszły załatwiać sprawunki, ale zapowiedziały, że niedługo wrócą.

W tym czasie „gliniarz” zamieni kilka słów z Billym.

Nie był pewien, czy słowa „gliniarz” użyła w negatywnym sensie. Naprawdę nie miał pewności.

Billy Helgesson dorównywał swojej żonie, a nawet ją przewyższał pod względem rozmiarów i siły. W każdym razie tak to wyglądało. Siła charakteru to pewnie inna sprawa, a przynajmniej takie wrażenie odniósł w pierwszej chwili Barbarotti. W wielkim, skulonym na skórzanej kanapie mężczyźnie była swoista miękkość i rezygnacja: wyglądał, jakby źle się czuł - zarówno w pokoju, jak i we własnym ciele, a także w towarzystwie inspektora. Filiżanka kawy w jego wielkiej garści przypominała naparstek. Jedyne, co do tej pory z siebie wykrztusił, było ostrożne „dzień dobry”.

Nieśmiałość to tylko słowo, jak to się mówi, pomyślał Barbarotti i zaraz przypomniał mu się bohater książki Johna Steinbecka, którą czytał dawno temu i której tytułu nie pamiętał.

- No dobrze - zaczął, usłyszawszy, że drzwi się zamknęły. -

Miło, że zgodził się pan chwilę ze mną porozmawiać.

- Tak, tak - odparł Billy Helgesson.

- Jak już mówiłem, przychodzę dlatego, że próbujemy wyjaśnić parę spraw. Dotyczy to przede wszystkim Arnolda Morindera, z którym pańska mama mieszkała przez kilka lat. Wie pan, kto to taki, prawda?

- Tak - odpowiedział Billy Helgesson. - Raz go widziałem.

- Tylko raz?

- Tak. Byłem tam.

- To znaczy odwiedził pan ich w Kymlinge?

- Tak.

- Gdzie mieszkali?

- Nie pamiętam ulicy. Chyba to było w Rocksta?

- Czyli nie miał pan okazji lepiej poznać Arnolda Morindera?

- Nie.

Siedział w milczeniu, przyglądając się swoim wielkim dłoniom.

Tak pewnie musi wyglądać wywiad z narciarzem z Abisko, pomyślał Barbarotti. Takim, który połamał kijki i zjawił się na mecie jako ostatni. Choć nie wiadomo, po co ktokolwiek miałby przeprowadzać wywiad z kimś takim.

O, znowu mam uprzedzenia. Narciarz i oszczepniczka? Nie, Billy Helgesson był zbyt postawny jak na narciarza.

Barbarotti zamknął oczy i spróbował uchwycić jakiś wątek.

- Kiedy to było? Kiedy odwiedził pan matkę i Arnolda Morindera?

Billy Helgesson się zastanowił.

- Nie pamiętam - przyznał w końcu. - Pięć, sześć lat temu. Zanim zaginał.

Rozumiem, że nie spotkałeś go po tym, jak zaginał, pomyślał Barbarotti.

- Jaki on był?

- Mały - odparł Billy Helgesson.

- I spotkał go pan tylko ten jeden jedyny raz?

- Tak.

- Co pan sobie o nim pomyślał?

- W porządku - odparł Billy Helgesson.  
- Okej - powiedział Barbarotti. - Jak dużo czasu spędza pan z matką?

- Niedużo.

- Co to znaczy?

- Co? - spytał Billy Helgesson.

- Chcę tylko wiedzieć, jak często się spotykacie. Czy dużo ze sobą rozmawiacie i w ogóle.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Może dlatego, że potrzebuję pańskiej pomocy - podsunął Barbarotti.

Billy się wahał. Zmienił pozycję i odchrząknął.

- Spotykamy się raczej rzadko - powiedział. - Ona zwykle dzwoni. Ale nie za często.

- Byłem wczoraj w Hallsbergu - oznajmił Barbarotti. - Rozmawiałem przez chwilę z Lisbeth Mattson. Choć może z nią też nie utrzymuje pan za bardzo kontaktu.

Billy Helgesson skrzyżował ręce na piersi.

- Mam swoją rodzinę - oświadczył.

- Julianę i Julię?

- Tak.

- Jak to było dorastać w Hallsbergu? Z Lisbeth i Gunderem.

- Dobrze.

- W jakim sensie?

- Opiekowali się mną. Byli spoko.

Barbarotti zrobił pauzę i wypił trochę kawy. Miał nadzieję, że Billy powie coś sam z siebie, jednak nic takiego się nie stało. Skrzyżowane na szerokim mostku ramiona dodały mu jednak nieco pewności siebie, a przynajmniej tak się wydawało. „Mam swoją rodzinę”.

- Po tym, jak zaginął Arnold Morinder - ciągnął optymistycznie Barbarotti - musiał pan chyba rozmawiać o tym sporo z mamą?

- Nie - odpowiedział Billy Helgesson. - Nie rozmawiałem zbyt dużo.

- Nigdy nie rozmawialiście o tym, co mogło się z nim stać?

- Nie.

- Ale pan o tym wiedział?
- Tak.
- Skąd?
- Chyba ona zadzwoniła. Było też o tym w gazetach. Ale nie miała z tym nic wspólnego.
- Skąd pan to wie?
- Wiem. Powiedziała mi.
- Był pan kiedyś w Rybnym Domku?
- W jakim Rybnym Domku?
- Nie wie pan, że pańska mama i Arnold Morinder mieli domek letniskowy?
- Zawahał się.
- No, może. Czy to stamtąd odjechał na motorowerze?
- Tak - potwierdził Barbarotti. - A przynajmniej wszyscy tak uważają. Nic więcej pan o tym nie wie?
- Nie - odpowiedział Billy Helgesson i ostrożnie potrząsnął swoją wielką głową. - Nie wiem.
- No dobrze - rzekł Barbarotti. - Zostawmy to. Kiedy ostatnio rozmawiał pan z mamą? Przychodzi tu czasem?
- To były dwa pytania zamiast jednego i Billy Helgesson myślał dobrą chwilę, zanim odpowiedział.
- Obchodzimy Boże Narodzenie - powiedział. - Czasami przychodzi. Kuzynka Juliany też, obydwie były tu w zeszłe święta.
- Kuzynka Juliany i pańska mama?
- Tak.
- A kiedy widział się pan z nią po raz ostatni?
- Wtedy - odrzekł Billy Helgesson.
- W święta?
- Tak.
- Ale później rozmawiał pan z nią przez telefon?
- No tak - odparł Billy Helgesson z naciskiem. - Jasne, że tak.
- Pamięta pan, kiedy ostatnio?
- Znów się zamyślił.
- Kilka tygodni temu. Miała jechać do Lapplandii.
- A, no właśnie - powiedział Barbarotti. - Z tego, co wiem, była gdzieś koło Vilhelminy?

- Tak. Zwykle tam jeździ.
- Naprawdę? Jeździ w to samo miejsce?
- Tak myślę. Kogoś tam zna.
- O czym jeszcze rozmawialiście, kiedy zadzwoniła?
- O niczym szczególnym. Pytała, jak się czujemy i takie tam.
- Mówiła, na jak długo pojechała do Norrlandii?
- Nie. Chyba na tydzień. A może dwa.
- Nie wie pan, gdzie jest teraz?
- Moja mama?

A niby kto? - pomyślał Barbarotti.

- Tak jest - powiedział. - Pańska mama. Wie pan może, gdzie aktualnie przebywa?

Billy Helgesson opuścił ręce i przyjrzał się swoim szerokim ramionom.

- A nie ma jej w domu?
- Nie - odpowiedział Barbarotti.
- Ani w Lapplandii?
- Nie, wyjechała stamtąd.
- No to nie mam pojęcia.

Świetnie, pomyślał Barbarotti. No to się dowiedzieliśmy. Jak teraz kontynuować tę inspirującą rozmowę?

- Czy pańska mama ma jakichś znajomych, których odwiedza? - zapytał. - Nie chodzi mi o nikogo w tym pensjonacie. Tam jej już nie ma. Chciałbym z nią porozmawiać i nie bardzo wiem, gdzie mógłbym jej szukać.

Billy drapał się przez chwilę po szyi, po czym odpowiedział:

- Ona nie ma chyba zbyt wielu znajomych. Nie, nie wiem.

Barbarotti zmienił temat.

- Jak znalazł się pan w Sztokholmie? Wychowywał się pan przecież w Kymlinge i Hallsbergu.

- Odbywałem służbę wojskową - odparł Billy. - A potem poznałem Julianę.

- Odbywał pan służbę tutaj, w Sztokholmie?

- Tak. W K1.

Barbarotti zapytał się w myślach, czy chce słuchać wojskowych wspomnień Billy'ego Helgessona, i odpowiedział sobie, że już ma dosyć.

- To, co stało się w Małej Birmie, musiało być chyba straszne? - zapytał.

Nie bardzo wiedział, dlaczego nagle zadał to pytanie, wcześniej bowiem zdecydował, że będzie unikał tego tematu. W chwili zdarzenia Billy miał dwanaście lat, Barbarotti wiedział, że policjanci z nim rozmawiali, ale nie udało im się niczego z niego wydusić. Nie było żadnych protokołów, tylko raporty o tym, że z nim rozmawiali. Próbowali rozmawiać - jeśli Lisbeth Mattson mówiła prawdę, twierdząc, że w tamtym czasie był, praktycznie rzecz biorąc, niemową, można to było łatwo zrozumieć.

- Tak - odparł Billy. - Ale nie chcę o tym mówić.

- Dobrze to rozumiem - rzekł Barbarotti. - To, co się stało, było okropne. Czy ktoś panu pomagał sobie z tym poradzić?

- Lisbeth i Gunder się mną zajęli.

- Wiem o tym. A pana tata, jakie ma pan o nim wspomnienia?

Było to kolejne pytanie, którego nie zamierzał zadawać, ale już było za późno. Billy Helgesson siedział dobrą chwilę w milczeniu, przyglądając się splecionym na kolanach dłoniom.

- Był bydlakiem - stwierdził w końcu. - Nie lubiłem go.

- Ale mamę pan lubi?

- Tak - odparł Billy Helgesson. - Teraz mam swoją rodzinę. Barbarotti uznał, że to wystarczy.

Przed wyjściem z domu przy Blekingegatan miał jeszcze okazję zamienić kilka słów z Julianą Peters. Ona i jej córka wróciły z torbami zakupów akurat w chwili, kiedy Billy Helgesson żegnał go w przedpokoju.

Zamieniając te słowa, stali w kuchni za zamkniętymi drzwiami - to ona na to nalegała, nie inspektor.

- Chcę panu wytłumaczyć jedną rzecz - powiedziała. - Wysłałam za Billy'ego, ponieważ potrzeba mi było mężczyzny, który mógłby mnie obronić i przy którym czułabym się bezpiecznie. Zanim się poznaliśmy, przeżyłam rzeczy, o których nie chcę mówić. Miałam trudną młodość i trudne życie aż do momentu, kiedy poznałam Billy'ego. Wiem, jaki on jest, ale to dobry ojciec i dobry człowiek. Nigdy się na nim nie zawiodłam.

Chcę tylko, żeby pan to wiedział.

- Dziękuję - odparł Barbarotti. - Chyba rozumiem.

Następnie zapytał, czy przychodzi jej do głowy, jak mógłby się skontaktować z Ellen Bjarnebo, ale w tej sprawie miała do powiedzenia równie mało jak jej mąż.

Kiedy Gunnar Barbarotti wyszedł z domu pod numerem 76, była dwunasta piętnaście. Co się zaś tyczyło tak zwanego dochodzenia, którym się zajmował, czuł wyraźnie, że dotarł do końca drogi.

## 25

Eva Backman była zdenerwowana.

Powodem było praktycznie wszystko. Aspirant WennergrenOlofsson, z którym aż do szóstej poprzedniego wieczoru toczyła jałowe kryminalnopolityczne dysputy. Jej były mąż, z którym tego ranka rozmawiała przez telefon. A także ta zarozumiała smoczyca, jego żona, i mydlkowy адвокат nazwiskiem Wilkerson, który zachęcał oboje byłych małżonków, żeby ze sobą porozmawiali. Dalej na liście byli: dziennikarz z gazety „GT”, który w ciągu ostatnich dwóch dni zadzwonił do niej jedenaście razy, Raymond Fängström, który przez całe życie był idiotą i rasistą i miał na tyle zły gust, aby dać się otruć nieznanemu trucicielowi albo nieznanym trucicielom, Gunnar Barbarotti, który wyjechał do Sztokholmu, przez co nie mogła mu się wyżalić, i wreszcie Bóg, ponieważ pozwolił Marianne umrzeć.

Znalazłoby się jeszcze kilka powodów. Poza tym za dwa dni będzie miała okres.

I w ogóle była sobota.

Praca w sobotę kłóciła się ze światopoglądem Evy Backman, kiedy jednak wybrany przez obywateli szwedzki demokrata ginie w niejasnych okolicznościach, trzeba pięknie rozwinąć żagle.

Takiego sformułowania użył Asunander na wczorajszej, cieszącej się sporym zainteresowaniem konferencji prasowej.



Szeregując w głowie powody swojej irytacji, szybko wcisnęła komisarza na jedno z miejsc na podium.

Aktualnie siedziała w swoim gabinecie i czekała przy komputerze za brzydkim, chwiejnym biurkiem, które uginało się pod ciężarem pozostawionych bez odpowiedzi emaili i stosów źle sporządzonych, jeszcze nieprzeczytanych raportów. Za oknem był początek lata. LillMarlene Fångström mówiła, że będzie tu o dziesiątej. Było już piętnaście po.

LillMarlene? - pomyślała Eva Backman. Gówniane imię.

Była mocno umalowana i wyglądała mniej więcej tak jak na zdjęciach w prasie. I podczas ich wcześniejszych spotkań. Sześćdziesięciolatka, która starała się wyglądać na dwadzieścia osiem. LillMarlene Fångström robiła wielką sprawę ze śmierci syna, „osoby zaufania publicznego”. Wypowiadała się we wszystkich możliwych mediach, społecznościowych i tradycyjnych. Na swoim świeżo uruchomionym blogu zbierała nazwiska, głosy i pozytywne komentarze z przeróżnych wątpliwych stron, pojawił się nawet pogląd, że to ona powinna zająć miejsce zmarłego Raymonda w radzie.

Ta propozycja jednak nie wyszła od niej samej - nie miała takich ambicji i, o ile Eva Backman się orientowała, nie interesowała się polityką. To, że ma takie same poglądy jak syn, nie było żadną tajemnicą. Twittując, blogując i rozmawiając z zagłodzonymi dziennikarzami, powtarzała w zasadzie dwa postulaty. Po pierwsze, policja musi dołożyć wszelkich starań, żeby schwytać podstępnych i zdradzieckich obcokrajowców, którzy zabili jej syna. Kiedy to już się stanie i umieści się ich (jego? ją?) za kratkami, całą resztę powinno się wywieźć z Kymlinge.

Cały zdradziecki element. Obcego pochodzenia, znaczy się, czy jak to się tam mówi. Żeby przyzwoici ludzie mogli wychodzić w nocy z domu. Po drugie, żądała ochrony osobistej. Nie czuła się bezpiecznie na ulicach, a przecież także jej życie było zagrożone.

Eva Backman rozmawiała z nią wcześniej dwa razy, trzeciej rozmowy zażyczyła sobie sama LillMarlene Fångström. Późnym piątkowym popołudniem (pod koniec beznadziejnych

dysput Evy z WennergrenemOlofssonem) zadzwoniła na komisariat i powiedziała, że ma ważną informację, tak ważną, że nie chce przekazywać jej przez telefon.

Nie mogła przyjść w piątkowy wieczór, ponieważ miała wtedy inne rzeczy do roboty.

- Ta pani informacja nie jest na tyle ważna, żeby tę sprawę priorytetować? - zapytała Eva Backman.

- Prio. co? - odparła LillMarlene. - Coś pani bredzi, zjawię się jutro o dziesiątej.

I teraz w końcu weszła majestatycznym krokiem. Ze świeżo ufarbowanymi włosami i na wysokich obcasach.

- Proszę usiąść - powiedziała Backman. - Spóźniła się pani dwadzieścia minut.

Zanim wyszło na jaw, o jaką informację chodzi, minęło trochę czasu.

Zrozpaczona matka najpierw trochę popłakała, tak samo jak podczas dwóch poprzednich przesłuchań. Pożaliła się, podesperowała i pochlipała kilka minut, po czym poświęciła dobrą chwilę na poprawienie makijażu, w międzyczasie po raz trzeci opowiadając inspektor Backman o licznych przymiotach i zaletach swojego syna. Swojego jedynego syna. Patriotyzm. Duma. Wyjątkowa wiedza na temat szwedzkiej historii. Odwaga i poczucie sprawiedliwości.

Omówiła jego krótką, ale świetlaną karierę instruktora harcerskiego, nie zapominając o talencie politycznym. Żeby nie powiedzieć geniuszu. Politycznym geniuszu. Backman się wyłączyła i pozwoliła jej mówić.

Dlaczego nie potrafię jej współczuć? - myślała. Przecież to okropne.

Na początku współczuła. Naturalnie. Matka, której zabijają jedyne go syna (to, że został otruty, ustalono niezbitcie kilka dni temu, ale o jaką truciznę chodziło i jak została podana, wciąż

jeszcze nie wiedzieli ze względu na jakiś problem w laboratorium) - smutniejszą i bardziej tragiczną historię trudno sobie chyba wyobrazić.

W zachowaniu LillMarlene Fångström było jednak coś, czego z czasem Eva miała dosyć. Tak po prostu. Próbowwała

walczyć ze swoją obojętnością, ale w taki dzień jak dziś - w sobotnie eldorado irytacji - było to skazane na niepowodzenie.

- Tak więc zauważyłam ich przedwczoraj - przystąpiła w końcu do rzeczy LillMarlene Fängström, po czym zrobiła teatralną pauzę.

Backman zorientowała się, że zdążyła odpłynąć myślami. Poprawiła się na krześle.

- Przepraszam-powiedziała.

- Kogo pani przedwczoraj widziała?

- Tych mężczyzn. Przecież mówię.

- Proszę o tym opowiedzieć.

- Przecież właśnie to robię - odparła LillMarlene Fängström i zaczęła majtać jednym butem. Był jasnozielony, wisiał na dużym palcu u nogi i wyglądał na o dwa numery za duży. - Mówię przecież, że dobrze im się wczoraj przyjrzałam, ale to przedwczoraj, czyli w czwartek, widziałam ich po raz pierwszy. Było ich dwóch i nie mieli żadnego powodu, żeby tam się znajdować. No bo jaki? Słucha mnie pani?

- Gdzie? - zapytała Backman. - Gdzie ich pani widziała?

- Pod jego domem, rzecz jasna - odpowiedziała Fängström. - Byłam w środku i sprzątałam. Przeglądałam jego rzeczy, ktoś w końcu musi to zrobić, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się Backman.

Taka bowiem była prawda. Mieszkanie, które zajmował Raymond Fängström i w którym później znaleziono go martwego, nie było już uznawane za miejsce zbrodni. Policijni technicy w ciągu kilku dni gruntownie przebadali sześćdziesiąt dwa metry kwadratowe, zrobili dwieście pięćdziesiąt zdjęć i zarekwirowali wszystko, co mogłoby posłużyć za jakąkolwiek wskazówkę. Odciski palców zostały zabezpieczone. Śmieci, włosy, komputer, odcięte paznokcie - tym wszystkim się zajęto. Było oczywiste, że matka ofiary może tam pójść i posprzątać, jeśli chce.

- Zobaczyłam ich przez okno w kuchni - kontynuowała Fängström. - Siedzieli na ławce w ogrodzie i udawali, że rozmawiają. Ale tak naprawdę obserwowali.

- Obserwowali? - zapytała Backman.

- Obserwowali mieszkanie. Mówię przecież. Siedzieli tam tak długo, jak długo byłam w mieszkaniu. Prawie godzinę po tym, jak ich zobaczyłam. Mieli ze sobą gazety, ale ich nie czytali. I nie szli za mną. Zadzwoiłam po KjellaArnego i przyjechał po mnie samochodem, więc nie mieli takiej możliwości.

KjellArne był obecnym partnerem LillMarlene. Nie mieszkali pod jednym dachem, ale byli ze sobą ponad rok, więc wszystko było możliwe. Ta informacja wypłynęła zarówno przy pierwszym, jak i przy drugim przesłuchaniu. Jeżeli chodzi o resztę rodziny LillMarlene, to miała również córkę Belinę, która obecnie mieszkała na Florydzie. Pytano o ojców Raymonda i jego siostry, ale ich matka wolała nie odpowiadać. Bez znaczenia dla sprawy.

Eva Backman zapisała: „bez znaczenia”, nie upewniając się, czy to właśnie LillMarlene miała na myśli.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała - ale musi być coś więcej. Dwóch mężczyzn siedzących na ławce przy tak pięknej pogodzie. to mogło być całkiem niewinne zajęcie.

- Oni nie byli niewinni. Proszę słuchać, co mówię. Po południu opiszę to na moim blogu.

- Do tego się już nie mieszam - powiedziała Backman. - Mówi pani, że wczoraj widziała ich znowu?

- Tak jest - odparła LillMarlene, gniewnie majtając butem, i Backman zauważyła, że na podeszwie nadal jest metka. - Kiedy byłam tam wczoraj, siedzieli w tym samym miejscu. Nie od początku, ale po chwili tam siedli. Ci sami mężczyźni, ta sama ławka. I też patrzyli w okno.

- Robili coś jeszcze? - spytała Backman.

- Nie, tylko siedzieli i obserwowali.

- Co pani zrobiła?

- Zadzwoiłam tutaj - odpowiedziała Fängström. - Może chociaż tyle pani pamięta. Nie chcecie schwytać morderców mojego syna? Bo muszę przyznać, że czasem się zastanawiam.

- Oczywiście, że zależy nam na schwytaniu sprawcy - powiedziała Backman. - Jak długo tam siedzieli?

- Co najmniej pół godziny.

- A potem?

- Potem sobie poszli.

Backman zamyśliła się i żeby zyskać na czasie, nabazgrała coś w notatniku. Dając sobie kilka dodatkowych sekund na ocenienie informacji, które ta na wpół historyczna kobieta właśnie jej przekazywała.

- Rozpoznałyby ich pani? Myśli pani, że byłaby w stanie podać precyzyjny rysopis?

- Tak mi się wydaje - odparła LillMarlene Fängström. - Przynajmniej jednego. Wyglądał dokładnie jak ten przeklęty Morinder.

- Morinder? - zdziwiła się Backman.

- Tak, Arnold Morinder. Wiem, że przez kilka lat był zaginiony, ale ten człowiek wyglądał kropka w kropkę tak samo.

Eva Backman musiała zamknąć na chwilę oczy, żeby zrozumieć, co tak naprawdę zostało powiedziane.

- Mówi pani o Arnoldzie Morinderze, elektryku, który zaginął pięć lat temu? - zapytała.

- Tak, właśnie o nim - odparła LillMarlene Fängström. - W tym mieście chyba nie ma zbyt wielu osób o tym nazwisku.

- Znała go pani?

- Oj tam od razu znała. Dziewięć lat chodziliśmy do jednej klasy.

- Aha? - odparła Backman z braku lepszej odpowiedzi.

- Ale nie znałam go. Był dziwakiem. W końcu związał się z tą Ellen.

Backman pochyliła się do przodu.

- Chwileczkę. Mówi pani o Ellen Bjarnebo?

- Tak jest, o Rzeźniczce - powiedziała Fängström i zmarszczyła nos. - W tym przybytku to chyba znane nazwisko?

- Co miała pani na myśli, mówiąc „w końcu”? - zapytała Backman.

- Tak powiedziałam?

- Tak. Powiedziała pani, że związał się z nią „w końcu”.

- Aha, powiedziałam tak, bo uganiał się za nią już w czasach szkolnych.

- Słucham?

- Już wtedy na nią leciał, takie rzeczy się pamięta. Pieprzona para, przepraszam za wyrażenie, ale do nich pasuje. Poza tym wydaje mi się, że ten cały Morinder był Cyganem. mówiło się o nich „wędrowcy”, ale to zdecydowanie zbyt eleganckie określenie jak na takich ludzi. Bo niby dlatego, że cały czas wędrowali?

Uciszył się na chwilę, żeby móc się skupić, pomyślała Backman.

- Chodziła do naszej klasy tylko rok, ale, matko, jak on się za nią oglądał - ciągnęła niestrudzenie LillMarlene Fängström. - Myślę też, że raz mu pozwoliła. Nie na wszystko, mam na myśli pieszczoty. Choć ona była równie dziwna, zahukana, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Na pewno nie miała żadnych koleżanek. A później zmieniła szkołę. I dobrze.

- Kiedy to było? - spytała Backman.

LillMarlene Fängström włożyła do ust wskazujący palec i chwilę się zastanawiała.

- W ósmej klasie - odparła. - Tak, chyba w ósmej, wiosną. Wtedy widziałam, jak się migdała. Na szkolnej potańcówce, tak się na to wtedy mówiło.

- Chwileczkę - wtrąciła Backman. - Twierdzi pani więc, że Arnold Morinder i Ellen Bjarnebo chodzili razem do ósmej klasy i może. może coś ich łączyło.

- Jakie to ma znaczenie? - odpowiedziała LillMarlene Fängström i wsunęła stopę do buta. - Przecież mówię tylko, że jeden z tych typów na ławce wyglądał jak Morinder. Nie mówię, że to był on. Czy nie zależało pani na rysopisie?

Eva Backman odchyliła się do tyłu i zastanawiała przez chwilę.

- Jasne - powiedziała. - W porządku. A ten drugi jak wyglądał?

- Wydawał się młodszy. Miał długie włosy, opadające na twarz. Trudno było mi go dojrzeć. Też ciemny, rzecz jasna. Nie mogłam przecież tak po prostu się na nich gapić, prawda? Nie wiedziałam nawet, czy są uzbrojeni.

- Mogłaby pani opisać ich ubiór? - poprosiła Backman.

Jednocześnie włączyła magnetofon - dopiero teraz przyszło

jej to do głowy. Mama zmarłego demokrata poświęciła kolejnych pięć minut na opisywanie mężczyzn na ławce, jednak Eva Backman pozwoliła taśmie się kręcić, a swoim myśłom powędrować w zupełnie innym kierunku.

Czy to cokolwiek znaczy? - pytała sama siebie.

A jeśli tak, to co? Jakie to ma znaczenie, jeśli Bjarnebo i Morinder znali się już w wieku kilkunastu lat? Prawdopodobnie żadne, choć była pewna, że jest to dla niej nowina.

Idź już, babo, pomyślała. Czeka mnie ważna rozmowa.

Zanim LillMarlene Fängström była gotowa do wyjścia, minęło jednak kolejne dwadzieścia minut, Eva Backman zaś dała jej wyraźne polecenie, żeby przyszła ponownie o dziewiątej rano w poniedziałek. Porozmawia wtedy z aspirantem Wennergrenem Olofssonem i powtórzy mu słowo w słowo to, o czym mówiła przez ostatnią godzinę.

W takich sprawach właśnie w ten sposób się pracuje - wyjaśniła. Do wszystkiego podchodzi się z najwyższą powagą, niczego nie pozostawiając przypadkowi. Zwłaszcza kiedy są w to zamieszane „osoby zaufania publicznego”. Tego by tylko brakowało.

Kiedy została sama, zadzwoniła najpierw do Wennergrena Olofssona i podzieliła się z nim tym, czego właśnie musiała wysłuchać. Nic jednak nie wspomniała o Morinderze ani o Bjarnebo. Wennergren Olofsson przeanalizował błyskawicznie sytuację i stwierdził, że najprawdopodobniej właśnie nastąpił przełom. Po co czekać do poniedziałku?

- Ponieważ jest piękna pogoda - odparła Backman. - Nie nakręcaj się tak.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył zaprotestować.

Zadzwoniła na komórkę do Barbarottiego. Nie odbierał, prosił, żeby zostawić wiadomość po sygnale.

Tak też zrobiła, nie zdradzając, co jej leży na wątrobie. Krótko i zwięźle poprosiła, żeby do niej zadzwonił, jak tylko ruszy tyłek.

Kiedy nawet z tym detalem się uporała, zauważyła ze zdziwieniem, że prawie całe zdenerwowanie z niej spłynęło.

**3 czerwca 1989**

Miała zamiar postawić granicę, ale uległa.

Chciała powiedzieć, że może zrobić zakupy za równe dwadzieścia koron, ale widząc jego proszące spojrzenie i smutną dolną wargę, dała za wygraną. Jak zwykle. Nakupili kilometry żelków, pudełek z pastylkami i drobnych słodczy za ponad trzydzieści pięć koron, a kiedy wracali ze stacji, widziała, że jest szczęśliwy.

Tak szczęśliwy, jak tylko mógł być. Nic oczywiście nie mówił, ale szedł blisko niej, przeżuwał i pomrukiwał, jak zwykle, kiedy czuł się dobrze.

Tak dobrze, jak tylko mógł się czuć. Z jego gardła dobywał się niski i wibrujący dźwięk, jakby pierwotny, choć nie była pewna, czy jest tego świadom.

Moja świnko, pomyślała, jak ty sobie poradzisz w życiu?

Kiedy wracając, mijali Wielką Birnę, natknęli się na Ingvor i Erika: właśnie wsiadali do samochodu, żeby pojechać do miasta i załatwić jakąś sprawę. Pomyślała, że dla postronnego obserwatora musiałoby to wyglądać jak spotkanie dwóch światów. Erik i Billy byli niemal równolatkami, ale przestali się ze sobą bawić już w wieku jakichś siedmiu lat - zbyt wiele ich różniło. Teraz nawet na siebie nie patrzyli. Erik miał na sobie wąskie, czarne dżinsy i czerwoną koszulę, wystającą spod bładożółtego sweterka w serek, żadna z części garderoby nie wyglądała na starszą niż tydzień, tak samo zresztą było z ubraniami jego mamy. Naprawdę przypominało to scenę ze starego angielskiego filmu: państwo i służący, którzy znienacka wpadli na siebie na dziedzińcu. Ingvor przywołała na usta uśmiech.

- Cześć, trochę nam się spieszy.

- Nie zatrzymuję - odparła Ellen.

Mogła jeszcze dodać: „Kilka godzin temu pieprzyłam się z twoim mężem”. Niewiele by tym zdziałała, ale mogłoby być zabawnie zobaczyć reakcję. Zarówno chłopaka, jak i zdradzonej



kobiety.

- Jak idzie z basenem? - zapytała zamiast tego.

- Dobrze, dziękujemy - odparła Ingvor, zmuszając się do utrzymania uśmiechu na ustach.

Przez kilka sekund zastanawiała się najwyraźniej, czy musi zaprosić ich na coś w rodzaju próbnego pływania, ale jej rozsądniejsza strona wzięła górę i do zaproszenia nie doszło.

- Trochę nam się spieszy - powtórzyła. - Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - odparła Ellen, a Billy zamruczał.

Erik nie wypowiedział ani słowa. Zdobył się tylko na puste skinienie, strzepnął włos ze swetra i usiadł na siedzeniu pasażera.

Przynajmniej mamy z Harrym jedną wspólną cechę, pomyślała Ellen, patrząc, jak odjeżdżają. Jednakowo lubimy swoich sąsiadów.

Nie wracał.

Nie miała nic przeciwko temu, jednak wraz z mijającymi popołudniowymi godzinami gęstniał w niej niepokój. Fakt, że Harry wciąż był w mieście, mógł oznaczać, że spotkał starych kolegów. Nie było ich co prawda wielu - pewnie tylko dwóch, pewnie Staffan i Börje, no i może jeszcze ten nieprzyjemny, śliski typ, na którego mówili Ziggy - ale znaczyło to również, że najprawdopodobniej grali w karty. Poker i piwo. Jeśli Harry przegrywał, wracał do domu w najgorszym z możliwych humorze. A z reguły przegrywał.

Poza tym był samochodem. O prowadzeniu po alkoholu rozmawiali nie raz, a ostatnia taka rozmowa skończyła się tym, że rozkwasił jej wargę.

Postanowiła, że mimo wszystko przygotuje polędwicę wieprzową po duńsku. Gdyby Harry bardzo się spóźnił, ona i Billy zjedzą sami, a resztę można będzie później odgrzać w piekarniku. To, czy przyjdzie głodny, również nie było pewne - może już zjadł z kolegami pizzę. Czasami tak się zdarzało.

Kiedy siedząc przy stole, kroїła pieczarki, w jej głowie pojawiła się myśl, która od jakiegoś czasu nie dawała jej spokoju: nic by się nie stało, gdyby w ogóle nie wrócił. Gdyby na przykład wsiadł po pijaku za kierownicę i się zabił, nie

rozpaczałyby ani trochę. Nie licząc jakichś łez pod publikę. Takie myśli były okropne i jak zwykle zepchnęła je do kiepsko oświetlonego kąta świadomości.

Zwyczajna myśl: jaka to byłaby różnica? W tym kącie kryło się już niejedno.

Było kilka minut po wpół do siódmej, kiedy usłyszała podjeżdżający samochód. Jeszcze nie zdążyli zjeść, a zatem siadła do stołu we trójkę. Podeszła do okna i wyjrzała.

Przyłożyła rękę do ust, lecz mimo to nie udało jej się powstrzymać krzyku. Billy jednak był zamknięty w swoim pokoju, nikt więc jej nie słyszał.

Było gorzej, niż się obawiała.

On właściwie wypadł z samochodu.

Zaparkował krzywo, jednym kołem stając na rabatce, a kiedy drzwi się otworzyły, wylądował na czworakach. Potrząsnął głową i zaczął pełznąć w stronę drzwi, po kilku metrach zatrzymał się i stanął na nogi.

Chwiał się przez chwilę, pocierając twarz dłonią. Wytarł rękę w spodnie i wtedy zobaczyła, że wymiotował. Jasnyniebieska koszula miała plamy po rzygach, spodnie tak samo. Mogły to oczywiście być plamy z czegoś innego, ale w takim razie z czego? Cofnęła się o krok, żeby jej nie zobaczył. Poczowała impuls, żeby uciekać. Po prostu zostawić to wszystko, wziąć chłopca i na zawsze zniknąć z tej. z tej męczącej, powoli mroczniejącej i kurczącej się beznadziei, która. która była losem, jaki jej zgotował. Jej i Billy'emu.

Ale impuls umarł. Nie było dokąd pójść. Żadnych przyjaciół, którzy by ich przygarnęli, żadnej rodziny, do której mogliby wrócić. Żadnej siatki ochronnej, żadnego wyjścia. Stała więc i patrzyła na swojego męża.

Koniec z tym, pomyślała.

Gunnar Barbarotti przeszedł Götgatan aż do Slussen. Rozmowa z Billym Helgessonem ciążyła mu jak kamień w żołądku.

Nie tylko zresztą ta rozmowa, stwierdził po zastanowieniu, ale cała historia. Kobieta, która zabija męża, bo nie może już wytrzymać - i ponosi konsekwencje. Przecież tak właśnie było. Wszystko, co słyszał o Harrym Helgessonie, mówiło samo za siebie. Był draniem, znęcającym się nad rodziną; bydlakiem, jak nazwał go syn. Barbarotti brał pod uwagę myśl, że fakt, iż chłopiec nie mówił, mógł wynikać z surowej postawy ojca. Tego, że w dzieciństwie był tak zahukany, iż po prostu nie miał odwagi się odzywać. Czy to możliwe? Czy Lisbeth Mattson mimo wszystko trafnie oceniła sytuację? Trudno powiedzieć, ale Billy i jego mama z pewnością mieli ciężko w Małej Birmie. Tak ciężko, że pewnego dnia zdecydowała się na jedyne wyjście z sytuacji, jakie potrafiła znaleźć: pozbyła się tyrana i poniosła karę.

Na to, że przy okazji trochę go rozczłonkowała i ukryła w lesie, Barbarotti był skłonny przymknąć oko. Przynajmniej teraz, po latach, w taki słoneczny dzień jak dziś; w końcu przesiedziała w Hinsebergu ponad dekadę.

A może to fałszywy obraz? Czy były inne okoliczności, rzucające światło gdzie indziej, które jednak nigdy nie wyszły na jaw? Cokolwiek by mówić, straciła przez to Billy'ego. Bo przecież tak było? Kontakt między Ellen Bjarnebo a jej synem urwał się z chwilą, kiedy trafiła do więzienia. Ni stąd, ni zowąd zajęli się nim wuj i ciotka. Opuścił dom i wyładował u bezdzietnej pary w Hallsbergu. A tam najwyraźniej nie uważano za istotne, żeby matka i syn się spotykali. Jedna wizyta w towarzystwie pedagoga. Jedna rewizyta. W ciągu jedenastu lat.

Choć może da się ich zrozumieć, pomyślał Barbarotti. Przynajmniej patrząc z zewnątrz i przez szczególne okulary. Ojciec Billy'ego został zamordowany, mama Billy'ego była morderczynią. Nie jest to bagaż, który chciałoby się ze sobą ciągnąć w nowe miejsce. Zwłaszcza jeżeli jest się przeciętnie uzdolnionym, zahukany niemową.

Czy jednak nie można było załatwić tego lepiej? Z nieco większą troską? Tak przynajmniej można było sądzić, mając w ręku wszystkie odpowiedzi. Gdzie przez cały ten czas była

opieka społeczna?

A może mimo wszystko było to najlepsze, co się mogło zdarzyć? Może relacja chłopca z matką była równie zła jak ta z ojcem? Może Gunder i Lisbeth Mattsonowie postąpili ze wszech miar słusznie, odrywając Billy'ego od kiepskich korzeni i zasadzając w nowej glebie na urodzajnych terenach równiny Närke?

Skąd można wiedzieć, pomyślał Barbarotti, zatrzymując się na czerwonym świetle między dwoma dziecięcymi wózkami. Billy Helgesson z czasem zaczął wieść godne życie.

A przynajmniej coś w tym rodzaju. „Mam swoją rodzinę”. Nie uległa najmniejszej wątpliwości, że to Juliana Peters dzieliła i rządziła w domu przy Blekingegatan, ale Billy był pewnie do tego przyzwyczajony. Dorastając w Hallsbergu, nauczył się nie najgorzej mówić, ale fakt, że wyprowadził się stamtąd bez większego oporu, również chyba o czymś świadczył. Być może między Gunderem Mattsonem a Julianą dochodziło do rywalizacji, ale takie przypuszczenia to już taplanie się w bagnie spekulacji. Pewniejsze było to, że podczas odbytej dzień wcześniej rozmowy Lisbeth Mattson sprawiała wrażenie wystraszonej i nieszczęśliwej. Zastanawiał się, czy dziesięć, dwadzieścia lat temu było inaczej.

Zielone światło. Znów rozumowanie pełne uprzedzeń - pierwszy był gotów to przyznać, ale co innego mógł robić? Jeżeli ktoś każe ci dodać dwa do dwóch, myślał, to chyba nie ma sensu się cackać i udawać, że nie zna się odpowiedzi?

Tak czy inaczej cały czas niezmiennie wszystko kręciło się wokół Ellen Bjarnebo. Może jednak po wyprowadzce Billy'ego z Hallsberga miała z nim jakiś kontakt? Nawet jeśli za często się nie spotykali. Billy twierdził, że odwiedzała ich na święta, przynajmniej czasami. W każdym razie ich odwiedziła, on zaś wiedział, że pojechała do Norrlandii. Może nie było tak źle, jak Barbarotti z początku sobie wyobrażał. Może istniała między nimi jakaś więź.

W to, że przybrani rodzice przychodzą z wizytą na Blekingegatan, Barbarotti mocno wątpił. Tak samo jak w to, że Juliana Peters wysiada z pociągu w Hallsbergu.

Znowu czerwone światło. No a Arnold Morinder? Jak on się z tym, u licha, łączył? Czy to nie jego zniknięcie było ważniejsze od nikłych relacji międzyludzkich w rozbitej rodzinie BjarneboHelgesson? Tych, które Asunander kazał mu zbadać?

No właśnie, co tak naprawdę kazał mu zbadać Asunander?

Koniec drogi, pomyślał Barbarotti i o pięć centymetrów uniknął zderzenia z gońcem na rowerze, kiedy światło zmieniło się na zielone. Czy nie tam właśnie dotarłem przed chwilą?

Z powrotem na początek.

Obrazy się mnożyły.

Doszedł do księgarni Söderbokhandeln i przystanął. Zdecydował się dać spokój wszystkim posepnym rozważaniom i zamiast tego kupić Sarze prezent. Po udanym semestrze, na początek lata, jako podziękowanie za to, że pozwoliła mu spać na swojej kanapie i że była tym, kim była.

Znalazł elegancko wydany tomik wierszy Gunnara Ekelöfa. Poprosił o zapakowanie i zapłacił.

Dobra odmiana po książkach prawniczych, pomyślał. W życiu potrzebna jest równowaga. Miejmy nadzieję, że to doceni.

On sam czytał Ekelöfa na studiach w Lund. Szczerze mówiąc, więcej Ekelöfa i jemu podobnych niż tekstów prawniczych, pewnie dlatego potoczyło się, jak się potoczyło.

Kiedy doszedł do Slussen, rodzina BjarneboHelgesson była już zepchnięta na kraniec świadomości i pomyślał raz jeszcze, że Sztokholm jest niesamowicie piękny. Zwłaszcza w taki wczesnoletni dzień jak dziś, kiedy wszystko, całe to ciasno upakowane kamienne miasto, wszystkie te ciężkie budynki, skały, ulice i place, te parki, drzewa, ludzie i samochody, wszystko to wydawało się unosić na wodzie. Niemal falować. Gamla Stan. Riddarholmen i Kungsholmen, a daleko po prawej Djurgården. Wszystkie kościelne wieże, żeglujące ku usianemu chmurami niebieskiemu niebu.

Wręcz za dużo tego jak dla mnie, pomyślał Barbarotti, zatrzymał się przed hotelem Hilton i biorąc głębokie wdechy, próbował zaabsorbować to wszystko. Wchłonąć i wykorzystać. Stolica przez nos. Podążył wzrokiem w kierunku biegnącej ku niebu iglicy nieznanego kościoła. Może to kościół niemiecki?

- Czy to tutaj teraz jesteś, Marianne? - zapytał na głos i jednocześnie zorientował się, że być może zwrócił na siebie uwagę. Nic jednak na to nie wskazywało.

A zresztą mam to gdzieś, pomyślał, ludzie przecież przez cały czas rozmawiają przez telefony komórkowe i każdy może to usłyszeć. Rozmowa ze zmarłymi i tymi, za którymi się tęskni, to żaden powód do wstydu. Halo, kochanie, widzisz mnie?

Mimo wszystko powstrzymał chęć pomachania do niej. Nie odebrał też żadnej wyraźnej odpowiedzi - nie licząc lekkiego ucisku w okolicy serca, ale może tyle wystarczyło. Czego więcej mógł żądać? Szedł dalej Starym Miastem, wyminął grupkę turystów na Järntorget i wyszedł na osterlånggatan. Pomału wędrował w kierunku północnym, zastanawiając się jednocześnie, jak spędzić popołudniowe godziny. Z Sarą i Maxem umówił się w Humlegården na piątą - była dopiero za kwadrans pierwsza i nawet gdyby dostał klucz i polubił mieszkanie na Vikingagatan, w taki dzień nie miał ochoty siedzieć w domu. Może pójdzie do Djurgården? Albo do jakiegoś innego parku? Poleży sobie na plecach w trawie pod świeżo rozkwitłym wiązem albo kasztanem. Tam będzie mógł, nie rzucając się w oczy, porozmawiać jeszcze trochę z Marianne.

Dlaczego nie?

Stało na kawiarni w Kungsträdgården ze stolikami na zewnątrz, tej położonej najbliżej wody. Przynajmniej na początek, później zada sobie pytanie, czy na owym uwodzicielskim letnim niebie nie istnieją przypadkiem potężniejsze siły, niż mu się to wydawało jeszcze przed chwilą, kiedy na Slussen wołał Marianne.

- Dzień dobry! To pan, prawda?

Młoda kobieta. W wieku Sary, koło dwudziestu pięciu lat. Ubrana w dzinsy i czerwoną koszulkę z wizerunkiem twarzy roześmianego kłowna. Na jej własnej malował się niepewny uśmiech.

- Nie bardzo wiem.?

- Anna - odpowiedziała. - Tak, to pan. Barbarotti, prawda?

- Tak - odparł. - Zgadza się.

- Przepraszam. Anna Gambowska. Proszę przypomnieć, jak ma pan na imię?

- Gunnar.

- A no tak. Zabawne, że wpadam na pana akurat dzisiaj. Pamięta mnie pan, prawda?

- Nie, obawiam się, że nie. Chociaż, chwileczkę.

Jej uśmiech się poszerzył.

- Okej. No to teraz zobaczymy, jak to jest z policyjną pamięcią. Jeżeli trzeba pana trochę naprowadzić, proszę bardzo. To było cztery lata temu. No, prawie.

- Mówiła pani, że jak się nazywa?

- Anna. Anna Gambowska.

- Aha? - odparł Barbarotti. - A tak, teraz sobie przypominam. To naprawdę pani? Bo naprawdę. to znaczy.

- Zmieniłam się?

- Tak. Choć kiedy widziałem panią w. gdzie to było? W Maardam? Nie była pani w najlepszej formie. przepraszam, że to mówię.

Roześmiała się.

- Tak, wiem. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. Przepraszam.

Usiadła.

- Minęło już parę lat. I można powiedzieć, że to nowa sytuacja. Ech. nie przeszkadzam panu?

Nagle potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek.

- Chyba nie zdążę, choć byłoby miło. Za chwilę mam się z kimś spotkać. ale gdyby miał pan kilka minut.

- Jasne.

- To naprawdę dziwne, że tak na pana wpadam. akurat dzisiaj.

- Tak? A dlaczego?

Włożyła rękę do czarnej materiałowej torby, ale nagle się powstrzymała - sprawiała wrażenie niepewnej.

- Nie, to chyba nie w porządku.

Barbarotti rozłożył ręce.

- Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi.

Nagle spowaźniała. Zaciśnęła usta, a na jej czole pojawiła się zmarszczka.

- Oczywiście, że pan nie wie. Muszę się chwilę zastanowić. Naprawdę nie spodziewałam się pana spotkać. Nadal jest pan policjantem, prawda?

- Inspektorem kryminalnym. Tak wtedy, jak i teraz.

- Chociaż z drugiej strony.

- Z drugiej strony?

- Z drugiej strony. jeśli nie pokażę tego panu, to komu?

Barbarotti widział, że walczy z poczuciem lojalności. Czy co to tam mogło być.

- Przykro mi - odpowiedział. - Nadal nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Ale spokojnie, mnie się nie spieszy. Czym się pani obecnie zajmuje? Dobrze się wszystko ułożyło?

Skinęła głową i wyjęła rękę z torby.

- Naprawdę dobrze. Wykaraskałam się ze wszystkiego. głównie dzięki pieniądzom, które dostałam. Naprawdę wyszłam na prostą. Moja mama też tak uważa. Pan ją poznał, prawda?

- Zgadza się.

- Koniec z dragami i całym tym gównem. Skończyłam liceum dla dorosłych. Teraz uczę się na lekárkę. Dostałam się jesienią. Nie spodziewał się pan tego po mnie, kiedy zobaczył mnie wtedy w szpitalu, prawda?

Wybuchnęła śmiechem. Barbarotti nie mógł się z nią nie zgodzić.

- Jeżeli mam być szczery, to nie, chyba się nie spodziewałem.

Kiedy cztery lata temu poznał Annę Gambowską, uciekała z ośrodka odwykowego - samochodem przez Europę - w towarzystwie sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Barbarotti bez trudu przypomniał sobie okoliczności. Razem z Evą Backman zastał ją w opłakanym stanie w szpitalu w Maardam. Sześćdziesięciolatek zniknął, ale zostawił po sobie list pożegnalny. Jak on się nazywał?

Green.? Nie, Roos, oczywiście. Ante Valdemar Roos, jak mógł zapomnieć takie nazwisko? Samochód, którym jechała ta para, został znaleziony w lesie nieopodal Maardam.

O ile Barbarotti się nie mylił, Roos został uznany za



zmarłego dwa-trzy lata później. Na wniosek żony, która w pewnym sensie dała początek całej tej historii. albo przynajmniej ich naprowadziła. Tak, teraz wszystko pamiętał.

- Boże kochany, co ja mam zrobić? - odezwała się Anna Gambowska, ale wyglądało na to, że podjęła już decyzję. Wyjęła iPhone'a, wystukała numer i oznajmiła komuś, że spóźni się dziesięć minut.

- Okej - powiedziała po chwili. - Może źle wszystko zrozumiałam i nie ma się czym martwić, ale nie mogę tego tak zostawić.

Barbarotti skinął głową. Pojawiła się jego kawa i kanapka z serem.

- Na pewno nie ma pani na nic ochoty?

- Na pewno. Mam tylko nadzieję, że niczego pan teraz nie uruchomi. Bo w takim wypadku.

Barbarotti wziął kęs, żeby nie musieć nic mówić. Anna Gambowska przeczesła dłonią swoje ciemne, krótko obcięte włosy.

- Czy można wymagać od pana dochowania tajemnicy?

Roześmiał się.

- To chyba zależy od sprawy.

Z jakiejś niepojętej przyczyny zaczął jednak podejrzewać, o co może chodzić.

Chyba rozumiem, pomyślał. A niech mnie. A może tylko to sobie ubzdurałem.

- Chodzi o Valdemara - powiedział - czy tak?

Wlepiła w niego wzrok, niemal przerażona.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Proszę opowiedzieć - odparł. - Jestem wprawdzie inspektorem policji, ale także człowiekiem. I ta śmierć powiedziała mi chyba więcej, niż się pani wydaje. Mam na myśli pani dawnego chłopaka.

Przyjęła postawę obronną. Wyraźnie żałowała, że się mu przedstawiła. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Pani Anno - powiedział. - Nie musi mi pani mówić tego, co zamierzała mi powiedzieć. Może pani pójść do tego kogoś, z

kim miała się spotkać, i zapomnimy o całej sprawie. Albo.

- Albo?

- Albo zawrzemy umowę.

- Umowę? Co pan przez to rozumie?

- Na przykład taką - powiedział Barbarotti. - Pani opowie, co chciała powiedzieć, a ja to zapomnę.

Spojrzała na niego zdziwiona. Po chwili zaśmiała się.

- Okej. Czyli człowiek, a nie policjant?

- Nie rozumiem, o czym pani mówi. No więc?

Przygryzła dolną wargę. Barbarotti pomyślał, że jest prawie tak słodka jak Sara. Myśl nie miała związku ze sprawą, ale się pojawiła, ponieważ Anna zwlekała. Po chwili wyjęła z torby kopertę. Zwyczajną białą kopertę, dwanaście na piętnaście centymetrów. Zdążył dostrzec na awersie jej nazwisko. Wyjęła z niej zdjęcie i podała Barbarottiemu.

Byli na nim mężczyzna i pingwin. Wszystko wskazywało na to, że zdjęcie zostało zrobione w wesołym miasteczku - po prawej można było dostrzec karuzelę. Obie postaci były równego wzrostu, a pingwin wyglądał na wykonanego z jakiegoś puchatego materiału. Barbarotti domyślał się, że w kostiumie kryje się człowiek. Mężczyzna obejmował szyję i pochyłe ramiona ptaka i uśmiechał się szeroko, patrząc w obiektyw.

To było wszystko.

- Proszę odwrócić - poleciła Anna.

Barbarotti zrobił, jak prosiła, i przeczytał:

„*Uważaj na siebie. V.*”.

Spojrzał na nią.

- Przyszło wczoraj - powiedziała. - Poczta.

Podawała mu kopertę. Hiszpańskie znaczki. Jej nazwisko i adres: ulica Vintervägen w Solnie. Miejscowość na stemplu była niewyraźna, ale zaczynała się na Ma.

Malaga, pomyślał Barbarotti.

- To on? - zapytał, oddając kopertę i zdjęcie. - Nie poznaję. Nigdy go nie widziałem.

Schowowała wszystko do torebki. Splotła dłonie na krawędzi stołu i znów przyglądała mu

się dłuższą chwilę. On patrzył na nią z kamienną twarzą. W końcu Anna wykrzywiła usta w uśmiechu.

- Nie - odpowiedziała. - Z pewnością ktoś inny. Przecież to nie może być on, prawda?

- To byłoby bardzo dziwne - zgodził się Barbarotti. - W tej sytuacji. Ale miło było panią znów zobaczyć. Jestem pewien, że będzie pani doskonałą lekarką. A więc, mogę tylko powtórzyć, proszę na siebie uważać.

Anna Gambowska wstała. Przytuliła Barbarottiego, ruszyła w stronę Opery Królewskiej i zniknęła mu z oczu.

## 28

Godzinę później znalazł swój wąż za Biblioteką Królewską.

Wyciągnął się pod nim na trawie, podłożył sobie pod głowę zwinięty sweter i podniósł wzrok na imponujące listowie.

W wielkich drzewach kryje się swoista godność, pomyślał. One mają podejście do życia, do którego my, ludzie, nawet się nie zbliżyliśmy, to coś absolutnie podstawowego i oczywistego.

Zanim jednak pozwolił myślom płynąć dalej w tym niepewnym kierunku, uświadomił sobie, że po wyjściu z domu przy Blekingegatan nie włączył telefonu, a chyba był już najwyższy czas to zrobić. Możliwe, że na przykład Sara chce się z nim skontaktować. Albo dzieci. Albo Ellen Bjarnebo, dlaczego by nie?

Ale była tylko jedna wiadomość. Od Evy Backman. Miał się z nią skontaktować.

Wybrał jej numer i czekał. Już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał zadyszany głos Evy.

- Halo?

- Tu Barbarotti. Robisz pompki?

- Nie. Pioreę. Dostałeś moją wiadomość?

- Tak. I dlatego dzwonię. Leżę w parku w Sztokholmie.

- Leżysz?

- Tak.

- Jesteś pijany?

- Nie bardzo. Ale jest ładna pogoda i mam kilka godzin wolnego. O co chodzi?

- O nic takiego - odparła nieco spokojniej. - Mam tylko pewną informację, którą w jak

najlepszej intencji chciałam przekazać koledze.

- To elegancko - przyznał Barbarotti. - No więc?

- Wczoraj rozmawiałam z matką Fängströma.

- Demokraty?

- Tak. A jak ty się właściwie czujesz?

- Przestań mnie pytać, jak się czuję. No i co z tą matką Fängströma?

- Powiedziała coś o Morinderze. I Bjarnebo.

- O Morinderze i Bjarnebo? A co ona ma z nimi wspólnego?

- Nic. Ale swego czasu chodziła z nimi do jednej klasy.

- Do jednej klasy?

- Tak, najwyraźniej. I tylko tyle. Aha, no i zdawało jej się, że Morinder już wtedy był cokolwiek napalony na Bjarnebo.

- Co? - spytał Barbarotti.

- Mówię, że Morinder już wtedy był ponoć napalony na.

- Słyszałam. A kiedy to było?

- Mniej więcej czterdzieści pięć lat temu - odparła Backman.

- Chodzili wtedy do ósmej klasy.

Barbarotti milczał przez chwilę.

- Halo?

- Tak, jestem.

- Samo w sobie to oczywiście nic nie znaczy, ale pomyślałam, że powinienś wiedzieć.

- Że Bjarnebo i Morinder są, można by powiedzieć, starymi znajomymi?

- Można by powiedzieć.

- Ach tak? - powiedział Barbarotti. - No to może dlatego udało mu się ją poderwać w tamtym lokalu. Poza tym nie wiem, do czego mogłaby mi się przydać ta informacja.

- Ja też nie - odparła Eva Backman. - Zresztą do tej samej klasy chodzili tylko rok. No, to wszystko, co miałam ci dzisiaj do powiedzenia. Jaka pogoda w Sztokholmie? Tutaj całkiem niezła.

- Jest fantastycznie - odparł Barbarotti.
  - A ty rozwiązujesz sprawę?
  - W rzeczy samej. To tylko kwestia czasu.
  - W takim razie już nie przeszkadzam - powiedziała Eva Backman. - Całusy, pozdrów Sarę.
  - Pozdrowię - obiecał Barbarotti i zakończył rozmowę.
- Całusy? - zastanowił się. Czy kiedyś już tak mówiła?

Kiedy ponownie splótł ręce na piersi i spojrzał w górę, postanowił zebrać rozproszone myśli, których zaczynało robić się coraz więcej. Zaczął od właśnie przeprowadzonej rozmowy telefonicznej. Morinder i Bjarnebo w jednej klasie? Co to oznaczało? Najprawdopodobniej nic poza tym, co powiedział Evie Backman. Kiedy spotkali się w Kymlinge na początku XXI wieku, byli starymi znajomymi. Naturalnie ułatwiało to nawiązanie relacji, zwłaszcza komuś trochę nieśmiałoemu i nieporadnemu, a przecież taka była powszechna opinia o Morinderze.

Fakt, że nie odkryto tego związku, świadczył rzecz jasna fatalnie o śledztwie z 2007 roku, ale nie było to dla niego nowością: prawda była taka, że policjanci nie wykonali dobrze swoich obowiązków i być może dlatego Asunander chciał, żeby Barbarotti ponownie przyjrzał się sprawie.

No dobrze, pomyślał akurat w chwili, kiedy jakiś posunięty w latach jamnik przyszedł go obwąchać, po czym, nie znalazłszy nic ciekawego, poszedł węszyć dalej. Czego w takim razie dowiedziałem się na Blekingegatan? No i w Hallsbergu.

Trudno powiedzieć. Jeżeli chodzi o zaginięcie Morindera, to oczywiście niczego, ale może przynajmniej wie teraz choć odrobinę więcej o Ellen Bjarnebo. O relacjach, samotności, o odbywaniu kary za swoje czyny. Prawdziwej kary. Oczywiście można było wyciągać rozmaite wnioski albo przynajmniej snuć przypuszczenia na temat osobowości i losów Billy'ego Helgessona, ale jaki to miało związek ze śledztwem?

Jakim śledztwem? - myślał. Czy to, czym się teraz zajmuję, w ogóle można tak nazwać?

Westchnął i jakiś czas wpatrywał się w zielen. Już od dwóch tygodni trafiał na takie ślepe uliczki. Te same uliczki, tak samo

kiepsko oświetlone, odkąd tylko wrócił na służbę. Jedynym, co pozostawało do zrobienia - i to nie zmieniło się od samego początku - było odbycie rozmowy z główną bohaterką: Ellen Bjarnebo.

Dotarło do niego, że od wczoraj nie próbował się z nią skontaktować. Wyjął telefon i wystukał numer. Najpierw na komórkę. Następnie do domu przy ulicy Valdemara Kusko w Kymlinge.

Wszędzie cisza.

Zadzwoił więc do dzieci.

Odebrała Jenny. Zapewniła, że pod jego nieobecność radzą sobie doskonale, wyraziła nadzieję, że dobrze się bawi z Sarą w Sztokholmie, i dodała, że kiedy oboje przyjadą do domu w niedzielę wieczorem, będzie na nich czekała okazała i pyszna kolacja. Ale teraz właśnie idzie pod prysznic. Chyba że to coś ważnego?

- Nie, nie - odparł Barbarotti. - To nic ważnego.

Kiedy zakończył rozmowę, pojawił się smutek.

Barbarotti był wobec niego bezbronny i zdziwiło go, że to się może stać tak szybko.

Stary, mądry wiąz był taki sam, trawa, na której leżał, też była taka sama. Biblioteka Królewska stała tam, gdzie wcześniej, a w oddali wciąż widział wężącego jamnika. Świat nadal istniał.

A mimo to on leciał w dół, na łeb na szyję.

Kochany Boże, myślał, Marianne, pomóżcie mi. Dlaczego wszystko potrafi runąć w ciągu sekundy?

Wariuję.

Mógł jednak leżeć w zupełnym bezruchu, po prostu się temu poddając. Być może nie było innej możliwości.

Poddać się temu, dojść do dna i wytrzymać.

Smutek otwierał drzwi pomiędzy ciałem a duszą, a percepcja stawała się czysto fizyczna. Wiedział, że tak będzie - że może tak być - kiedy Marianne umrze. Wiedział, że może tak leżeć, sparaliżowany, niezdolny do zmiany pozycji i sytuacji, w jakiej się znalazł. Skamieniały. Ponieważ każdy ruch, każdy czyn i każda myśl były tak kompletnie pozbawione znaczenia.

Pod brzemieniem smutku można było tylko leżeć plackiem. Trudno było oddychać: klatka piersiowa kurczyła się, zamiast rozszerzać. Może to właśnie był zespół lęku napadowego? Barbarotti nie wiedział. Można było tylko czekać, aż ustąpi albo choć odrobinę zelżeje. Jedyne, co mógł robić, to się modlić - bez słów, ponieważ żadnych słów nie było - podejmując mniej lub bardziej heroiczne próby skupienia myśli.

Na niej. Na nadziei, że w jakimś sensie ona nadal żyje. Na jakimkolwiek sensie.

Ślepa wiara - to o niej ostatnio dyskutował z Bogiem.

Pamiętał, że o tym właśnie mówił Rönn. Kiedy spada na nas żaloba, czasem dobrze jest się jej poddać. I tak nie można przed nią uciec.

Minęło trochę czasu. Myśli, pozbawione słów i niepojęte, wirowały mu w głowie, liście szumiały cicho, w oddali słychać było śmiechy - i wtedy, po chwili, przypomniał sobie list, który nadal nosił w wewnętrznej kieszeni i który znał już na pamięć. *„Nie chcę, żebyś całymi dniami był pogrążony w smutku i apatii; to nie pomoże ani Tobie, ani dzieciom i nikogo nie uszczęśliwi”.*

Westchnął. Jeszcze chwilę leżał z zamkniętymi oczyma, splatając dłonie na piersi. Wreszcie wstał i ruszył do wyjścia z Humlegården, w kierunku Karlavägen.

## 29

### 3 czerwca 1989

Nie ruszając się z miejsca, patrzyła na swojego męża.

Odcharknął i splunął na żwir. W prawo, w lewo, znowu otarł usta. Wciąż się zataczał, jednak zamiast wejść do domu, poszedł w kierunku stojaka na rowery. Znow przystanął, zwrócony do niej plecami, i dopiero po chwili dotarło do niej, co robi.

Rozpiął rozporek, żeby się wysikać.

Niewiele myśląc, wybiegła na zewnątrz.

- Harry! - krzyknęła.

- Uch?

Nie odwracał się, bo zdążył już wyjąć fiuta i był w trakcie sikania. Mocz lał się na przebite tylne koło jej roweru.

- Co ty robisz, do jasnej cholery?

Skąd się wzięła ta pełna odwagi wściekłość? Wezbrała od przepony jak lawa i na kilka chwil, kiedy biegła w jego stronę, przystawała jakieś dwa metry od niego i brała się pod boki, obdarzyła ją siłą, która musiała chyba należeć do kogoś innego.

Nie zwrócił na nią uwagi, a przynajmniej tak to wyglądało. Spokojnie dokończył sikanie, chwając się na nogach, schował fiuta na miejsce i zapiął rozporek. Odwrócił się, mało brakowało, a byłby upadł. Próbuąc skupić na niej wzrok, wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Co powiedziałaś?

- Zapytałam, co ty, do jasnej cholery, robisz.

Mimo przekleństwa nie zabrzmiało to przekonująco. Wściekłość i siła były tylko pożyczone i właśnie ją opuszczały, zostawiając na pastwę losu. Pustkę, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, wypełniały strach i rezygnacja.

Niech to diabli, pomyślała. Pomocy, proszę, niech mi ktoś pomoże!

Zrobił dwa kroki do przodu i uderzył.

Był to kiepski cios: osłoniła się przedramionami, a on prawie się wywrócił.

- Jesteś zalany w trupa, Harry.

Sama usłyszała, że nie zabrzmiało to jak oskarżenie. Raczej jakby się nad nim litowała. Wymierzył kolejny cios, ale chybił. Zgiął się wpół, położył dłonie na kolanach i stękał.

Odwróciła się i weszła do domu. Drzwi zostawiła otwarte, żeby nie prowokować go jeszcze bardziej.

Słyszała, jak wymiotuje przed domem.

Przegrał osiemset koron.

Powiedział jej o tym dziwnym tonem. Jakby był z tego dumny. Jakby chciał wbić to do jej zakutej głowy. To, że przegrał mnóstwo pieniędzy, które przydałyby się na niejeden cel - dziur w Małej Birmie nie brakowało. Ale nie tylko, także to, że upił się do nieprzytomności, że prowadził samochód z



mnóstwem promili we krwi, że ją uderzył, oszczał jej rower i że miał do tego pełne prawo.

Miał.

Pełne.

Prawo.

- Osiemset koron! Słyszycie?

Siedzieli przy stole w kuchni. Zmienił koszulę, ale spodnie miał te same. Billy wyglądał na przestraszonego. Czekał na cios albo reprimendę i cały się trząsał, jak pies, który czeka na kij. Podala Harry'emu dużą porcję polędwicy wieprzowej, ale nie jadł, tylko palił papierosa i trzymał ich w szachu. Nie zdejmując łokci ze stołu, wędrował spojrzeniem od syna do żony i szukał słabych stron. Nie, nie słabych stron, on szukał zdrady, małych oznak nieposłuszeństwa i oporu, które dałyby mu prawo do działania. Prawo i obowiązek. Reagować i rządzić. Kogo kocham, tego biję. Wciąż był mocno pijany i nie miała kłopotów z odczytaniem jego myśli.

O ile to, co kręci się w głowie pijanej hieny, można nazwać myślami.

Gdybym tylko tak bardzo się go nie bała, pomyślała. Gdybyśmy tylko nie byli z Billym takimi przerażonymi zajęczkami. Mysz i świnia, zajęczki? Gdyby tylko.

- Prawda?

Nie miała pojęcia, co powiedział ani jakiej odpowiedzi się po niej spodziewał. Ale też pytanie nie było adresowane do niej, to Billy był celem.

- Prawda? PYTAM SIĘ CIEBIE!

Billy skulił się i wpatrywał w stół.

- Harry, kochanie. - powiedziała łagodnie. - Mógłbyś chociaż...?

- Zamknij się! Rozmawiam z synem!

- Ale możemy chyba.?

- Tym wielkim, grubym, nieudolnym, kretynem, moim synem!

Mówił nienaturalnie powoli, może dlatego, że myśli nie nadążały, a może by nie plątał mu się język.

- Który. nie. potrafi. rozwinąć. języka. w swojej pierdolonej gębie. i odpowiedzieć. ojcu. grzecznie. na PYTANIE!

Zamachnął się nad stołem, ale znowu nie trafił, tak samo jak

na podwórku. Billy jednak przewrócił się do tyłu, ciągnąc za sobą krzesło, i z hukiem uderzył o podłogę, co dostarczyło jego ojcu chwilowej rozrywki.

- Ha, ha, ha, ha! Ty jebany. dziwolągu! Zniknij! Zostaw nas. w spokoju.

Nie dziękując za jedzenie, Billy popędził do pokoju. Harry zdusił papierosa i zapalił kolejnego.

- To ja może pozbieram ze stołu - powiedziała Ellen.

Rozstrzygnięcie przyszło jednak dopiero pół godziny później. Skończyła właśnie zmywać i zastanawiała się, gdzie się podziać, żeby uniknąć Harry'ego. Siedział na kanapie w dużym pokoju i oglądał telewizję. Możliwe, że zasnął, w takim wypadku mogłaby wziąć długi prysznic i się położyć - z nadzieją, że całą noc spędzi na kanapie i w ten sposób kolejny dzień jej zmarnowanego życia będzie można spisać na straty.

Zanim udało jej się podjąć decyzję, usłyszała Billy'ego. Długie, przeciągłe zawrota jak u. jak u rannego zwierzęcia. Ciągłe te zwierzęce skojarzenia, zaczęło ją to już denerwować, ale tak właśnie było i tak to odczuwała. Pobieгла do jego pokoju. Kątem oka dostrzegła, że Harry nie siedzi już przed telewizorem - może wyszedł do obory, miał tam coś w rodzaju biura, w którym czasem przesiadywał. Otworzyła drzwi do pokoju chłopca. Były uchylone, zwykle tak nie było.

Leżał na łóżku w pozycji embrionalnej. Podkurczone nogi, ręce między kolanami. Kwilenie dobywało się z jego ust falami i nie przypominało niczego, co do tej pory słyszała. Zaczęła się zastanawiać, co też mogło się stać. Billy wiele razy dostawał lanie, ale teraz było inaczej. Bez wątpienia inaczej.

Rozpacz, pomyślała. Bezdenna, czarna rozpacz.

- Co się dzieje, Billy?

Opadła na kolana i zaczęła gładzić go po włosach. Twarz miał mokrą od łez, nie otwierał oczu.

- Co się stało, Billy Boy?

Zalkał kilka razy. Wytarł dłonią smarki i łzy, potarł oczy i wskazał biurko.

Zobaczyła to od razu i od razu zrozumiała.

Ołowiane żołnierzyki.

Nie było ich. Zawsze tam stały, w rozmaitych szykach, nie tylko na biurku, ale też na półkach i parapecie. Czasami niewielki oddział pełnił wartę na stoliku przy łóżku.

Teraz było pusto. Ani jednej figurki. Nigdzie, w całym pokoju. Chwyła dłoń Billy'ego i ścisnęła. Nie dostała żadnej odpowiedzi, poczuła jednak, jak coś szorstkiego i zimnego przebiega jej po plecach.

### 30

Gunnar Barbarotti przywiózł ze sobą do Sztokholmu jeszcze jedno nazwisko.

Jeszcze jedną osobę, z którą być może mógłby się umówić na rozmowę, gdyby sytuacja tego wymagała.

Gdyby sytuacja tego wymagała? Co to znaczy? Było piętnaście po czwartej. Do spotkania z Sarą i Maxem w Humlegården pozostało jeszcze czterdzieści pięć minut. Siedział w kawiarni przy Brahegatan; wypił już kawę, zjadł cynamonową bułeczkę i mocował się z pytaniem.

Co to da?

Co, jeśli się z nią nie skontaktuje?

Jeżeli to tylko rehabilitacja zawodowa, a ostatnio coraz trudniej było mu się pozbyć tej myśli, to chyba lepiej pracować, niż sobie odpuścić? Leżenie na plecach pod więzem nie okazało się doskonałym balsamem dla duszy.

Mieszkała na Midsommarkransen - adres sprawdził i zapisał w notatniku przed wyjazdem z Kymlinge. Notatnik leżał teraz przed nim na czarnym, lakierowanym stoliku kawiarni.

Inger Berglund. Erikslundsgatan 12.

Był tam też numer telefonu. Barbarotti wahał się tak długo, że niemal zamknął notatnik, ale w końcu wybrał numer.

Głos odezwał się po dwóch sygnałach.

Barbarotti spróbował wyjaśnić, dlaczego dzwoni, Inger Berglund zaś stwierdziła, że nie bardzo rozumie, czemu by to wszystko miało służyć, ale w końcu zgodziła się na spotkanie następnego dnia.

W niedzielę przed południem w umówionej kawiarni na

Midsommarkransen.

- Spizarnia, o jedenastej. Moze byc?

- Spizarnia? - zdziwil sie Barbarotti.

- To nazwa kawiarni - wyjasnila Inger Berglund. - Dwie minuty od stacji metra.

- Swietnie - powiedzial Barbarotti, po czym oboje zyczyli sobie milego sobotniego wieczoru.

Sobotni wieczor naprawde okazal sie mily. Przynajmniej dla Barbarottiego, bo jak mialy sie sprawy w przypadku Inger Berglund, nie bylo okazji ustalic, ale moze nie bylo konieczne zaprzatac sobie tym glowy.

Max Andersson okazal sie niespodziewanie sympatyczny. Byl czwartym - albo moze piątym, zalezy, jak liczyc - chlopakiem Sary. Byli ze soba juz prawie pol roku, na poczatku dosc luzno, ale z czasem zwiazek sie umocnil, wiec sprawa byla powazna. Barbarotti zawsze mial problem z mlodymi męczyznami, ktorzy kręcili sie koło Sary, moze z wyjatkiem niejakiego Jorgego, z ktorym przez prawie rok mieszkala w domu w Kymlinge. Wiedzial, ze wynika to z opiekuńczości i syndromu tatykwoki, ale z biegiem lat nauczyl sie chyba nad tym panowac.

W obecności Maxa nie czul jednak zadnej spontanicznej wrogości, a wręcz przeciwnie. Byl to skromny, raczej spokojny mlodzienc, który nie tylko dobrze wygladal (o ile Barbarotti potrafil ocenic, pewnie czul sie przy plci przeciwnej) i studiowal prawo rok wyzej od Sary, ale tez uprawial nurkowanie i wszystkie mozliwe sporty wodne. Czyli, mowiac inaczej, byl zdrowy, utalentowany i sympatyczny, a jedyna mozliwa wada bylo to, ze mozna bylo o nim powiedziec „marzenie teściowej”. Ale poniewaz najbardziej aktualna teściowa nie zyla juz od miesiaca, byl to slaby argument. Myśl ta zreszta przemknela Barbarottiemu przez glowę tak szybko, ze prawie nie poczul bolu. Calę szczęście, zawsze coś.

Od wielu lat Gunnar Barbarotti nie przepadal tez za ludźmi szczęśliwymi - w takim czy innym sensie - ale wszystko wskazywalo na to, ze nie tyczy sie to domniemanych zięciów. Zjedli smaczną, dlugą kolację na Drottninggatan, rozmawiając

sporo na tematy prawnicze, on zaś zauważył, że nie wszystko zdążył zapomnieć przez pół życia, które upłynęło, odkąd ostatni raz siedział z nosem w książkach. Nawet jeśli od tego czasu pojawił się taki czy inny nowy przepis. Czy kilkaset rocznie, jeżeli mamy być szczerzy.

Pożegnali się na ulicy. Max pojechał metrem do domu na Enskede, Sara i Barbarotti wrócili zaś spacerem na Vikingagatan.

Wypili jeszcze trochę herbaty, przegadali kolejną godzinę i tuż po północy po raz drugi z rzędu zasnął na jej przestronnej czerwonej kanapie.

Śnił mu się wielki pingwin, który pracował jako instruktor nurkowania. Obudził się w niedzielę tuż przed siódmą rano.

Sara spała głębokim snem - przez chwilę przyglądał się jej przez szparę w drzwiach sypialni. Zaparzył kawę i usiadł na leżaku na mikroskopijnym balkonie wychodzącym na podwórze oświetlone promieniami słońca, które właśnie wyłoniło się nad krawędzią dachu.

Prawie godzinę spędził w przyjemnym ciepłe poranka, próbując dociec, czym tak właściwie się zajmuje. W sensie zawodowym. Poszedł po notatnik i długopis, a następnie sformułował sześć pytań, w których, jego zdaniem, całkiem nieźle udało mu się ująć cały ten miszmasz.

1. Dlaczego w ogóle zajmuję się tą sprawą (tymi sprawami)?
2. Dlaczego nie mam kontaktu z Ellen Bjarnebo?
3. Co właściwie stało się z Arnoldem Morinderem?
4. Czy to możliwe, żeby nadal żył?
5. Czy przeoczyłem cokolwiek podczas rozmów, które mimo wszystko udało mi się odbyć?
6. Jakie kroki zostały mi do podjęcia?

Do każdej z tych kwestii były oczywiście też pytania dodatkowe, ale nie było sensu ich zapisywać. Pomyślał, że pytanie numer cztery było zapewne reakcją na zaskakujące spotkanie z Anną Gambowską. Jeżeli ktoś taki jak Ante Valdemar Roos (na przekór wszystkiemu) mógł nadal być przy życiu, to oczywiście z Arnoldem Morinderem sprawa mogła

wyglądać podobnie. Moped w bagnie niczego nie dowodził. Podobnie zresztą jak samochód w lesie nieopodal Maardam.

Ale pytanie, dlaczego nie udało mu się skontaktować z Ellen Bjarnebo, z każdym dniem było coraz bardziej frustrujące. Frustrujące i dziwne, pomyślał. Myśl, że się ukrywała (z powodu,

którego nie mógł zrozumieć, ale musiał przecież być jakiś powód), stawała się z kolei coraz cięższa. A może chodziło tylko o to, że zmęczyła ją policja? Że miała go gdzieś? Biorąc pod uwagę presję, na jaką była narażona w związku z zaginięciem Morindera, nie byłoby to szczególnie dziwne i Barbarotti pierwszy był gotów to przyznać.

W tym kryła się, rzecz jasna, również odpowiedź na pytanie szóste. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to znaleźć Ellen Bjarnebo. Usiąść z nią oko w oko i posłuchać, co ma do powiedzenia. Wszystko inne - również jego dotychczasowe osiągnięcia - w porównaniu z tym wydawało się mało znaczące.

Nad tym, dlaczego w ogóle zajmuje się sprawą Bjarnebo/Morindera - pytanie pierwsze - zastanawiał się już wystarczająco długo. Asunander powiedział, że był jakiś powód, Barbarotti postanowił więc, że kiedy spotkają się ponownie za dwa dni, spróbuje ustalić, co to takiego. Jeśli się to nie uda, powie komisarzowi, że już czas zamknąć sprawę i odłożyć ją do akt. O ile w ogóle została tak naprawdę otwarta.

Pozostawało pytanie piąte. Czy przeoczył coś istotnego w czasie rozmów, które zdążył odbyć? W Kymlinge i okolicach. Z Lisbeth Mattson w Hallsbergu i z Billym Helgessonem na Blekingegatan.

Oczywiście mogło być i tak, że przeoczył niejednen szczegół w czytanych raportach, wcale się tego nie wypierał, ale czuł jednocześnie, że niedawne spotkania wniosły do sprawy coś nowego.

Co przez to rozumiem? - zastanawiał się, spoglądając na kwitnące, intensywnie liliowe bzy na podwórzu. Coś nowego?

Bzdury. A może wcale nie? Z powrotem oparł się na wygodnym hamaku, zamknąwszy oczy, wystawił twarz do przyjemnie grzejącego porannego słońca i zaczął wracać

pamięcią do tego, o czym rozmawiał z Billym i jego macochą. W odwrotnej kolejności. Czy któreś z nich powiedziało coś ważnego? Coś, co zanotował albo prawie zanotował, a co mogłoby uchylić drzwi?

Wiedział, że ryzyko zapadnięcia w sen, zanim w ogóle zbliży się do takich mentalnych drzwi, jest całkiem spore, ale właśnie tam, w tej mętnej krainie pomiędzy jawą a snem, pojawiło się coś, co Billy Helgesson powiedział, a na co Barbarotti - wówczas - nie zwrócił większej uwagi.

Coś o jego matce w Norrlandii?

Coś o tym, że.

.że miała tam znajomych?

Czy nie to powiedział?

Jednak po tym ułamku jasności ogarnął go ciepły sen i obudził się dopiero wtedy, kiedy córka położyła mu dłoń na ramieniu i zapytała, czy ma ochotę na kolejną kawę.

### 31

Inger Berglund była wprawdzie kuzynką Billy'ego Helgessona, ale nie było między nimi szczególnego podobieństwa. A właściwie absolutnie żadnego; miała około trzydziestu lat, śniadą cerę, była szczupła i wysportowana, a przede wszystkim o wiele bardziej rozmowna od swojego zahukanego krewnego.

Wzięli po kubku kawy ze Spizarni, gdzie było zbyt dużo ludzi, hałasu i wózków z dziećmi, żeby dało się porozmawiać, i usiedli na ławce z widokiem na jeden z wielu zbiorników wodnych w Sztokholmie. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że to Mälärvik.

- Sporo myślałam po tym, jak pan zadzwonił - zaczęła Inger Berglund. - To w sumie dziwne, że nigdy wcześniej nie rozmawiałam o tym z żadnym policjantem.

- Ile miała pani lat, kiedy to się wydarzyło?

- Dziewięć - odparła. - To było dwadzieścia trzy lata temu. Choć to, rzecz jasna, naturalne, że mnie wtedy nie przesłuchiwali. Sprawa nie była jednak szczególnie skompliko-

wana, jak sądzę.

W dwóch ostatnich słowach krył się cały świat. Barbarotti po raz pierwszy, odkąd akta tych starych spraw wylądowały na jego biurku, poczuł, że właśnie poruszono w nim jakąś strunę. Rozległ się ów delikatny dźwięk, świadczący o tym, że coś się szykuje. Że teraz powinien uważnie słuchać.

A może to tylko przywidzenie - fałszywe tony również się zdarzały.

- Proszę mówić dalej - rzekł.

Inger Berglund przez chwilę się wahała. Wyjęła papierosa i zapaliła. Barbarottiemu wydało się to dziwne, w końcu sprawiała wrażenie sportsmenki.

- Przepraszam - powiedziała. - Palę tylko dwa razy do roku. W sylwestra i kiedy dzieje się coś szczególnego.

- Rozumiem - odparł Barbarotti.

Było jasne, że to, co miała do powiedzenia, powie sama, bez żadnych naprowadzających czy też zbijających z tropu pytań.

- Sporo myślałam po tym, jak pan zadzwonił - powtórzyła. - I postanowiłam panu o tym powiedzieć. Może to nic nie znaczy, poza tym nie wiem, czego pan właściwie szuka, ale nie widzę powodu, żeby to przemilczać.

Zrobiła pauzę i zaciągnęła się dymem. Barbarotti skinął lekko głową na potwierdzenie.

- W Wielkiej Birmie była nas trójka rodzeństwa - powiedziała. - Ale już to pan pewnie wie. W Małej Birmie mieszkali Harry, Ellen i Billy. Nasi. tak, byliśmy spokrewnieni, tata i Harry byli kuzynami, ale praktycznie się z nimi nie zadawaliśmy. Przede wszystkim nie zadawaliśmy się z Billym. Ani Tomas, ani Erik, ani ja. Erik i Billy byli równoletkami, ale Billy był tak dziwny, że, że to po prostu nie działało. Billy nie umiał się bawić. Widział się pan z nim?

Barbarotti odparł, że tak.

- No to pan wie. On mieszka zresztą tu, w mieście. Spotkałam go i zamieniliśmy kilka słów. Dziś jest to możliwe.

- Kiedy mieszkał w Małej Birmie, nie mówił? - spytał Barbarotti.

- Nie. Był nieprawdopodobnym odludkiem. To chyba jakaś



choroba, ale nie o tym chciałam mówić. Tu nie o Billy'ego chodzi.

Barbarotti pokiwał głową. Inger Berglund odchrząknęła.

- Mama i tata rozstali się dwa lata po śmierci Harry'ego. Jako dzieci nie rozumieliśmy dlaczego, a przynajmniej ja nie rozumiałam. Dopiero Tomas, mój starszy brat, wytłumaczył mi to kilka lat później.

- Aha?

- Nasz ojciec, Göran Helgesson, miał romans z Ellen Bjarnebo.

- Och - odparł Gunnar Barbarotti z braku lepszego komentarza.

Inger Berglund znów się zaciągnęła.

- Otóż to. Zabawne, że myślę o niej jako o Bjarnebo, a nie Helgesson. Ale nieważne, byli ponoć ze sobą coś około roku i, o ile dobrze zrozumiałam, trwało to jeszcze tamtego lata. już kiedy Harry zagiął. Kiedy jeszcze go nie odnaleziono.

- Jak się układało między pani rodzicami? - zapytał Barbarotti.

- Nie wiem. Byli, jacy byli, ale wiadomość, że chcą się rozwieść, była swego rodzaju szokiem. Ze względu na posiadłość i w ogóle. zwykli ludzie może i mogą od siebie odejść, ale jeżeli prowadzi się gospodarstwo rolne, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Miałam jedenaście lat, kiedy przestali razem mieszkać, trzy lata później ojciec sprzedał gospodarstwo. Nie wiedział pan o tym?

- Nie - przyznał Barbarotti. - Nie wiedziałem. Jak to się wydało? To, co było między pani tatą a Ellen Bjarnebo? Przepraszam, że pytam, ale o ile dobrze zrozumiałem, zdecydowali się na rozwód. jak pani powiedziała? Półtora roku po tym, jak Ellen znalazła się w Hinsebergu? Romans nie mógł chyba trwać, kiedy.

- Ktoś powiedział o tym mamie - przerwała Inger Berglund.

- Ktoś? - zapytał Barbarotti.

- Myślę, że właśnie ona. Ellen. Może w ramach swego rodzaju zemsty, nie mam pojęcia. Wysłała list albo zadzwoniła z więzienia, ale może się myłę. Tak czy owak mama się dowiedziała. Po rozwodzie pojechałam z nią do Göteborga, a Erik i Tomas zostali z tatą. Chodziło pewnie o to, żeby

pomagali przy gospodarstwie, ale to nie wyszło. Żaden z nich nie był tak naprawdę zainteresowany uprawą roli. Woleli się uczyć, niż brudzić wśród owiec i krów. Ojciec chyba to w końcu zrozumiał, a może po prostu był już tym wszystkim zmęczony. Tak czy inaczej rodzina rozpadła się kompletnie. I do tej pory nic się nie zmieniło. Mama mieszka w Göteborgu, jest samotną i zgorzkniałą emerytką. Tata zmarł dwa lata temu w Hiszpanii. Mówiąc wprost, jako alkoholik. Tomas jest maniakiem komputerowym i mieszka w Kalifornii, a Erik. Erik zajmuje się trochę nieruchomościami, głównie w Malmö, kilka razy zdarzyło się, że miał kłopoty. W ogóle się nie spotykamy, nawet na święta. Tomas i Erik też nie.

- Nie sprawia pani wrażenia, jakby za nimi tęskniła - rzekł Barbarotti.

- Nie - odparła Inger Berglund, upuściła do połowy wypalonego papierosa na ziemię i przydeptała. - Nie tęsknię i to jest właśnie najsmutniejsze.

- Co takiego? - zapytał Barbarotti.

Przez chwilę milczała, patrząc na wodę.

- Kiedy byłam małą, byliśmy przynajmniej rodziną. Mieliśmy poczucie wspólnoty, a w każdym razie to sobie wmawiałam. Ale byłam przecież tylko dzieckiem. Mama zresztą odcięła się ode mnie. jak by to powiedzieć. oficjalnie? - Zaśmiała się i kontynuowała. - Ma to związek z moimi preferencjami seksualnymi. Mieszkam z kobietą, a tego było dla niej za wiele. Wydaje mi się zresztą, że Tomas i Erik są podobnie nowoczesni w tej kwestii.

- Jak to się stało, że nosi pani nazwisko Berglund? - zapytał Barbarotti.

- Nie byłam pewna tych preferencji - odparła Inger Berglund i wzruszyła ramionami. - Kilka lat byłam żoną chłopaka o nazwisku Berglund, biedaczysko z niego. Nie udało się.

A ponieważ moja partnerka ma na nazwisko Lundberg, pomyślałyśmy, że tak będzie fajnie. Berglund i Lundberg. Jak dwa odwrócone światy. - Znowu się zaśmiała. - No, w każdym razie powiedziałam panu o tym starym nieszczęściu. Nie wiem,

czy to cokolwiek panu da, ale sama chciałabym przynajmniej wiedzieć, dlaczego się pan ze mną w ogóle skontaktował. Chodzi o tę późniejszą sprawę, która nigdy nie została wyjaśniona, czy.?

Barbarotti westchnął.

- To długa historia - powiedział. - Ale czy mam rację, przeczuwając, że pani. że chce pani mi coś powiedzieć o morderstwie Harry'ego Helgessona?

Podążyła wzrokiem za żaglówką sunącą dwadzieścia-trzydzieści metrów przed nimi. Płynęło w niej trzech opalonych młodzieńców w krótkich spodenkach, czapkach z daszkiem i bez koszulek. Barbarotti również patrzył na tę łódkę i czekał.

- Nie - odparła w końcu Inger Berglund. - Nie chcę. Po prostu tyle spraw nigdy nie wyszło na światło dzienne. Wszystko było właściwie jasne od początku, jak tylko zaczęli znajdować jego szczątki. Przyznała się od razu. A potem. potem znów była podejrzana.

Prawda?

- Tak - rzekł Barbarotti. - Tak właśnie było.

- Kiedy to się stało?

- Jakies pięć lat temu.

- Ale tym razem to nie ona?

- W każdym razie niczego jej nie udowodniono.

- Jak to było? Nigdy nie znaleziono ciała? Za drugim razem.

- Zgadza się - odparł Barbarotti.

- Słyszałam, że tak trzeba robić - powiedziała Inger Berglund i zamierzała się uśmiechnąć, ale zaraz zmieniła zamiar. - Jeżeli się kogoś zabija, należy dopilnować, żeby ciała nigdy nie odnaleziono. Wtedy szanse, że ujdzie nam to na sucho, są znacznie większe.

- To chyba niezła zasada - przyznał Barbarotti i pomyślał, że chyba już czas kończyć. - Dziękuję, że poświęciła mi pani czas. Czy mogę odezwać się ponownie, jeśli pojawi się coś nowego?

- Oczywiście - odparła Inger Berglund. - I byłabym wdzięczna, gdyby dał mi pan znać, kiedy. kiedy coś pan znajdzie.

- Wcale nie jestem pewien, czy cokolwiek znajdę - odparł

Barbarotti.

Wrócił metrem do centrum. Było dopiero wpół do pierwszej, cztery godziny do czasu, kiedy on i Sara znajdą się w pociągu na południe, pomyślał więc, że poszuka jakiejś restauracji i zje lunch. Sara powiedziała, że ma jeszcze parę spraw do załatwienia, ale umówili się, że koło czwartej razem opuszczą Vikingagatan.

A więc trochę jedzenia i trochę wysiłku umysłowego. Struna poruszona na Midsommarkransen wibrowała nadal.

Jedno w każdym razie zaczynało być dla Barbarottiego jasne. Asunander wcisnął mu nie jedno kiepskie śledztwo, lecz dwa.

## 32

**3 czerwca 1989**

Nadal nie siedział na kanapie.

Telewizor był włączony, a sądząc po odgłosach i niebieskawych odcieniach, leciał jakiś amerykański film policyjny. Wyłączyła. Na stole stała puszka po piwie. Automatycznie podniosła ją i wyrzuciła do kosza w kuchni. Opróżniła popielniczkę i wypłukała pod kranem. Wylała kuchenkę.

Zwykle, codzienne czynności, lecz nie do końca. Czula się niemal pijana, choć wypła tylko kropelkę. Jakby nie bardzo wiedziała, co robi - miało to coś wspólnego z jej percepcją, było nowe, obce. Spodziewała się usłyszeć znów głos Muttiego - może to wszystko były znaki, które przepowiadały, że się odezwie. Służyły uwypukleniu przekazu. Ale głos milczał. Ona zaś nie rozumiała pytań, które sama sobie zadawała. „Przepowiadać” nie było słowem, którego zwykła używać, nawet w myślach.

Wszystko zaczęło się od zaginionych ołowianych żołnierzyków. Tkwiły w niej, wymagając podjęcia jakichś kroków, tak to właśnie było. Tak było? Kroki? Jakie kroki? Może to taka sama fałszywa siła jak ta, która ogarnęła ją wcześniej tego dnia, by potem zostawić na lodzie. A może coś

innego. Rzeczywistość otrzymała wielki cios i nie było wiadomo, co to oznacza. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że na coś czeka, czeka i myśli.

Po bezskutecznych próbach znalezienia żołnierzyków zostawiła Billy'ego na łóżku. Przeszukała szafę, szuflady, szafkę koło jego pokoju, wiedziała jednak, że na nic się to nie zda. Billy z pewnością szukał w tych samych miejscach. I dlatego tam leżał. Bo żołnierzyków nigdzie nie było. Dlatego był bardziej zrozpaczony niż kiedykolwiek przedtem.

Bezdenne czarna rozpacz. Próbowwała nawiązać z nim kontakt, jednak bez skutku. Nic nie wskazywało na to, że obchodzi go jej obecność. Chłopiec był milczącym, pełnym bólu kamieniem.

Zastanawiała się, co Harry z nimi zrobił. W końcu nie tak łatwo zniszczyć ołowiane żołnierzyki. Może po prostu wyrzucił je w lesie?

Zastanawiała się też, gdzie sam się podział. Nie było go również w pracowni w oborze, specjalnie poszła sprawdzić. Zazwyczaj chętnie tam przesiadywał: została pomyślana jako swoiste biuro - kiedy gospodarstwo wciąż jeszcze było prawdziwym gospodarstwem - na ścianach wisiały półki, stało duże amerykańskie biurko, odziedziczone, choć dość mocno sfatygowane. W komplecie było też skórzane krzesło i pretensjonalny zegar ścienny z lat trzydziestych, kiedy to pojawili się osadnicy. Jak zawsze wskazywał za dziesięć dwunastą. Pracownia powinna oczywiście znajdować się w mieszkaniu, ale tam z jakichś przyczyn nie było na nią miejsca. Ani wtedy, ani teraz.

Tak czy siak zwykle tu przesiadywał. Udawał, że przegląda papiery i księgi rachunkowe, pił piwo i palił. Przeglądał „FIBAktuellt” i „Lektyr”, które chował w jednej z bocznych szuflad - odkryła te pisma kilka lat wcześniej, ale nijak tego nie skomentowała. Przynajmniej żadne lekko ubrane panie nie wisiały na ścianach, gdzie były tylko kalendarze z Lantmännen i Kymlinge Motorcentral.

Akurat tego wieczoru nigdzie go jednak nie było. Brak Harry'ego Helgessona i brak ołowianych żołnierzyków - ten

drugi potwierdzony kilkoma minutami poszukiwań. Samochód stał przed domem, tam, gdzie go zaparkował, z lewym kołem na rabatce, więc w każdym razie nie ruszył z powrotem do miasta. Myśl, że Harry miałby pojechać autobusem, była tak niedorzeczna, że aż śmieszna.

Stała na żwirze pomiędzy oborą a domem. Nie wiedząc, co robić, spojrzała na zegarek - za piętnaście ósma, ale wciąż jeszcze było widno. Szeroki na cal pas słońca wisiał nad lasem na północnym zachodzie i rzucał na pole wręcz mistyczne światło.

Jeszcze tylko dwa tygodnie do świętego Jana, pomyślała. Był to najpiękniejszy okres w całym roku i czuła to tak silnie, jakby była dżdżownicą mieszkającą pod kamieniem w jakimś rowie.

Ale coś się stało. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Tkwiła w niej jak kleszcz i nie chciała odejść. Sprawy dotarły do pewnego punktu, do granicy, za którą nie można już było iść prosto. Sprawy?

Potrząsnęła głową i postanowiła przejść się Ścieżką Eleonory. Nazwano ją tak na cześć pewnej Eleonory, która zamarzyła tam zimową nocą przed stu laty. O ile dobrze rozumiała, była żoną jednego z pierwszych zamieszkałych tu żołnierzy. Powodu, dla którego wyszła do lasu, historia nie zdradzała. Może miała w brzuchu dziecko, którego nie powinno tam być, jak w piosence. Wydeptana ścieżka - po części dla traktorów ciągnących drzewa, ale tych nie było już widać od wielu lat - biegła szeroką wstęgą przez las, dwukrotnie mijając szemrzący strumyk; to przy drugim prostym, drewnianym mostku znaleziono Eleonorę. Cała droga trwała zwykle około trzydziestu minut, Ellen zaś wolała być w ruchu niż siedzieć. Szła tędy już wiele razy - ścieżka miała co prawda rozgałęzienia, ale poradziłyby sobie z zawiązanymi oczyma.

Może liczyła na to, że podejmie jakąś decyzję, że wędrownica po szumiącym lesie jakoś ją naprowadzi. Tak się jednak nie stało. Trzydzieści pięć minut później była z powrotem koło domu, rozpierana pragnieniem podjęcia decyzji. Słońce już zaszło i szybko zapadał zmierzch, wspierany wałem ciemnych chmur nadciągających z północnego wschodu. Była ciekawa,

czy Harry już wrócił. O ile w ogóle wychodził - spacerując po lesie, wpadła na pomysł, że być może po prostu chrapie sobie w sypialni. Tam go nie szukała, a taka możliwość była równie prawdopodobna jak każda inna. Od pijackiej agresji do pijackiego snu nie było zwykle daleko.

Zanim jednak weszła do domu, dostrzegła kątem oka jakiś ruch na drodze do Wielkiej Birmy i kiedy spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła dwóch pogrążonych w rozmowie ludzi.

A przynajmniej założyła, że rozmawiają, bo cóż innego mieliby robić. Do miejsca, w którym byli, miała prawie sto metrów - stali obok rozłożystego kasztana poniżej gospodarstwa, a korona rzucała na nich dodatkowy cień. Pomyślała, że ci ludzie mogą w zasadzie być kimkolwiek, ale z jakiegoś powodu wydawało jej się, że jedną z postaci jest Harry.

Drugą w takim razie musiałby być kuzyn Göran. Pan Wielkiej Wspaniałej Birmy. Jej kochanek.

Jej mąż i jej kochanek?

Nawet kiedy mrużyła oczy, aby uzyskać ostrość widzenia, nie była w stanie tego jednoznacznie stwierdzić. Nie było nawet pewne, czy są to dwaj mężczyźni. Wzruszyła ramionami, zostawiła ich własnemu losowi i poszła zajrzeć do Billy'ego.

Spodziewała się, że nadal będzie leżał na łóżku, tak jednak nie było. Pokój był pusty, lampa zgaszona. Kilka razy krzyknęła jego imię, ale nie usłyszała żadnego dźwięku.

Podobnie było zresztą z Harrym, choć jego nie chciało jej się wołać - w sypialni go nie było.

A więc to pewnie on stał tam na drodze, pomyślała.

Zdarzało się, że Billy się chował, zwłaszcza kiedy był smutny. Nigdy nie odchodził daleko, czasem tylko kawałek w las albo do jakiegoś niewidocznego kąta obory. Czasem krył się pod wielkim gładem narzutowym albo w na wpół zawalonym szałasie, który Göran zbił wiele lat temu dla niego i dla Erika; musiało to być, zanim rozpoczęła się szkoła, bo wtedy jeszcze mogli się ze sobą bawić. Tak czy inaczej którąkolwiek kryjówkę by wybrał, zawsze przekradał się z powrotem do domu po zapadnięciu zmroku.

Poczuła nagle zmęczenie i pomyślała, że w zasadzie jest to

wieczór jak każdy inny w Małej Birmie. Beznadziejny dzień, który zbliżał się ku końcowi jak jeden z wielu innych beznadziejnych dni. W pobliżu przeleciała para nietoperzy - przypomniła sobie książkę, w której właśnie nietoperze grały rolę znawców przyszłości, swego rodzaju posłańców dnia jutrzejszego czy jak to tam nazwać. To było w czasach, kiedy wciąż jeszcze istniały rozstaje dróg i złudzenia.

Nagle jednak przypomniła sobie ołowiane żołnierzyki, zacisnęła pięści i próbowała na powrót odnaleźć w sobie odwagę i siłę do działania.

Coś się stało?

Coś się właśnie dzieje?

Później - latem, jesienią i przez kolejne długie lata - wiele razy będzie przypominała sobie te uparte myśli i starała się zrozumieć, skąd tak naprawdę się wzięły.

### 33

Wpadł na to dokładnie w chwili, kiedy dostał rachunek.

Na to, co powiedział Billy Helgesson i co przypomniaby sobie owego ranka na balkonie, gdyby nie zasnął.

Ma tam znajomych?

Billy twierdził, że jego mama ma znajomych w Norrlandii i że dlatego tam jeździ.

Nie była to oczywiście szczególnie niezwykła informacja, ale po raz pierwszy okazało się, że Rzeźniczka spotykała się z jakimiś ludźmi. Poza Arnoldem Morinderem, ale to była inna historia.

Jeszcze zanim wstał od stolika przy Vasagatan, połączył się z Billym. Nie, najpierw z Julianą, później z Billym.

- Tak?

- Przepraszam, że znów przeszkadzam - powiedział Barbarotti - ale jest jedna rzecz, nad którą się zastanawiam. Mówił pan, że pańska mama zna kogoś w pensjonacie w Vilhelminie i dlatego tam jeździ. Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak - odparł Billy Helgesson. - Chyba tak.



- Czy jest to ktoś, z kim mógłbym się skontaktować?
  - Nie wiem - odparł Billy.
  - Wie pan, kto to jest? - spróbował Barbarotti. - Ma pan na przykład nazwisko czy numer telefonu? Chciałbym porozmawiać trochę z kimś, kto.
  - To ta od pensjonatu.
  - Słucham?
  - Właścicielka tego miejsca. Nie wiem, jak się nazywa.
- Nie szkodzi, pomyślał Barbarotti. Ja wiem.
- Czyli ona i pańska matka znają się od dawna?
  - Tak myślę.
  - Okej - odparł Barbarotti. - Przepraszam za kłopot. Proszę pozdrowić Julię i Julianę.
  - Dobra - odpowiedział Billy Helgesson.
- Wyszedł z restauracji i ruszył w stronę Vikingagatan. Próbował rozstrzygnąć, czy to w ogóle cokolwiek znaczy, ale przede wszystkim próbował przypomnieć sobie nazwę pensjonatu. I nazwisko właścicielki, z którą rozmawiał kilka dni wcześniej. Obie informacje wypisał na kartce, ale została na biurku w jego pokoju na komisariacie w Kymlinge.
- Niedbalstwo, pomyślał Barbarotti. Błazen ze mnie, nie policjant.
- Gdzieś w komórce miał oczywiście jej numer, ale musiałby wiedzieć, kiedy dokładnie do niej dzwonił.
- Na szczęście istniała krótsza droga.
- Widzę, że to ty - odpowiedziała Backman.
  - Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Barbarotti.
- Nic. Ale zakładam, że potrzebujesz pomocy. Skoro dzwonisz.
- Dzięki, że się ofiarujesz - rzekł Barbarotti i nagle przypomniał sobie informację, którą podała mu dzień wcześniej. O tym, że Ellen Bjarnebo i Arnold Morinder sto lat temu chodzili do tej samej klasy. Odłożył to jednak na później. Nie po to dzwonił.
  - Dobrze, że trafiłaś na to z Morinderem i Bjarnebo - powiedział. - Ale teraz chodzi o coś innego. Masz tam gdzieś blisko komputer?
- Eva Backman odparła, że tak. W Kymlinge padało, więc była

w domu.

- Wieczorem będzie u was w Sztokholmie - oznajmiła.

- Co takiego? - spytał Barbarotti.

- Deszcz. O co chodzi?

- O tej porze będę już stąd wyjeżdżał - rzekł Barbarotti. -

Teraz potrzebny mi pensjonat koło Vilhelminy.

- Jest aż tak źle?

- Nie, to nie dla mnie. Tam właśnie bywa moja Rzeźniczka. Kłopot w tym, że nie pamiętam nazwy. ani nazwiska osoby, która go prowadzi. Gdybyś mogła to dla mnie wygooglować. nie ma ich tam zbyt wiele, sam sprawdzałem w zeszłym tygodniu.

- Pensjonat w Vilhelminie?

- Vilhelminie i okolicy.

- Dlaczego nie kupisz sobie nowocześniejszego telefonu? - zapytała Backman. - Mógłbyś sprawdzać takie rzeczy sam.

- Nie dosłyszałem - powiedział Barbarotti.

Eva Backman westchnęła i zaczęła googlować. Zajęło to tylko pół minuty. Tymczasem Barbarotti, nie wiedząc dlaczego, nucił melodię z filmu *Komisarz*.

- Górski Pensjonat Ragnhildy, jak ci to brzmi? - odezwała się Backman. - Właścicielka nazywa się. poczekaj chwilę. Mona Frisk.

- Zgadza się - odparł Barbarotti. - To z nią rozmawiałem. Dzięki.

To było to. Pomyślał jednak, że potrzebuje jeszcze trochę czasu na zastanowienie, i poprosił Backman, aby wysłała mu numer esemesem.

- Coś jeszcze? - zapytała Backman.

- Na razie nie. Bardzo ci dziękuję.

- Mogę już odejść od komputera? Mogę wyjść?

- Myślałem, że pada - odparł Barbarotti.

Znów zaczynamy gadać jak dawniej, pomyślał, kiedy zakończyli rozmowę. Na sekundę w głowie pojawiły mu się absurdalne słowa napisane przez Marianne.

Ale także i to odłożył na później.

Kiedy wrócił na Vikingagatan, Sary jeszcze nie było. Dochodziła dopiero druga, dwie i pół godziny do odjazdu

pociągu, pomyślał więc, że zrobi coś konstruktywnego, skoro już zaczął działać. Wystukał numer.

- Górski Pensjonat Ragnhildy. Dzień dobry.

Przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni. Upewnił się, że rozmawia z Moną Frisk.

- Z tego, co wiem, zna pani trochę Ellen Bjarnebo?

- Kto tak powiedział?

- Jej syn.

W słuchawce zaległa cisza.

Dziwne, jak wiele informacji może się zawierać w kilkusekundowym milczeniu, pomyślał Barbarotti.

Albo przynajmniej jak wiele może się człowiekowi wydawać. Choć kiedy odchrząknęła i zaczęła mówić, stało się jasne, że przywidzenie nie wchodzi w grę.

- Zgadza się - powiedziała. - Znamy się od dawna.

- I zwykle panią odwiedza?

- Również się zgadza.

- Często?

- Od czasu do czasu.

Zwięźle i szorstko. Po głosie można było sądzić, że Mona Frisk jest w wieku sześćdziesięciu paru lat, ale lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków. W każdym razie nie była gadułą. Czyżby wynikało to z jej norrlandzkich korzeni, a może z czegoś innego?

- Czy wie pani, gdzie ona obecnie przebywa?

- Dlaczego pan pyta?

- Wydawało mi się, że już to wyjaśniłem - powiedział Barbarotti. - Potrzebuję zamienić z nią kilka słów. Zajmuję się kilkoma starymi sprawami, których nigdy tak naprawdę nie zakończyliśmy. *cold cases*, słyszała pani to określenie?

- Zamienić kilka słów?

- Tak.

- *Cold cases*? Tak pan powiedział?

- Mniej więcej. Czy wobec tego wie pani, gdzie mógłbym znaleźć pani przyjaciółkę?

Kolejna pauza.

- Czy mogę do pana oddzwonić za kilka minut?

- Ee. tak - odparł Barbarotti. - Tak, oczywiście.

Minęło piętnaście minut i nie był to czas stracony. Skontaktował się z Backman, która na szczęście nie wyszła jeszcze na deszcz, i poprosił ją o szybkie sprawdzenie Mony Frisk. Już po kilku minutach powiedziała, że owszem, trafił.

I to w sam środek tarczy. Mona Frisk spędziła dziewięć ze swoich sześćdziesięciu jeden lat w zakładzie karnym dla kobiet w Hinsebergu w Bergslagen. Dokładnie rzecz biorąc, lata 1988-1997.

- Skąd ty to wszystko bierzesz? - zdziwiła się Backman. - Prawie mi zaimponowałaś, z naciskiem na „prawie”.

- Było coś takiego w jej głosie - wyjaśnił Barbarotti. - Nie pierwszy raz rozmawiała z policjantem. Ale muszę się już rozłączyć, bo ona zaraz oddzwoni.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedziała Eva Backman. - Powodzenia i do zobaczenia jutro.

- Do zobaczenia - odparł Barbarotti. - A właśnie, zanim się rozłączymy. za co siedziała? Zdążyłaś zobaczyć?

- Za morderstwo - odpowiedziała inspektor Backman.

Jasne, że nie jest to pierwszy raz, kiedy Mona Frisk ma do czynienia z policjantem, pomyślał, pukając się w czoło. Rozmawiała przecież ze mną w zeszłym tygodniu.

Backman nijak tego jednak nie skomentowała i nie miało to znaczenia. To zwięzłe, rutynowe odpowiedzi kobiety obudziły w nim przecucie: nie, że kogoś zamordowała, ale że miała konflikt z prawem. Nie starała się zresztą tego ukryć, kiedy tej słonecznej niedzieli rozmawiał z nią po raz drugi.

- Sprawa wygląda tak - powiedziała. - Ellen Bjarnebo i ja znamy się od ponad dwudziestu lat. Zakładam, że zna pan naszą przeszłość. Ale nie rozumiem, czego pan szuka, i wolałabym, żeby zostawił pan ją w spokoju.

- Nie chcę niczego ponad chwilę rozmowy - odpowiedział Barbarotti. - Czy gdyby rozwinęła pani tę myśl, powiedziałaaby pani, że wie, gdzie ona teraz jest?

- Rozwinęła i rozwinęła - rzekła Mona Frisk. - Rozwinąć to ja mogę prędkość na nartach.

- Proszę mówić do rzeczy - odparł Barbarotti. - No więc?

- Jest tutaj - oznajmiła Mona Frisk po krótkiej pauzie.
- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, twierdziła pani, że pojechała autobusem do Umeå.
- No i dobrze. Już dość miała w życiu do czynienia z policją.
- Skłamała pani - powiedział Barbarotti. - A z doświadczenia wiem, że policji kłamie się wtedy, kiedy ma się coś do ukrycia.
- Bzdury - odparła Mona Frisk. - Jest tysiąc dobrych powodów, żeby trzymać się z dala od policji. Zwłaszcza jeśli się jest uczciwym i pracowitym człowiekiem, ale pan tego pewnie nie zrozumie. Tak czy inaczej powiem panu, co i jak. Ellen Bjarnebo jest tutaj, w moim pensjonacie.
- Nie wyjechała w niedzielę autobusem?
- Nie.
- Często ją pani gości?
- Nie przyjeżdża jako gość. Regularnie mi tu pomaga.
- Pracuje?
- Jeśli pan tak woli.
- Jest teraz gdzieś obok?
- Niestety nie - powiedziała Mona Frisk i Barbarotti słyszał, że niemal rozkoszuje się tą rozmową. - Powiedziałam jej, o co chodzi, a ona odpowiedziała, że jeżeli czegoś pan od niej chce, może się pan tu pofatygować.
- Do Vilhelminy?
- Tu jest pięknie. Goście przyjeżdżają do nas rok w rok. Mogę pana wcisnąć na jedną noc, jeżeli chce pan zobaczyć okolice. Barbarotti milczał.
- Jeżeli teraz mogę rozwinąć temat - kontynuowała Mona Frisk po chwili - to nie wydaje mi się, żeby wzywał ją pan na przesłuchanie. Czym tak naprawdę się pan zajmuje?
- Nie muszę pani tego tłumaczyć - stwierdził Barbarotti.
- Nie? To stare śledztwo dotyczące tego świra, jej faceta, pewnie już od lat leży i gnije. Śledztwo, nie facet. *Cold cases*, puszczają takie gówno w telewizji. Z tym profesorem, który wygląda, jakby był martwy. Jak on się nazywa? PV?
- W porządku - powiedział Barbarotti. - Przyjadę.
- Naprawdę? - odparła Mona Frisk z gorzkim rozbawieniem.
- W takim razie zapraszam.

- Jeżeli Ellen Bjarnebo nie będzie na miejscu, sprawy przybiorą zgoła inny obrót. Mam nadzieję, że pani to rozumie?

Zareagowała śmiechem. Krótkim i niezbyt serdecznym.

- Rozumiem znacznie więcej, niż się panu wydaje, panie inspektorze - odparła. - Czy gdyby to rozwinąć - zaakcentowała ostatnie słowo - można by powiedzieć, że zjawi się pan tu jutro?

- Jeszcze zadzwonię - odparł Barbarotti i zakończył rozmowę.

Cholera jasna, pomyślał i w tej samej chwili do mieszkania weszła Sara.

To ona go przekonała.

Powiedziała, że skoro i tak musi jechać do Norrlandii, najlepiej będzie, jeśli zrobi to od razu. Potrzebowała tylko kilku sekund na rozstrzygnięcie tej sprawy. Odpowiedzialność za młodzież w Kymlinge wzięła na siebie. I tak będzie w willi Pickford przez cały następny tydzień. Prawda. Jak zaplanowali. Jeśli Barbarotti poleci do tego pensjonatu w Lapplandii w poniedziałek rano i w powrotny samolot wsiądzie we wtorek, wieczorem będzie na miejscu. A już na pewno w środę przed południem. W czym problem?

- Problem - odparł Barbarotti po krótkim namyśle - polega na tym, że moje miejsce jest z rodziną. Nie w pensjonacie na północ od koła podbiegunowego.

- Vilhelmina, o ile się nie mylę, leży spory kawałek na południe od koła podbiegunowego - oznajmiła Sara. - W każdym razie leci się tam nie dłużej niż godzinę. I tyle samo z powrotem. Myślę, że to nawet dobrze, że przez jakiś czas będziesz poza domem.

- Tak się nastawiałem, że w pociągu rozłożę cię w wista. Tak samo jak ostatnim razem.

- Nigdy nie wygrałeś ze mną w wista - zaprotestowała Sara. - Starzejesz się, tato. Pamięć cię zawodzi.

Barbarotti się zastanowił.

- Okej - powiedział. - Miej sobie te swoje urojenia. W takim razie ogram cię w środę w domu.

- Przynajmniej spróbujesz - obiecała Sara i w ten sposób decyzja została podjęta.

Odprowadził ją na stację i pomachał na pożegnanie.

Wracając na Vikingagatan, znów myślał o przeprowadzce do Sztokholmu. Za kilka lat, kiedy dzieci się usamodzielnia. O ile uda mu się dożyć tej chwili. Nie mógł przecież siedzieć sam na ponad trzystu metrach kwadratowych, a poza tym wędrówki po tych zaludnionych uliczkach miały w sobie coś pociągającego. Łatwo było wmówić sobie, że jest się częścią jakiegoś szerszego tła.

Co o tym sądzisz, Marianne? - zapytał. - Czy będąc samemu, lepiej jest mieszkać w Sztokholmie czy w Kymlinge?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Nie szkodzi, pomyślał, nie ma pośpiechu. Przyszłość nadejdzie w swoim czasie.

Kiedy przeszedł przez Norra Bantorget i minął pałac LOborgen, poczuł, że smutek znów jest niebezpiecznie blisko, przyspieszył więc kroku i pomyślał, że podstawa to umieć wypełnić sobie czas. Nie czekać na skamienienie. Nie kłaść się bezbrinnie pod więzem.

Godzinna rozmowa z Marianne i Bogiem i godzinna analiza sytuacji, postanowił. To dobry plan.

Potem zjem prostą kolację na mieście.

A potem pójdę się położyć. Mam wszelkie powody ku temu, żeby zrobić to wcześniej: samolot do Vilhelminy odlatuje z Arlandy za dwadzieścia dziesiąta, on zaś nie miał bladego pojęcia, o której musi wyruszyć.

Wieczór upłynął zgodnie z planem. Połączenia z Bogiem i z Marianne trochę trzeszczały - choć może należało raczej mówić o jednym połączeniu, postanowił się jednak tego nie czepiać. Analiza ziemskiej sytuacji również nie wydawała się zadowolająca, ale jutro będzie miał dość czasu, żeby wszystkiemu dokładnie się przyjrzeć. Myśl o tym, że dotarł do końca drogi, nie wydawała się już zbyt aktualna, jednak pozostawało pytanie, ile warte są różne szczątkowe informacje, które pojawiły się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin - posępna Lisbeth Mattson w Hallsbergu, to, co mimo woli powiedział mu Billy Helgesson na Blekingegatan, sytuacja w pensjonacie w Vilhelminie, opowieść Inger Berglund o stosunkach panujących w Wielkiej i Małej Birmie oraz

wiadomość od Backman na temat wczesnych relacji Bjarnebo i Morindera - wszystko to przypominało zupełną przyczyną ze zbyt wielu składników.

Pozostawało mieć nadzieję, że zyska ona nieco wyraźniejszy smak, kiedy wreszcie dowie się, co ma do powiedzenia Ellen Bjarnebo.

Składniki zupy? - pomyślał. Skąd mi się to wszystko bierze?

Tak czy inaczej może w Górskim Pensjonacie Ragnhildy wreszcie uda mu się uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego w ogóle zajmuje się tymi starymi sprawami.

*Cold cases?* Może po prostu Asunander oglądał sobie telewizję i zainteresowało go to zjawisko? Nerozwiazane starocie?

Cholera go wie, pomyślał Barbarotti.

Wróciwszy z prostej chińskiej kolacji, podczas której w dwadzieścia minut uwinął się z nieszczerólnie inspirującym daniem z ryżu, zadzwonił do dzieci, żeby rozeznac się w sytuacji. Sara właśnie przyjechała i wszystko było w jak najlepszym porządku. Jenny i Martin podkreślali to z całą mocą i oczywiście nie miał powodu im nie wierzyć.

Radzą sobie beze mnie, pomyślał po zakończeniu rozmowy i udało mu się ukrećić łeb nieokreślönemu uczuciu, które wzbudziła w nim ta prosta konstatacja, po czym poszedł pod prysznic.

Sara nalegała, żeby spał w jej łóżku, wybrał jednak kanapę. Skoro przespał na niej dwie noce, mógł przespać i trzecią. Zgasił światło i zasnął tuż przed północą, a już po kilku minutach zobaczył przed sobą Marianne, która trzymała się pod boki.

## 34

Dziwne, że stała w ten sposób.

Jakby chciała go zganić.

Albo przed czymś ostrzec. Nic nie mówiła, miała neutralny wyraz twarzy, ale dzięki delikatnym zmarszczkom na jej czole mógł wyczytać, co myśli. Jakkolwiek było to możliwe.



- Miej się na baczności, Gunnar - mówiła. - Życie to nie zabawka.

Co? - pomyślał.

- Dlaczego mam się mieć na baczności? Co masz na myśli, mówiąc, że życie to nie.

- Bądź skoncentrowany - kontynuowała, nie dając mu dokończyć myśli. - Nie wystarczy zwałać wszystkiego na smutek, musisz myśleć jasno! Może ci się wydaje, że ta historia jest tylko sposobem na zabicie czasu, ale to nieprawda. Jesteś w niebezpieczeństwie, rozumiesz, co do ciebie mówię?

- No. tak. tak jakby - wymamrotał Barbarotti. Wszystko wskazywało na to, że leży w łóżku i śpi, zauważył jednak, że naprawdę wypowiada te słowa: jego wargi się poruszały, więc prawdopodobnie unosił się tuż pod powierzchnią jawy. - Czy mogłabyś podejść trochę bliżej, żebym mógł cię dotknąć? - spróbował.

Marianne jednak nie ruszyła się z miejsca. Stała w czymś, co przypominało drzwi, za jej plecami widać było jasny, prawdopodobnie letni dzień. Barbarotti pomyślał, że może to dom w Högran na Gotlandii. Marianne była jedynie ciemną sylwetką; zmarszczek na czole nie dało się już dostrzec, nie ulegało jednak wątpliwości, że jest zmartwiona.

- Chcę tylko, żebyś był ostrożny - powiedziała. Teraz naprawdę zwracała się do niego, niemalże jak matka do krnąbrnego, nieposłusznego dziecka. - Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Żałował, że kiedy mu się w końcu ukazała, zrobiła to po to, aby go przestrzec. i że nie widzi jej dokładnie - sylwetka rosła, ciemniała, aż w końcu przesłoniła całe drzwi. A może, mimo wszystko, szła w jego stronę i to dlatego zgasło światło. Wyciągnął obie ręce, żeby go nie ominęła, jednak zanim tam doszła i zanim zrozumiał, co się dzieje, obudził się tak gwałtownie, że prawie spadł na podłogę.

Usiadł na łóżku. Serce łomotało mu jak młot wodny. Młot wodny? Było w ogóle coś takiego? I nad czym się tu zastanawiać? Poszedł do kuchni, wypił szklanekę wody i wrócił na kanapę. Długą chwilę leżał z rękoma skrzyżowanymi na

piersi, próbując przywołać sen i jej obecność. Nic jednak nie nadchodziło, absolutnie nic, choć przypomnienie sobie jej słów nie stanowiło najmniejszego problemu.

„Weź się w garść”.

„Musisz myśleć jasno”.

„Nie chcę, żeby coś ci się stało”.

Dziwne. Najdziwniejsze zaś nie było to, że mu się w ten sposób ukazała, lecz fakt, że rozmawiała z nim o pracy.

O tych dawnych sprawach i o Ellen Bjarnebo.

Prawda? Przecież tak to trzeba rozumieć? Przecież to miała na myśli? O co jej chodziło?

Kiedy obudził się pięć i pół godziny później, w głowie dźwięczały mu te same pytania.

- Kogo ona zabiła?

- Co? - odparła Eva Backman. - Która jest godzina?

- Wpół do siódmej - poinformował Barbarotti. - Ale za chwilę jadę na lotnisko. Pomyślałem tylko, że dobrze byłoby wiedzieć, kim była osoba, którą zamordowała Mona Frisk.

- Aa, o to ci chodzi - powiedziała Backman i ziewnęła tak, że było ją słyhać aż w Sztokholmie. - I dzwonisz do mnie o wpół do siódmej rano, żebym się tego dla ciebie dowiedziała?

- Hm. tak - odparł Barbarotti. - Ale tylko jeśli będziesz miała czas. Może przedzwoić do mnie w ciągu dnia?

- Nie ma takiej potrzeby. Już znam odpowiedź. Mona Frisk zamordowała swojego męża. Nazywał się Eugen Markström i zastrzeliła go z jego własnego sztucera do polowania na łosie.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Ostro.

- Zgadza się. Dwa strzały: jeden w serce, drugi w głowę. Czyli nie muszę już do ciebie dzwonić?

- Nie. Odezwę się.

- Czy mogę pospać jeszcze godzinę, tak jak zamierzałam?

- Oczywiście - odparł Barbarotti. - Wielkie dzięki. Do usłyszenia.

Po śniadaniu i krótkiej analizie sytuacji doszedł do wniosku, że najwygodniej będzie pojechać na Arlandę taksówką. W terminalu czwartym znalazł się za piętnaście dziewiąta, niecałą godzinę przed odlotem do Vilhelminy.

Planowanym odlotem, należałoby dodać. W rzeczywistości samolot z powodu usterki technicznej stał na zupełnie innym lotnisku w Värmlandii, a nowy czas odlotu wyznaczono na jedenastą trzydzieści.

No to cudownie, pomyślał inspektor Barbarotti i kupił filiżankę kawy, cynamonową bułeczkę oraz trzy poranne gazety. Jak to możliwe, że ludzie nie lubią latać?

Godzinę później przeczytał już każdą wiadomość po trzy razy, porozmawiał przez telefon z dwójką swoich dzieci, wypił jeszcze jedną filiżankę kawy i zdążył się tak wynudzić, że na poważnie rozważał, czy nie wrócić taksówką do królewskiego miasta i nie wsiąść w pierwszy lepszy pociąg do Kymlinge. Machnął ręką na całą tę misję i zostawić obie morderczynie w spokoju.

Dlaczego nie? - pomyślał. Dlaczego nie przekreślić wszystkiego grubą krechą i nie powiedzieć Asunanderowi, że to jest nierozwiązywalne i że jest już gotowy na prawdziwą pracę. Tak po prostu.

Wtedy jednak wkroczył Axel Wallman.

Pojawił się jak zawierucha w kwietniowy poranek, ubrany w sztruksową marynarkę musztardowego koloru. Do tego miał słomkowy kapelusz, spacerową laskę i zielonkawę okulary. Barbarotti nigdy by go nie poznał, gdyby Wallman nie przystanął przy jego stoliku i nie wydyszał swego zachwytu.

- Gunnar, brachu!

Tego głosu nie można było z niczym pomylić. To samo tyczyło się powłoki cielesnej: kiedy Barbarotti po raz ostatni widział swojego kolegę ze studiów, ważył on jakieś sto dwadzieścia kilo i od tamtego czasu najwyraźniej nie zeszczuplał.

Włosy i broda były jednak wypielegnowane. Kiedy Wallman stanął w odległości półtora metra i wyciągnął ręce, by wziąć go w niedźwiedzi uścisk, Barbarotti pomyślał, że wygląda jak skrzyżowanie Luciana Pavarottiego z Orsonem Wellesem.

- Axel, stary przyjacielu - odpowiedział Barbarotti, wstał i przyjął uścisk mimo ewidentnego ryzyka uszkodzenia żeber.

- *Iken ii teda mi uzpäv ilipagenu emähändikaz i "* ces

*kerdale tob* - oświadczył Wallman, wysunął wolne krzesło i opadł na nie jak niedźwiedź grizzly na podstawkę pod piłkę golfową. - To w języku wepskim i znaczy: „Nikt nie wie, co nowy dzień i zablakana wilczyca niosą w swoim łonie”. W wolnym tłumaczeniu oczywiście, ale jesteśmy w końcu wolnymi ludźmi, co nie?

- Tak mi się zdaje - odparł Barbarotti. - Zmieniłeś się. Co się stało?

- Wszystko i nic. Co ty tu robisz, przyjacielu? Czekasz na rozbity samolot?

- Nie wiem, czy jest rozbity - rzekł Barbarotti - ale na pewno opóźniony.

- U mnie to samo - powiedział Wallman i mrugnął do dziewczyny za barem. - Wybieram się na południe w sprawach służbowych, a tu proszę, człowiek jest uziemiony jak wygłodzona foka.

- Chyba trzeba zamówić przy barze - stwierdził Barbarotti.

- Jasne, że nie - odparł Wallman. - Zobacz, ona już tu idzie. Wytrwałość prowadzi do celu.

Zamówił kawę i trzy ciastka mazarin, Barbarotti zaś skorzystał z okazji i poprosił o jeszcze jedną filiżankę. Teraz, kiedy nagle można było składać zamówienie przy stoliku.

Nadal wymieniali liczne i pozbawione znaczenia uprzejmości, aż do momentu, kiedy dziewczyna przyniosła kawy i ciastka. Wtedy Barbarotti zażądał odpowiedzi.

- Wybacz, Axel, że to mówię, ale wyglądasz, jakbyś miał robić teatrzyk dla dzieci. Oświeć mnie z łaski swojej.

Axel Wallman spojrzął na zegarek.

- Okej. Mam czterdzieści minut do odlotu, więc chyba zdążymy. Ale jeżeli piśniesz choć słowo na temat tego, co ci powiem, to cię zatłukę.

- *Fair deal* - odparł Barbarotti. - Przypuszczałem, że coś się stało. Parę dni temu przejeżdżałem koło twojego domu. WallmanBraun?

- Ćśśś! Nie tak głośno! - Wallman nachylił się ciężko nad stołem. - Terminale mają uszy. Może przeniesiemy się w tamten róg?

Wskazał osobny stolik, od którego właśnie wstała para młodych ludzi. Wzięli swoje filiżanki i ciastka i się przesiedli.

- No więc tak - zaczął Wallman. - Posłuchaj. Teraz mam się jak pączek w maśle.

- Da się zauważyć - odparł Barbarotti. - Bez dwóch zdań.

- Ha. I to w samą porę. Szczerze mówiąc, jestem już zmęczony rolą niedocenionego geniusza. I dlatego postanowiłem zmienić tor. To chyba śmierć Saarikoskiego mnie do tego skłoniła.

- Saarikoski nie żyje? Bardzo mi przykro.

- Bardzo mądre zwierzę - powiedział Wallman. - Był pełen godności, aż do samego końca. Zasnął, bez cierpienia i bez strachu. Miał skończone czternaście lat, dużo jak na psa tych rozmiarów. Trzeba zdać sobie sprawę, że większość naszych czworonogów.

- A twój nowy tor? - przerwał mu Barbarotti.

- Cierpliwości, cierpliwości - uspokoił go Wallman i przegryzł ciastko na pół. - No, dosyć już o Saarikoskim, niech spoczywa w pokoju. Ale pamiętaj, co powiedziałem. Ani słowa na ten temat, tobie pierwszemu to mówię.

- Pierwszemu? - zdziwił się Barbarotti.

- Nie licząc, rzecz jasna, mojego wydawcy. Ale on jest zamknięty jak ostryga.

- Książka - powiedział Barbarotti. - Napisałeś książkę.

- W szkole policyjnej musiałeś być prymusem - mruknął Wallman z zadowoleniem, strzepując z brody okruszki ciastka.

- Ja mówię: wydawca, ty mówisz: książka! Brawo, Holmesie, cóż za bystry umysł! Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki - odparł Barbarotti. - Kontynuuj, proszę. A więc co napisałeś? Znowu coś językowego?

- Nic z tych rzeczy - rzekł Wallman i nieporadnym bekhendem wrzucił do rozdziawionych ust drugą połówkę ciastka. - Lingwistykę zostawiłem za sobą, przynajmniej na jakiś czas. Nie da się z tego wyżyć. Ja stworzyłem prawdziwy bestseller.

- Naprawdę?

- Tak jest. Już sprzedano go do trzynastu krajów, a mój

wydawca, który, nawiasem mówiąc, jest bardzo ostrożnym dowódcą, poza tym, że jest zamknięty jak ostryga, ale to już mówiłem, liczy na to, że uda się sprzedać w sumie trzydzieści, czterdzieści milionów egzemplarzy. O wpływach z ekranizacji nawet nie mówmy. Co ty na to, Holmesie?

- Nie nazywaj mnie Holmesem. Słuchaj, czy nie jest przypadkiem tak, że coś ci się poprzestawiało i właśnie uciekasz z. jakiegoś zakładu zamkniętego?

- W tym stroju? Za kogo ty mnie uważasz, bracie? Moja nowa rola wymaga po prostu pewnej dozy ekstrawagancji. Gdybym uciekał, chciałbym rzecz jasna wtopić się w tłum.

Co z wielu powodów nie byłoby proste, dodał w myślach Barbarotti.

- Ale w zasadzie co takiego napisałeś? - zapytał niecierpliwie. - Chyba każdy chce stworzyć bestseller? Wydawało mi się, że rynek jest, praktycznie rzecz biorąc, nasycony. Przynajmniej jeśli chodzi o Szwedów.

- Posłuchaj - powiedział Wallman i nachylił się nad stołem, aż zatrzeszczały jego cienkie stalowe nogi. - Powiem ci to jeden jedyny raz. Niedługo w każdej gazecie przeczytasz o cudzie. W kraju i w reszcie świata. Uwierz mi na słowo. *Imperatorem stantem mori oportet*.

Barbarotti nie zawracał sobie głowy prośbą o przetłumaczenie ostatniego zdania.

- Zaczynaj - poprosił tylko i wypił łyk kawy. - No więc, co to jest?

Wallman odchrząknął i poruszał trochę mięśniami twarzy. Zdjął zielone okulary.

- Prawda o Adolfie Hitlerze - powiedział skromnym tonem.

Barbarotti pokiwał głową.

- Napisana przez jego wnuczkę.

- Co? - zdziwił się Barbarotti.

- No właśnie - odparł Wallman. - Tak to właśnie wygląda. Jesteś gotowy?

- Jestem - oznajmił Barbarotti.

Wallman odchrząknął starannie, postukał laską w podłogę i zsunął słomkowy kapelusz na kark. - No więc tak, mój

przyjacielu - zaczął poważnym tonem. - Każdy wie, że jeszcze zanim skończyła się wojna, pojawiały się spekulacje na temat ostatnich dni Hitlera. Masa teorii słabo popartych faktami. Ja jednak zamierzam przedstawić prawdziwy obraz. Ostateczne rozwiązanie, można by powiedzieć, gdyby w tym kontekście nie brzmiało to tak makabrycznie. Moja linia jest więc taka, że szalony Adolf nie umarł w osławionym bunkrze pod koniec kwietnia 1945 roku i Eva Braun także nie. Tak naprawdę znaleźli sobie schronienie już w styczniu tego samego roku, a pod koniec ich role odtwarzały po prostu dwa sobowtóry. Dwoje aktorów, którzy, nawiasem mówiąc, już wcześniej się w nich wcielali. Oni również byli bez wątpienia niespełna rozumy i to właśnie ci podstawieni aktorzy zginęli w bunkrze. Adolf i Eva już od dawna byli bezpieczni poza granicami Niemiec.

- Tak? - odpowiedział Barbarotti. - Już chyba słyszałem kiedyś podobną wersję. Może nie dokładnie o podstawionych aktorach, ale jednak. wybacz, że ci to mówię.

- Zapewne, zapewne - powiedział Wallman, przesuając kapelusz na bardziej ofensywną pozycję. - Ale pamiętaj, że nie piszę podręcznika do historii, tylko bestseller. Ja tylko dowodzę, choć oczywiście powinienem powiedzieć „udaję, że dowodzę”, że Hitler i Braun spokojnie przeżyli koniec wojny. Jednak nie gdzieś w Ameryce Południowej, jak głosi najpowszechniejsze mylne wyobrażenie, tylko w Szwecji.

- W Szwecji? - zdziwił się Barbarotti. - Ale dlaczego? To znaczy, jak wiarygodne.

- Powiedziałem już: daj sobie spokój z wiarygodnością - rzekł Wallman i znów pochłonął połówkę ciastka. - Tak naprawdę aż do końca lat pięćdziesiątych zajmowali posiadłość w Skanii. Konieczny był nowy wygląd, taka czy inna drobna operacja, pozbycie się wąsika, no i oczywiście piekielna dyskrecja, ale tak to właśnie wyglądało. Chyba nie muszę ci mówić, że nawet po zakończeniu wojny w naszym kraju nie brakowało nazistów. Zwłaszcza na południu. Ale mniejsza o to, największa sensacja bowiem, ta, która sprawiła, że moją książkę sprzedano do trzynastu krajów, a ze dwadzieścia następnych czeka w kolejce, to fakt, że Adolfowi i Evie już w

grudniu 1945 roku urodziło się dziecko. Dziewczynka, której dali na imię Brynhilde. Żeby nie przedłużyć i ponieważ mój samolot już wkrótce odlatuje, powiem od razu, że owej Brynhilde pod koniec lat siedemdziesiątych również urodziła się córka (a pamiętaj, że wciąż znajdujemy się na czarnoziemach Skanii), i właśnie owa córka, Bettina, napisała tę książkę. To mój pseudonim i przebłysk geniuszu. Bettina Braun, wnuczka Hitlera! I co ty na to? Spora część tej sensacyjnej historii opiera się na pamiętnikach Adolfa. Od lat dwudziestych, puczu piwiarnianego i tak dalej, aż do jego śmierci w owej skańskiej posiadłości jesienią 1958 roku. Mieściła się w okolicach Sjöbo. Widzę, że bledniecie, towarzyszu Sprawiedliwy!

- Oniemiałem - powiedział Barbarotti po chwili zastanowienia. - Jaki jest tytuł?

- *Trzeci rebus Hitlera*.

- *Trzeci rebus Hitlera?* - zapytał Barbarotti.

- *Exactamente*. Prosty i frapujący. Znane nazwisko w dopełniaczu, liczebnik, tak właśnie konstruuje się tytuł bestsellera. Do tego delikatna mistyfikacja. szyfr, zagadka, kod, co tylko chcesz. Choć oczywiście w tym przypadku największą przynętą jest autorka. Nadążasz?

Barbarotti pokiwał głową.

- Dobrze. A więc Bettina Braun ma jakieś trzydzieści pięć lat i mieszka pod przybranym nazwiskiem w jednym z krajów skandynawskich. Jest bez dwóch zdań geniuszem językowym i pracuje na niesprecyzowanym uniwersytecie: Kopenhaga, Åbo, Lund, kto to wie? Pomyśl tylko, że na własną rękę przetłumaczyła swoje dzieło aż na dziewięć języków. Wiedz, że to zupełnie niespotykane w świecie literatury.

- Chcesz powiedzieć, że.

- Otóż to, Holmesie - odparł Wallman z należytą skromnością. - Naprawdę pisałem tę rzecz równolegle w dziesięciu językach, co dodało procesowi tworzenia dodatkowego smaczku. Ostatecznie wyszło ponad sześćset stron, razy dziesięć, i zajęło mi to kilka lat. Teraz jednak dotarłem już do końca i bez zbytej przesady mogę stwierdzić,



że druga wojna światowa ukaże się w nowym świetle. Zrzuciliśmy bombę wiosną na targach książki w Londynie i, pozwolę sobie użyć grubej metafory, wydawcy stanęli na tylnych łapach jak napalone psy. Obiecuję, panie władzo, jeszcze usłyszysz pan o Bettinie Braun i rebusie Hitlera!

Barbarotti pogrążył się w zadumie, podczas gdy Wallman dokończył ciastka i popił je połową filiżanki kawy.

- No a ty? - zapytał Barbarotti. - Kim ty jesteś w tym całym przebraniu?

Wallman z uśmiechem pogładził swój krwistoczerwony krawat.

- Agentem - powiedział. - Jej agentem literackim. Negocjuję ze wszystkimi wydawnictwami. Zajmuję się kontaktami z prasą. Nie zapominaj, że Bettina Braun jest bardzo skrytą osobą. Nie potrzebuje rozgłosu, a już na pewno nie chce występować jako wnuczka najgorszego masowego mordercy w historii ludzkości. To się chyba rozumie samo przez się? Ja jestem jedynym ogniwem łączącym ją ze światem.

- *Trzeci rebus Hitlera?* - odezwał się Barbarotti. - To naprawdę działa? Ludzie są dziś tak łatwowierni?

Wallman rozłożył ręce.

- Nie do mnie należy podnoszenie poziomu ogólnej świadomości. Mówiłem ci już, że zmęczyło mnie siedzenie na akademickim śmietniku, podczas gdy każdy jeden bogaci się na byle gównie. Co w tym złego, jeżeli trochę sprostytuuję swój dar wymowy?

- Okej - odparł Barbarotti. - Rozumiem. Można liczyć na egzemplarz z dedykacją, kiedy książka już się ukaże?

- Jak najbardziej - powiedział Wallman. - Daj tylko znać, którą wersję wybierasz.

W każdym języku będzie dokładnie sto podpisanych egzemplarzy. Autograf wnuczki Hitlera w pierwszym wydaniu jej sensacyjnej debiutanckiej powieści. chyba nie muszę mówić, jaką cenę osiągną te egzemplarze? Prawdopodobnie zostaną sprzedane kolekcjonerom na aukcji internetowej. Ale ty oczywiście dostaniesz swoją książkę gratis, *for old times' sake*.

Myśl, że jego stary dobry przyjaciel jednak uciekł z jakiegoś ośrodka dla obłąkanych, po raz kolejny zaświtała w głowie

Barbarottiego, nie było jednak okazji, żeby o tym porozmawiać, Wallman bowiem spojrział na zegarek i oznajmił, że czas audiencji już się skończył.

- Nie chcę przegapić samolotu - powiedział. - Dziś wieczorem mam ważne spotkanie w Malmö z kilkoma niemieckimi dziennikarzami. Uważaj na siebie, przyjacielu, i odezwij się, to zobaczę, czy damy radę ustawić się jakoś na piwo.

- Czemu by nie - odparł Barbarotti zmęczonym głosem.

- Pamiętaj, żeby za wszelką cenę dochować tajemnicy. Zatlukę cię, jeśli się wygadasz.

- Masz moje słowo - powiedział Barbarotti. - Ma się rozumieć.

- To dobrze - rzekł Wallman. - Pokój z tobą, oficerze Holmes.

Wstał, poklepał swojego starego kolegę po głowie i poczłapał w kierunku bramki numer 42.

Czy ja naprawdę obudziłem się dziś rano? - pomyślał Barbarotti, kiedy musztardowe plecy zniknęły mu już z oczu. Czy właśnie z kimś rozmawiałem? Siedzę tutaj?

Gdyby jednak rzeczywiście tak było - a odpowiedź na pytanie pierwsze, drugie i trzecie była twierdząca - mógł się przynajmniej ucieszyć, że sprawa została wyjaśniona. Tajemnica Wallmanowskiej skrzynki pocztowej.

Wallman Braun.

Pozostawała cała reszta.

Dziewięćdziesiąt minut później był wreszcie w powietrzu. Liczba pasażerów wzrosła do czterech, Barbarotti zaś pomyślał, że tak około dwunastu znudziło się pewnie czekaniem i postanowiło polecieć gdzie indziej. Albo pojechali autobusem.

Lot trwał zaledwie niecałą godzinę i kiedy Barbarotti wyszedł z malutkiego terminalu w Vilhelminie, czekał na niego młody człowiek z jego nazwiskiem na tabliczce - tak jak obiecywała Mona Frisk, kiedy dziś rano rozmawiał z nią przez telefon.

A więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał Barbarotti i usiadł na tylnym siedzeniu srebrnoszarej toyoty. Najwyższy czas.

I wtedy w drzwiach znów pojawiła się Marianne.

# IV

## Czerwiec 2012

### Czerwiec-sierpień 1989

35

Tamto lato.

Najdziwniejszy okres jej życia, zrozumiała to już dzień później. W niedzielę spała aż do wpół do pierwszej, głębokim, pozbawionym marzeń snem, i kiedy się obudziła, zobaczyła, że Billy stoi koło łóżka i się jej przygląda. To się zdarzyło po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie spała tak długo i nigdy nie obudził jej Billy.

Miało to oczywiście swoje wytłumaczenie: położyła się dopiero o piątej, śmiertelnie zmęczona harówką. Spojrzała na Billy'ego, który niespokojnie bujał się w tył i w przód - na pewno chciał jej coś powiedzieć, ale w taki dzień jak dziś słowa były pogrzebane głęboko. Nawet głębiej niż zwykle i pomyślała, że choć raz jest jakiś pożytek z tego, że Billy to Billy. Co by sobie powiedzieli? Promienie słońca wpadały do środka przez okno za jego plecami, a jego prawie białe włosy filtrowały światło tak osobliwie, że wyglądał, jakby wokół głowy miał aureolę. Przez kilka pełnych powagi chwil leżała nieruchomo na boku i patrzyła na niego, on zaś tym razem wyjątkowo nie odwracał głowy. Patrzył jej w oczy i pomyślała, że w tej właśnie chwili nastąpiło między nimi coś decydującego. Oczywiście naprawdę decydujące wydarzenia miały miejsce zeszłego wieczoru, ale to, co działo się teraz, było swoistym... jak by to powiedzieć... przypieczętowaniem? Zapieczętowaniem? Nie wiedziała. Ani wtedy, ani teraz, prawie dwadzieścia trzy lata później, na cichych pustkowiach Norrlandii.

Potrafi przywołać ten obraz bez najmniejszego trudu. Wszystko pozostałe też tam jest, ale inaczej; nic nie jest tak

bogate w szczegóły, tak bezbronnie i obnażone jak Billy, stojący w promieniach słońca i przyglądający się jej. Kiedy przeglądają się w sobie nawzajem, przypominając sobie to, co się stało, i myśląc, że, nic już nie będzie takie samo. Przyszłość rozciąga się przed nimi jak nieznanne morze, otwarta i niezgłębiona, a przymierze między nimi zostaje przypieczętowane. Tak, pomyślała. „Przypieczętowane” to dobre słowo.

No i jeszcze ten inspektor, po tylu latach. Po Hinsebergu. Po powrocie. Po Arnoldzie.

Czego on chce? Dlaczego tak się pali do rozmowy z nią?

Przyjedzie dzisiaj. Po południu, jak poinformowała Mona, bo samolot ze Sztokholmu jest mocno spóźniony. Ale powiedziała też, że nie da się już go dalej zbywać. Jeżeli nie chcą wzbudzać jeszcze większych podejrzeń. A nie chcą.

Smakuje te myśli, odbywając swoją zwyczajową wędrówkę: ścieżka, która biegnie przez torfowisko ku wodzie, sękaty karłowate brzozy, niskie gałęzie smagane przez wiatr. Śnieg właśnie stopniał, ten czy ów splachetek zalegał jeszcze na północnych zboczach, a podłoże było mokre. Czas wiosennego wezbrania wód jeszcze się nie skończył. Ale lato czai się już za rogiem. Tak już jest w tej okolicy: odwilż trwa najwyżej tydzień, wciśnięta między zimę i lato i zdana na ich łaskę lub niełaskę. Długiej, długiej zimy i melancholijnie krótkiego lata.

Choć światło już jest prawdziwie letnie, od dłuższego czasu noce są białe i połyskujące, do punktu kulminacyjnego pozostało tylko czternaście dni. Nauczyła się spać z odsłoniętą roletą

- to Mona przekonała ją, że to tylko kwestia treningu. Tłumaczyła jej to od wielu lat, ale przyzwyczajenie się wymagało czasu.

- Tu, na naszych szerokościach geograficznych, po całej tej ciemności powinno się chłonać każdy promyk światła - mówi Mona. - Takie są warunki, niepisane porozumienie z naturą. Organizm musi otrzymać swoją należną część, zachomikować w sobie światło, żeby poradził sobie z kolejną długą ciemnością. Rolety? Żaluzje? Głupoty.

Mimo to można je było znaleźć w każdym pokoju i każdym

oknie, do życzeń gości należy się bowiem dostosować. Ale Ellen nie jest gościem. Policzyła i wyszło jej, że jest tu po raz trzynasty. W sumie spędziła w pensjonacie grubo ponad rok. Bywa, że pojawiają się także pozostałe siostry, zostają na kilka dni, na tydzień lub dwa, ale ona przyjeżdża tu zdecydowanie najczęściej. Między nią a Moną istnieje więź, silniejsza z każdym rokiem. Z każdą kolejną wizytą, każdą kolejną rozmową. Próbowała nawet zabrać Monę ze sobą do Kymlinge, ale tam przebiega granica.

- Wystarczyły mi już lata w Hinsebergu - mówi Mona.

„Moje lata na południu” - tak je zwykle nazywa. Dożyje swoich dni tutaj, gdzie czuje się u siebie, a ponieważ nie ma pojęcia, kiedy umrze, nigdy nie zamierza stąd wyjeżdżać. Tak to właśnie wygląda.

Chomikowanie światła? Ellen podoba się to wyrażenie i ta myśl. Zawiera w sobie więcej, niż Mona pewnie przewidziała, człowiek bowiem tak chętnie chomikuje mrok. Dzieje się tak, czy tego chce, czy nie, a powstrzymanie owego procesu wymaga wielkich nakładów sił.

Ellen patrzy na zegarek. Dochodzi dziesiąta, przyspiesza więc kroku na ścieżce. Między jedenastą a pierwszą trzeba wysprzątać trzy pokoje, dobrze byłoby też wsunąć jakąś kanapkę, zanim spotka się z inspektorem.

W drodze powrotnej myśli o Göranie Helgessonie. Zdarza się to niekiedy, zwłaszcza ostatnimi czasy, kiedy wie, że on już nie żyje. Zmarł zeszłej zimy w Hiszpanii, nie było z nim dobrze. Z tego, co wiedziała, umarł jako zachlany, samotny i nieszczęśliwy, zupełnie inny od silnego mężczyzny, którym niegdyś był.

Albo któregoś udawał. Grał. Pan Wielkiej Birmy. W ostatnich latach sporo było udawania. Choć udawanie i gra to oczywiście nie to samo.

Trzy dni po zniknięciu Harry'ego przyszedł do niej - był wtorkowy wieczór, ona i Billy jedli kolację, również ten obraz pamięta w najdrobniejszych szczegółach. Kiełbasa na gorąco i ziemniaczane piure. Świeży szczypierek, no i oczywiście odrobina masła na ziemniakach. Billy zawsze pilnuje, żeby go

nie zabrakło.

- Gdzie jest Harry? - dopytuje się i wygląda na to, że robi to tylko dlatego, że chłopak też jest w kuchni. - Nie widziałem go - dodaje.

Tak, chyba naprawdę zwraca się do Billy'ego. Chociaż wie, że chłopak nie mówi.

A może właśnie dlatego. Tak, na pewno. Wie, że nie dostanie żadnej odpowiedzi, i dlatego właśnie może zadać to pytanie. To taka gra.

A więc ona też nie odpowiada. Zamiast tego pyta, czy napije się kawy, ale on odmawia.

W jego oczach czai się kolejne niewypowiedziane pytanie i Ellen wie, że wróci. Może jeszcze dziś wieczorem, w końcu na horyzoncie jest czysto. Na zawsze, ale Göran Helgesson chyba tego jeszcze nie wie. A może już wie?

Wie?

Przed wyjściem gładzi Billy'ego po głowie, chłopak sztywnieje, nieprzyzwyczajony do takiego kontaktu, ale od Görana bije przyjazność. Chęć zadowolenia jej. Nie takiego jak zwykle - to nowego rodzaju miękkość, która jednocześnie dziwi ją i nie dziwi.

Teraz bowiem nastał nowy czas. Minęły dopiero trzy dni, a już wszystko jest inne. Nikt nie wie, co przyniesie czas. Ani Göran, ani Ellen, ani Billy, jednak tego pięknego czerwcowego wieczoru w kuchni Małej Birmy daje się wyczuć szczyptę niewypowiedzianej bliskości. Tak, właśnie bliskości.

Potem rzeczywiście przyszedł. I przez ostatnie dni przychodził wielokrotnie. I przez ostatnich kilka tygodni.

Oraz przez całe lato, kiedy już było powszechnie wiadomo, że Harry zniknął. Teraz jest jak zwykle, a jednocześnie zupełnie inaczej. Przynajmniej raz było tak, że nie mogła się powstrzymać i rozkoszowała tym, co robili. On to zauważył i czuł się dumny. Ale nigdy nie padają żadne słowa, nie ma niepotrzebnych gestów. Mała Birma w ogóle jest gniazdem ciszy.

Choć cisza ma jednak różne oblicza.

Ingvor także przychodzi, pierwszy raz od wielu lat.

Ona nie uczestniczy w ciszy. Przeciwnie, słowa są dla niej

ważnym narzędziem.

- Co o tym sądzisz? - chce wiedzieć i nie odmawia ani kawy, ani ciasteczka. - Gdzie on się podział? Nie dał znaku życia?

Kiedy zadaje te pytania, minął już tydzień z hakiem. Wakacje już się na dobre rozpoczęły. Ingvor kończy kawę i ciastko i zaprasza Billy'ego na wypróbowanie basenu. Ellen też, ma się rozumieć.

Ellen jednak nie potrafi odpowiedzieć na jej pytania, a Billy nie ma ochoty pływać. Ma to oczywiście związek z jego ciałem i z tym, że jest takim kiepskim pływakiem. W przeciwieństwie do dalekich kuzynów, którzy pływają jak ryby.

Kilka dni później idą tam mimo wszystko. Świnia i mysz, razem, przepływają kilkakrotnie basen wypełniony jasnyniebieską chlorowaną wodą. Choć nie czują się już świnia i mysza. Dopiero teraz, wiele lat później na tym pustkowiu, przypomina sobie te przydomki.

Wchodzi na szczyt i w dole zbocza dostrzega pensjonat. Leży tak pięknie pośród okazałej, nietkniętej przyrody. W tle widać potężne góry, które w tak jasny dzień jak dziś wydają się na wyciągnięcie ręki, ich kontury zaś na tle obłędnie niebieskiego nieba są ostre jak brzytwa.

Nic dziwnego, że ludzie tu przyjeżdżają, myśli, oceniając dłonią oczy. Nic dziwnego, że jeszcze stąd nie wyjadę, a już tęsknię.

Kiedys już gdzieś czytała, że można tęsknić za tym, co się ma.

Niektóre inne rzeczy, sytuacje i sekwencje z tamtego lata mogą się wydawać równie ostre jak poranne kontury gór. Na przykład pierwsze spotkanie z policjantami.

Na prośbę Ingvor i Görana zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie Harry'ego. Zrobiła to w środę wieczorem i dziś, w piątek, policjanci przychodzą.

Jeden starszy, milczący człowieczek, który najwyraźniej tu dowodzi, drugi młodszy, rudy, ostrzyżony na jeża. Żaden z nich nie ma na sobie munduru, młodszy notuje długopisem w czarnym zeszytcie i obaj bez pośpiechu chodzą po podwórku i po domu. Jest piękna pogoda.

Niedawno minęła pora lunchu, Billy właśnie wrócił do domu

po zakończeniu roku szkolnego. Ona wzięła wolne ze sklepu z dwóch powodów: zakończenia roku i wizyty policji.

Nie było z tym żadnych problemów, zwłaszcza kiedy powiedziała Lindgrenowi, że jej mąż zaginął.

Ten starszy, nieśmiały, zadaje pytania, a rudzielec zapisuje jej odpowiedzi. Tak, w małym zeszytiku notuje najwyraźniej każde jej słowo i odzywa się tylko wtedy, kiedy prosi o powtórzenie.

To przesłuchanie? - myśli Ellen. Czy tak to się odbywa?

Ale nie pyta. To przecież normalne, że trzeba ustalić to i owo, kiedy ktoś znika, to się rozumie samo przez się.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni? - chce wiedzieć mały siwy.

- W sobotę wieczorem - odpowiada. - Zjedliśmy kolację i gdzieś poszedł, nie wiem gdzie.

- I nic nie mówił? Nie wspominał, że ma zamiar dokądś wyjechać?

- Nie.

- Kłócili się państwo?

- Nie.

- Jak się zachowywał?

- Jak zwykle.

- Nie położył się tego wieczoru do łóżka?

- Nie.

- Co pani sobie pomyślała?

- Pomyślałam, że to dziwne.

- A co myśli pani teraz?

- Teraz to jeszcze dziwniejsze.

- Dlaczego zawiadomiła nas pani tak późno?

- Nie wiem. Chyba myślałam, że gdzieś pojechał.

- Do kogo w takim razie?

- Może do jakichś kolegów z miasta.

- Ale samochód nadal stał?

- Tak, to dziwne.

- Kontaktowała się pani z tymi kolegami?

- Tak. Nie ma go u nich.

Przechadzają się powoli, wymieniając pytania i odpowiedzi.



Idą po obu jej stronach, rudzielec blisko, żeby słyszeć, co mówi. Jej wyjaśnienia i domysły.

Wreszcie wchodzi do środka i przechodzą z pokoju do pokoju. Mały siwy robi długie przerwy i najwyraźniej czegoś szuka. Nieomal węszy. Czasami cisza trwa nawet pół minuty, ale jej to nie przeszkadza. Domyśla się, że o to mu właśnie chodzi. Chce wywołać u niej dyskomfort, żeby zaczęła gadać. Prawdopodobnie wydał aspirantowi rozkaz, żeby ten siedział cicho.

Ale ona nie gada. Zna się na ciszy, zawsze tak było.

- Co zabrał ze sobą?

- Słucham?

- Patrzyła pani, czego brakuje? Portfel, na przykład. Jego walizka?

- Chyba nie wziął walizki. Ale portfela nie widziałam, więc pewnie ma go ze sobą.

- Paszport?

- Chyba mu się skończył. Mówił, że musi odnowić.

- Wyjeżdżają państwo za granicę?

- Nie.

Znajduje paszport w szufladzie.

- Ubrania? Kurtka?

Odpowiada, że o ile wie, brakuje tylko tych ubrań, które miał na sobie w sobotę wieczorem. Pary dżinsów, koszuli, cienkiego swetra.

- Kurtki nie?

Odpowiada, że chyba nie.

Przeglądają szafy, a ona trzyma się tego, że chyba nie wziął ze sobą nawet kurtki.

- No tak, w końcu jest ciepło i ładnie - mówi mały siwy.

Pyta, czy chcą kawy, ale dziękują.

- A to j est wasz syn?

Wpadają na Billy'ego w kuchni. Opycha się właśnie lodami waniliowymi z dżemem truskawkowym, ponieważ właśnie zaczęły się wakacje. Mały siwy podchodzi do niego i wyciąga rękę na powitanie. Billy ją chwyta, nawet wstaje. Wita się również z rudowłosym aspirantem. Kłania się.

- A więc masz teraz wakacje?

Billy kiwa głową.

- Ale tęsknisz za tatą?

Billy znowu kiwa głową. Dzięki Bogu. Ona przypomina sobie tamtą chwilę w sypialni. Przypieczętowanie.

- Jak myślisz, dokąd pojechał?

Billy kręci głową.

Ellen myśli, że to dobrze, że chłopiec nie mówi. Policjanci z pewnością traktują jego nadąsanie jako wyraz niepokoju. Myślą, że martwi się o tatę.

Niemal od razu zostawiają go w spokoju przy stole. Nie ma sensu jeszcze mu tego utrudniać. Mały siwy na chwilę kładzie dłoń na jego ramieniu. Przypomina to zachowanie Görana sprzed kilku dni.

Cała wizyta zajęła zaledwie dwadzieścia pięć minut, może pół godziny. Stoją przed domem i się żegnają. Mały siwy mówi, że zrobią co w ich mocy, żeby znaleźć Harry'ego. Często bywa tak, że ludzie znikają, a potem cali i zdrowi wracają do domu. Zwłaszcza latem.

- Czy on pił? - pyta policjant na koniec. - Czy był pod wpływem alkoholu?

- Owszem, trochę - przyznaje Ellen. - Trzeźwy nie był.

Aspirant zapisuje także to.

Następnie mówią, że zamienią kilka słów z mieszkańcami Wielkiej Birmy. W końcu to sąsiedzi, może coś zauważyli.

- Dobrze, proszę tak zrobić - odpowiada Ellen. - Nigdy nic nie wiadomo.

Stoi i patrzy, jak odjeżdżają. Billy wychodzi z domu i staje obok. Blisko jak nigdy, zastanawia się nawet, czy nie wziąć go za rękę.

Nie robi tego jednak. Stoją tylko aż do momentu, kiedy czarny saab znika za wzgórzem i żywopłotem z lilaka.

Teraz, dwadzieścia trzy lata później, zmienia pościel w pokoju numer 8 Górskiego Pensjonatu Ragnhildy. Trudno pojąć, że jest tą samą osobą. Trudno zrozumieć czas jako taki.

Za kilka godzin przyjdzie ten inspektor. Po co to wszystko, do diabła? Czego on chce?

Barbarotti siedzi z tyłu, ale nie jest to dobrowolny wybór.

Z przodu na siedzeniu pasażera leży pies o skołtunionej sierści. Pachnie trochę dziwnie, wydaje się bardzo stary - Henning położył go tam chyba po to, żeby uniknąć konwersacji.

W każdym razie nie mówi wiele więcej poza tym, że nazywa się Henning. A ponieważ Barbarotti również nie ma ochoty opowiadać, po co jedzie do Górskiego Pensjonatu Ragnhildy, w czasie jazdy nie pada wiele słów.

Choć trwa ona prawie dwie godziny. Nie spodziewał się, że tak będzie, myślał, że pensjonat leży na skraju wsi, ale tak oczywiście nie jest. Górski świat nie zaczyna się tuż za rogiem. Przemierzają teraz rozległe tereny Norrlandii - Vilhelmina mignęła tylko na minutę jako coś w rodzaju namiastki cywilizacji.

Myśli są nieokiełznane. Mimo to nie chce ich wypuścić, tam bowiem, gdzie nie ma myśli, czai się opuszczenie. Niebezpiecznie blisko, zwłaszcza w takiej sytuacji, w tej oszałamiającej scenerii, kiedy wydaje mu się, że zostawia wszystko za sobą. Kilometr za kilometrem bez możliwości powrotu. Nie ma żony, do której mógłby zadzwonić, nikogo, z kim mógłby porozmawiać, w ogóle żadnego celu. nie, wypuszczenie takich potworów nic nie da.

Tak więc myśli o Axelu Wallmanie. O Billym Helgessonie. O Inger Berglund, Lisbeth Mattson i o nieznanym ludziach, którzy dwadzieścia pięć lat temu mieszkali w dwóch gospodarstwach nieopodal Kymlinge. Jedną z tych osób wkrótce zresztą pozna. Główną bohaterkę we własnej osobie, tę, która niechlubnie zapisała się w historii jako mordercza Rzeźniczka z Małej Birmy. Ją i nikogo innego - pozostali najwidoczniej rozjechali się po świecie; byli nieszczęśliwi, nierozumiani, umarli i Bóg wie co jeszcze. Może po prostu: ludzie jak wszyscy inni?

Próbuje też myśleć o Arnoldzie Morinderze i o tym, co może

oznaczać fakt, że on i Ellen przed laty chodzili do jednej klasy, ale kontury zaginionego elektryka były tak nieostre, że myśli nie chciały się go trzymać. Pojechać po gazetę, a potem po prostu zostawić moped w bagnie? Co to za idiotyczny wybryk? Norwegia? Czy naprawdę był w Norwegii, czy cokolwiek mogło się kryć w tym luźno rzuconym twierdzeniu?

O ile jednak myśli nie trzymały się Morindera, sama Rzeźniczka tym silniej je przyciągała. Rzeźniczka, którą wkrótce zobaczy. Z którą wreszcie będzie mógł usiąść oko w oko i dowiedzieć się, jak to wszystko naprawdę wygląda.

Czy rzeczywiście myśli, że to się da zrobić? Że w ogóle jest taka możliwość?

„Przepraszam, czy byłaby pani łaskawa powiedzieć mi, jak to wszystko naprawdę wygląda?”

Nie, prawdę mówiąc, nie bardzo. Prawdę mówiąc, myśli tylko, że porozmawia z nią chwilę, a następnie stwierdzi, że niczego w tej sprawie nie udało mu się ustalić. W tych dwóch sprawach. Ale że mimo wszystko zrobił, co mógł. Fakt, że pojechał do Laplandii i z powrotem, jest chyba dowodem, że naprawdę się starał? Asunander nie będzie mógł zaprzeczyć.

Z drugiej strony może rzeczywiście coś znajdzie. To nie jest niemożliwe. Musi być jakiś powód tego, że Ellen Bjarnebo go okłamała. I że to samo zrobiła jej przyjaciółka, która, jak można wyczytać, również w swoim czasie pozbyła się męża i odsiedziała za to wieloletni wyrok w Hinsebergu. Cóż to za kobiety czekają na niego na tym pustkowiu?

Gdzieś pośród swobodnie płynących myśli pojawia się znowu Marianne i staje się ich częścią. Stoi z zaciśniętymi pięściami, trzymając się pod boki, i mówi mu to samo co wtedy: żeby na siebie uważał. I nie traktował tego zbyt lekko. To, że wmawia sobie, iż Asunander zrzucił mu na głowę tę sprawę, by dać mu jakieś zajęcie, nie oznacza, że stąpa po bezpiecznym gruncie.

- Weź się w garść - mówi mu zmarła żona. - Nie myśl, że to wszystko to tylko zabawa.

Co przez to rozumie? Czy naprawdę powinien ufać jej osądowi? Powiedziała mu też, że powinien spróbować związać

się z Evą Backman, coś w tym stylu. To przecież kompletne dyrdymały, a dlaczego niby zmarli mieliby mieć lepsze rozeznanie niż żywi?

- Malgomaj - mówi niespodziewanie kierowca Henning i wykonuje zamaszysty gest prawą ręką.

Barbarotti patrzy przez szybę na jezioro, wijące się jak niebieska wstęga, jak szal zgubiony przez jakąś młodą piękność na drodze do ukochanego. Henning chce najwyraźniej dać do zrozumienia, że uważa to za piękne. Że jest dumny z tego, że tu mieszka. Że właśnie o to chodzi.

Barbarotti w każdym razie tak to rozumie. To wspaniałe i piękne. Niepojęty jest jednak fakt, że siedzi tutaj za Henningiem i jego starym psem i pędzi przez te imponujące tereny na spotkanie z dwiema starymi morderczyniami. Rzeźniczką i. co takiego mówiła Backman? Dwa strzały ze sztucera do polowania na łosie? Jeden w serce, a drugi w głowę?

- Tak - odpowiada na nietypowe zagajenie kierowcy. - Jestem w stanie zrozumieć, że ktoś może nie chcieć stąd wyjeżdżać.

On jednak tego właśnie chce. Nie pasuje do tej przestrzeni i w każdym możliwym sensie błądzi po bezdrożach - jeżeli nie będzie się pilnował, wielki smutek w każdej chwili może znów go przygnieść. Ten paraliżujący i zamieniający w kamień smutek. Barbarotti nie ma pewności, czy Henning i jego kundel to odpowiednie towarzystwo do tego rodzaju psychicznej lawiny.

- Jak długo jeszcze? - pyta.

- Około dwudziestu minut - mówi Henning.

Następnie wygląda, jakby rozważał jakąś kwestię, nic jednak nie mówi. Barbarotti opiera się i zamyka oczy. Próbuje nawiązać kontakt z Bogiem i po chwili rzeczywiście czuje się, jakby był w czyichś objęciach. Żaden z nich nic nie mówi. Bóg jest tego popołudnia równie cichy jak Henning, ale to nie ma znaczenia. On wie, o co chodzi. Oczywiście, że wie. Nie trzeba wszystkiego przepuszczać przez oporną maszynę sformułowań.

- Zanim słowo się znajdzie na moim języku, Ty, Boże, już znasz je w całości.

I znakomicie, myśli Barbarotti. I znakomicie. Następnie wyjmuje z wewnętrznej kieszeni list od Marianne i czyta go jeszcze raz. Zauważa, że jest już trochę zniszczony i wytarty w miejscu złożenia, dochodzi więc do wniosku, że trzeba go zalaminować. Albo może skopiować i odłożyć oryginał w jakieś bezpieczne miejsce.

Ona potrafi wywołać uśmiech na jego twarzy, naprawdę to potrafi. Umarła, a jednak wciąż jest obecna w zupełnie wyjątkowym sensie.

Punktualnie o wpół do czwartej po południu wjeżdżają na dziedziniec przed białym drewnianym budynkiem. Słońce zniknęło, ciemne chmury piętrzą się nad górami na zachodzie, a kiedy Barbarotti wysiada z samochodu, czuje podmuch zimnego wiatru. Tęga kobieta koło sześćdziesiątki wyszła na podłużną werandę, biegnącą wzdłuż całego frontu domu. Zamienia kilka słów z Henningiem, nie zwracając uwagi na Barbarottiego; kierowca wsiada z powrotem do samochodu i odjeżdża, kobieta zaś stoi na najniższym stopniu i przygląda się inspektorowi. Nie ulega wątpliwości, że to Mona Frisk we własnej, ważnej osobie. Bije od niej autorytet i siła - zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna. Stalowszare włosy związała w gruby koński ogon, ma na sobie sprane dżinsy i kraciastą flanelową koszulę, czerwoną chustkę zawiązaną na szyi i czarne drewniaki, dokładnie takie same jak te, w jakich Barbarotti chodził zawsze w wyższych klasach podstawówki w latach siedemdziesiątych.

- Znosi się na deszcz - mówi.

Żadnego przedstawienia się. Żadnego uścisku dłoni. Żadnego powitania.

- No pan mieszkać pod siódemką - dodaje. - Tak będzie najlepiej.

Barbarotti nie wie, dlaczego tak będzie najlepiej, ale wchodzi za kobietą do środka. Na dole jest coś w rodzaju recepcji: drewniana lada w dziurze w ścianie oraz grupa foteli dookoła dwóch stolików. Pod sufitem telewizor. Na prawo

podwójne drzwi, najprawdopodobniej wiodące do kuchni i jadalni. Na ścianie przeróżne martwe zwierzęta: całe i w kawałkach, latające i futerkowe, oraz kolekcja mniej lub bardziej staroświeckich nart.

Drewniana podłoga i szmaciaki. Otwarty kominek. Ciepło i przytulnie, bez dwóch zdań.

Mona Frisk nie wpisuje go jednak na żadną listę, od razu wchodzi krętymi schodami na górę i rusza korytarzem jako pierwsza. Korytarz biegnie przez cały dom, pokoje są po prawej i po lewej. Numer 7 znajduje się na samym końcu - kobieta otwiera drzwi i daje Barbarottiemu znak, aby wszedł do środka.

Łóżko, małe biureczko, krzesło. Wolno stojąca szafa i obraz przedstawiający zwierzę, w którym domyślił się rosomaka. Umywalka. Również i tutaj szmaciak na podłodze. Przez okno powinien widzieć zbocza gór, ale teraz widać tylko sunące po niebie chmury.

- Łazienka jest naprzeciwko - informuje kobieta.

Barbarotti kiwa głową i stawia walizkę na krześle.

- Czarująca z pani osóbką - mówi.

Miał tylko to pomyśleć, ale z jakiegoś powodu słowa te wymknęły mu się z ust. Może to i lepiej, na jej twarzy bowiem dostrzega teraz jakiś ruch, który, jak się domyśla, zwiastuje uśmiech. Kobieta w porę go jednak powstrzymuje, mamrocze coś, zmieniając temat, podchodzi do okna i odwraca się do Barbarottiego plecami.

- Kiedy będę mógł z nią porozmawiać? - pyta Barbarotti. - Nie przyjechałem tu na piesze wędrówki ani po to, żeby poleżeć w wannie.

- Potrzebna mi jej pomoc przy kolacji - wyjaśnia Mona Frisk. - Łącznie z panem mamy sześcioro gości. Porozmawiacie sobie później. Jemy o siódmej w stołówce.

Barbarotti patrzy na zegarek. Do tego czasu zostały jeszcze ponad trzy godziny, ale może nie ma co marudzić. On w każdym razie nie widzi ku temu powodu. Nie jest pewien, czy wygrałby z Moną Frisk w siłowaniu na rękę, a jest równie nieuzbrojony co zawsze.

- No dobrze - mówi. - Jak tu jest z zasięgiem?

- Tu na górze zwykle łapie. Zależy, jakiego ma pan operatora. W razie potrzeby można zadzwonić ze stacjonarnej w recepcji.

- Dziękuję - odpowiada Barbarotti. - Mam nadzieję, że wrócę jutrzejszym popołudniowym samolotem. Czy mogę liczyć również na Henninga?

- Będzie on albo jego brat. Coś jeszcze?

- Chętnie porozmawiałbym też z panią - mówi Barbarotti, zebrawszy się na odwagę.

- Nie rozumiem, w jakim celu - odpowiada Mona Frisk. - No to jutro rano. Po śniadaniu.

- Doskonale - stwierdza Barbarotti, po czym kobieta wychodzi zając się kolacją.

Pięć sekund po tym, jak zamyka drzwi, zaczyna padać deszcz. Bije o szybę jak grad pocisków i Barbarotti myśli, że powinien być zostać kierowcą autobusu, a nie policjantem.

Albo dentystą, kuźnikiem czy kimkolwiek. Tylko nie inspektorem policji. Nie chce zajmować się takimi rzeczami. Nie chce czepiać się ludzi i pociągać ich do odpowiedzialności za wszystkie wątpliwe uczynki, które popełnili bądź nie. Nie chce już dłużej skazywać ich i siebie na tę wścibską podejrzliwość i wrogość. Czuje, że ma już dosyć.

Przede wszystkim nie chce tu być. W tym pachnącym stęchlizną pokoju w pensjonacie, bez celu i sensu - chodzi o niego, pensjonat ma zapewne i cel, i sens - niesterowny jak prosta łódka na otwartym morzu. Obrazom w jego głowie nie ma końca.

Kładzie się na plecach w łóżku, splata dłonie pod szyją i patrzy w sufit. Biały i jałowy. Słucha deszczu, który z rosnącym i malejącym napięciem bębni o szybę i parapet, i zastanawia się, co to oznacza, że w ciągu swojej ponad pięćdziesięciu jednoletniej wędrówki dotarł właśnie do tego punktu w czasie i przestrzeni. Dlaczego tu leży? Właśnie tutaj, właśnie teraz?

Ta myśl nie podnosi go na duchu. Wolalby być teraz w domu w Kymlinge i rozmawiać z dziećmi - albo z terapeutą, co przypomina mu, że na jutro, wtorek, umówił się z nim na wizytę i że z oczywistych względów nie będzie mógł się zjawić.



Wyjmuje telefon i szuka numeru do Rönna, kiedy jednak po chwili patrzy na wyświetlacz, dowiaduje się, że jest poza zasięgiem wszystkich usług, co bardzo dobrze koresponduje z tym, do czego przed chwilą doszedł.

Mimo wszystko nadal leży w ten sposób, choć z zamkniętymi oczyma, dobre pół godziny. Nie sięgając do Biblii, przypomina sobie kilka wersów z Księgi Koheleta, nie te, z których ostatnio próbował wyssać pociechę, tylko mniej znany urywek, o którym, jak pamięta, dyskutowali z Marianne przy jakiejś okazji.

*Lepszy jest smutek niż śmiech, bo przy smutnym obliczu serce jest dobre.*

*Serce mędrców jest w domu żaloby, a serce głupców w domu wesela.*<sup>6</sup>

Otóż to, myśli Barbarotti. Czuję się źle, a to bardzo dobrze. Im gorzej, tym lepiej, krótko mówiąc.

O ile się nie myli - ale nadal nie chce mu się sprawdzać - dalej w tym samym rozdziale był fragment o „gniewie, który przebywa w piersi głupców”<sup>7</sup>. Tym niemniej, bez względu na płynącą z tego naukę, właśnie to uczucie powoli zaczyna w nim płonąć. Po użalaniu się nad sobą jak zwykle przychodzi siła.

Może i Mona Frisk zastrzeliła swojego męża ze sztucera, myśli. Na to nic się nie poradzi. Ale, do jasnej cholery, nie będzie tu pomiatać, kim chce. Czarne drewniaki z lat siedemdziesiątych, nie, dosyć tego.

I przez kolejną godzinę - podczas gdy coraz bardziej opanowywał go głód, podsycany prawdopodobnie napływającymi do pokoju wyraźnymi i nęcącymi sygnałami świadczącymi o tym, że gdzieś w pobliżu jest przygotowywany posiłek - zajmował się konstruowaniem siatki trujących pytań. Siatki, z której Ellen Bjarnebo nie będzie mogła się wyswobodzić, kiedy już jego żołądek dostanie to, na co zasługuje, i w końcu przyjdzie czas na rozmowę.

To, że najpierw ona przygotowuje mu porządną posiłek, było jak najbardziej właściwe. Bez dwóch zdań.

---

<sup>6</sup> Koh 7, 3-4.

<sup>7</sup> Koh 7, 9.

Dni zamieniają się w tygodnie.

Harry'ego nadal nie ma. Policja wysyła kilku ludzi, którzy dwa dni przeczesują okolicę. Mimo wszystko mógł się przecież powiesić. Jednak niczego nie udaje się znaleźć. Ani Harry'ego, ani śladów.

Mały siwy odwiedza ją raz jeszcze, tym razem towarzyszy mu młoda kobieta. Zadają pytania, te same i kilka nowych. Odpowiada, jak umie. Próbuje też porozmawiać z Billym, on jednak potrząsa tylko swoją wielką głową i wygląda na smutnego. Szybko zostawiają go w spokoju.

Na święto Midsommar zostali zaproszeni do Wielkiej Birmy. Siedzą w ogrodzie, zajadając śledzia i ziemniaki. Poza tym oczywiście również łososia, tarty i wszystko inne. Piją wódkę, piwo i wino. Na deser truskawki i lody. Jest wspaniała pogoda. Są też siostra i szwagier Ingvor oraz dwójka ich dzieci. Razem pięcioro dorosłych i sześcioro dzieci. Dzieci pływają w basenie, wszystkie poza Billym. Ona pije kieliszek wódki, piwo i kilka łyków wina - niedużo, nie jest więc nietrzeźwa. Göran i szwagier są jednak pijani i głośni, ale nie tak, jak bywało to z Harrym. Są tylko radośni i trochę przekorni, różnica jest ogromna. Göran mruga do niej ukradkiem.

Tak, to dziwne lato. Ona też zaczyna urlop, tydzień po święcie Midsommar. No i nagle zaczyna się spotykać z sąsiadami z Wielkiej Birmy. To oczywiście konieczność, trzeba zająć się uprawą, zbliżają się żniwa i jeżeli rolnika z Małej Birmy nie ma na miejscu, rolnik z Wielkiej Birmy musi go zastąpić.

I tak też robi. Göran dogląda wszystkiego w obu gospodarstwach, a kiedy przychodzi do niej w tajemnicy, wydaje się to nagle zupełnie na miejscu. Ma dwa gospodarstwa i dwie kobiety. Jedna mu się nie oddaje, ale dla drugiej to nie stanowi problemu. Nie rozmawiają o tym, ale dostrzegają, że on tak to odbiera.

Jednocześnie wie, że tak dalej nie będzie. Lato i cała ta

sytuacja muszą się kiedyś skończyć, może nawet jednocześnie - są pewne przesłanki, że tak się właśnie stanie. Można by się zastanawiać, jakie to przesłanki, ale słyszała kilka razy głos Muttiego, który jej przypomniał.

Przypomniał, że wszystko ma swój czas. Że prędzej czy później ktoś znajdzie Harry'ego. Mimo to nie idzie do lasu, żeby schować go trochę lepiej; myśl, żeby to zrobić, pojawia się co jakiś czas, ale za każdym razem czuje, jakby wyssano z niej całą siłę. Do tego akurat nie potrafi się zmusić. Lepiej zostawić wszystko swojemu losowi.

Teraz, dwadzieścia trzy lata później, w Górskim Pensjonacie Ragnhildy - czy raczej pensjonacie Mony, woli tę nazwę, żadnej Ragnhildy nigdy tu nie widziała - myśli czasem, że powinna była wziąć się w garść. Kiedy tamtego lata dni przechodziły w miesiące, powinna była pójść do lasu z łopatą i upewnić się, że jej mąż jest wystarczająco głęboko. Sześć stóp pod ziemią, czy jak to tam jest. Łatwo jednak myśleć różne rzeczy i być nadgorliwym po czasie - wyszło, jak wyszło.

Tak musiało być. Wszystko ma swój koniec. I kiedy nastaje ten sierpniowy dzień, nie czuje goryczy ani żalu. Czasem to jedno trudno jej zrozumieć z perspektywy czasu, ale tak było.

Tak jest. Trwa lato. Ona i Billy są wolni, mają tylko siebie i to dziwne, jak łatwo wszystko nagle się układa. Zwłaszcza kiedy Göran, a nawet Ingvor są tacy pomocni. „Dziwne” to chyba dobre określenie.

Jej brat i szwagierka przychodzą w odwiedziny. Gunder i Lisbeth, tuż po pobycie na Olandii. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, zostają nawet na noc. Ona rozmawia głównie z Lisbeth, z bratem zawsze było trudno się dogadać. Tak czy inaczej jedzą razem kolację i wypijają butelkę wina. Billy także z nimi siedzi, Lisbeth kilkakrotnie próbuje nawiązać z nim rozmowę i nawet spędzają chwilę sam na sam w jego pokoju.

Kilka miesięcy później właśnie to okazuje się ważne.

Jakby wiedziała.

Ale to oczywiście nie może być prawda.

Sześcioro gości. Ale ponieważ ona i Mona też jedzą - na spokojnie, w kuchni - to tak naprawdę jest ich ośmioro. Podają

kociołek myśliwski z ziemniakami. To klasyk i mniej więcej to, czego oczekują goście; w kociołku może być w zasadzie cokolwiek. Były tylko jako dodatki podać konfiturę z borówek, ogórek i marynowaną cebulę.

Zajrzała już wcześniej do gości, łącznie z inspektorem Barbarottim. Pozostała piątka to młodzi państwo ze Sztokholmu oraz niemiecka rodzina z dziesięcioletnim synem. Rodzina spędziła tu prawie tydzień i jutro mają jechać dalej. Nie wiadomo dokąd, może ostatecznie nawet na Przylądek Północny - Niemcy często obierają tę trasę.

Teraz jednak siedzi z Moną w kuchni i je. Inspektor, z którym ma za chwilę porozmawiać, siedzi samotnie przy stoliku kawałek dalej. Nie jest szczególnie niespokojna, ale mimo wszystko dobrze wie, że Mona jest pod ręką. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Nie wie do końca, co przez to rozumie, ale nie zamierza dłużej nad tym rozmyślać. Pyta tylko Monę, czy jej zdaniem w kociołku wystarczy owoców jałowca.

- Pewnie, że tak - odpowiada Mona i puszcza do niej oko. - Trochę się chyba denerwujesz, co, kochana?

- Ni cholery - odpowiada Ellen i śmieją się w sposób, który przypomina jej dziecięcy psalm. „Wszyscy tutaj są bezpieczni”.

Nigdy nie powiedziała Monie, że jej śmiech na nią działa, ale takich rzeczy chyba nie trzeba mówić. Mona i tak to wie. Mona, dodajmy, wie praktycznie wszystko i Ellen czasem myśli, że najlepiej byłoby, gdyby zamieszkała tu na dobre.

Ale wyjazdy stąd też są ważne. Może przede wszystkim dlatego, by można tu było wracać, nigdy więc nie rozważały takiego rozwiązania na serio. Najważniejsze, że wie, iż zawsze jest tu mile widziana.

I że nie jest ciężarem. Przydaje się tutaj i Mona wiele razy mówiła, że nie rozumie, jak mogła radzić sobie bez Ellen.

Czasem myśli, że w ciągu minuty dostaje od Mony więcej miłości, niż w ciągu dwóch lat otrzymała od swoich obu mężów. To oczywiście innego rodzaju miłość, całe szczęście, ale pomyśleć, że musiała trafić do Hinsebergu i Vilhelminy, żeby ją znaleźć. Życie to nie wędrówka po prostej drodze.

Na początku lipca tego samego lata ona i Billy jadą na cztery dni pod namioty na Olandię. Widzi, że Billy się cieszy, ale nadal nie mówi. Ona też go nie naciska. Nie ulega wątpliwości, że to, co przypieczętowali, najlepiej czuje się w ciszy.

Tak blisko siebie jak podczas tych dni w Bödzie nie byli nigdy wcześniej - i już nigdy nie będą. Kiedy wszystko kończy się tego sierpniowego poranka, Ellen zdaje sobie sprawę, że tak właśnie jest, a Billy wie to równie dobrze jak ona. Podczas całego pobytu w Hinsebergu i później cieszy się z tego lata, a zwłaszcza z wycieczki na Olandię. Wie, że straci chłopca, i rozumie, że to właśnie ta wiedza umacnia ich więź.

„Rozkoszuj się każdym dniem, rozkoszuj, póki możesz” - mówi głos Muttiego, ale jej nie trzeba o tym przypominać. Myśli, zarówno wtedy, jak i później, że nigdy nie była tak mądra życiowo jak w tym czasie.

O Arnoldzie nie myśli prawie nigdy. To świadomy wybór. Arnold co jakiś czas pojawia się oczywiście w jej głowie, jednak ona odsuwa go od siebie. Nie może jej nic dać, nigdy nie mógł, a wspomnienie o nim to przede wszystkim ciężar. Mimo to Ellen zdaje sobie sprawę, że Arnold odgrywa tu rozstrzygającą rolę i gdyby nie on, nie stałoby się to, co się stało. Na dobre i na złe - naprawdę tak jest i może dlatego nie chce o nim myśleć.

Na dobre i na złe?

Jednak właśnie teraz, kiedy już prawie skończył się deser - sernik z moroszkami na ciepło - i to zarówno w jadalni, jak i tutaj, czuje nagle ukłucie niepokoju. Na myśl o rozmowie z inspektorem, który tam na nią czeka. Mona to widzi i kładzie jej dłoń na ramieniu.

- Nie masz się czego obawiać, Ellen - mówi swoim najgrubszym, najbardziej uspokajającym głosem. - Wiesz, co masz powiedzieć, a on nie może ci nic zrobić, pamiętaj, że jesteś teraz w najbezpieczniejszym miejscu pod słońcem. Chcesz trochę koniaku?

Wypijają po małym kieliszku i wychodzą pozbierać ze stołów.

- Dziesięć minut - mówi do inspektora. - Będę wolna za dziesięć minut.

W końcu tu siedzą.

Przy tym samym stole, przy którym jadł kolację. Obrus w czerwono-białą kratę. Sól, pieprz i sos HP. Sękaty drewniany świecznik i okno z widokiem na górę. Deszcz przestał już padać, ale kontury są rozmyte przez nisko sunące chmury. Na zegarku kilka minut po dziewiątej. Są sami, reszta gości już poszła, a Mona Frisk czuwa w kuchni.

Każde z nich ma filiżankę kawy. Barbarotti kładzie dyktafon na stole pomiędzy nimi, ona mierzy go zdziwionym spojrzeniem, a on pyta, czy ma coś przeciwko. Kobieta kręci głową.

Barbarotti myśli, że przypomina mu pewną nauczycielkę z liceum. O ile dobrze pamięta, uczyła historii i religii, może jeszcze wiedzy o społeczeństwie. Chłodna, poprawna, uporządkowana - chyba nazywała się Jonsson?

Tylko Ellen Bjarnebo jest drobnej budowy. Zwłaszcza w porównaniu z Moną Frisk - niewątpliwie jest między nimi trzydzieści kilo różnicy. Ale nie jest słaba, z pewnością nadal byłaby w stanie zabić młotem mężczyznę, gdyby była taka potrzeba. Włosy ma krótkie, ciemne i proste. Oczy szarozielone i spokojne, rysy twarzy czyste. Wie, że jest siedem, osiem lat starsza od niego, ale czuje, że równie dobrze mogliby być równolatkami.

Miał czas na wszystkie te przemyślenia podczas kolacji. A przynajmniej na ich część. Przywitani się, kiedy zszedł do jadalni, a ona zjawiała się regularnie, nakrywając do stołu i zbierając z niego.

Dziwne, że to naprawdę ona, pomyślał.

Rzeźniczka z Małej Birmy.

I tak jak on miał okazję przypatrzeć się jej, tak ona miała czas, żeby przyjrzeć się jemu. To oczywiste. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem miał do czynienia z tak rozwlekłym preludium, poprzedzającym rozmowę. Albo przesłuchanie, nie wiadomo właściwie, co to było.

- Jest kilka spraw, o których chciałbym z panią porozmawiać - zaczyna. - Dotyczy to przede wszystkim zaginięcia Arnolda Morindera, zajmujemy się właśnie kilkoma nierozwiązanymi sprawami i bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani z nami współpracować. Dotyczy to jednak również morderstwa z 1989 roku, za które została pani skazana i odbyła karę, ponieważ. tak, ponieważ wydaje nam się, że te historie są ze sobą powiązane.

- Rozumiem - mówi Ellen Bjarnebo.

Jej głos jest spokojny i niski.

Przyjemny, myśli Barbarotti.

- Najpierw chciałbym zapytać, dlaczego świadomie się pani ukrywała. Zarówno pani, jak i Mona Frisk okłamałyście mnie, kiedy próbowałem się z wami skontaktować.

- Nie miałam takiego zamiaru - odpowiada Ellen Bjarnebo po chwili wahania. - Ale, o ile dobrze rozumiem, nie mam obowiązku uczestniczyć w tej rozmowie. Odpokutowałam już za popełnioną zbrodnię i nie mam nic więcej na sumieniu.

- Rozumiem pani punkt widzenia - stwierdza Barbarotti. - Ale mimo wszystko.

- Mimo wszystko?

- Po co tak jawnie kłamać? Przecież chcę tylko zadać pani kilka pytań. Rozumie pani chyba, że po czymś takim zaczynam nabierać podejrzeń?

- To był pomysł Mony - mówi Ellen Bjarnebo. - Ale ja się z nią zgadzam. Policja nie była wobec mnie w porządku, kiedy zniknął Arnold. Jestem już zmęczona przesłuchaniami.

- Musimy wykonywać swoją pracę - odpowiada Barbarotti. - A więc przyjechałem aż tutaj, żeby prosić panią o odpowiedź na kilka pytań. Czy możemy zaczynać?

- Przecież tu siedzę.

- Dziękuję - mówi Barbarotti i spogląda na dyktafon. Patrzy też na zasłone chmur i myśli o partii szachów, w której już zdążył wykonać kilka złych posunięć. Na chwilę pojawia się Alfons Söderberg, nieproszony jak opryszczka na ustach. Barbarotti nie zwraca na niego uwagi, chrząka i znowu zaczyna.

- No więc tak. Przeczytałem wszystko, co mówiła pani w czasie

przesłuchań i procesu, i kilka rzeczy mnie zastanawia. Na początek Arnold Morinder. Mam wrażenie, że nie była pani szczególnie zdziwiona jego zniknięciem. Mam rację?

Ellen Bjarnebo kręci głową.

- Absolutnie nie. Byłam tak samo zdziwiona jak wszyscy. Ale nie trzeba być noblistą, żeby zrozumieć tok myślenia policji. Trudno być zdziwionym, jeżeli od pierwszej sekundy jest się podejrzanym.

- Zdaję sobie z tego sprawę - mówi Barbarotti. - Czyli była pani zdziwiona?

- Oczywiście.

- Jaki był pani spontaniczny domysł?

- Słucham?

- Kiedy tamtej niedzieli nie wrócił do domu. Co pomyślała pani najpierw?

Zastanawia się, ale zaledwie chwilkę.

- Że pojechał do miasta - odpowiada.

- Do mieszkania w Rocksta?

- Tak.

- Czy mogło tak rzeczywiście być?

- Nie sądzę.

- Jeżeli mimo wszystko przyjmiemy, że tak było, czy widzi pani jakiś powód, dla którego mógłby to zrobić?

- Nie pamiętam. Nie wiem, co by to mogło być.

- Może się kłóciliście?

- Nie, nie kłóciliśmy się. Ale Arnold był specyficzny. Nie lubił mówić. Nie zawsze wiedziałam, co planuje.

- Kiedy jednak nie wrócił wieczorem, musiała się pani zastanawiać?

- Może i tak. Zwłaszcza kiedy nie odezwał się następnego dnia. Ale miałam samochód, więc nic złego mi się nie działo.

- Nie próbowała pani do niego zadzwonić?

- Próbowałam. Ale nikt nie odbierał. Uznałam, że jak zwykle zapomniał naładować komórkę. A ładowarka była w domku lotniskowym.

- A prąd?

- Arnold miał kabel pociągnięty od transformatora. Pewnie



podłączony na dziko, ale on w końcu był elektrykiem.

- Mówi pani „był”?

- Nie wydaje mi się, żeby nadal pracował jako elektryk, jeżeli żyje.

- Dlaczego?

Wzrusza ramionami, ale nie odpowiada.

- W porządku. Ale komórkę miał przy sobie?

- Tak sądzę. W każdym razie nigdy jej nie znaleziono.

- Czy zdarzało się już wcześniej, że nie było go cały dzień? Albo kilka dni?

- Kilka nie.

- Ale nie pojechała pani do miasta sprawdzić, czy on tam jest?

- Pojechałam.

- Kiedy?

- W środę.

- W dniu, kiedy zadzwoniła pani na policję?

- Tak. Kiedy zobaczyłam, że nie ma go też w mieszkaniu, zadzwoniłam. Chyba jest to zapisane w protokole, który pan czytał?

- Tak - potwierdza Barbarotti - to prawda. Chcę się tylko upewnić, że rozumiem.

- Że pan rozumie? - ostatnie słowo Ellen wypowiada z naciskiem.

- Tak.

- A cóż takiego chce pan zrozumieć?

Nagle jeszcze bardziej rozpoznaje swoją dawną nauczycielkę. W jej prostym pytaniu, podobnym do tych, które zadawała mu pani Jonsson. Nagle czuje się przejrzany. Może nie na wylot, ale w jakiś sposób udaje jej się zmienić sytuację. Nie wie jak, wie tylko, co się stało. Dokonała tego bez widocznego wysiłku, bo co tak naprawdę jest tu do zrozumienia? Wypija łyk kawy, po czym odpowiada:

- Chcę zrozumieć, co się stało. Po to tutaj jestem.

Tego już nie komentuje. Również popija kawę małymi łykami i spokojnie mu się przygląda.

- Dawniej byli państwo kolegami z klasy?

Równie dobrze można spróbować od razu przywrócić

pierwotny porządek, myśli.

To ją rzeczywiście zaskakuje.

- Tak. to prawda, skąd pan wie?

- Nie ma znaczenia, skąd wiem. Ale nie wspomniała pani o tym policji podczas przesłuchań, prawda?

- Dlaczego bym miała? To przecież nieistotne, że Arnold i ja chodziliśmy kiedyś do jednej klasy?

Barbarotti wzrusza ramionami.

- Nigdy nie wiadomo. Kiedy się spotkaliście, byliście już starymi znajomymi?

- Nie, tego bym nie powiedziała. Od tamtego czasu minęło przecież. sama nie wiem. jakieś czterdzieści lat. Pamiętałam, kim jest, i to wszystko.

- Więc to nie miało wpływu na wasz związek?

- Nie. Ale to jest moja prywatna sprawa. Nie mam zamiaru rozmawiać z panem o moim związku z Arnoldem. Nie ma to nic wspólnego z jego zaginięciem, pięć lat temu mówiłam to setki razy.

- W porządku - mówi Barbarotti. - Przyjmuję to.

Ale tylko dlatego, że bardziej ciekawi mnie ta druga historia, dodaje w myślach.

- Czy widzi pani jakikolwiek związek między tym, co stało się w Małej Birmie, a zniknięciem Arnolda Morindera?

Ona potrząsa głową.

- Nie - mówi. - Oczywiście, że nie widzę, ponieważ nie ma żadnego związku.

- Wie pani, w którą stronę pojechał, kiedy już załatwił wszystko na tej stacji benzynowej w Kerranshede?

Nie może tego wiedzieć, ponieważ nie wiedziała tego nawet kasjerka. We wszystkich możliwych dokumentach było napisane, że kiedy Morinder odjeżdżał, ona akurat patrzyła w inną stronę. Zanim jednak przejdzie do lata 1989 roku, chce zbadać ślad norweski tak dokładnie, jak to tylko możliwe.

- Nie - odpowiada Ellen ze zdziwieniem. - Jasne, że nie wiem.

- Podesunęła pani myśl, że mógł wyjechać do Norwegii. Ma tam kogoś znajomego?

Ellen Bjarnebo wzrusza ramionami.

- Wiem, że wtedy tak powiedziałam - stwierdza. - Ale w to nie wierzę. Wtedy też w to nie wierzyłam, ale kiedy człowiek całymi dniami bez przerwy odpowiada na pytania, w końcu mówi byle co.

- Byle co?

- Może nie dosłownie byle co, ale można się zmęczyć.

- Czy naszą rozmowę też uważa pani za męczącą?

- Tak, uważam. Ale proszę pytać, żebyśmy mieli to z głowy.

- Nie rozumie pani, że chcemy znaleźć Arnolda?

- Rozumiem, jak najbardziej, ale nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Nie mogę wam pomóc. Nie mogłam wtedy i nie mogę teraz.

- Czy kiedy w tamtą środę wróciła pani do mieszkania, były w nim jakieś ślady

świadczące o tym, że tam przebywał?

- Nie. Jestem raczej pewna, że go tam nie było.

- Skąd ta pewność?

- Gazety i poczta na wycieracze w przedpokoju. Zaciągnięte żaluzje. Wszystko.

- Tęskni pani za nim?

- Słucham?

- Pytam, czy pani za nim tęskni.

- Oczywiście, że tak.

- Odpowiada pani twierdząco, ponieważ takiej odpowiedzi oczekuję?

Nagle się uśmiecha. Tylko na sekundę, ale tyle wystarczy, żeby zrozumiał, że w młodszym wieku musiała być pełna uroku. Może teraz też tak jest, ale pewnie nie zamierza marnować go na zabłąkanego inspektora.

- Nigdy nie byłam zakochana w Arnoldzie - mówi. - Jeżeli koniecznie chce pan wiedzieć. Ale mimo wszystko miło jest żyć we dwoje. Choć biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło.

- Tak?

- Biorąc to pod uwagę, najlepiej byłoby, gdybyśmy się nigdy nie związali.

- Chodzi pani o jego zniknięcie?

- Zniknięcie i wszystko, co nastąpiło potem. Minęło pięć lat,

a ja nadal siedzę i rozmawiam z policjantem.

- Przykro mi.

Nie ma zamiaru przeproszać, ale zauważa, że zaczął ją lubić. Jest pewien, że nigdy nie lubił pani Jonsson, ale ona się nigdy nie uśmiechała. Ani przez sekundę w ciągu tych wszystkich semestrów; przynajmniej sobie tego nie przypominał, ale może to niesprawiedliwy osąd.

Ma to związek z władzą, myśli, a kiedy władza się uśmiecha, poddani nie zawsze to wychwytyją.

Ta refleksja jest nie na temat i zakłóca tok jego rozważań, więc pije kolejny łyk kawy, żeby z powrotem znaleźć wątek. Przez chwilę widzi w wyobraźni Marianne. Wydaje mu się, że porusza ustami. „Weź się w garść, Gunnar” - mówi chyba, po czym znika.

- Parę dni temu spotkałem się w Sztokholmie z Billym - mówi Barbarotti.

- Aha? - odpowiada Ellen, a uśmiech już całkowicie znika z jej ust. Po raz pierwszy Barbarotti wyczuwa odrobinę niepewności. Poczucia winy albo może jeszcze czegoś innego.

- Prosił, żeby przekazać pozdrowienia.

Ellen kiwa głową.

- Nie spotykacie się ostatnio zbyt często?

Bierze głęboki oddech. Jej ramiona unoszą się i opadają, przygląda mu się z powagą.

- Nie. To prawda, niezbyt często się spotykamy.

- Jest jedno pytanie dotyczące morderstwa pani męża, które jak dotąd pozostało bez odpowiedzi.

- Czyżby? A jakie?

- Dotyczy ono roli Billy'ego. Czy on wiedział, co zaszło? Oczywiście zanim to się stało powszechnie wiadome.

Ellen kręci głową. Barbarotti wskazuje dyktafon.

- Nie wiedział.

- Tak pani twierdziła podczas przesłuchania. Ale ja w to nie wierzę.

Ellen przez chwilę milczy. Splata ręce, kładzie je na brzegu stołu i się im przygląda.

- Dlaczego pan w to nie wierzy? - odzywa się po chwili.

- Ponieważ brzmi to dla mnie niedorzecznie - mówi Barbarotti.

- Niedorzecznie?

- Tak. Zgodnie z pani wersją zabija pani męża w tamtej pracowni w stodole wieczorem trzeciego czerwca, następnie ćwiartuje na kawałki, pakuje części ciała do czarnych plastikowych worków i wyrzuca je w lesie. Kończy pani dopiero o czwartej rano. Przez cały ten czas Billy jest w domu.

- Siedział w swoim pokoju - mówi Ellen Bjarnebo.

- W swoim pokoju?

- Spał. Był dość szczególnym chłopcem. Najbardziej lubił być sam.

- Domyśliłem się - odpowiada Barbarotti. - Jednak później jesteście razem przez całe lato, ponad dwa miesiące, i przez cały ten czas Billy wciąż jest nieświadomy tego, co stało się

z jego tatą. Że go pani zabiła, poćwiartowała i zakopała. I to właśnie według mnie jest całkowicie niedorzeczne.

Ellen Bjarnebo przez chwilę przygląda się splecionym dłoniom.

- Nie wiem - mówi. - Wmawiałam sobie, że tego nie wiedział. Ale może się myliłam.

Może zrozumiał, że coś się stało. Albo przeczuwał.

- Przeczuwał?

- Kto to wie? Billy był naprawdę szczególny. Nadal taki jest. Jeżeli się pan z nim widział, musiało to zwrócić pana uwagę. Teraz już mówi, ale wtedy jeszcze nie mówił. Wypowiadał tylko pojedyncze słowa.

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie - upiera się Barbarotti. - Pani jest jego matką, musiała pani chyba zauważyć, czy wie, co zrobiła z jego ojcem. Bez względu na to, czy mówił, czy nie.

Odwraca wnętrza dłoni do góry, ale ten gest jest ze wszech miar niepewny. Barbarotti nie ma pojęcia, co dzieje się teraz w jej głowie.

Może odgrywa komedię, myśli. Nie byłaby to szczególnie trudna rola, a poza tym nie pierwszy raz znajduje się w takiej sytuacji.

Barbarotti wygląda przez okno i widzi słońce, któremu na kilka sekund udaje się przebić przez chmury. Stoi wysoko na niebie, choć jest w poł do dziesiątej wieczorem.

- Pewnie, że powinnam była to zauważyć - mówi w końcu Ellen. - Ale przecież nie mogłam zapytać go wprost. Ani mu powiedzieć. Tego lata żyłam. tak na dobrą sprawę w szoku.

- Ponieważ uśmierciła pani swojego męża.

- Tak. To chyba nie jest specjalnie dziwne?

- Nie - odpowiada Barbarotti. - Chyba nie. Ale przecież musiała pani rozmawiać o tym później z Billym?

- O czym?

- O tym, czy wiedział.

- Nie - odpowiada Ellen po chwili wahania. - Chyba nie w ten sposób.

- Co chce pani przez to powiedzieć? - pyta Barbarotti.

- Chcę powiedzieć, że, że oczywiście próbowałam mu wytłumaczyć, co zaszło. Wtedy, kiedy zaczęto znajdować Harry'ego w lesie. Zanim zabrała mnie policja. Ale.

Barbarotti nie jest pewien, czy jej wahanie jest szczere, czy udawane, i pozwala jej mówić dalej - ale nie zdążyłam. I nie to było najważniejsze.

- A co? - pyta inspektor.

Ellen chrząka i zbiera siły.

- Nie było ważne, czy coś przeczuwał, czy nie. Najważniejsze dla mnie było to, żeby zrozumiał, co się stało.

- To, dlaczego pani to zrobiła?

- Tak jest. Chciałam, żeby zrozumiał.

- Ale co właściwie miał zrozumieć? - Barbarotti jest poniekąd zadowolony, że udało mu się zrehabilitować podstępne słowo „zrozumieć”.

- Już sama nie wiem - mówi Ellen Bjarnebo z westchnieniem. - I nie ma to znaczenia. Zdałam sobie sprawę, że mi go zabiorą. Że prawdopodobnie nie będę miała szansy opowiedzieć i wyjaśnić. I pomyślałam, że on.

- Tak?

- że on zrozumie. Nie lubił swojego taty. Billy bał się Harry'ego. Ja też się bałam i dlatego to się stało. Dlatego to

zrobiłam. Żeby. nas uwolnić.

- Ale nie planowała pani tego?

- Nie - odpowiada i wzrusza ramionami, jakby z rezygnacją.

- Nie planowałam. Barbarotti kiwa głową i próbuje odgryźć łeb nieproszonej fali współczucia, która w nim

wzbiera. Dobrze pamięta rozmowę z panią Pallin, była pracownicą sklepu z artykułami metalowymi.

Nie powinno się źle mówić o ludziach, którzy nie żyją od ponad dwudziestu lat, myśli, ale Harry Helgesson za życia był łajdakiem i chyba dla niego można zrobić wyjątek.

Myśli również, że dużo łatwiej przesłuchuje się niesympatycznych ludzi i że na szczęście przestępcy są z reguły niesympatyczni. Przez chwilę się nie odzywa, przewraca kartki w notatniku i udaje, że myśli nad następnym pytaniem.

- A co z pani sąsiadami z Wielkiej Birmy? - mówi w końcu. - Oni także nie wiedzieli, co się naprawdę stało? Przez całe lato?

- Myślę, że nie.

- Nawet Göran Helgesson?

Na to jednak Ellen nie odpowiada. Przeprasza i mówi, że musi wyjść do toalety. Obiecuje, że zaraz wróci.

Barbarotti wyłącza dyktafon. Czuje, że jemu również przyda się przerwa.

## 39

Wróciwszy do domu w poniedziałkowy wieczór, Eva Backman pokusiła się o podsumowanie dnia. Najpierw jednak zjadła byle jaką pastę i wzięła daleką od bylejakości długą kąpiel z pianą. Owa kąpiel była chyba dokładnie tym, czego potrzebowała, kiedy zaś dobiegła końca, było już mniej więcej za piętnaście dziewiąta.

Jakkolwiek by na to patrzeć, sporo się wydarzyło.

Na początek (i na koniec) wszystko kręciło się głównie wokół LillMarlene Fängström, troskliwej matki nieżyjącego demokracji. Rankiem, zgodnie z planem, aspirant WennergrenOlofsson poddał ją dłuższemu przesłuchaniu, skupiając się na spostrzeżeniu, o którym w sobotę opowiedziała

Evie Backman: dwóch mężczyzn, którzy, jak twierdziła, obserwowali mieszkanie jej zmarłego syna.

Przesłuchanie trwało prawie dwie godziny, ponieważ WennergrenOlofsson nie chciał zostawiać niczego przypadkowi, później zaś, kiedy pani Fängström opuściła już komisariat, Backman odbyła z nim krótką rozmowę. Powiedział, że wierzy w tę informację, i traktował sprawę poważnie, ale pewnie wypowie się na ten temat, kiedy dokładnie przesłucha nagranie i sporządzi szczegółowy raport.

W tym samym czasie, kiedy WennergrenOlofsson rozmawiał z rozpaczającą matką, Backman siedziała w innym pokoju w towarzystwie nieco młodszej kobiety. Nazywała się Frida Skare i skontaktowała się z policją, ponieważ być może wiedziała, z kim Raymond Fängström spożył swój ostatni posiłek.

Być może - podczas całej czterdziestominutowej rozmowy wielokrotnie podkreślała te słowa.

Zależało jej też na anonimowości. Sobotnia wieczorna kolacja w towarzystwie Raymonda Fängströma naprawdę nie była powodem do chwały, więc jeśli pani Skare nie ma racji, a jej przyjaciółka dowie się, kto poszedł na policję z taką informacją, na pewno ją zabije.

Owa przyjaciółka, niejaka Ellen Hökberg, bardzo kryła się z tym, gdzie zamierza spędzić - i gdzie ostatecznie spędziła - wspomniany wieczór. Zwłaszcza po fakcie i Frida Skare szybko oceniła, że w grę wchodzi spotkanie, które wypadło nie tak, jak trzeba. Randka, na którą jak zwykle umówiła się przez internet i którą chciała utrzymać w tajemnicy na wypadek, gdyby nie wypaliło.

A potem właśnie dlatego, że nie wypaliło.

Coś w tym stylu. Frida Skare powiedziała, że taka właśnie jest Ellen Hökberg, że takie rzeczy zdarzały się już wcześniej nie raz i nie dwa i jeżeli trafiała na skurczybyka albo pierdołę, nie miała ochoty na ten temat rozmawiać. Nawet z najlepszą przyjaciółką, a tę rolę Frida wzięła na siebie już podczas wspólnej nauki w liceum. Ponad dziesięć lat temu.

Przewrócić kartkę i iść dalej - taka była filozofia Ellen Hökberg,



na długo zanim to samo powiedział Karol XVI Gustaw.

- Dlaczego miałyby się spotkać akurat z Raymondem Fångströmem? - zapytała inspektor Backman.

Frida Skare odparła, teraz już prawie szeptem, że inna przyjaciółka, której nazwiska nie może wymieniwać, bo zostałaaby zabita po raz drugi, twierdziła, że widziała Ellen i Fångströma razem, wcześniej tego samego wieczoru. Konkretnie w sklepie ICA przy Allégatan, niedaleko mieszkania Fångströma.

Dodała więc po prostu dwa do dwóch.

A potem jeszcze dwa, można by powiedzieć, Ellen Hökberg przez ostatnie tygodnie nie była bowiem sobą. Po prostu miała problemy z przewróceniem kartki. Skare sądziła, że musi chodzić o coś więcej niż tylko nieudana randka. Ellen Hökberg przeżywała już wcześniej takie małe zawody miłosne, nie było z czego robić afery, a sprawa nie należała do takich, z którymi nie można by sobie normalnie poradzić.

To wszystko, w telegraficznym skrócie. Nie zapominając o „być może”.

Eva Backman podziękowała za informację, obiecała, że zachowa nazwisko Fridy Skare dla siebie tak długo, jak tylko będzie to możliwe, i dostała dane kontaktowe Ellen Hökberg.

Okazało się, że ta przebywa na Särö, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Göteborga, na dwudniowej konferencji służbowej. Backman dodzwoniła się tylko do automatycznej sekretarki i nie zostawiła żadnej wiadomości. Jeżeli panna Hökberg naprawdę miała coś wspólnego ze śmiercią Fångströma, lepiej jej nie ostrzegać. Do Kymlinge miała wrócić we wtorek wieczorem, a jeżeli czekało się szesnaście dni, można poczekać i siedemnasty.

Kiedy skończyła z koleżankami Hökberg i Skare i zjadła w swoim pokoju przeciętny lunch - kanapkę, banana i przeterminowany jogurt - zadzwoniła kobieta z laboratorium w Linköping. Po dwóch tygodniach dobiegły wreszcie końca analizy nadesłanych próbek.

Kobieta wyraziła ubolewanie, że trwało to tak długo, ale ktoś - wszystko wskazywało na to, że nie ona, tylko jakiś młodszy kolega - trochę pokpił sprawę, tak czasem bywa w

Państwowym Laboratorium Kryminalistycznym, a do tego doszła jeszcze pewna zadziwiająca okoliczność.

- Okoliczność? - zapytała Backman, jak nakazywał obowiązek. - Zadziwiająca?

- Tak, naprawdę - odparła kobieta, której nazwisko Backman na próżno próbowała sobie przypomnieć osiem godzin później w wannie, ale na szczęście miała ją w skrzynce mailowej, a następnego dnia miał przyjść wyczerpujący raport, więc nie było problemu. - Można chyba powiedzieć, że trochę to, kolokwialnie mówiąc, pogmatwało sprawę.

Backman jeszcze raz zadała oczekiwane pytania i wkrótce wszystko się wyjaśniło. Treść żołądkowa kontra sos mięsny - to właśnie był problem. Albo, innymi słowy, wymiociny kontra spaghetti po bolońsku. Analiza resztek jedzenia, które tego feralnego wieczoru (kobieta z laboratorium naprawdę użyła określenia „ten feralny wieczór” i Backman zastanawiała się po cichu, czy przypadkiem nie marzy o pisaniu scenariuszy do telewizji) znajdowały się na stole w kuchni Fängströma, wykazała brak jakichkolwiek śladów trucizny. Tylko porządne składniki, których można się spodziewać w jako tako jadalnym sosie tego rodzaju: mielone mięso, rzecz jasna, cebula, marchew, bulion, śmietana, przecier pomidorowy, pulpa pomidorowa, sól, pieprz oraz cztery czy pięć różnych ziół. Do tego kapka czerwonego wina - zresztą tej samej marki jak to, które później pili do obiadu. Ze dwie szczypty parmezanu, najwyraźniej tartego.

Backman podziękowała za ten wyczerpujący przepis i przeszły do punktu, w którym tkwił największy szkopuł. Ściślej zaś mówiąc, do tego, co odebrało życie Raymondowi Fängströmowi, zasiadającemu w radzie gminy Kymlinge politykowi Szwedzkich Demokratów: do wymiocin i treści żołądkowej.

Czy raczej do tego, co znaleziono w obu tych wydzielinach (jak uściśliła kobieta z laboratorium, robiąc przy tym krótką, ale właściwie użytą dramatyczną pauzę). Znaleziono mianowicie porządne dawki dwóch różnych rodzajów trucizn: orellaniny i jednej z amanitotoksyn. Obie są znanymi

truciznami występującymi w większości trujących i śmiertelnie trujących grzybów w kraju; zawierają je chociażby muchomor sromotnikowy, muchomor jadowity, zasłonak czy hełmówka jadowita. Ta trucizna musiała zostać wprowadzona do organizmu Fängströma, jeszcze zanim usiadł do kolacji ze swoim tajemniczym gościem i wcześniej opisanym sosem bolońskim. Nie zapominając o spaghetti, serze, sałatce i winie, choć wszystkie te produkty były jednakowo niewinne. Wniosek ten można było wysnuć na podstawie czasu i obrazu zatrucia. Jak dowiedziała się Backman, zarówno amanitotoksyna, jak i orellanina działają stosunkowo wolno i objawy pojawiają się najwcześniej po jakichś ośmiu godzinach, choć czasem może to trwać nawet dwadzieścia cztery godziny. Amanitotoksyna zaczyna zwykle działać nieco szybciej niż orellanina.

Można by było jeszcze dodać, że gdyby ktoś zawiózł Fängströma w nocy do szpitala, demokrata miałby szanse przeżyć. Może nie byłyby to duże szanse, ale jakieś na pewno.

Backman podziękowała także i za te informacje i spytała, czy ma wobec tego rozumieć, że Raymond Fängström został prawdopodobnie otruty w porze lunchu, ale zmarł znacznie później?

- Tak - odpowiedziała kobieta z laboratorium. - Właśnie tak.

W ciągu piętnastu minut od zakończenia rozmowy odebrała również maila ze wszystkimi wstępnymi ustaleniami. A także paroma innymi, chociażby tym, że zarówno treść żołądkowa, jak i wymiociny Fängströma, poza niestrawionymi resztkami grzybów, chleba i pewnej ilości słodyczy, zawierały również sporą ilość jaj, tak sporą, że można uznać, iż w dniu swojej śmierci spożywał omlet.

Omlet z grzybami, pomyślała Backman. Ten bałwan zjadł na lunch wielki omlet z duszonym muchomorem.

Gdzie? Oto jest pytanie. Gdzie spożył tę feralną potrawę? Umarł w sobotę. Czy to możliwe, żeby jadł posiłek w jakimś barze?

A może wtedy też siedział w kuchni? U kogoś znajomego.

U Ellen Hökberg?

Czy był to wypadek, czy też ktoś ten omlet specjalnie

przygotował?

Ale w takim razie kto?

Ellen Hökberg?

Dlaczego?

Bo była jego polityczną przeciwniczką?

Nie tak szybko, pomyślała Backman po południu w swoim gabinecie i dużo później w wannie. Nawet nie wiemy jeszcze, czy mamy tu do czynienia z omletem.

„Czy mamy tu do czynienia z omletem”? Coś jej mówiło, że nigdy wcześniej, w ciągu ponad dwudziestu lat służby, nie zmagala się z taką kwestią. Pomyślała, że musi to zapamiętać i wykorzystać, kiedy będzie pisała pamiętniki.

Niestety - i pechowo dla śledztwa, choć wiedzieli o tym od dawna - zanim w sobotę wieczorem odwiedził go tajemniczy gość, Fängström opróżnił kosz na śmieci. Backman zobaczyła w wyobraźni grupkę policjantów polujących na ewentualne resztki ponaddwutygodniowego omletu na wysypisku Gräfsta. Niewątpliwie także to nadawałoby się do pamiętników, jednak po gruntownym przemyśleniu sprawy doszła do wniosku, że muszą być inne sposoby.

Co do tego, jakie konkretnie, mogła panować różnica zdań. Akurat rozmawiała na ten temat z inspektorami Smutasem i Toivonenem, kiedy zadzwonił jej telefon. Widziała, że szykuje się dalszy ciąg opery mydlanej z LillMarlene Fängström w roli głównej, ale mimo to odebrała.

- Znów tu są!

- Słucham? - odparła Backman. - Kto gdzie jest?

- Terroryci - wysyczała LillMarlene Fängström. - Jestem w jego mieszkaniu, a oni znów siedzą na tej ławce!

Trzydzieści minut później byli na komisariacie. Zatrzymanie przebiegło bezboleśnie. Terrorystami okazali się Abram i Kunder Harali. Ojciec i syn. Pochodzili z Syrii, ale od ponad dziesięciu lat mieli szwedzkie obywatelstwo. Od razu poproszono ich do dwóch oddzielnych pokojów przesłuchań, żeby nie mogli się naradzać.

Backman wraz ze Smutasem zajęli się synem. Toivonen i aspirant Tillgren przesłuchiwali ojca.

Obaj podejrzani opowiedzieli historię identyczną w najdrobniejszych szczegółach i po rozmowie z panią Harali, żoną Abrama, a mamą Kundera, zostali wypuszczeni na wolność.

Cała sprawa miała związek z młodszą siostrą Kundera, Beharą. Na dwunaste urodziny, które wypadły mniej więcej miesiąc wcześniej, dostała w prezencie upragnione skrzypce. Uważa się za bardzo muzykalną - wyjaśnił Abram z dwuznacznym uśmiechem. Behara brała lekcje gry na tym instrumencie u jednego z miejscowych nauczycieli i jednym z wymagań było to, żeby ćwiczyła w domu co najmniej pół godziny dziennie. Ponieważ rodzina zajmowała ciasne mieszkanie o cienkich ścianach przy Rosengatan - w tej samej dzielnicy, w której mieszkał Raymond Fängström - i ponieważ zarówno tata, jak i brat rozumieli, że należy szanować muzykalność Behary i jej umiejętności, woleli czas ćwiczeń spędzić na dworze. W końcu był początek lata, a obaj lubili siedzieć w słońcu na ławce i rozmawiać albo czytać. Czy to nie jest dozwolone w tym dziwnym kraju, w którym mieszkają od ponad dekady?

Ależ tak, zapewniła stanowczo inspektor Backman, dodając, że to jedno wielkie nieporozumienie, i zaproponowała im odwiezienie z powrotem na Rosengatan.

Ojciec i syn podziękowali za propozycję, mówiąc, że wolą wrócić do domu na piechotę i że jeżeli cokolwiek jeszcze mogą służyć, to są jak najbardziej do dyspozycji.

Pięć minut po ich wyjściu do inspektor Backman przyszedł aspirant Wennergren-Olofsson ze świeżutkim raportem mieszczącym się na piętnastu gęsto zapisanych stronach. Backman podziękowała mu za dobrze wykonaną pracę, a kiedy wyszedł, wyrzuciła raport do kosza.

I to chyba cały dzień w ogólnym zarysie, pomyślała Eva Backman, wyciągając korek z wanny.

Co prawda zagadka śmierci Raymonda Fägströma nie została jeszcze ostatecznie wyjaśniona, jednak Backman czuła, że są już znacznie bliżej rozwiązania.

Którym, mówiąc ściślej, był omlet z grzybami. A

przynajmniej było to wielce prawdopodobne. Pomyślała, że na szczęście żadnemu dziennikarzowi nie udało się jak dotąd wpaść na ten sensacyjny i spektakularny trop. Tak czy inaczej uznała, że jeszcze przed piątkiem sprawę uda się odłożyć do akt, a wtedy będzie mogła wziąć planowany tydzień urlopu.

Żadnego wyjazdu, tylko szwedzki początek lata - to wystarczy.

Kiedy wytarta i gotowa wyszła z łazienki, zobaczyła, że przyszedł do niej nowy esemes. Wysłano go z innej łazienki.

## 40

Gunnar Barbarotti wrócił do swojego pokoju w pensjonacie Ragnhildy dopiero piętnaście po jedenastej. Druga część rozmowy z Ellen Bjarnebo zajęła mniej więcej pół godziny, jednak później spędził dłuższą chwilę w łazience, ponieważ było to jedyne znane mu miejsce w całym pensjonacie, gdzie działała jego komórka.

Porozmawiał chwilę z Sarą i Jenny, powiedział, że zamierza jutro wyjechać z Vilhelminy i że będzie w domu najpóźniej w środę. Wtedy też zgodnie z obietnicą złożył skórkę każdemu, kto będzie miał odwagę zmierzyć się z nim w wista dla dwóch graczy. Każdemu po kolei.

Kiedy skończył rozmowę z dziećmi, zastanowił się chwilę i w końcu zadowolił się wysłaniem esemesa do Evy Backman. W końcu było dość późno, a pamiętał, że kiedy ostatnio rozmawiali, w jej głosie dało się usłyszeć cierpki ton. Poprosił, żeby się odezwała przed lunchem następnego dnia, i życzył miłych snów.

Następnie wysłał kolejną wiadomość, do terapeuty Rönna, tłumacząc, że niestety nie będzie mógł się zjawić we wtorek, ale, jeżeli Rönn pozwoli, odezwie się w sprawie innego terminu.

Kiedy załatwił już te sprawy i wziął szybki prysznic - ciepła woda już się kończyła - wrócił korytarzem do swojego pokoju. Zaciągnął roletę, zasłaniając wciąż pełne światło dnia, i wszedł

do dość ciasnego i twardego łóżka.

Zapalił nocną lampkę i przewinał taśmę w dyktafonie, żeby w spokoju przesłuchać rozmowę z Ellen Bjarnebo. Zwłaszcza jej późniejszą część, kiedy już wróciła z toalety.

W tym wszystkim coś jest, pomyślał. Coś tu się naprawdę nie zgadza.

Gunnar Barbarotti: Jak wyglądała sytuacja z sąsiadami z Wielkiej Birmy? Z tego, co wiem, pani i Harry nie byliście z nimi w najlepszych stosunkach?

Ellen Bjarnebo: Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Czy nie przyjechał pan tu po to, żeby ustalić, co się stało z Arnoldem?

GB: W rzeczy samej. Ale, tak jak mówiłem, wydaje mi się, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane.

EB: Nie są. Policja ubzdurzała to sobie pięć lat temu. Wbili sobie do głów, że jeżeli zabiłam człowieka, mogę z powodzeniem zabić jeszcze jednego. Takie rozumowanie jest naiwne.

GB: Naiwne? Dlaczego?

EB: Nie miałam powodu zabijać Arnolda. Ale miałam dobre powody, żeby zabić Harry'ego. To szło tak daleko, że Billy i ja nie mieliśmy już siły. Harry się nad nami znęcał, było coraz gorzej i nie widziałam żadnego wyjścia.

GB: Czy to znaczy, że pani to zaplanowała?

EB: Oczywiście, że nie. Gdybym miała cokolwiek planować, zabrałabym Billy'ego i odeszła.

GB: Ale zamiast tego zabiła pani męża?

EB: To była kwestia chwili.

GB: Podczas przesłuchania mówiła pani, że mimo wszystko dała sobie trochę czasu do namysłu?

EB: Nie rozumiem, dlaczego znowu mnie pan przesłuchuje? Odpowiedziałam już na te pytania dawno temu i przesiedziałam jedenaście lat w więzieniu za zabicie Harry'ego. Na dobrą sprawę nie mam już kontaktu z synem. Nie uważa pan, że, że już za to zapłaciłam?

GB: Przepraszam. Zgadza się, już pani zapłaciła. Rzecz w tym, że.

EB: Że?

GB: Że przysłano mnie tutaj, żebym zadał te pytania.

EB: Przysłano?

GB: Tak. A zresztą nieważne.

Dlaczego w tym momencie się poddałem? - myśli. Co sprawiło, że nagle nie byłem już dłużej w stanie grać swojej roli?

Bo przecież właśnie to miało miejsce. Przez sekundę, tuż przed tym, jak ją przeprosił, wydawało mu się, że widzi tę scenę z zewnątrz, z innego miejsca w pokoju: uparty inspektor i skazana w przeszłości kobieta - widział, jak siedzą po obu stronach stołu w pustej jadalni i jak zamecza ją bezczelnymi pytaniami, insynuacjami. Z tej pozycji, z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora, cała sympatia jest po stronie kobiety. Bez najmniejszych wątpliwości. Policjant reprezentuje tylko władzę i arogancję. Jego zachowanie jest natarczywe i niegodne. Bez skrupułów przyznaje sobie prawo do wkraczania w czyjeś życie. Kiedy chce, jak chce i bez choćby słowa przeprosin.

Ale on prosił o wybaczenie. Powiedział „przepraszam”. Właśnie dlatego.

EB: Nie bardzo rozumiem.

GB (śmieje się, a w jego śmiechu pobrzmiwa fałszywy ton): Nie, nie to chciałem powiedzieć.

EB: Czego nie chciał pan powiedzieć?

GB: Nie chciałem zrzucić winy na nikogo innego. Chciałem tylko powiedzieć, że jestem tutaj, ponieważ wykonuję swoją pracę. Jak większość ludzi. tak mi się wydaje. Człowiek dostaje zadanie i próbuje je w miarę możliwości wykonać. Mój szef zlecił mi przyjrzenie się tym dwóm sprawom. Przede wszystkim zaginięciu Arnolda Morindera, ale też sprawie zabójstwa pani męża. Tak, tak to właśnie wygląda.

(Co najmniej pięciosekundowa cisza).

EB: I tylko po to, żeby pan mógł wykonywać swoją robotę z czystym sumieniem, ja mam odpowiadać na wszystkie pytania, na które już wcześniej odpowiadałam setki razy?

GB: Nie, bynajmniej. Ma pani oczywiście prawo w każdej chwili przerwać tę rozmowę. Proszę mi wybaczyć, nie jestem do



końca sobą. Miesiąc temu zmarła moja żona, trudno mi się skupić.

Czy to przez tę jej „kwestię chwili”? - myśli, leżąc w łóżku i czując nagłe łomotanie serca. Czy dlatego powiedziałem jej o Marianne? Dlatego się nie powstrzymałem?

Kwestia chwili?

EB: Współczuję panu. Jak umarła?

GB: Tętniak. Pękło drobne naczynko w mózgu. i tyle.

EB: Może w ogóle nie powinien pan pracować?

GB: Być może. W każdym razie nie powinienem o tym z panią rozmawiać.

EB: Nic nie szkodzi. Dla mnie każdy temat jest lepszy niż tamta sprawa z przeszłości.

GB: Potrafię to zrozumieć. Myśli pani, że możemy zamówić jeszcze kawę? O ile zgadza się pani na dalszą rozmowę.

EB: Chciałby pan do tego mały koniak?

GB: Koniak?

EB: Tak. Nie wie pan, co to takiego?

GB: Gdzieś mi się chyba obilo o uszy. Dlaczego by nie.

(Minuta ciszy, podczas której Ellen Bjarnebo przygotowuje kawę i koniak. Z jakiegoś powodu Barbarotti słucha w napięciu i tego).

EB: Gotowe. No to na zdrowie, panie komisarzu.

GB: Jestem tylko inspektorem.

EB: I tak na zdrowie.

GB: Na zdrowie.

EB: Dobrze, proszę kontynuować.

GB: Dziękuję.

Musi koniecznie zniszczyć tę taśmę. Albo przynajmniej postarać się ją sprzedać szkole policyjnej jako przykład tego, jak nie należy przeprowadzać przesłuchań. Znajdź pięćdziesiąt pięć błędów. Naprawdę nie tak powinno się to robić.

Jednak na taśmie nie słycać wszystkiego, myśli. Do tego dużo brakuje, a często właśnie to, czego nie słycać, jest najciekawsze. Leżąc z zamkniętymi oczyma w tym podobnym do trumny pokoju i słuchając ich głosów, widzi jednocześnie całą resztę: ich pozycje przy stole, ruchy, grymasy twarzy,

wzajemne oddziaływanie.

Wzajemne oddziaływanie? Nie, o tym naturalnie nie ma mowy. A swoich własnych ruchów i grymasów nie widzi, jednak jest coś szczególnego w samej atmosferze i w jej obecności?

Ona bowiem nie uważa tego wszystkiego za nieciekawe. Przynajmniej od czasu do czasu jej ekspresja przeczy wypowiedzianym słowom. Rozmowa z nim wcale nie jest dla niej nieprzyjemna. Bez wątpienia ma do niego przyjazny stosunek, mógłby nawet pokusić się o stwierdzenie, że go lubi. I że to, o czym mówią, jest według niej ważne. Że, naprawdę nie ma nic przeciwko kontynuowaniu rozmowy, zwłaszcza kiedy już każde z nich ma na stole filiżankę kawy i kieliszek koniaku. Wieczór jest jasny, nie ma żadnych oznak tego, że w domu jest sześć innych osób, nawet jeśli czasem drewno trzeszczy i skrzypi, co również utrwalilo się na taśmie. Może część gości już się położyła, a część jest na spacerze, chmur jest jakby mniej i chyba się przejaśnia.

GB: No więc myślałem o waszych sąsiadach. Mielście z nimi trochę napięte stosunki, prawda?

EB: Tak, to prawda.

GB: Czy może pani coś o tym powiedzieć?

EB: Nie było w tym nic dziwnego. Harry i Göran nigdy się nie dogadywali. Harry był o nich zazdrosny. Ich gospodarstwo było większe, w Wielkiej Birmie wszystko działało o wiele lepiej i on nie mógł tego ścierpieć.

GB: Sąsiedzi wiedzieli, że Harry źle traktuje panią i Billy'ego?

EB: Wiedzieli. Ale to nie była ich sprawa i nigdy się do tego nie mieszałi.

GB: A kiedy pani to zrobiła, kiedy Harry zniknął, niczego nie podejrzewali?

EB: Nie wydaje mi się. Göran pomagał mi tego lata w gospodarstwie.

GB: Aż do momentu, kiedy znaleziono Harry'ego?

EB: Tak. Wtedy wszystko się zmieniło.

GB: Mogło to pani ujść na sucho, myślała pani o tym?

EB: Tak, oczywiście, że tak. Ale stało się, jak się stało.

GB: Gdyby nie zaczęto znajdować części ciała, może byłaby pani na wolności. Jak pani myśli, jak wtedy wyglądałaby sytuacja? Na przykład dzisiaj?

EB: Zazwyczaj powstrzymuję się przed tego rodzaju myślami.

GB: Ale musiała pani chyba o tym myśleć? Tamtego lata?

EB: Możliwe. Ale i tak.

GB: Tak?

EB: Uważam, że dzieje się to, co się ma dziać. Nie mamy na to wpływu.

GB: Co chce pani przez to powiedzieć?

EB: Zabiłam Harry'ego. Zrobiłam to, bo musiałam. I tak samo musiałam chyba za to odpokutować. Może nie potrafiłabym żyć z poczuciem winy. na dłuższą metę.

GB: Rozumiem. Ale miała pani na sumieniu także coś więcej, prawda?

(Pięciosekundowa cisza).

EB: Chodzi panu o Görana Helgessona?

GB: Tak.

EB: Skąd pan o tym wie? Przecież nie ma o tym mowy w protokołach?

GB: Rozmawiałem wczoraj z Inger Berglund.

EB: Inger Berglund?

GB: Tak, wówczas nazywała się Inger Helgesson. Mieszkała w Wielkiej Birmie.

EB: Aha. Rozumiem. I ona panu powiedziała?

GB: Zgadza się, powiedziała. Że miała pani romans z jej ojcem i że to pewnie pani to ujawniła.

EB (po kilkusekundowym wahaniu): Zgadza się, to ja. Może to był błąd, dużo o tym później myślałam. Wtedy jednak byłam pewna, że właśnie tak muszę postąpić.

GB: Kiedy konkretnie?

EB: Po jakichś sześciu miesiącach spędzonych w Hinsebergu. Było dla mnie ważne, żeby postępować słusznie z moralnego punktu widzenia. Towarzyszy. tak, zawsze towarzyszył mi. głos, który mówi mi, jak powinnam postąpić.

Może brzmi to dziwnie albo wydaje się naciągane, ale czasami wmawiałam sobie, że to głos sumienia.

GB: Nie sądzę, żeby to było naciągane.

EB: Dziękuję. Tak czy inaczej, kiedy byłam na przepustce, odwiedziłam gospodarstwo. Mała Birma została już sprzedana paru ekologicznym zapaleńcom ze Sztokholmu, ziemię dzierżawił od nich Göran, powiedziałam Ingvor o wszystkim. Görana nie widziałam na oczy, ale domyśliłam się, że to ich zniszczyło.

GB: Czy taki był pani zamiar?

EB: W żadnym wypadku. Ale nie zamierzałam dźwigać winy Görana. Może nawet myślałam, że wyświadczam im przysługę?

GB: Ale tak się nie stało?

EB: Nie mnie to oceniać. Coś jednak musiało być nie tak, skoro chodził zaspokajając się do sąsiadki. Myślę poza tym, że nie byłam jedyna. Myślę, że Göran Helgesson znalazł sobie inną, kiedy wylądowałam w więzieniu.

GB: Ale tego lata nadal coś między wami było?

EB: Tak.

GB: Żałuje pani tego?

EB: Że byłam z Göranem?

GB: Tak.

(Kilkusekundowa cisza, podczas której dopijają w milczeniu koniak).

EB: Od początku zmuszał mnie do tego. Byliśmy im winni pieniądze i brał mnie w ramach zapłaty. Nigdy nie działa się to z mojej inicjatywy i nigdy mi się to nie podobało.

GB: Nie podobało się pani?

EB: Nie.

GB: A Harry nigdy niczego nie podejrzewał?

EB: Nie, w przeciwnym razie by zareagował.

GB: W jaki sposób?

EB: Nie wiem. Pewnie by się wściekł. Harry raczej nie ukrywał, co myśli i czuje.

GB: A Billy?

EB: Co z nim?

GB: Czy mógł wiedzieć, że pani i Göran mieliście romans?

EB: Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie spotykaliśmy się zbyt często, a Göran zawsze się bał, że nas nakryją.

GB: Bał się też Billy'ego?

EB: Nie, chyba nie. Ale zawsze korzystał z okazji, kiedy wiedział, że Harry'ego nie ma w domu. To nie było trudne, ścieżka biegła przecież obok ich domu. Kiedy widział, że Harry odjeżdża samochodem, wiedział, że droga jest wolna.

GB: Jak długo to trwało?

EB: To między mną a Göranem?

GB: Tak.

EB: Mniej niż rok. Zaczęło się zimą tamtego roku.

GB: Rozumiem.

Wyłącza na chwilę dyktafon.

Co takiego właściwie rozumiem? - myśli. Teraz w tych małych, nadużywanych słowach kryje się większy ciężar niż na początku, kiedy operowali nimi, próbując nawzajem wywieść się w pole.

Jakie przeczucia pojawiają się w tej fazie rozmowy? Czuł coś, kiedy tam siedzieli, i czuje to samo teraz, leżąc w tym niewygodnym łóżku i czując przyspieszony puls.

Czy to coś w jej słowach, czy też w sposobie, w jaki na niego patrzy? A może w tym delikatnym zamyśleniu, które nagle zaczęło być słyszalne w jej głosie? Jakby chciała opowiedzieć coś, czego opowiedzieć nie może? Jakby przez tak długi czas dźwigała coś tak ciężkiego i beznadziejnego, że teraz najchętniej by to z siebie zrzuciła?

Przywidzenie, myśli. Nadinterpretacja.

Znowu włącza taśmę. Nagranie zaczyna się krótką pauzą - pamięta, że właśnie wtedy usłyszeli, że ktoś w domu włącza radio, po czym zaraz je wyłącza. Jednak z jakiegoś powodu to się nie nagrało. Usłyszał tylko swoje brutalnie bezpośrednie pytanie.

GB: A Billy? Jak to właściwie było?

(Jakby ją prosił, żeby wreszcie wyłożyła karty na stół; może ona też tak to rozumie, jednak po chwili namysłu odpowiada inaczej. On zaś nie wie, o jakie karty mogłoby chodzić).

EB: Tak, to wielki smutek.

GB: Smutek? Dlatego, że pani za nim tęskniła? To znaczy, straciła z nim kontakt?

EB: Tak. Ale człowiek uczy się żyć ze smutkiem. Nie wiem, co by się działo w Małej Birmie, gdyby tak dalej było. Nie było żadnego rozwiązania.

GB: Żadnego rozwiązania?

EB: Naprawdę. Harry był złym człowiekiem. Może nie od początku, ale z czasem taki się stał. Złość i gorycz go zżerały. Wie pan, nigdy nie żałowałam tego, co zrobiłam. Czy to nie jest znak?

GB: Znak czego?

EB: Że postąpiłam właściwie. Gdy się postępuje niewłaściwie, chyba zawsze się tego żałuje?

GB: Nie wiem. Może ma pani rację. Ten głos, o którym pani wcześniej wspominała, czy on namawiał panią do zabicia Harry'ego?

EB: Nie. Nie sędzę.

GB: Kiedy pani brat i jego żona zdecydowali, że zajmą się Billym, pomyślała pani, że to dobre rozwiązanie?

EB: W każdym razie nie widziałam lepszego.

GB: Jakie były wasze relacje? Pani z Gunderem i Lisbeth?

EB (śmiech): Słabe. Mówiąc krótko.

GB: Ale mimo to nie sprzeciwiała się pani, kiedy mieli zaopiekować się Billym?

EB: Jaka była inna możliwość? W Hinsebergu mogłam spędzić nawet czternaście lat. Oni nie mieli własnych dzieci. Mimo wszystko na swój sposób troszczyli się o Billy'ego. On.

GB: Tak?

EB: Miał z nimi lepiej niż z Harrym i ze mną.

GB: Ale dlaczego nie utrzymywała pani z nimi kontaktu?

EB: Ponieważ Gunder sobie tego nie życzył.

GB: A Lisbeth?

EB: Jej zdanie nigdy się w tym małżeństwie nie liczyło.

GB: Ale pani pogodziła się z brakiem kontaktu?

EB: A miałam wybór? Proszę nie zapominać, że byłam Rzeźniczką, morderczynią. Co by to dało Billy'emu, gdybym odwiedzała go raz po raz w jego nowym domu? Utrzymywali

jego przeszłość w tajemnicy i mieli absolutną rację.

GB: Więc wzięła pani na siebie całą winę i odpowiedzialność?

EB: Tak, można tak powiedzieć.

GB: I myśli pani, że to było sprawiedliwe.

EB: Tu nie chodziło o sprawiedliwość. Czy widzi pan jakieś lepsze wyjście? Z takiej sytuacji.

GB: Chyba nie. Ale po wyjściu z więzienia też nie miała pani dobrego kontaktu z Billym, prawda? W końcu minęło ponad dziesięć lat.

EB: Tak się ułożyło. Przykro mi z tego powodu, ale mimo to czasem się widzimy. Widział się pan z Billym, więc wie, jaki on jest. Ciężko mu przychodzi nawiązywanie kontaktów z ludźmi.

GB: Z matką też?

EB: Lata spędzone w Hallsbergu miały na niego duży wpływ. Nigdy nie odbudowaliśmy tak naprawdę naszej więzi. Ale cieszę się, że dobrze mu się wiedzie. Juliana to dobra kobieta. Najważniejsze, że.

GB: Tak? Co jest najważniejsze?

EB: Że ma wreszcie godne życie. Nie to, czy nasza relacja jest idealna, czy nie. Prawda? Takie myślenie byłoby egoistyczne. Przecież mam nawet wnuka.

GB: Nie jest pani zgorzkniała?

EB: A czy wyglądam na zgorzkniałą?

Kiedy to mówiła, splotła przed sobą dłonie na stole i spojrzała mu prosto w oczy. Czy wyglądam na zgorzkniałą? Wyraźnie pamięta jej pewne spojrzenie i dochodzi do wniosku, że rzadko albo wręcz nigdy nie miał do czynienia z takim spokojem. Co jest z tą kobietą?

To jedyna rzeźniczkamorderczyni, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia, i nie tego się spodziewał. Nie wie dokładnie, na co liczył, ale w każdym razie nie na to. Poćwiartować drugiego człowieka? Co trzeba w sobie mieć, żeby to zrobić? Może wystarczy tylko kilka godzin wstrzymywanej paniki i trochę wprawy? Pamiętał, że Ellen Bjarnebo pracowała w masarni Köttmana. W raportach, które czytał, poćwiartowanie

Harry'ego Helgessona określano jako „profesjonalne” albo „adekwatne”.

„Adekwatne” poćwiartowanie?

Przesłuchuje ostatnią minutę taśmy - nie ma tam nic ważnego. Umawiają się na chwilę rozmowy po śniadaniu następnego ranka, jeżeli któreś z nich uzna, że zachodzi taka potrzeba. Następnie dziękuje, ona zaś wyraża ubolewanie, że musi tu siedzieć i wałkować stare sprawy, kiedy powinien w spokoju opłakiwać żonę.

- Kochał ją pan? - pyta i są to jej ostatnie słowa przed wyłączeniem dyktafonu.

- Tak - odpowiada Barbarotti - bardzo ją kochałem.

Jest już po północy. Sen jednak nie chce nadejść. Oczywiście, że nie; Barbarotti przewraca się z boku na bok pod cienką kołdrą i w panującym półmroku usiłuje wyłączyć mózg. Kiedy to się nie udaje, próbuje znaleźć fragment Biblii, może z Księgi Koheleeta albo Listu do Hebrajczyków, a kiedy również to zawodzi, kładzie się na plecach i próbuje przypomnieć sobie list od Marianne słowo w słowo, a jednocześnie zobaczyć w wyobraźni jej twarz.

Przez kilka spokojnych minut naprawdę mu się to udaje; w pewnym sensie wydaje mu się, że ona jest tuż obok, ale później wraca Ellen Bjarnebo. Ich rozmowa, jej spokojne spojrzenie, kiedy siedzieli przy stole niczym dwoje szachistów bez figur, szachownicy i koncepcji, i nagle pojawia się pytanie, którego jej nie zadał, choć powinien był to zrobić.

Gdybym był pani spowiednikiem, a nie tylko prostym inspektorem, powiedziałaaby mi pani co innego, prawda?

Tak, myśli na kilka sekund przed zaśnięciem - to pytanie zadam jej jutro rano. Właśnie to pytanie.

## 41

Po północy. Tak trudno zasnąć.

Tego lata nie miała kłopotów z zaśnięciem, musi to coś znaczyć. To, że nie zdarzały się jej bezsenne noce, podczas których przeżywałaby to, co się stało, z pewnością było



znakiem. Znakiem i potwierdzeniem tego, że jej wina była niewielka, że tylko - w jakimś głębszym sensie, do którego nie trzeba było się dokopywać - zrobiła to, co musiała? A nawet jeśli tak nie jest, to koniecznie trzeba tak myśleć, podobnie jak przez wszystkie te lata.

To, że tej nocy nie może zasnąć, wynika z czegoś innego. Nie wiadomo, z czego, ale rozmowa z inspektorem wciąż jeszcze w niej siedzi i nie jest pewna, czy w dobrym, czy złym sensie. Chętnie zamieniłaby kilka słów z Moną, ale kiedy skończyli rozmawiać w jadalni, Mona już się położyła. A w każdym razie zamknęła drzwi i kiedy Ellen ostrożnie przechodziła obok, z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk.

Mona zawsze kładzie się wcześniej. I wstaje przed szóstą rano. W zimie i w lecie; obie z Ellen wiedzą, że z nastaniem ciemnych pór roku powinno się spać dłużej. Zwłaszcza w tych okolicach, gdzie między listopadem a lutym nigdy nie jest tak naprawdę jasno. Ale tak się nie da; nie powinno się próbować rządzić swoim ciałem i jego przywarami - powtarza często Mona. Lepiej wsłuchiwać się w sygnały i traktować je poważnie.

Ellen nie wie, jakie to sygnały nie dają jej spać tej nocy, ale ich źródło tkwi raczej w głowie. Może mimo wszystko powinna zaciągnąć rolety, choć jej głowa chyba nie zwraca uwagi na światło czy ciemność. Nie w ten sposób - to innym rodzajem światła i mroku zajmuje się teraz jej mózg. Po prostu dobrem i złem, a o tym nie mogłaby porozmawiać z Moną i wcale nie zamierza. Czuje się jednak, jakby rozmowa z tym przyjaznym inspektorem - przyjaznym i wręcz odrobinę zagubionym, ale skoro miesiąc temu stracił żonę, to chyba nie ma w tym nic dziwnego - a więc jakby rozmowa z tym inspektorem coś w niej obudziła. Coś, na co czekała i o czym wiedziała, że pewnego dnia się zjawi. Prędzej czy później, bo przecież pięć lat temu upiekło jej się zbyt łatwo. Przecież tak było. Wprawdzie nie dawali jej spokoju - ten uparty Gunvaldsson i kilku innych - ale to było nic w porównaniu z tym, czego się spodziewała. Kiedy nagle pozwolono jej odejść, z dnia na dzień, w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Taka jednak była prawda - już nie podejrzewano jej o to, co ich zdaniem stało się z Arnoldem, ale już przy pierwszym kontakcie z owym inspektorem Barbarottim, kiedy zadzwonił do niej kilka tygodni wcześniej, poczuła, że dogoniła ją przeszłość. Nie - koryguje swoje myśli - nie żeby przez cały czas na to czekała, ale coś tam jednak było. Coś niedokończonego, jak książka, która mimo wszystko ma jeszcze jeden rozdział. Piosenka ze spóźnionym ostatnim wersem.

I wszystko to czuje teraz tak wyraźnie. Cały ten czas, te trzydzieści lat wydaje się nagle zgęszczone, upakowane w coś o wiele bardziej zwarte. Kilka pojedynczych zdarzeń, nieliczne decyzje, kilka długofalowych konsekwencji.

Czy u każdego tak właśnie wygląda życie? - zastanawia się. „Długich lat potrzeba na odkupienie chwili”, ale czy tak musi być? Chyba przeczytała tę sentencję na jednej z haftowanych makatek nad kuchenną kanapą, lecz nie miała pewności, gdzie to było i czy to wspomnienie w ogóle jest prawdziwe.

W każdym razie nie było to w domu dziecka. Ani w Małej Birmie. Ani tu, ani tam nie było makatek. Ale to głupie pytanie. Już dawno przestała porównywać swoje życie z życiem innych ludzi. Co to da?

Tak czy owak leży tutaj i nie może zasnąć. Wraca do niej tamto lato. A konkretnie ostatni weekend. Nie chce, ale to i tak przychodzi.

Nieproszone, jak wiele innych rzeczy w jej życiu.

Sobota i niedziela. Piąty i szósty sierpnia. W poniedziałek siódmego zbieracz jagód Ernst Karlsson w lesie trzysta metrów za Małą Birmą znajdzie pierwszy czarny worek - z głową i rękoma Harry'ego Helgessona.

Ona jednak nic o tym nie wie, kiedy budzi się w sobotę i myśli, że świeci słońce, a ona ma przed sobą dwa wolne dni. Przez ostatnie tygodnie pracowała w sklepie z artykułami metalowymi, ale tylko w czwartki i piątki; wciąż trwają wakacje, choć w poniedziałek Szwecja znowu ruszy, a wtedy i ona powróci do zwyczajowego harmonogramu.

Tak się jednak nie stanie, nie będzie żadnego harmonogramu, będą za to części ciała, policjanci, chaos i

czołówki gazet, ale teraz nie musi się o to martwić, nie w ten prawie szczęśliwy sobotni poranek, kiedy spieszy się, żeby obudzić Billy'ego i przygotować mu śniadanie. W weekend, jeżeli nie będzie padało, Göran zbierze ich pszenicę, przynajmniej tyle, ile zdoła, a Billy będzie pomagał przy młócce. To pierwszy raz, kiedy jej sąsiad i kochanek wyciąga w ten sposób rękę do chłopaka. Widziała, że Billy się cieszy. Takie rzeczy widzi tylko matka, ale to prawda.

Wychodzi z łóżka bez ociągania, co naprawdę nie zdarza mu się często. Coś się jednak zaczęło w nim dziać tego lata. Nadal w zasadzie nie mówi, ale jest zadowolony w sposób, w jaki nigdy wcześniej nie był. Ołowiane żołnierzyki wróciły, znaleźli je rozrzucone za starą ziemianką kilka dni po zniknięciu Harry'ego - nie było to trudne. Tłumaczyła sobie, że pewnie się trochę rozmyślił, choć Billy nie jest już na nie tak zafiksowany. Bawi się nimi od czasu do czasu i nadal najlepiej czuje się we własnym towarzystwie - zawsze znajduje sobie jakieś zajęcie, jak to dwunastolatek. Ale od czasu do czasu odwiedza kuzynów z Wielkiej Birmy. Nie spędza tam wiele czasu, lecz widać różnicę, i to znaczącą. Także po domu porusza się swobodniej i nie jest tak przywiązany do swojego pokoju jak wcześniej. Ellen zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo dawna, kiedy o nim myśli, widzi jakieś światelko w tunelu. Czuje pewną nadzieję związaną z chłopcem.

Ale zaraz przywołuje się do porządku: nie wolno jej myśleć w ten sposób. To zarozumiałstwo, bo w grę wchodzi tylko odroczenie. Wszystko się pozmienia.

Może mówi to głos Muttiego, a przynajmniej po czasie chce to w ten sposób pamiętać.

Czy mimo wszystko wolno teraz być odrobinę szczęśliwym? - pyta głosu. Tak, wyraźnie pamięta, że zadała to pytanie. - Czy mogę sobie na to pozwolić?

I odpowiedź: „Tańcz, moja laleczko, dopóki jesteś młoda”.

A więc tańczy. Jeszcze dwa dni.

Tej samej soboty zjawiają się niespodziewani goście. Przed południem, jakąś godzinę po tym, jak Billy poszedł zająć się młócką, przed dom zajeżdża stary ford mustang. Ze środka

wysiadają dwaj mężczyźni, których w pierwszej chwili nie potrafi zidentyfikować ze swojego miejsca w małej, rozlatującej się szklarni, którą Harry sklecił pierwszego lata, jakie tutaj spędziła, i w której każdego roku próbuje uprawiać pomidory - żadnych większych zbiorów nigdy z tego nie było, ale dobrze jest podłubać trochę w ziemi i zjeść ciepłe od słońca smakołyki prosto z gałązki; właśnie to robi, kiedy przyjeżdżają. Wyciera dłonie z ziemi i wychodzi, żeby się im bliżej przyjrzeć.

Staffan Larsson i Börje Granat.

Starzy przyjaciele Harry'ego. Ci, z którymi się spotykał, odkąd był dzieckiem i - z czego nagle zdaje sobie sprawę - ci, których spotkał w mieście w tamtą sobotę. Ostatnią swoją sobotę.

Z którymi popijał piwo i grał w karty, aż przegrał osiemset koron; nie widziała ich od wielu lat, chyba że przypadkiem i z daleka. Właściwie nie jest to pierwszy raz, kiedy odwiedzają Małą Birmę. Na początku, pierwszego roku, byli tutaj kilka razy. Staffan miał wówczas narzeczoną, nieśmiałą Finkę o imieniu Ritta, która, kiedy się wstawiła, miała zwyczaj śpiewania karelskich pieśni.

Ale to było ponad dziesięć lat temu. A nawet dwanaście, bo nie pamięta, żeby rozmawiała z którymś z nich po narodzinach Billy'ego.

Teraz wysiadają z samochodu i rozglądają się trochę niepewnie dookoła. Börje ma w ręku plastikową torbę, a Staffan pęk kwiatów. W głowie Ellen pojawia się jeszcze myśl, że wyglądają jak dwaj wieśniacy ze szwedzkiej przedwojennej komedii.

Nagle jednak widzą ją i prostują plecy. Witają się z powagą, mocnymi uściskami dłoni.

- Popierdzielone z tym Harrym - mówi Börje. - Słyszałaś coś może?

Ona kręci głową. Nie, niczego nie słyszała. Staffan wręcza jej kwiaty. Wciąż jeszcze są w żółtawym celofanie - domyśla się, że kupili je na którejś stacji benzynowej.

- Pomyśleliśmy, że wpadniemy zobaczyć co i jak.

Dziękuję za kwiaty.

- Gdybyś chciała trochę pogadać - ciągnie Staffan. - Czy coś.  
Mówi, że musi iść po wazon, i prosi, żeby usiedli przy stoliku na zewnątrz. Kiedy wraca, widzi, że każdy z nich pali papierosa. Pyta, czy napiją się kawy.

- Nie, dzięki - odpowiada Börje. - Chcesz piwo?

Z plastikowej torby wyciąga sześciopak.

- Pomyśleliśmy po prostu, że zapytamy, jak sobie radzisz - odzywa się Staffan.

- Popierdzielone - mówi Börje i rozdaje piwo.

Staffan otwiera puszkę i bierze łyk, Börje robi to samo. Ona się waha, po chwili jednak także otwiera puszkę, ale nie pije.

- Człowiek się zastanawia - mówi Staffan.

- Co się, do cholery, stało - kończy Börje.

W gazetach można było przeczytać o zaginięciu Harry'ego, ale ostatni raz pisali o tym kilka tygodni temu.

Choć Börje i Staffan i tak powinni być poinformowani, myśli.

- Tak, nadal nic z tego nie rozumiem - mówi. - Policja z wami też rozmawiała?

- Wiele razy - odpowiada Börje. - Ale głównie na początku. Człowiek prawie czuł się podejrzanym.

- Utknęli - stwierdza Staffan. - I trudno się dziwić. Nie rozumiem, gdzie on mógł się podziać. A ty?

- Nie mam pojęcia - odpowiada. - To zagadka.

- Właśnie - mówi Börje. - Pieprzona zagadka i tyle.

- To cholernie porządny chłop - dodaje Staffan. - Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało.

- Byłoby kurewsko przykro - stwierdza Börje.

Siedzą tak godzinę, palą papierosa za papierosem i piją piwo. Kiedy myśli o tym później, zdaje sobie sprawę, że jest to jedyna godzina w ciągu całego tego lata, kiedy czuje się naprawdę podle. Staffan Larsson i Börje Granat są jedynymi ludźmi na świecie, którzy tęsknią za Harrym, przychodzą z piwem i kwiatami, a ona kłamie im w żywe oczy. To jak gwóźdź w sercu. Naprawdę dają odczuć - na swój nieporadny, prymitywny sposób - jak bardzo lubią Harry'ego, jakim dobrym kolegą zawsze był i jak bardzo chcieliby, żeby wrócił. Powiedział, co się stało i gdzie, u diabła, był.

Żeby wszystko było jak dawniej. Mówią też, że musi być jej naprawdę ciężko, że muszą bardzo tęsknić za mężem i tatą. Obiecują, że w razie potrzeby przyjadą i pomogą - „w czymkolwiek, wystarczy, że powiesz” - ona zaś tam siedzi i może tylko robić dobrą minę do złej gry. Wbijając w swoje serce gwoździ, który już na zawsze tam zostanie.

Cztery dni później mogą już przeczytać w gazecie, że to ona, właśnie ta, do której przyszli z kwiatami, piwem i współczuciem, zabiła Harry’ego. Ich kumpla Harry’ego, jego własna żona. To ona poćwiartowała jego zwłoki i ukryła w lesie, a potem kłamała w żywe oczy, kiedy przyszli zaproponować pomoc i wsparcie.

Jego własna żona, do ciężkiej cholery.

Jeżeli istnieją ludzie, którym nigdy nie będzie mogła spojrzeć w oczy, są to właśnie

Staffan Larsson i Börje Granat.

Jakiś czas później to się jednak stanie. Nie ze Staffanem, jego najwyraźniej nie było już w mieście, kiedy wróciła po odsiadce w Hinsebergu, ale pewnego razu zobaczyła Börjega w kolejce na pocztę, gdzie pracowała. Kiedy spostrzegł ją siedzącą w okienku, obrócił się na pięcie i wyszedł, nie załatwiwszy swojej sprawy. Innym razem wychodziła zza rogu ulicy i prawie wpadła mu w objęcia. Spojrzał na nią tylko na ułamek sekundy, po czym splunął na chodnik i poszedł w drugą stronę.

Wiele chciałyby wytłumaczyć Börjemu Granatowi, ale wie, że nigdy tego nie zrobi.

Późnym popołudniem, w ową ostatnią piękną sobotę, kiedy Billy pomagał przy młócce, dostają zaproszenie na basen w Wielkiej Birmie. Sok, drożdżówki i pływanie. Nie zostają długo, ale wystarczająco, żeby Göran zdążył jej oznajmić, że później przyjdzie. Ingvor ma się spotkać z koleżankami w mieście, więc nie ma się czym martwić.

Przychodzi zgodnie z obietnicą i to jest ich ostatnie spotkanie. Nie sprawia jej przyjemności, ale nie jest też szczególnie niemiłe.

W niedzielę Billy znowu pomaga przy młócce - do

rozpoczęcia roku szkolnego pozostały dwa tygodnie, on zaś nie wie jeszcze, że będzie go musiał rozpocząć w zupełnie innej szkole w zupełnie innym miejscu. Trudno się wraca myślami do tego ostatniego weekendu i z czasem wcale nie jest to łatwiejsze.

Potem zaś jeszcze trudniej zasnąć, choć jest już grubo po pierwszej.

Jutro rano muszę porozmawiać z Moną, myśli. Muszę.

Wzdycha, wstaje z łóżka i zaciąga roletę.

## 42

Przed śniadaniem wybrał się na spacer.

Gór nie dało się zobaczyć, widoczność w ogóle była ograniczona. Niskie drzewa i krzewy, szmerzący strumyk, opływający kamienie. Barbarotti szedł wąską ścieżką, najpierw pod górę, potem znowu na dół. Temperatura z pewnością nie była wyższa niż jeden stopień powyżej zera i było to jak wędrówka w zimnej, niezbyt przyjaznej chmurze. Kiedy po półgodzinie był z powrotem w pensjonacie, postanowił, że mimo wszystko będzie to traktował jako wędrówkę po górach - zjawisko, o którym wiele słyszał, ale z którym osobiście nigdy wcześniej tak naprawdę się nie zetknął.

Z braku widoczności i szerokiego spojrzenia na świat towarzystwa dotrzymywał mu fragment Księgi Koheleta: „Niedostępne jest to, co istnieje, i niezgłębione - któż może to zbadać?”<sup>8</sup>.

Gdybym został tu tydzień, zdążyłbym nauczyć się całej Księgi na pamięć - przyszło mu do głowy i zaczął się zastanawiać, jaki właściwie jest pożytek z takiej myśli.

I co oznacza ten samotny wers.

Nakryto do śniadania. Niemiecka rodzina najprawdopodobniej już wyjechała, zapewne ku jeszcze bardziej północnym przegodom; młoda para siedziała przy jednym ze stolików, a między nimi leżała rozłożona mapa. Oboje skinęli mu przyjaźnie głowami. Zauważył, że mają ciężkie buty i wspaniałą

---

8 Koh 7, 24.

turystyczną odzież, zapewne i oni zamierzali iść w góry, i to prawdopodobnie na dłuższą wycieczkę niż on - może liczyli na to, że słońce wkrótce stopi zimną chmurę.

Kiedy skończył drugą filiżankę kawy i zaczął się zastanawiać, jak znów nawiązać kontakt z Ellen Bjarnebo, pojawiła się właścicielka pensjonatu i życzyła mu dobrego dnia. Zapytała z lekkim przekąsem, czy wszystko jak dotąd mu odpowiada, wysunęła krzesło i usiadła przy jego stoliku, tym samym, przy którym siedział zeszłego wieczoru - człowiek łatwo się przyzwyczaja.

- Jak najbardziej - odpowiedział Barbarotti. - Chciałbym zamienić jeszcze kilka słów z Ellen. - Nie zajmie to dłużej niż pół godziny. Może moglibyśmy porozmawiać jeszcze przed południem, żebym później mógł pojechać na lotnisko.

- Jak sobie pan inspektor życzy - odpowiedziała Mona Frisk. - Henning albo jego brat może przyjechać po pana koło pierwszej. Samolot odlatuje o czwartej. Zdąży pan jeszcze pójść na spacer, jeżeli będzie miał ochotę. Słońce chyba wychodzi.

Barbarotti skinął głową i spojrzał na zegarek. Wpół do dziesiątej. Młoda kobieta i mężczyzna już poszli. Mona Frisk siedziała, opierając łokcie na stole, a brodę na splecionych dłoniach, i przyglądała mu się z wyrazem twarzy, którego nie potrafił rozszyfrować. Jakby go taksowała albo próbowała podjąć jakąś decyzję, nie był pewien. Przypomniawszy sobie, że miała zwyczaj strzelać do mężczyzn ze sztucera.

- Ładnie tu u pani - odezwał się - ale nie ma wielu gości.

- Jeszcze za wcześnie - wyjaśniła Mona Frisk. - Od świętego Jana aż do połowy września mamy komplet. Chociaż pan nie jest odpowiednim typem człowieka.

- Bardzo możliwe - przyznał Barbarotti. - Ale dobrze by było, gdyby o pierwszej ktoś mnie podwiózł. Nie wie pani, gdzie jest teraz Ellen?

- Jeżeli pan tu nadal będzie, to powiem, żeby przyszła - odpowiedziała Mona Frisk. - Ale proszę, żeby pan myślał, o czym z nią rozmawia.

- Co pani przez to rozumie? - zapytał Barbarotti.

- Tylko to, co mówię - odparła Mona Frisk, wstając. - Proszę



o tym myśleć.

Barbarotti miał na końcu języka kilka możliwych odpowiedzi, ale postanowił nie przyjmować wyzwania. Wyglądało na to, że rosła właścicielka pensjonatu ma w zanadrzu wiele takich ciemnych aluzji, nie było sensu pozwalać jej na ich wykorzystanie.

- Czekam na nią - powiedział więc Barbarotti i ziewnął.

Ogarnęła go fala zmęczenia i kiedy Mona Frisk wyszła, nalał sobie trzecią filiżankę kawy.

Dlaczego jestem taki zmęczony? - pomyślał.

I co się tutaj dzieje? Co ja sobie wmawiam?

Zanim przyszła, minął kwadrans. Barbarotti przez ten czas zastanawiał się nad wypiciem czwartej kawy, ale dał sobie spokój. Ponieważ żadnych codziennych gazet pod ręką nie było, zaczął niemrawo przeglądać jakieś piśmko poświęcone życiu górskiej fauny; niespecjalnie go to ożywiło, choć nie miał nic przeciwko lemingom czy pardwom. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma lekkiej gorączki.

Jeszcze by tego brakowało, pomyślał. Zachorować w takim miejscu, kawał drogi od wszelkiej cywilizacji, to byłoby wysoce niewskazane. Porozmawiam dziesięć minut z moją Rzeźniczką, a potem się zdrzemnę - postanowił.

W końcu wycieczkę w góry miał już odbębnić. Może po prostu nawdychał się za dużo tlenu.

- Dzień dobry - przywitała się Ellen Bjarnebo. - Mona mówi, że pan nadal jest ciekaw.

- Dzień dobry - odpowiedział Barbarotti. - Tak, może mimo wszystko to jest właściwe słowo. Ciekawość u policjanta jest cnotą.

Ellen nic na to nie odpowiedziała, on zaś pożałował swojej kretyńskiej riposty. Kiedy usiadła naprzeciwko niego i położyła dłonie na kolanach, spostrzegł, że jest chyba trochę nie w formie. Tak samo jak on. Zaczął się więc zastanawiać, czy nie grasuje tu jakaś górską grypa. Ellen potrzęsła tylko głową, kiedy zaproponował jej kawę, i, inaczej niż wczoraj wieczorem, nie patrzyła mu w oczy. Siedziała lekko skulona i wyglądała tak, jakby czekała, aż to się skończy - jak pacjentka w poczekalni u

dentysty.

- Dobrze się pani spało? - zapytał.

- Źle - odpowiedziała. - Czego pan sobie życzy? Bo uprzedzam, że nie mam do powiedzenia nic poza tym, co mówiłam wczoraj.

- Naprawdę? - powiedział Barbarotti. - Tak czy inaczej miło mi się z panią rozmawiało.

Rzuciła mu zmęczone spojrzenie.

- Miło?

- Przynajmniej w porównaniu z wieloma innymi rzeczami, jakimi muszę się zajmować.

Wzruszyła ramionami.

- No to czego pan sobie życzy? Mam trochę roboty.

- Okej - powiedział Barbarotti. - Nie zajmę pani wiele czasu.

Po prostu mam takie jedno uczucie.

- To policjanci mają uczucia?

Nadal na niego nie patrzyła. Wyglądała przez okno ponad jego prawym ramieniem. Barbarotti stłumił ziewnięcie i spróbował się wysłowić.

- Gdyby ta nasza rozmowa. i rozmowa, którą odbyliśmy wczoraj - zaczął - gdyby one pomogły nam ustalić, co stało się z Arnoldem Morinderem, nie cieszyłaby się pani?

- Cieszyła?

- Tak.

- Może. Zależy, co by mu się stało.

- To znaczy?

- Nie wiem, czybym się cieszyła, gdyby na przykład nie żył.

- Więc nie sądzi pani, że on nie żyje?

- Pytał pan o to wczoraj, już wystarczy.

- Przepraszam. W takim razie przejdę do rzeczy, skoro dziś jest pani tak niechętna.

- Proszę bardzo.

- A więc. - zaczął, a następnie chrząknął, próbując znaleźć słowa, które oddałyby jego myśli. - Myśląc o tym, co stało się z pani mężem w Małej Birmie, odnoszę wrażenie, że coś się nie zgadza. Są tu pewne dziwne elementy, z którymi po prostu nie potrafię dojść do ładu.

Sam zauważył, że mówi nienaturalnie wolno; wynikało to pewnie zarówno z ogarniającego go zmęczenia, jak i z faktu, że wcale nie był pewien, co tak naprawdę chce powiedzieć. Jakby był zmuszony uważnie słuchać słów, jakie padały z jego ust, żeby nie zgubić ich znaczenia - dziwnie się z tym czuł.

- Nie wiem, o jakich dziwnych elementach pan mówi - odparła Ellen Bjarnebo po krótkim milczeniu i z pewną dozą ironii w głosie. - I wobec tego, co chyba jasne, nie mogę panu pomóc.

- Ale zgadza się pani z tym, co mówię?

- Z czym właściwie?

- Że coś pani ukrywa - upierał się. - I że robi to od samego początku. Od dwudziestu trzech lat.

Bzdury, pomyślał. Nie kontroluję tego, co mówię.

- Dość mam już tego - rzekła Ellen Bjarnebo. - Nie zamierzam kontynuować tej rozmowy.

- Twierdzi pani, że moje przypuszczenia są niezgodne z prawdą?

Wreszcie na niego popatrzyła. Spojrzała mu prosto w oczy i odczekała cztery czy pięć sekund, zanim niskim głosem odparła:

- Całkowicie niezgodne, panie inspektorze.

Ponieważ Barbarotti czuł się w tej chwili równie zmęczony jak Ellen Bjarnebo, sądząc po jej wyglądzie, wystrzelił z pytaniem, które sformułował wczoraj wieczorem tuż przed zaśnięciem.

Równie dobrze można zrobić to teraz, skoro ona i tak chce przerwać rozmowę, pomyślał.

Znów przyglądała mu się kilka sekund, a na jej twarzy gościł cień uśmiechu.

- Spowiednikiem? - powiedziała. - Już to zrobiłam.

- Kiedy? - zapytał Barbarotti, nie bardzo wiedząc, dlaczego.

- Kiedy? - powtórzyła zdziwiona. - No, na pewno nie u kapelana więziennego.

- A więc później?

Pokręciła głową, ale nie było to zaprzeczenie. Pomyślał, że chciała w ten sposób zaznaczyć, że inspektor Barbarotti

powinien raczej wziąć kilkumiesięczny urlop i opłakiwać żonę, nie zaś. nie zaś siedzieć w dalekim górskim pensjonacie, ośmieszając siebie i całą policję.

Odsunęła krzesło i wstała. Barbarotti również wstał i chwycił jej wyciągniętą dłoń, ale w tej samej chwili poczuł, że kręci mu się w głowie, i musiał znowu usiąść. Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, który mógł chyba oznaczać współczucie albo litość, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z jadalni.

Barbarotti siedział jeszcze kilka minut, próbując się pozbierać.

Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Już się skończyłem. Muszę dojść do pokoju, zanim wyłożę się na podłogę.

Wstał i zataczając się, poszedł w stronę recepcji. Nie było tam żywej duszy; tylko nieprzyjazne wypchane zwierzęta na ścianach - wyglądały, jakby śledziły go spojrzeniem błyszczących, czujnych oczu. Wszedł po schodach, oburącz trzymając się poręczy. Następnie ruszył korytarzem, który wydawał się lekko huścić, i wszedł do pokoju. Kiedy w końcu wyciągnął się na plecach w łóżku i zamknął oczy, poczuł, że wiruje, wsysany gwałtownie w bezdenny mrok.

Marianne, pomyślał, idę do ciebie.

## 43

Poczuła nagle zmęczenie i pomyślała, że w zasadzie jest to wieczór jak każdy inny w Małej Birmie. Beznadziejny dzień, który zbliżał się ku końcowi jak jeden z wielu innych beznadziejnych dni. W pobliżu przeleciała para nietoperzy - przypomniała sobie książkę, w której właśnie nietoperze grały rolę znawców przyszłości, swego rodzaju posłańców dnia jutrzejszego czy jak to tam nazwać. To było w czasach, kiedy wciąż jeszcze istniały rozstaje dróg i złudzenia.

Nagle jednak przypomniała sobie ołowiane żołnierzyki, zacisnęła pięści i próbowała na powrót odnaleźć w sobie odwagę i siłę do działania.

Coś się stało?

Coś się właśnie dzieje?

Wróciła przed dom. Stała wyczekująco, niepewnie. Postaci pod kasztanem przy Wielkiej Birmie zniknęły albo przynajmniej ukryły się w mroku. Wciąż zastanawiała się, kto to był. Spojrzała w groźne niebo. Deszcz mógł zacząć padać w każdej chwili - panowała właśnie taka rozstrzygająca cisza jak przed potężną ulewą, najmniejszy nawet liść trwał w kompletnym bezruchu, a w powietrzu unosił się delikatny swąd spalenizny. Jakaś elektryczność.

Nie wie, jak wiele z tego dodała po czasie - być może każda chwila, każde krótkie i znaczące przeżycie zyskuje odpowiednią rangę i znaczenie dopiero po fakcie. Kiedy zostanie przefiltrowane, zważone i oszacowane przez pamięć. Ale mimo wszystko zawsze wmawiała sobie, że był jakiś znak. Może coś z tymi nietoperzami, przeczucie i wiedza o okolicznościach, o których normalnie nic wiedzieć nie można. Był tam całe popołudnie i wieczór, jako swego rodzaju preludium, crescendo, któremu, podobnie jak gęstniejącym i czerniejącym chmurom, potrzebne jest wyładowanie, żeby mogło wybrzmieć. Wybrzmieć i się rozplynać.

Słowa przyszły dopiero później. Stojąc tak niepewnie i nasłuchując, a potem ostrożnie i pomału idąc w kierunku obory, nie mogła w nie ubrać swoich uczuć i myśli, jednak te słowa są oczywiście bez znaczenia, to nic innego jak tylko próżne stwierdzenia i rozważania, którym można się oddawać przez jedenaście długich i samotnych lat, kiedy sen każe na siebie czekać.

Widzi, że światło w pracowni jest zapalone. Wnioskuje, że Harry jednak tam siedzi - prawdopodobnie, kiedy była na spacerze, on położył się spać i trochę wytrzeźwiał, a potem wstał, poszedł do obory i usiadł przy biurku z papierosami i jeszcze kilkoma butelkami piwa. Tak, na pewno tak. Może jeszcze przegląda swoje gazetki.

Ellen zdaje sobie sprawę, że nie chce go widzieć. Nie ma na to najmniejszej ochoty.

I dokładnie w chwili, kiedy to stwierdza, kiedy zamierza pójść z powrotem do domu, może nawet w tej samej chwili,

kiedy zrywa się zimny wiatr, zwiastujący pierwszy grzmot i pierwsze krople deszczu - choć może to akurat dopowiedziała sobie w Hinsebergu - dokładnie w tej chwili z obory wychodzi Billy, trzymając w dłoniach młot kowalski.

Stoją w odległości dwóch metrów i patrzą na siebie. W zupełnym bezruchu. Chłopak oddycha gwałtownie, ma otwarte usta, a jego spojrzenie nie wyraża niczego poza kompletnym przerażeniem. Ona jeszcze nie wie, co się stało, ale pojmuję to kilka sekund później, kiedy szybkim krokiem mija chłopaka, otwiera drzwi i widzi Harry'ego, odchylonego mocno do tyłu na krześle przy biurku, jego ramiona wiszące bezwładnie po bokach - z jakiegoś powodu zwraca jej uwagę fakt, że czubki palców dotykają podłogi - i krew, kapiącą z ciemnoczerwonej dziury w jego głowie. Kałuża na podłodze ma rozmiary sporej pizzy, a to, co w przypadku pizzy byłoby serem, tu jest mózgiem.

Nie musi do niego podchodzić, aby wiedzieć, że nie żyje. W tej samej sekundzie zrywa się ulewa, niczym swego rodzaju niebiańskie potwierdzenie: „Harry Helgesson nie żyje”. Ellen czuje nadchodzące mdłości i przez chwilę wydaje jej się, że zwymiotuje, jednak udaje jej się powstrzymać torsję. Stoi bez ruchu na brudnej podłodze trzy metry za zabitym mężem i wsłuchuje się w łomot własnego serca i w deszcz bębniący o blaszany dach.

Stoi i przeczekuje własny strach. Czeka na to, aby fala mdłości i paniki znikła, zastąpiona myślami. A przynajmniej czymś, co je przypomina.

Mija chyba kolejna minuta, nawet z perspektywy czasu nie jest w stanie powiedzieć, jak długo tam stała. Kiedy powoli wycofuje się z pokoju, zamyka drzwi i rozgląda się dookoła, chłopaka już nie ma. Młot jednak leży na deszczu - Billy po prostu upuścił go na ziemię i odszedł.

Nie wiadomo, dokąd. Może do swojego pokoju, może do lasu.

To nie ma znaczenia. Nie w tym momencie. Billym zajmie się później, kiedy go znajdzie. Teraz najważniejszy jest Harry. I choć miała tylko kilka marnych minut na zastanowienie, wie, co musi zrobić. Jest tylko jeden sposób.

Zajmuje to całą noc i całą noc pada deszcz. Ellen pracuje jak w transie, spokojnie i metodycznie ćwiartując ciało swojego męża na podłodze w pracowni. Rozłożyła dwa stare prześcieradła, które kolejnego wieczoru spali wraz z jego ciuchami; mimo wszystko w Małej Birmie jest kilka dobrych noży i całość nie nastęcza żadnych technicznych trudności. Ma też siekiery i wprawę po krótkim czasie przepracowanym w masarni, a poćwiartowanie człowieka nie jest trudniejsze od poćwiartowania świni. Myśli, że byłoby dobrze, gdyby mieli tu gdzieś górę obornika, słyszała bowiem, że to najlepszy sposób na pozbycie się różnych rzeczy. Na przykład ciała - ponoć rozpuściłoby się już w kilka miesięcy. Tak jednak nie jest. W Małej Birmie nie ma już ani obornika, ani zwierząt, a pójście do Wielkiej Birmy, gdzie mają taką górę, zajęłoby zbyt wiele czasu i byłoby zbyt ryzykowne. Pamiętała, że kiedy się pobierali, Harry ważył niespełna osiemdziesiąt kilo, ale od tego czasu przybyło mu co najmniej piętnaście. Mimo wszystko mieści się w trzech większych i mocniejszych workach na śmieci - Ellen myśli, że tak poporcjowanego będzie go można z pewnością przenieść dobry kawałek w las. Zabrać go sprzed oczu świata, zanim nastanie poranek, a potem, zając się kolejnymi sprawami, w miarę jak będą się pojawiały. Dostyc ma dzień swojej biedy.

Zanim wychodzi do lasu, chowa prześcieradło i ubrania oraz jako tako szoruje podłogę i krzesło, cały czas pracując w swoistym stłumionym podekscytowaniu. Zgaszona i pełna energii jednocześnie.

Trzy czarne worki czekają na tyłach obory. On nigdzie nie ucieknie, myśli. Nadal nie martwi się o Billy'ego, jej siły muszą być skoncentrowane na jednym, gdyby teraz spotkała chłopca, mogłoby ujść z niej powietrze. Kiedy kończy ćwiartowanie, jest druga w nocy, a od strony Wielkiej Birmy nie widać najmniejszego światła. Dlaczego miałyby być inaczej? Pchając obładowaną taczkę Ścieżką Eleonory, wie, że nie ma żadnych świadków. Głowa, ręce i nogi to pierwsza tura, a tułów - druga. To jej drugi i trzeci spacer po lesie tej dziwnej nocy - za każdym razem odchodzi równie daleko. Kilkaset metrów w głąb lasu,

do wzgórza, tam ścieżka jest gorsza i to tam wyladowuje worki. Później, po drugiej turze, kiedy Harry jest tymczasowo poskładany, rzuca trzy toboły w trzy różne strony - tak daleko, jak potrafi. Cały czas jej poczynaniom towarzyszy zła pogoda, ale w pewnym sensie jest jej to na rękę: tworzy odpowiednią oprawę, a poza tym można podnieść głowę do góry i wtedy deszcz splukuje twarz do czysta. Ręce też. Co jakiś czas rozlega się głos woźnego Muttiego, ale cały czas jest to tylko jedno słowo, jeden rozkaz: „Dalej!”.

„Dalej, dalej!”.

Tak więc nie przestaje. Pracuje aż do chwili, kiedy wypompowuje z ciała ostatni gram energii, a gdy wszystko wreszcie jest zrobione, gdy wszystkie ślady po gospodarzu Małej Birmy są usunięte, idzie do chłopca.

Śpi w swoim łóżku. Na boku, z podciągniętymi kolanami i twarzą zwróconą do ściany, leży pod kołdrą tak samo jak zawsze. Równe, spokojne oddechy, żadnego wyczuwalnego niepokoju. Dłuższą chwilę stoi w drzwiach i patrzy na niego. Trzęsie się trochę po niedawnym wysiłku. Przez okno przenika ostrożny świt, deszcz przestaje padać, a słońce już wkrótce przegoni ciemność.

Znowu wygląda bezbrinnie. Przychodzą jej do głowy te same słowa i myśli, które nawiedzały ją czternaście godzin wcześniej. Bezbronny.

Mysz musi chronić świnię, myśli, nie ma rady, to jedyna decyzja.

Głodzi go po szyi, wychodzi z pokoju i staje pod prysznicem. Swoje ubrania wkłada do pralki i włącza ją. Z drugiej strony kotary dobiega zwyczajny, uspokajający, cichy warkot i jedyne, co pojawia się teraz w jej głowie, to głupekowate hasło z kalkomanii, które jakiś rok temu można było zobaczyć prawie wszędzie:

„Jutro jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

Nie może zaprzeczyć.

Wolność, myśli. Bo co innego?



Ale nie idzie do Marianne.

Pokonawszy ów ciemny, kręty tunel, ląduje przed kościołem. Wiele wskazuje na to, że jest to kościół w Kymlinge, a jeszcze więcej, że właśnie odbywa się tu pogrzeb. Dzieje się to wiele lat wcześniej - nadal chodzi do szkoły policyjnej, a teraz na kogoś czeka. Jest piękna jesienna niedziela, przyjechał samochodem ze Sztokholmu, w domu w Kymlinge jest od kilku dni, ponieważ umarła jego matka i zaraz będzie jej pogrzeb, a teraz czeka na swoją ciotkę. To już cała rodzina Marii Larsson - syn i siostra.

Nagle jest już wewnątrz kościoła, słyszy ciężką organową muzykę i czuje niemal równie ciężki zapach kwiatów - on i ciotka Anna siedzą zaledwie metr od trumny, która tonie w morzu kwiatów i wieńców. Nie rozumie, skąd właściwie wzięło się to morze, żałobników bowiem nie ma zbyt wielu. Najwyżej koło dwudziestu, ale prawdopodobnie część osób oplakuje ją z daleka.

Osobą, która zdecydowanie powinna oplakiwać ją z daleka, jest jego ojciec, ale on pewnie nawet nie został poinformowany. O ile w ogóle żyje, nikt przecież nie wie, jak to z nim jest, ponieważ zniknął jeszcze przed narodzinami Gunnara. Być może gdzieś po pięknych Włoszech chodzi sobie niejaki Giuseppe Alessandro Barbarotti - sześćdziesięcioletni w chwili pogrzebu Marii Larsson, która dożyła zaledwie pięćdziesięciu dziewięciu lat - i może któregoś dnia jego syn spróbuje się z nim skontaktować. Matka nie popierała tego pomysłu, wręcz przeciwnie, jednak od kilku lat taka myśl tkwiła mu z tyłu głowy jak uśpione, kiepsko podlewane nasionko. Odnaleźć ojca.

Kiedy z wysiłkiem wyostrza swoją świadomość, nie jest już wcale pewien, czy naprawdę jest to pogrzeb jego matki. U jego boku powinna być ciężarna Helena, tak jednak nie jest. Ludzie siedzący w ławkach i szepczący między sobą zadają kłam tej sytuacji, tu i ówdzie dostrzega osoby, które pojawiły się później (w późniejszym okresie jego życia), i nie przejmuje się tym

drobnym szczegółem, że widzi ich twarze, choć siedzi w pierwszej ławce odwrócony do nich plecami.

Tak już jest z nieprawdziwymi kościelnymi sekwencjami, myśli. Są fałszywe. Jak sny.

Widzi komisarza Asunandera, ssącego jak dawniej swoją sztuczną szczękę. Jest też Eva Backman, jej niesławny były mąż, ich trzech synowie, prócz tego jego synowie i Sara. A także dzieci Marianne, nad którymi sprawuje władzę rodzicielską. Jakkolwiek by wyteżał wzrok, nigdzie nie widzi jednak Marianne - może to ona leży w trumnie. Barbarotti nie może za to pojąć, co ktoś taki jak Axel Wallman robi na tym pogrzebie. Jest ubrany w ten swój rzucający się w oczy strój, który ma podkreślać jego wysoką pozycję autora bestsellerów i agenta literackiego. Jeszcze bardziej szary jest ów smutny człowiek, którego nigdy nie poznał, ale którym mimo wszystko zaprzętał sobie głowę i który wygląda teraz jak pogrążony w półśnie; człowiek ten nie ma twarzy, a jedynie tabliczkę z nazwiskiem na piersi, żeby można było się domyślić, że to Ante Valdemar Roos. Dziewczynę obok niego rozpoznaje bez trudu - spotkali się przecież zaledwie kilka dni wcześniej w słonecznym królewskim mieście - poznaje też silną i groźną właścicielkę pensjonatu, która trzyma na kolanach ciężką broń - chociaż z nią spotkał się oczywiście w bardziej północnych rejonach - a także jej przyjaciółkę, która wygląda na smutną i chyba stara się skłonić go do zrobienia czegoś, ale on nie wie, co to ma być. Kobieta daje to do zrozumienia swoim dziwnie spokojnym spojrzeniem, ponieważ w kościele nie można głośno mówić, zwłaszcza podczas pogrzebu i zwłaszcza jeżeli jest się rzeźniczkąmorderczynią - i nie jest się, rzecz jasna, księdzem. Choć para obok niego w tej samej chwili, czyli właśnie teraz, zaczyna to robić: zaczynają ze sobą rozmawiać, Barbarotti zaś, chcąc nie chcąc, słyszy ich intymną konwersację.

- Coś czuję, że wpadłam, Ulf. Naprawdę musisz następnym razem kupować lepsze kondomy.

- Po co mam kupować lepsze kondomy, skoro wpadłaś?

- Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- Dlaczego jesteś na mnie zły?  
- Nie jestem na ciebie zły. Ale nic na to nie poradzę, że guma pękła.

- Naprawdę? Ale to chyba nie moja wina?

- Maleńka, to nie jest niczyja wina. Po prostu *shit happens* i nie musi to znaczyć, że którekolwiek z nas za to odpowiada. Ile dni już się spóźnia?

- Zero. Okres mam mieć w sobotę, ale po prostu to czuję.

- Czulaś to już wcześniej ze trzydzieści razy.

- Wcale nie.

- Pewnie, że tak. Gdybyś była w ciąży za każdym razem, kiedy sobie to wmawiałaś, już mielibyśmy całą klasę.

- To wcale tak nie jest, Ulf.

- Co? O co ci chodzi?

- W jednej klasie wszyscy są przecież równolatkami. A nie da się mieć trzydzieścioro dzieci w tym samym wieku.

- Zamknij się, Maleńka, ksiądz idzie.

Ale żaden ksiądz nie przychodzi. Zamiast niego wkracza terapeuta Åke Rönn i nagle zostają w kościele sami.

Nie ma księdza, nie ma trumny, nie ma rzędów ławek wypełnionych żałobnikami.

- Słyszał pan? - pyta Barbarotti, mając na myśli parę od pękniętego kondoma.

Ale Rönn kręci głową. Nie słyszał ani słowa, on zaś przypomina sobie, że świadkiem tego dialogu tak naprawdę był wiele lat temu w pociągu i przez przypadek nagrał go na dyktafon, ponieważ nacisnął zły przycisk. Skasował tym samym dość ważne przesłuchanie, było to więc wspomnienie, bez którego mógł się obejść.

Ostatnie zdanie - „Zamknij się, Maleńka, ksiądz idzie” - nie brzmiało zresztą autentycznie. Musiało chodzić o konduktora, nie o żadnego kościelnego dostojnika.

- Jak się pan miewa? - pyta Rönn.

- Nie najlepiej - odpowiada Barbarotti. - Nie wiem, gdzie jestem.

- Ma pan na myśli krajobraz wewnętrzny czy zewnętrzny?

- Oba - mówi Barbarotti. - Bez wątpienia oba.

- Z zewnętrznym panu nie pomogę - informuje Rönn. - Ale też nie jest on taki ważny. Spróbujemy za to uporządkować pańskie wnętrze. To tam siedzi smutek.

- Nigdzie nie ma porządku - usiłuje wytłumaczyć Rönnowi. - O ile dobrze pamiętam, położyłem się do łóżka przy kole podbiegunowym, a obudziłem na pogrzebie mojej matki. Teraz kościół jest pusty i zjawia się pan. Co się tutaj dzieje, czyżbym umarł?

- Tego bym nie powiedział - odpowiada Rönn. - Ale widzę, że odwołał pan nasze spotkanie. Jeśli pan żyje, może mógłby pan do mnie zadzwonić i umówić się na nowy termin?

Barbarotti obiecuje, że tak zrobi. Po chwili Rönn również znika. Wokół Barbarottiego robi się znacznie ciemniej i nagle czuje ukłucie w ramię.

Otwiera oczy i zaraz potem zamyka, żeby przezwyciężyć potężne mdłości, które przeszywają go niczym przeciąg. Jednak w tej krótkiej chwili, kiedy ma otwarte oczy, rejestruje, że w pokoju jest kompletnie ciemno. Albo że stracił wzrok.

Wydaje mu się, że to pokój w pensjonacie.

Wydaje mu się, że nie śpi.

Miejsce, w którym poczuł ukłucie, nadal piecze. Czuje, jakby nie mógł ruszyć żadną z kończyn.

Nagle słyszy cichą, cichutką muzykę fortepianową. A następnie głos, równie cichy: „Słuchaj uważnie!”

Nadal słyhać fortepian. Zna ten kawałek, ale ma zbyt duży mętlik w głowie, żeby go zidentyfikować. Nawet nie umiałby wymówić słowa „zidentyfikować”.

Co się ze mną dzieje? - myśli.

Głos robi się silniejszy. Przemawia kobieta, a głos to przyjemny alt, który jednak nie należy do nikogo znajomego.

Czuje szalejące mdłości. Nie może się ruszyć.

„Słuchaj uważnie. Teraz będziesz leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma i słucał, co mam do powiedzenia”.

Przełyka ślinę i myśli, że chyba mimo wszystko znów trafił do tego tunelu. Albo jest już martwy. Martwy i ślepy? Czy naprawdę można być ślepym, kiedy jest się martwym?

„Opowiem ci o Siostrach, a wszystko, czego się dowiesz, jest

tylko przypuszczeniem”.

Tak?

„Tylko przypuszczeniem, niczym więcej. Powiedzmy zatem, że jest nas więcej, więcej tych, które powiedziały: Dość! Powiedzmy, że istnieje cała sieć”.

Sieć, myśli. Sieć?

A może wcale tego nie myśli. Może głos powtarza to słowo. Może powtarza wszystko, żeby on na pewno zrozumiał. Papkowata chmura, którą miał w miejscu, gdzie kiedyś był mózg, potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy, żeby nie zboczyć z trasy. Chciałby włożyć rękę do czaszki i po prostu ją wyrzucić. Ale nie może się ruszyć.

„Istnieje cała sieć o nazwie Siostry. Działamy już od wielu lat i pomogłyśmy wielu osobom. Powiedzmy, że jest nas pięćdziesiąt w całym kraju”.

Tak, tak, nadażam - oznajmia chmura.

„Mamy swoje korzenie w Hinsebergu i jesteśmy kobietami, które mają już dość przemocy mężczyzn. Wszystkie mamy już tego dosyć, a skoro społeczeństwo nic nie robi, musimy wziąć sprawę w swoje ręce”.

Aha?

„Kobiety powinny były to zrobić już dawno temu. Są mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet, ale my nie jesteśmy kobietami, które nienawidzą mężczyzn. Tępijemy po prostu pewien ich rodzaj. Powiedzmy, że jesteśmy efektywniejsze, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Powiedzmy, że mamy już na koncie kres niejednego męskiego życia”.

Co ona opowiada? - zastanawia się chmura. Czy jestem w jakimś filmie?

Kiedy jednak Barbarotti otwiera oczy, wciąż widzi tylko nieprzeniknioną ciemność.

Jestem ślepy i siedzę w kinie, myśli chmura.

Ale on nie siedzi w kinie. W ogóle nie siedzi. Leży płasko na plecach i nie może się ruszyć, a w każdym razie nie może ruszać rękoma ani nogami.

Ześwirowałeś - podsuwa chmura.

Ty? Dlaczego chmura mówi „ty”, a nie „ja”?

„Powiedzmy, że to jest ostrzeżenie - mówi dalej głos. - Wielu mężczyzn otrzymało podobne. Nie cofamy się przed niczym, ale tych posłusznych zostawiamy w spokoju. Jest tylko jedno ostrzeżenie i powiedzmy, że ci, którzy tego nie rozumieją, podpisują na siebie wyrok śmierci.

Powiedzmy, że Siostry istnieją od wielu lat, a mimo to są w zasadzie nieznane.

Powiedzmy, że są ku temu dobre powody.

Powiedzmy, że to nie jest sen”.

Na tym się skończyło. Potem już tylko nowe ukłucie w ramię, kilka sekund grobowej ciszy i utrata przytomności.

Brak jakichkolwiek doznań.

## 45

Eva Backman przesłuchiwała Ellen Hökberg dwie godziny we wtorek przed południem. Do pomocy miała inspektora Smutasa, po wszystkim zaś cieszyła się, że nie był to Wennergren Olofsson. Wtedy pewnie nic by z tego nie wyszło.

Na początku - przez jakieś dwadzieścia pierwszych minut - Ellen Hökberg wszystkiego się wypierała. Nigdy nie poznała Raymonda Fängströma. Nawet go nie widziała. A już szczególnie nie jadła u niego kolacji i w żadnym wypadku nie było to w tę sobotę, kiedy umarł.

Kiedy te zaprzeczenia robiły już trzecie albo nawet czwarte okrażenie, Backman zaczęła mieć dosyć i zapytała, czy Ellen Hökberg nie miałyby nic przeciwko, żeby zdjąć jej odciski

palców. Ustalenie, czy była w kuchni Fängströma, zajęłoby wówczas najwyżej pół godziny.

Na tę propozycję Ellen Hökberg się rozkleiła. Podano jej chusteczki higieniczne, miętową herbatę i jagodową babeczkę, aż w końcu pozbierała się na tyle, by zacząć mówić prawdę.

Prawda okazała się taka, że dziewczyna, zgodnie z przypuszczeniem anonimowej przyjaciółki, poznała Raymonda Fängströma przez internet. W piątek wieczorem - dzień przed jego śmiercią - rozmawiali ze sobą przez telefon, wysłali trochę zdjęć, mających pokazać, jacy są piękni i atrakcyjni, i wreszcie

umówili się na spotkanie u Fängströma w sobotę wieczorem. Mieli coś przekazać, wypić trochę wina i zobaczyć, dokąd ich to wszystko zaprowadzi.

Zaczął się okej, jak wyjaśniła Ellen Hökberg. Poszli razem po zakupy, wspólnie przyrządzili sos boloński, wypili ze dwa kieliszki wina i wszystko zapowiadało się obiecująco. Nagle jednak Fängströma zaczął boleć brzuch. Stało się to mniej więcej w połowie posiłku albo może na początku. Spróbował wyciągnąć się na kanapie w salonie, ale to nie pomogło. Było raczej coraz gorzej i gorzej, aż w końcu doczołgał się - próbowała go wesprzeć, naprawdę, ale on wolał się czoiłgać - do łazienki i zamknął się w środku.

Przez dziesięć minut stała pod drzwiami tejże łazienki i słuchała, jak się męczy. Jak jęczy i postępuje. Próbowała z nim rozmawiać, ale nie uzyskała żadnej sensownej odpowiedzi, więc rozmyśliła się i wyszła.

- Rozmyśliła się? - zapytał Smutas.

- Wyszła? - spytała Eva Backman.

Wtedy Ellen Hökberg znowu zaczęła płakać. Nie miała pojęcia, że to takie strasznie poważne. Ale on był tym całym demokratą. Dowiedziała się tego dopiero po pierwszym czy drugim kieliszku i byłoby niezręcznie, gdyby ją z nim kojarzono. Na przykład gdyby zadzwoniła po lekarza.

- Czyli gdyby należał do Ludowej Partii Liberalów albo był zwykłym socjaldemokratą, nie zostawiłaby go pani? - zapytał Smutas.

Jej szloch tylko się wzmógł, więc oboje przesłuchujący porozumieli się bez słów, dając sobie nawzajem do zrozumienia, że trzeba spróbować trochę delikatniej.

Dzięki delikatnej metodzie obraz zaczął się stopniowo rozjaśniać. Ellen Hökberg usłyszała o śmierci Fängströma w pracy w poniedziałek przed południem. Nietrudno sobie wyobrazić, że zrobiło się niewesoło - już i tak na myśl o sobotnim wieczorze czuła lekką skruchę i niesmak, teraz zaś ogarnęła ją kompletna panika. Udało jej się jednak opanować na tyle, by nie mówić nikomu o kolacji z nieboszczykiem. Kiedy już trochę przemyślała całą sprawę, czyli około wtorku czy

środy, postanowiła się tego trzymać. Skojarzenie człowieka ze szwedzkim demokratą samo w sobie jest nieprzyjemne, ale skojarzenie go ze szwedzkim demokratą, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, to już katastrofa.

Czy teraz, po czasie, uważa, że postąpiła słusznie?

Tak, tak, choć w sumie jednak nie.

Kiedy to delikatne przesłuchanie dobiegło już końca i Smutas poszedł do siebie wydrukować jego zapis, Backman spróbowała skontaktować się z Barbarottim. Przede wszystkim po to, żeby zapytać o tego niejasnego esemesa, którego wysłał jej dzień wcześniej późnym wieczorem. Nie dodzwoniła się jednak.

Pewnie siedzi w samolocie, pomyślała.

Albo w radiowej martwej strefie za jakąś górą.

Wysłała wiadomość zwrotną złożoną z trzech znaków zapytania i postanowiła, że spełnianiem jego życzenia zajmie się po lunchu.

Znalazła firmę, o którą chodziło, sprawdziła też, że firma ta już nie istnieje. Upadli na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy upadło także wiele innych rzeczy. Pytanie brzmiało, czy uda się skontaktować z kimś, kto coś wie.

Można też było zapytać, dlaczego o to pyta.

O wpół do trzeciej Barbarotti nadal się nie odezwał, ani dźwiękowo, ani tekstowo, ona jednak znalazła potencjalny obiekt przesłuchań.

Nazywał się Hans Fridolin Hansson, miał osiemdziesiąt cztery lata i mieszkał w domu seniora Jesienne Słońce koło Kvarndammarna. Rozmawiała z kierowniczką oddziału i dowiedziała się, że pan Hansson ma co prawda demencję, ale zdarzają mu się przebłyski świadomości.

Przypomniał jej się własny ojciec, poczuła ucisk w gardle, przelknęła ślinę i zapytała, czy za mniej więcej godzinę można by złożyć mu wizytę. Kierowniczka odparła, że jej zdaniem nic nie stoi na przeszkodzie. Hansson był teraz na terapii, ale miał wrócić za dwadzieścia minut.

Pokój, w którym siedzieli, był jasnoniebieski i nie miała pojęcia, kto - o ile w ogóle ktokolwiek - zdecydował, żeby ci



biedni ludzie spędzali swoje ostatnie chwile otoczeni takim ohydny kolorem. Choć może miał przypominać kolor nieba i pomagało to przyspieszyć cały proces - w domach spokojnej starości brakowało miejsc.

- Może mi pani mówić Hasse - oznajmił chudy, zgarbiony mężczyzna, który usiadł naprzeciwko niej. - Albo DubbelHasse, jeśli pani woli. Ten Fridolin to pomysł matki. Lubiła Karlfeldta.

Miał schrypnięty, niemal rżęzący głos i mocno się trząsał - Backman zastanawiała się, czy nie ma parkinsona.

Wygląda na niedołęznego, pomyślała.

Jego skóra przypominała surowego dorsza, oczy były żółtawe i kaprawe, a pasma włosów na guzowatym ciemieniu przywodziły na myśl leśną wyrębę albo źle oskubanego kurczaka.

Jest jak tata, pomyślała i dwa razy przełknęła ślinę, chcąc powstrzymać to, co narastało w jej wnętrzu. Choć wydaje się, że umysł ma nieco jaśniejszy.

- Niech będzie Hasse - powiedziała. - Ja nazywam się Eva Backman. Możesz mi mówić po imieniu.

Rozjaśnił się.

- Eva? Tak miała na imię moja żona.

- Naprawdę?

- Tak. Ale ona nie żyje. To już. nie pamiętam, ile lat. W każdym razie odeszła koło 2000 roku.

- Dwanaście - oznajmiła Backman. - Minęło dwanaście lat.

- Tak - odparł Hasse Fridolin Hansson i przejechał kościstą dłonią po brodzie i policzkach - skoro tak mówisz.

- Z tego, co wiem, już od pewnego czasu jesteś na emeryturze - spróbowała Backman - ale przedtem prowadziłeś własną firmę.

- Wiele firm - rzekł Hansson. - Miałem ich chyba z osiem czy dziesięć. Jak jedna plajtowała, to zaczynałem od początku. Plajta i od nowa, takie to było życie. o tak.

- Przypuszczam, że miałeś wielu pracowników?

- Setki.

Spróbował wyprostować plecy, ale najwyraźniej coś go zabolalo, zmienił bowiem pozycję na krześle. Backman

odchrząknęła i zaczęła się zastanawiać, czy to naprawdę właściwa droga. Rozważała też, czy nie byłoby lepiej, gdyby Barbarotti zajął się tym samodzielnie po powrocie - powinien być trochę lepiej zorientowany.

- Rozumiesz, że jestem z policji? - zapytała.

- Słucham?

- Mówię, że jestem z policji. Przyjechałam, ponieważ chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć.

- Ode mnie? Ja nic nie zrobiłem... to znaczy... po prostu tak się stało... że, ale to już tyle lat i...

Nagły niepokój sprawił, że zaczął się mocniej trząść.

Backman zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę ma kilka starych trupów w szafie, czy chodzi tylko o owe bankructwa, które nie były całkiem czyste.

- To cię zupełnie nie dotyczy, Hasse - zapewniła. - Chodzi mi o chłopaka, który przez krótki czas u ciebie pracował. Ponad dwadzieścia lat temu, mniej więcej pod koniec lat osiemdziesiątych.

- Jak się nazywał?

- Morinder. Nazywał się Arnold Morinder.

Zacisnęła usta, tak że tworzyły cienką, ale nieco krzywą kreskę, i spojrzała przez okno. Uznała, że się zastanawia. Być może przebiegał myślami przez kilkuset pracowników, próbując sobie przypomnieć, który z nich mógł mieć na nazwisko Morinder. Trwało to jakieś piętnaście sekund.

- Możliwe - powiedział w końcu. - Miałem takiego cwane go skurczybyka, który chyba nazywał się Morinder. Chociaż nie pamiętam, kiedy to było.

- Może mogę cię jakoś skierować na właściwe tory? - podsunęła Backman.

- Tak, na torach wyścigowych też się kiedyś bywało - odparł Hans Fridolin Hansson. Kiedy dziesięć minut później zostawiła go w jasnoniebieskim pokoju, wydawało jej się, że ma coś, co być może. być może jest odpowiedzią na to, o co pytał Barbarotti. Nawet Backman przeczuwała, że istnieje tu jakiś związek, choć co to oznacza tak naprawdę, było oczywiście ze wszech miar niepewne.

Czego on szuka? - zastanawiała się. I dlaczego nie odbiera telefonu?

Zanim zdążyła wejść do swojego pokoju, natknęła się na Asunandera. Jakby na nią czekał.

- Słyszałem, że sprawa Fängströma zaczyna się wyjaśniać.

- Tak jest - odparła Backman. - Nie wydaje mi się, żeby się za tym kryło jakieś przestępstwo. Ale nie mamy jeszcze pewności.

- Dobrze - stwierdził Asunander. - A jak tam idzie Barbarottiemu? Mieliliśmy się dzisiaj spotkać, ale go nie widziałem.

- Był w Norrlandii - odpowiedziała Backman. - Chyba wraca, ale od wczoraj nie miałam z nim kontaktu.

- Wiesz, czy coś ruszyło?

- Trudno powiedzieć. Będziesz musiał poczekać, aż wróci.

Asunander uznał najwyraźniej, że tyle na razie wystarczy. Backman postanowiła w końcu zrobić to samo - po kolejnych sześciu nieodebranych połączeniach.

Nie zostawiała żadnej wiadomości.

Jeżeli widzi, że tyle razy dzwoniłam, a mimo to nie chce mu się odezwać, to sam jest sobie winien, pomyślała. A może ma swoje powody?

Jakie to mogły być powody, trudno jej było sobie wyobrazić i pewna doza irytacji towarzyszyła jej przez resztę popołudnia.

## 46

Stoi w kuchni i sieka cebulę. Jest popołudnie. Za kilka godzin pojawi się większe towarzystwo i trzeba będzie dobrze ich wszystkich nakarmić. Zarezerwowali pokoje na pięć nocy, to stali goście, a o takich Mona szczególnie dba. Przynajmniej czworo z nich już wcześniej poznała. To dwóch wysokich rangą wojskowych z żonami.

Nadal boi się policjanta, odbyły z Moną długą i wyczerpującą rozmowę, ale nie pomogła, tak jak zwykle. Coś ją męczy. Może jego uwaga o spowiedniku. A może to, że wydaje się wiedzieć więcej, niż udaje.

Jej płacz nie ma jednak nic wspólnego z inspektorem, powodem jest tylko i wyłącznie cebula.

Nie wiedzieć czemu zaczyna myśleć o Dreamboyu.

- Jasna cholera - mamrocze do siebie. - Nie chcę o nim teraz myśleć.

Tydzień po święcie Midsommar, który jest zarazem jej ostatnim tygodniem przed wakacjami, jedzie do pracy samochodem. Czuje się dziwnie wolna, kiedy może siedzieć za kierownicą i być panią własnego losu, zamiast męczyć się z rozkładami jazdy i tłoczyć wśród zaspanych, naburmuszonych pasażerów.

Los to może za wielkie słowo, ale dziwi ją to specyficzne mrowienie, które czuje, kiedy co rano wyjeżdża z Drogi Birmańskiej na drogę numer 272 prowadzącą do miasta.

Mogłabym pojechać zupełnie gdzie indziej, myśli. Machnąć ręką na sklep, zatankować do pełna i ruszyć do Göteborga. Albo jeszcze dalej: Oslo? Kopenhaga? Przenocować w jakimś hotelu i następnego ranka pojechać dalej, gdziekolwiek. W świat. Ku życiu.

Gdybym miała pieniądze.

Oczywiście nie są to poważne myśli, a jedynie łagodne, udawane sny na jawie, ale mimo wszystko wypełniają ją poczuciem, że żyje, co jest dla niej, czymś nowym i kompletnie nieznanym.

A Billy? Co zrobisz z Billym? - pyta samą siebie, a może pyta ją głos Muttiego.

Zabiorę go ze sobą, rzecz jasna - odpowiada. Nie ma sprawy, dlaczego miałby to być problem?

Na to Mutti nie odpowiada.

Marzenia za kierownicą. Wkrótce jednak pojedą z Billym pod namiot na Olandię, a to już nie jest sen. To świetnie, a nieobecność Harry'ego będzie miała takie znaczenie, jakiego nie potrafi sobie wyobrazić. Ale też nigdy nie myślała, jak by to było bez niego. Zawsze przy niej był, jak jakiś pieprzony strup.

Który teraz został zerwany. W samą porę, po siedemnastu latach.

Zauważa to również w pracy. Obsługuje klientów w zupełnie

inny sposób. Nie tak nieśmiało i uniżenie jak zwykle, ale z większą otwartością. Bez skrepowania, czasem z uśmiechem, a nawet błyskiem w oku. Przynajmniej tak jej się wydaje - łatwiej dostrzec błysk w oczach innych.

Koledzy z pracy myślą pewnie, że jest dzielna. Jej mąż zniknął, ale Ellen Helgesson trzyma niepokój w ryzach. To musi być dla niej straszne. Nie wiedzieć, cały czas zachodzić w głowę, co się stało. No bo co, do diaska, mogło się stać? Sofia powiedziała jej, że może zostać w domu, jeżeli tego potrzebuje, ale ona odpowiedziała, że woli pracować jak zwykle. To łatwiejsze, niż siedzieć w domu i rozmyślać.

W odpowiedzi kiwają głowami i mówią, że rozumieją. Ona myśli, że można by o nich powiedzieć wszystko, tylko nie to, że rozumieją.

Bez poczucia, że znowu żyje, epizod z Dreamboyem nigdy by się nie przydarzył. Nie miałyby na to odwagi. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy odpowiedzieć na jego spojrzenie w taki otwarty i swobodny sposób, kiedy zapytał, czy go poznaje.

Jasne, że go poznaje.

- Pewnie - odpowiada, pakując jego śrubokręty, stalową linkę, taśmę izolacyjną i co tam jeszcze do plastikowej torby. - Fajnie cię widzieć. Co tam słychać?

- W porządku - odpowiada, ona jednak słyszy, że kłamie. - A u ciebie?

Zastanawia się, czy słyszał o Harrym, czy też nie. Może i nie. Nie widziała Dreamboya od kilku lat, nawet nie wiedziała, że jest w mieście.

Bierze swoją siatkę, przez moment się waha, po czym pyta, czy miałyby ochotę na kawę.

Kończy za pięć minut, ale Dreamboy nie może tego wiedzieć.

- Teraz? - pyta.

On uśmiecha się zawstydzony.

- Tak, ale pewnie nie możesz?

Kwadrans później siedzą w cukierni Stjärnkonditoriet na Norra Torg. Myśli, że chyba pierwszy raz w życiu pije kawę z nieznaną mężczyzną. Ma trzydzieści sześć lat - można by

pomyśleć, że to najwyższy czas.

No, tak całkowicie obcy to on nie jest. Chodzili przecież przez rok do tej samej klasy w szkole w Kymlinge, ale od tamtego czasu chyba go nie widziała. Nie jest już też tak piękny jak w wieku czternastu czy piętnastu lat.

Piękny i senny, to stąd wzięło się jego przezwisko. Tak naprawdę nazywa się Kenneth Jakiśtam, a Dreamboyem zaczął go nazywać jeden z nauczycieli, ponieważ na lekcjach wydawał się śnić.

Śniący i piękny. Długie, gęste i ciemne włosy, po których chciałoby się stąpać na bosaka. Wie, że przez jakiś czas się w nim kochała, podobnie jak większość dziewczyn, ale ponieważ była tylko myszą, nie przyznawała tego nawet przed sobą. Mysz i Dreamboy - tego nie można było sobie nawet wyobrazić.

Problem z Dreamboyem polegał na tym, że był zbyt zmęczony, by się w cokolwiek angażować. Co prawda uderzano do niego z każdej strony, ale ponieważ nic z tego nie wynikało, dziewczyny z czasem się znudziły. Dreamboy wprawdzie nadal był piękny, ale jako obiekt miłosnych westchnień szybko został skreślony. Pieszczotliwe określenie uległo nieubłaganej degradacji i stało się jedynie przezwiskiem.

Przynajmniej tak to zapamiętała. Chodziła do tej klasy tylko rok i to wówczas przeżyła pierwsze w życiu pieszczoty, ale o tamtym chłopaku nie chce myśleć.

Lepiej myśleć o Dreamboyu i Stjärnkonditoriet. Mimo całego smutku.

Siedzą. Jego bujnych loków już nie ma, ale widać, że to on. Ciemne oczy, piękne usta, delikatny podbródek - wygląda rzecz jasna inaczej niż dwadzieścia lat temu, ale wydaje się równie zamknięty w sobie. Zastanawia się, dlaczego zaproponował wyjście na kawę.

- Opowiadaj - prosi. - Co tam u ciebie? Chyba nie widziałam cię od czasów szkolnych?

Odparł, że pomieszkiwał trochę tu, trochę tam, ale właśnie wrócił do miasta. To dlatego poszedł do sklepu, w którym pracowała: musi naprawić parę rzeczy w mieszkaniu, do którego właśnie się wprowadził. Po chwili ciężkiej, nieklejącej

się rozmowy mówi, że właśnie się rozwiódł i jest nieszczęśliwy. Nie wie nawet, czy będzie potrafił dalej żyć.

Ona nie wie, co powiedzieć. Myśli, że musi być bardzo samotny, skoro zaprasza na kawę kobietę, której nie widział tak długo, i zaczyna opowiadać o tego typu sprawach.

Zamierza się zabić, chyba o to chodzi.

Te dwadzieścia lat później także z Dreamboyem rozmawia się ciężko. Kiedy już kończy opowiadać o rozwodzie i swoim nieszczęściu, zachowuje się tak, jakby powiedział już wszystko. Nie pyta, co u niej, siedzą naprzeciwko siebie jak dwie powoli gasnące świece. Ona próbuje zacząć taki czy inny temat, ale on odpowiada monosylabami i na nią nie patrzy. Może żałuje, że ją tu zaprosił, i po dwudziestu minutach albo półgodzinie, kiedy kawa jest dopita do ostatniej kropli, a bułeczki cynamonowe zjedzone do ostatniego okruszka, mówi, że musi iść.

Nagle sięga przed siebie i chwyta ją za rękę. Po raz pierwszy zdecydowanie patrzy jej w oczy i pyta, czy mogą się znowu spotkać. Ona zaś czuje, po raz pierwszy w życiu, że tego człowieka byłaby w stanie pokochać.

To jak upadek do studni: w jej wnętrzu otwiera się szyb, a głowa staje się pusta jak u lalki. Bierze kilka głębokich oddechów, żeby odzyskać panowanie nad sobą, spogląda w jego ciemne smutne oczy i w końcu, nareszcie, udaje jej się odpowiedzieć: tak, oczywiście, mogą zobaczyć się znowu.

On puszcza jej rękę i magia się kończy. Wstają, on napomyka, że zna już jej miejsce pracy, a potem się rozstają.

Teraz trudno już powiedzieć, czy to cebula wywołuje łzy. Poza tym przeszła już do pora, a chyba nikt nie płacze, siekając pora?

On nie odezwie się do niej nigdy więcej.

Dopiero po wyjściu z Hinseberga, dwanaście albo trzynaście lat później, przez przypadek dowiaduje się, że naprawdę to zrobił.

Dreamboy tamtego lata odebrał sobie życie.

Patrzy przez okno na okazały krajobraz. Słońce przebiło się przez przedpołudniową warstwę chmur, widoczność sięga kilkudziesięciu kilometrów.

Chciałabym móc przeżyć swoje życie jeszcze raz, myśli. Nic nie potoczyło się tak, jak powinno.

Nie, myśli po chwili, gdyby to było możliwe, z pewnością jeszcze raz bym wszystko popsuła.

Może tak jest ze wszystkimi. Przechodzimy z mroku w mrok. Podejmujemy niewłaściwe decyzje, trafiamy na niewłaściwych ludzi, a kiedy chcemy zawrócić, jest już za późno. „Nie zatrzymuj się przy Drodze Birmańskiej”.

Widok z okna jest naprawdę oszałamiająco piękny. Dlaczego nie potrafimy korzystać z życia? Dlaczego wciąż nam czegoś brakuje? Dlaczego Dreamboya spotkał taki los?

Nie, naprawdę nie wyszło tak, jak powinno. Ale czy ktoś w ogóle stworzył tę właściwą wersję? Czy istnieje jakiś sens? Przynajmniej puenta?

Może mimo wszystko Billy.

## 47

Kiedy się budzi, ma wrażenie, że spał pod skałą.

Otwarcie oczu jest jak podniesienie dwóch ołowianych żaluzji najcieńszym sznurkiem z możliwych, więc zamyka je znowu. Nie wie, po co je w ogóle otwierać.

Ktoś jednak jest uparty. Ten ktoś, kto go budzi, szturcha, popycha i mówi słowa, których nie potrafi zrozumieć. Teraz bije go jeszcze otwartą dłonią w policzki. Szarpie za ramię, nie chce zostawić w spokoju, więc Barbarotti znowu pociąga za sznureczek, starając się podnieść powieki.

Udaje się jako tako. W każdym razie na tyle, aby poczuł potrzebę zorientowania się w sytuacji. Gdzie jest? Która jest godzina? Bez wątplenia są to zasadnicze pytania, więc bierze się za nie po kolei. Leży na plecach w znajomym pokoju. Choć słabo znajomym, temu wspomnieniu nie towarzyszy jeszcze żaden kontekst.

Marianne? - myśli, jednak gdy tylko pojawia się to imię, wie, że już jej przy nim nie ma.

Że nie żyje. Że odeszła na zawsze.

Mimo to myśl powraca każdego ranka, jak bramka między



jawą a snem. I tak, oczywiście, to prawda. Może będzie tak każdego ranka do końca jego życia.

Dlaczego czas musi być tak beznadziejnie liniowy? - myśli. Dlaczego nie można któregoś razu obudzić się i mieć dwanaście lat, innego poranka pięćdziesiąt dwa, a jeszcze innego dwadzieścia cztery? Dlaczego dni naszego życia nie mogą się trochę wymieszać?

To stare myśli, nic, co mógłby stworzyć w takiej sytuacji jak ta - kręca się tylko w jego świeżo otwartej świadomości. Teraz zresztą jest inna pora dnia niż poranek. Choć nie czuje tego. W sumie nie wydaje mu się, że to inna pora, ale leży pod kocem, kompletnie ubrany. Dlaczego miałby mieć na sobie ubranie, gdyby to był poranek?

Wydobywa się więc szybko na powierzchnię.

Vilhelmina. Pensjonat. Ellen Bjarnebo.

Jeszcze raz otwiera oczy - ktoś najwyraźniej je zamknął. Na krześle koło jego łóżka siedzi kobieta, teraz wreszcie ją zauważa.

To nie Rzeźniczka ani właścicielka pensjonatu.

Kobieta wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat i ma na sobie biały kitel. A na szyi stetoskop.

- Jak się pan czuje? - pyta. - Już się pan przebudził?

Barbarotti pociera twarz dłońmi.

- Tak, dziękuję - odpowiada.

Wychodzi mu tylko schrypnięty szept. Nagle czuje, że bardzo chce mu się pić. Przechodzi do pozycji półsiedzącej i dostrzega, że na stoliku na trzech nogach stoi karafka z wodą. Wystarczy, że na nią spogląda, żeby kobieta zrozumiała. Kiwa głową i nalewa mu wody. On wypija do dna i prosi o jeszcze jedną szklankę.

- Która godzina? - pyta.

Kobieta patrzy na zegarek.

- Wpół do dziesiątej.

Barbarotti nie rozumie.

- Wieczorem?

- Tak.

- Mam. mam samolot.

- Obawiam się, że pan na niego nie zdążył.
- Ale dlaczego? To znaczy. dlaczego tutaj leżę?
- Bo pan zasnął?
- Zasnąłem?
- Tak. Spał pan. no, prawie dwanaście godzin. Pamięta pan, jak się kładł dzisiaj rano?
- Yy... tak, oczywiście. Chciałem.
- Tak?
- Chciałem się tylko zdrzemnąć.
- No i się pan zdrzemnął. Choć chyba trochę dłużej, niż pan zamierzał.

Barbarotti siada na brzegu łóżka. Trochę zbyt gwałtownie, bo czuje nagły zawrót głowy.

- Co się stało?

Kobieta posyła mu delikatny uśmiech. Barbarotti myśli, że wygląda na życzliwą, tak jak jego terapeuta. Choć ona oczywiście jest lekarką. Ciemnowłosą, trochę tajemniczą, no i, jak stwierdził, zbliżoną do niego wiekiem. Pod rozpiętym bawełnianym kitem ma koszulkę polo i dżinsy.

- Nie bardzo wiem - odpowiada. - Mona zadzwoniła, a ponieważ mieszkam niedaleko, przyszłam.

- Tak?

Lekarka odkłada niewielki zeszyt, który trzymała na kolanach, i nachyla się do Barbarottiego.

- Pana ciśnienie wydaje się w normie, tętno tak samo. przez chwilę pana obserwowałam i wszystko jest chyba w porządku. Wydaje mi się, że to może być reakcja stresowa.

- Reakcja stresowa?

- Tak. Był jakiś powód? Może to zespół lęku napadowego?

Barbarotti wzdycha i myśli przez chwilę.

- Tak. może tak być. Ale żeby przespać cały dzień?

- Czy w ostatnim czasie miał pan jakieś traumatyczne przeżycie?

- Jak długo pani tu jest?

- Kilka godzin. Pracuję tu we wsi i przyszłam po pracy. Ale pytałam, czy ostatnio przeżył pan coś traumatycznego.

- Zmarła mi żona.

Lekarka chwyta stetoskop, po czym wypuszcza go z ręki.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu. Trochę ponad.

- Czy to było niespodziewane?

- Tak. I nie.

Kobieta kiwa głową i przypatruje mu się jakiś czas.

- Jest pan policjantem?

- Tak.

- I pracuje pan w pełnym wymiarze? Czy to jest mądre?

Barbarotti nie wie, czy to jest mądre. Czuje się, jakby w ogóle nic nie wiedział. Siedzi na brzegu łóżka w tym małym pokoiku w pensjonacie na samym skraju cywilizacji i wydaje mu się, że stracił wszelki kontakt z rzeczywistością. Zmęczenie i oszołomienie przykrywają jego myśli niczym koc i nagle czuje, że chciałby przespać kolejne dwanaście godzin.

- Co się ze mną dzieje? - pyta.

- Nie sądzę, żeby to było coś somatycznego - odpowiada lekarka niepewnym, powolnym tonem. - Może jest pan psychicznie wycieńczony, a wówczas takie reakcje mogą się zdarzać. Domyślam się, że bardzo pan rozpacza po stracie żony?

- Tak, bardzo.

- Mają państwo dzieci?

- Tak. Pięcioro.

- Pięcioro?

- Tak, ale są już dorosłe. Przynajmniej niektóre.

- Może powinien pan być z nimi, a nie tutaj?

- Miałem tu przylecieć tylko na jeden dzień. ale wygląda na to, że będzie jeszcze jeden.

- Na tę myśl czuje nagły przypływ paniki. - Wie pani, o której odlatuje jutro samolot?

- Jest jeden rano. Ale musi pan stąd wyjechać o szóstej.

- W porządku, polecę właśnie tym. Nadal jestem zmęczony. To bez sensu.

Lekarka wkłada rękę do kieszeni kitla i wygląda, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Kiedy pan wróci, powinien pan pójść do swojej przychodni

i zrobić sobie dokładne badania. A przede wszystkim przystopować trochę z pracą. Czy mam poprosić Monę, żeby przyniosła coś do jedzenia? Później będzie się pan mógł położyć.

Barbarotti kiwa głową.

- I powiedziec, żeby załatwiła panu transport na jutro rano?

- Na szóstą?

- Tak. Na szóstą. Możemy tak zrobić?

Znowu kiwa głową. Czuje się jak idiota.

- Oślucham pana.

Barbarotti zdejmuje koszulę i lekarka przyciska mu do piersi stetoskop. Prosi, żeby wziął kilka głębokich wdechów. Następnie chce, żeby podążył wzrokiem za długopisem, od prawej do lewej i z powrotem, bez poruszania głową. Świeci mu w oczy małą latarką.

- Nie - mówi i chowa stetoskop do kieszeni płaszcza. - Wydaje się w porządku. Myślę, że nie musi się pan martwić. Poproszę Monę o coś do jedzenia, dobrze?

- Tak, dziękuję.

Je w pokoju, ponieważ w jadalni pozbierano już ze stołu. Kolejny kociołek, tym razem ryba i skorupiaki. Ryż zamiast ziemniaków. Orientuje się, że jest głodny jak wilk, i dostaje dokładkę. Na deser jakiś krem. Nie obsługuje go ani Mona, ani Ellen, tylko młoda kobieta z włosami spiętymi w koński ogon i w koszulce z napisem „Mój mąż jest czysty”. Barbarotti zastanawia się, co to znaczy, ale nie pyta.

W głowie czuje dziwną pustkę, a raczej czuje się, jakby to była głowa kogoś innego.

Kiedy kończy jeść, wysyła dwa esemesy: jeden do dzieci, w którym wyjaśnia, że coś było nie tak z samolotem i przyleci do domu jutro, a drugi do Backman, w którym pisze to samo, dodając, że rano do niej zadzwoni.

Potem znowu zasypia, a kiedy jego telefon budzi go piętnaście po piątej, czuje się rześki i wypoczęty. Przynajmniej do pewnego stopnia, choć jednocześnie czuje się tak, jakby jeden dzień zniknął z jego życia.

Jakby ktoś był mu coś winien. Dochodzi do wniosku, że z

ostatnich trzydziestu sześciu godzin przespał dwadzieścia pięć.

Poranek jest jasny, choć trochę chłodny. Kiedy wychodzi z walizką na werandę, widzi młodego otyłego mężczyznę palącego papierosa przy czarnym volvo. Domyśla się, że to brat Henninga. Kiwiają sobie głowami, Barbarotti siada z tyłu i po godzinie i pięćdziesięciu minutach są na lotnisku w Vilhelminie, nie zamieniwszy po drodze ani jednego słowa. Nawet Malgomaj.

Nigdy się nie dowiaduje, czy brat Henninga ma jakieś imię.

Przed startem samolotu dzwoni. Najpierw do dzieci, potem do Backman, co zaczyna już być rutyną. Ponownie próbuje się z nimi połączyć z samochodu, ale nie jest to możliwe.

Dodzwania się w końcu do Martina i jeszcze raz wyjaśnia, że trochę mu się przedłużyło. Nie wdaje się w szczegóły. Martina właśnie czeka coś ważnego, więc zapewnia tylko, że w willi Pickford wszystko jest pod kontrolą. Backman w ogóle nie odbiera.

Ma z nią sporo do omówienia - miejmy nadzieję, że ona z nim też - myśli więc, że nie zaszkodzi spróbować pozbierać najpierw myśli. Ustalić, czego tak naprawdę się dowiedział.

W końcu żadna ze spraw przydzielonych mu przez Asunandera nie jest świeża. Nikt mu nie ucieknie i się nie ukryje, a jeżeli ten jeden raz ma się czas do namysłu, nie ma chyba powodu odmawiać sobie tego luksusu.

„Spotkanie w czwartek przed południem?” - brzmi esemes, którego wysłała do Backman. W domu będzie dopiero późnym wieczorem. Nadal czuje się trochę nieswojo z własną głową.

Tego poranka samolot nie ma opóźnienia, a kiedy przy bramce pokazuje swoje dokumenty, znajduje w portfelu małą wizytówkę. „Siostry”.

Nic poza tym. Żadnego numeru telefonu, żadnego adresu. Tylko to jedno słowo. Nie rozumie, co ono oznacza i jak wizytówka się tam znalazła.

Stewardesa podająca mu w samolocie kawę pyta, czy wybiera się do Skansenu na obchody Święta Narodowego Szwecji. Barbarotti spogląda na nią zdziwiony i mówi, że nie ma na to czasu.

# V

## Czerwiec 2012

## Sierpień 2007

48

Czwartek siódmego czerwca w okolicach Kymlinge był delikatnym wczesnoletnim dniem, wiał ciepły wiatr z południowego zachodu, a Eva Backman obudziła się z bólem głowy.

Od razu zrzuciła to na karb tego, że podczas snu zgrzytała zębami, co z kolei było spowodowane tym, że śnił jej się były mąż i ta jego smoczyca, Blanche.

Czy można kogoś pozwać za zakłócanie snu, zastanawiała się, stojąc przy blacie kuchennym, połykając dwie tabletki paracetamolu i popijając je sokiem jabłkowym. Dlaczego nie? Mogła przynajmniej zapytać tego adwokata.

Poprzedniego wieczoru odbyła frustrującą półgodzinną rozmowę telefoniczną z Villem. Usiłowała mu wytłumaczyć, że zwróciła się do prawnika, który właśnie przygląda się kwestii jej ewentualnej wstecznej odpowiedzialności za dom, i że odezwie się do niej po weekendzie. Zaproponowała, żeby na razie tym się zadowolili. Ville jednak z uporem maniaka powtarzał, że wspólnie z Blanche podpisali już umowę z firmą remontową, więc może mogliby się dogadać, nie mieszając do tego adwokatów. W końcu udało im się to przy rozwodzie.

- Z miłą chęcią - odpowiedziała na koniec Backman. - To wy mieszkacie w tym domu, moja noga nigdy w nim nie postanie i nie zamierzam dokładać do niego ani korony. To co, zgoda?

Ville odpowiadał, że nie ma mowy, prosił, żeby nie zgrywała upartej baby, i tak sobie właśnie rozmawiali, ale najbardziej denerwujące ze wszystkiego było to, że co jakiś czas prosił, żeby zaczekała, po czym zaczynał krótkie, szeptane dyskusje ze

smoczyką. W końcu Eva Backman powiedziała, że jeżeli zadzwoni jeszcze raz, zgłosi na policję, że ją nęka, po czym rzuciła słuchawką.

Następnie wypła samotnie dwa kieliszki wina, zdziwiona, że ci ludzie są w stanie wzbudzić w niej taką wściekłość. Rozżarzoną do białości i bezkompromisową. Mogłabym ją udusić, pomyślała przerażona.

A co z Villem, człowiekiem, z którym przeżyła prawie całe dorosłe życie?

Może by go nie udusiła, ale nigdy więcej nie chciała go widzieć, a przecież był ojcem jej dzieci.

Baba! Nazwał ją babą! Niech go szlag!

Potrzebuję terapeuty - zdążyła jeszcze pomyśleć, po czym zasnęła.

A teraz ten ból głowy.

Ustępował niechętnie, kiedy jadła śniadanie. Po drodze do pracy udało jej się dodzwonić na komórkę do Kallego i do Viktora. Przypomniała im, że wieczorem mają przyjść do niej na kolację. Kalle wydawał się nie mieć pojęcia o wczorajszej wojnie przez telefon, ona zaś pomyślała, że Ville być może mimo wszystko był na tyle rozsądny, żeby go w to nie mieszać.

Chętnie przygotowałyby jedzenie także dla swojego trzeciego syna, ale Jörgen studiował w Göteborgu. Miał dziewczynę, w której chyba był szaleńczo zakochany, i nie widziała go od ponad miesiąca.

Tak to będzie wyglądało, pomyślała. Za kilka lat całą trójkę rozwieje po świecie. Projekt Eva Backman-Ville Vuorinen zostanie zakończony i odłożony do akt. Dwadzieścia pięć lat z jej życia.

No tak, znów pomyślała, wprowadzając rower do stojaka przed wejściem na komisariat. Trzy zdolne do życia istoty wyfruną w świat na własnych skrzydłach.

Żaden nie był alkoholikiem ani narkomanem, żaden nie był nazistą - nie miała powodu do narzekania.

Weszła do swojego pokoju, a po jakichś dwudziestu sekundach rozległo się pukanie i do środka, nie czekając na odpowiedź, wszedł inspektor Barbarotti. Uznała, że zaczyna to

wyglądać jak zwykle.

- Mam pewną teorię - zaczął, kiedy każde z nich usiadło z filiżanką czarnej kawy i połówką ciasteczka brago, więcej na razie nie mieli. - Jesteś teraz wolna? To trochę zajmie. Eva Backman spojrzała na zegarek.

- Mam półtorej godziny, wystarczy?

Barbarotti skinął głową i odparł, że tak.

- Jak się czujesz? - zapytała, zanim zaczęła. - Wyglądasz chyba trochę bardziej rześko.

- To tylko mój makeup - odparł Barbarotti. - Dzieciaki mi rano pomogły. To co, jesteś gotowa?

- Teoria? - powiedziała Backman. - Proszę bardzo, zamieniam się w słuch.

Barbarotti przeglądał przez chwilę notatnik.

- Okej - zaczął. - Być może jest tak, że całkowicie się mylę, a jeżeli chodzi o dowody, mam ich tyle co pryszcz.

- Pyszcz? - zdziwiła się Backman.

- Nie łap mnie za słowa. Mówię tylko, że chyba zaczyna mi się to wszystko układać. Nadal nie wiem, dlaczego Asunander chciał, żebym zajął się tymi starymi sprawami, ale zamierzam się dowiedzieć. Tak czy inaczej to dziwna historia. a nawet dwie. Choć nie sądzę, żeby dało się rozpocząć nowe śledztwo.

- Myślałam, że właśnie tym się zajmowałeś - stwierdziła Backman. - Nie prowadziłeś nowego śledztwa?

- Nie wiem, czy można to tak nazwać - przyznał Barbarotti. - Ale, jak mówię, o tym zadecyduje Asunander.

- Rozumiem - odparła Eva Backman. - Powiedzmy więc, że na razie mamy jedną albo dwie dziwne historie. Ale mówisz, że w Norrlandii, po spotkaniu z nią, coś się wyklarowało?

- I tak, i nie - powiedział Barbarotti i podrapał się po głowie.

- Ale ciekawa rzecz, jak ważne jest to, aby rzeczywiście usiąść i porozmawiać z człowiekiem. Możemy mieć nie wiadomo ile danych z każdej możliwej strony, dane mogą gonić dane i danymi poganiać, ale kiedy trzeba osądzić, czego konkretna osoba mogła się dopuścić, a czego nie, należy podejść trochę bliżej. Choć właśnie o tym rozmawiamy od dwudziestu lat.

- To prawda - zgodziła się Backman. - Chodzi ci o Ellen



Bjarnebo?

- Chodzi mi o Ellen Bjarnebo. Kiedy wreszcie się z nią spotkałem, nie miałem właściwie żadnych problemów. Nie była taka niechętna do współpracy, jak się spodziewałem. Rozmawialiśmy mniej więcej półtorej godziny. Oczywiście wszystko nagrałem i przesłuchałem naszą rozmowę dwukrotnie. I powiem, że obraz zaczyna się klarować, tak jak powiedziałeś.

Eva Backman skinęła głową.

- Śledztwo po śmierci Harry'ego Helgessona szło, moim zdaniem, trochę zbyt gładko - ciągnął Barbarotti. - Cały czas prowadzono je według schematu A1, co może nie jest aż tak dziwne. Ale to, co się stało w tych obu gospodarstwach, było chyba nieco bardziej skomplikowane, niż się to wydawało policjantom. Były tam sprawy i okoliczności, na które nawet nie chciało im się spojrzeć.

- Nie sprostali zadaniu?

- Niestety.

- Ale ona przecież od razu się przyznała - powiedziała Backman. - I, o ile się nie mylę, na narzędziu zbrodni znaleziono jej odciski palców.

- Zgadza się. I było po sprawie. Jeżeli ktoś przyznaje się do popełnienia zbrodni, są duże szanse, że zostanie za to skazany. Zwłaszcza jeżeli ofiarą jest bliska osoba i nie ma powodów, aby przypuszczać, że było inaczej.

- Tak to wygląda - odparła Backman. - Oboje o tym wiemy. Co chcesz właściwie powiedzieć?

- Zmierzam do tego - rzekł Barbarotti. - Myślałem trochę o wszystkich mieszkańcach obu gospodarstw. Śmierć Harry'ego Helgessona wszystko popsuka. Może nie od razu, ale na dłuższą metę. Czy mówiłem już, że Ellen Bjarnebo romansowała z kuzynem z Wielkiej Birmy?

- Ze swoim kuzynem?

- Nie, z Göranem Helgessonem, kuzynem Harry'ego. Między kuzynami

i gospodarstwami było coś w rodzaju różnicy klas. W Wielkiej Birmy wszystko najwyraźniej szło jak należy, a w

Małej od początku prawie nic się nie udawało. Wydaje mi się, że Ellen Bjarnebo przeżywała piekło, dopóki żył jej mąż. mniejsze lub większe, ale jednak.

- Czy nie dlatego go zabiła? Nikt chyba nigdy nie podawał w wątpliwość tego, że miała motyw?

- Pełna zgoda - potwierdził Barbarotti. - Miała motyw, i to naprawdę porządny. Problem polega na tym, że miała również motyw, żeby wziąć winę na siebie, nawet jeśli to nie ona zamordowała Harry'ego.

- Co? - odparła Backman.

Barbarotti wypił łyk kawy.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Że mógł to zrobić ktoś inny, a ona postanowiła ponieść karę zamiast sprawcy - dokończył Barbarotti.

- Ktoś inny?

- Tak.

- Tak ci powiedziała tam w górach?

Barbarotti pokręcił głową.

- Bynajmniej. Poza tym myślę, że to ona poćwiartowała ciało. Więc, tak czy siak, jest winna zbezczeszczenia zwłok.

Eva Backman zastanawiała się chwilę.

- Rozumiem - powiedziała. - Chłopak. Twoim zdaniem to chłopak zabił ojca?

Barbarotti skinął głową i zjadł połówkę ciasteczka.

- Tak. i nie. Doszedłem do tego po rozmowie z nimi wszystkimi. Z Billym, z nerwową kobietą z Hallsbergu, która była jego macochą, ale w szczególności po rozmowie z Ellen Bjarnebo. I po przesłuchaniu taśmy. Bjarnebo miała. nie wiem, jak to powiedzieć. Miała w sobie coś... imponującego.

- Imponującego? - odparła Backman. - Ponieważ wzięła na siebie winę za uczynek syna. tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ale właściwie jak bardzo jesteś tego pewien? Co masz na myśli, mówiąc „tak i nie”? Powiedziałeś tak, prawda?

- Poczekamy z tym chwilę - stwierdził Barbarotti. - Ona ma coś w rodzaju. kręgosłupa moralnego, chciałbym to podkreślić. Pomyśl, jakie miała życie, a teraz siedzi spokojna i życzliwa, i pozwala pytać się o to wszystko, co musi w niej tkwić jak

krwawiąca rana. przechodzi przez to raz jeszcze.

- Czekaj - odparła Backman. - Mówisz w takim razie, że chłopak zabija swojego ojca, matka bierze na siebie winę i idzie do więzienia, żeby miał normalne życie. i on się na to godzi? Jak mógł żyć z czymś takim?

- To mnie właśnie niepokoi - powiedział Barbarotti. - Coś tu nie pasuje.

- Ale z nim również się spotkałeś? Z tym chłopakiem?

- Oczywiście. Spotkałem się z Billym Helgessonem. Problem polega na tym, że on jest, jaki jest. Pamiętasz może, że przez całe dzieciństwo właściwie nie mówił?

Eva Backman pokiwała głową. Barbarotti wziął głęboki oddech i odchrząknął.

- Sprawa wygląda tak: matka i syn mają obecnie bardzo słaby kontakt. Kiedy ona znalazła się w Hinsebergu, chłopcem zajęli się krewni i oni właśnie dopilnowali, żeby nie widywał się z matką. Ellen Bjarnebo spotkała się z synem dwa razy. Mówimy o okresie ponad dziesięciu lat: chłopak miał dwanaście, kiedy trafiła do więzienia, a dwadzieścia trzy, kiedy z niego wyszła. Później nie udało im się już tego naprawić. Nie wiem nawet, czy tak naprawdę próbowali.

Backman się zamyśliła.

- Więc nic nie wynagrodziło jej tego, co zrobiła?

- Jej osobiście nie. Ale Billy jest żonaty i mieszka w Sztokholmie. Ma w każdym razie bez porównania lepsze życie, niż gdyby skazano go za morderstwo ojca.

- Poczekaj chwilę. Przecież był wtedy dzieckiem. Nie dostałby wyroku.

- Zgadza się - westchnął Barbarotti. - Masz rację. Ale pomyśl, jakie widoki na przyszłość ma. chorobliwie nieśmiały dwunastolatek niemowa, który w dodatku jest ojcobójcą.

- Hm - mruknęła Eva Backman. - A dlaczego coś ci tu nie pasuje? Bo chyba tak powiedziałaś.

- A jak sądzisz? - zapytał Barbarotti.

- Nie wiem - odpowiedziała Backman i znów się zamyśliła. - Może Morinder? Gdzie, do diabła, w tym wszystkim Arnold Morinder? Chociaż.

- Tak?

- Dlaczego miałyby z tym mieć cokolwiek wspólnego? On nie musi tu pasować, to po prostu inna historia.

- Może być i tak - powiedział Barbarotti, odchylił się do tyłu i splótł dłonie na karku. - Choć odniosłem wrażenie, że jedno ma związek z drugim. Wiem, że chciałoby się, aby tak było, zawsze lepiej jest mieć jednego mordercę niż dwóch. Lepszy jeden Thomas Quick niż dziewięciu innych przestępców biegających na wolności. Jednak nawet bez niego, bez Morindera, coś nie gra w teorii, że to chłopak jest sprawcą. Ja, ja to po prostu czuję.

- Czujesz to?

- Tak jest. To źle?

- Myślałam, że jesteś przeciwnikiem intuicji.

- Tylko intuicji innych, nie własnej.

Eva Backman wybuchnęła śmiechem. Następnie westchnęła.

- Wiesz co, inspektorze Barbarotti, zaczynam cię poznawać. A właśnie, dlaczego byłeś tam dzień dłużej? Chyba jeszcze tego nie wyjaśniłeś?

- Ależ tak - odparł Barbarotti. - Odwołano lot. Z przyczyn technicznych, czy nie tak się zawsze tłumaczą?

- To nie znaczy, że ty też musisz się tak tłumaczyć.

Barbarotti nie odpowiedział. Eva Backman przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

Uznała, że coś się za tym kryje. Chyba dochodziła do głosu jej własna intuicja, ale ponieważ nie została powszechnie uznana, Backman zdecydowała się nie ciągnąć tematu.

Przynajmniej na razie.

- Co więc mamy na tapecie? - zapytała. - Morindera?

- Arnolda Morindera i jego niebieski moped - oznajmił inspektor Barbarotti z zaciętą miną. - Daj mi jeszcze jeden dzień, a to załatwię. Mam pewien plan. Ale teraz twoja kolej. Jak ci poszło z tym, jak mu tam. Fridolinem?

- Hansem Fridolinem Hanssonem.

- Opowiedz - poprosił Barbarotti.

I inspektor Backman opowiedziała.

Po rozmowie z Backman Barbarotti wrócił do swojego pokoju.

Usiadł przy biurku, zdjął buty i przez pierwsze dziesięć minut tylko myślał. Następnie wstał i przez kolejne dziesięć wyglądał przez okno, nie przestając myśleć. Nie będąc tego do końca świadom, patrzył na dwa kwitnące bzy, jeden kwitnący kasztan i pół budynku prokuratury, a gdyby podniósł trochę wzrok, zobaczyłby pomarańczowy balon, który powoli wznosił się ku wysokiemu jasnemu niebu i reklamował fabrykę organicznej kiełbasy z Kymlinge.

Barbarotti jednak nie podniósł wzroku - to wewnętrznej, nie zewnętrznej jasności szukał.

Kiedy to delikatne przedsięwzięcie dobiegło końca i kiełbasiany balon zniknął za miejskim lasem, inspektor wykonał trzy telefony.

Najpierw zadzwonił na Midsommarkransen do Inger Berglund. Zdziwił ją jego drugi telefon, a jeszcze bardziej sprawa, z jaką dzwonił. Jednak po zastanowieniu i wędrówce myślami dwadzieścia trzy lata wstecz przypomniła sobie, że było dokładnie tak, jak mówi. Ta dziwna sprawa zdarzyła się właśnie tamtej wiosny i tamtego lata, Inger Berglund zaś postanowiła nie pytać Barbarottiego, czego właściwie szuka.

I słusznie. Barbarotti podziękował, życzył nadal pięknego lata i zakończył rozmowę. Następnie wybrał numer Billy'ego Helgessona.

Dodzwonił się do niego dopiero po chwili. Billy był na budowie w Saltsjöbaden i nie bardzo miał czas na rozmowę.

- Pięć minut? - zaproponował Barbarotti.

- Dobrze, ale nie więcej - zgodził się Billy Helgesson.

Wystarczyłyby trzy, pomyślał Barbarotti, kiedy skończyli.

Na koniec zadzwonił do firmy Pooly AB, która z jakichś dziwnych przyczyn działała w Kymlinge od ponad dwudziestu pięciu lat. A przynajmniej mieli tu filię, główny oddział mieścił się bowiem w Göteborgu. Barbarotti porozmawiał z niejakim

Wetterströmem, który nie potrafił udzielić mu żadnych konkretnych informacji. Obiecał jednak, że poszpera trochę w papierach i porozmawia z ludźmi, którzy już wtedy u nich pracowali. Zadzwoni jutro, jeżeli to inspektorowi odpowiada.

Barbarotti zapewnił, że odpowiada mu to jak najbardziej, podziękował i zakończył rozmowę.

Kiedy również i ten telefon miał z głowy, siedział jeszcze jakiś czas i starał się wyciągać wnioski. Stwierdził, że to, co powiedział Backman, kiedy poinformował ją, że musi rozmawiać z ludźmi osobiście, żeby cokolwiek ustalić, nie jest do końca prawdą. Jeżeli bowiem spotkał ich już raz, wystarczy potem prosić ich telefonicznie o przypomnienie sobie tego czy owego. Jeżeli, by tak rzec, wiedział, z kim rozmawia.

Zadowolony z tego przedpołudniowego łowienia ryb w mętnej wodzie, włożył buty, poszedł do garażu i zdając się na los szczęścia, ruszył do willi Jesienne Słońce.

W drodze powrotnej do miasta po rozmowie z Hassem Fridolinem Hanssonem o mały włos nie kupił pierwszej w życiu kolorowej gazety. Zrobiłby to w kiosku Pinglan na Vattugatan, gdzie każdy, kto chciał, mógł zobaczyć, że „Expressen” i „Aftonbladet” po raz pierwszy podały tę samą oszałamiającą wiadomość: „HITLER MIESZKAŁ W SZWECJI W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH. SENSACYJNE INFORMACJE W NOWYM SZWEDZKIM BESTSELLERZE” - głosił napis na pierwszej stronie „Expressen”.

„NIEZNANA WNUCZKA HITLERA PISZE SENSACYJNĄ POWIEŚĆ PO SZWEDZKU” - można było przeczytać w „Aftonbladet”.

Barbarotti zahamował przed kioskiem. Przetarł oczy, potrząsnął głową i powoli dotarło do niego, że Axel Wallman nie uciekał z żadnego ośrodka, kiedy spotkali się na Arlandzie. To było. tak, to naprawdę było coś w rodzaju rzeczywistości: superagent literacki w musztardowym garniturze, słomkowym kapeluszu i z laseczką. Hałaśliwy, czarujący i wyrachowany jak stary szelma z duńskiego filmu. Jak to w ogóle możliwe?

Bettina Braun? Hitler w Skanii? *Trzeci rebus?*

- Tak, tak - westchnął Gunnar Barbarotti, zwolnił sprzęgło i

ruszył. - Świat jest teatrem, a ludzie chcą być oszukiwani. Chyba o to w tym wszystkim chodzi.

A kto mógłby mieć pretensje do postrzelonego Wallmana? Lepsza historyjka od historii.

*„Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli, ani też o tych, co będą kiedyś żyli, nie będzie wspomnienia u tych, co będą potem”.*<sup>9</sup>

Axel Wallman wiedział, co robi, a stary Kohelet i tak widział już wszystko.

Turniej w wista dla dwóch graczy w willi Pickford tego pięknego wieczoru potrwał dwie godziny i dwadzieścia minut, ponieważ każdy musiał zagrać z każdym i rezultat musiał być bezdyskusyjny. Zaczęli po jedzeniu, a kiedy w końcu można było zapisać wyniki, było już po północy. Ponieważ jednak w szkole o tej porze roku za bardzo ich nie obciążano - w oczekiwaniu na zakończenie roku, które wypadało w kolejnym tygodniu - nikt nie miał nic przeciwko temu. Johan nie musiał iść rano do pracy w kawiarni, a inspektor umówił się z szefem dopiero na jedenastą następnego dnia.

To były dobre godziny. Czuł nawet, jak unosi się nad nimi Marianne. Uśmiechała się do nich ze swojej chmury. Może to za dużo powiedziane, ale, co najlepsze, zauważył, że inni też to widzą. Zdziwiał, pomyślał. Dziękuję.

Była to oczywiście wędrówka po cienkim lodzie - zdarzały się napięcia powierzchniowe i szczeliny, ale przynajmniej szedł w dobrym kierunku.

Sama gra w karty z punktu widzenia pana domu pozostawiała jednak trochę do życzenia. Ponieważ punktacja w pickfordzkim wariacie wista była taka jak w szachach, partia mogła się skończyć wynikiem 1:0 albo, w przypadku jednakowej liczby lew, co następowało częściej, niż można by przypuszczać, wynikiem 0,5-0,5. Przy sześciu uczestnikach było to w sumie piętnaście rozgrywek, po pięć na osobę, a kiedy Lars z kiepsko ukrywanym entuzjazmem odczytał wyniki, okazało się, że wygrał właśnie on. Zgromadził cztery punkty. Na drugim miejscu *ex aequo* znaleźli się Sara i Johan z trzema

---

<sup>9</sup> Koh 1, 11.

punktami, czwarty był Martin z wynikiem 2,5 punktu, piąta Jenny - 1,5, szósty i ostatni był Gunnar z jednym marnym punktem.

Rezultat bezdyskusyjny.

Chłopcy poszli spać tuż po zakończeniu turnieju, on jednak, choć było już późno, został chwilę na dole z Sarą i Jenny i wkrótce zorientował się, że między dziewczynami istnieje więź, której wcześniej nie zauważył.

Jego córka i córka Marianne. Dzielili je sześć lat, ale nie miało to znaczenia. Była to wspólnota i więź, której nie dało się przeoczyć, i kiedy Barbarotti był już pewien, że to nie złudzenie, musiał zostawić je same, ponieważ do oczu zaczęły napływać mu łzy. Wszedł na górę i rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na dziewczyny siedzące na wiklinowych krzesłach w wykuszu z widokiem na jezioro, otulone kocami i letnim półmrokiem; w dłoniach trzymały wielkie filiżanki z herbatą i nie było powodu wątpić, że zarówno Marianne, jak i Bóg mają je pod swoją opieką.

Te wahania, pomyślał. Ta ufność, która przychodzi i odchodzi, kiedy jej się podoba.

Śliska jak mydło w wannie, pomyślał po raz kolejny.

Kiedy wszedł do łóżka, otworzył Biblię i przeczytał psalmy 23 i 91.

Potem zgasił lampę i odwrócił się na bok, próbując zasnąć.

Pięć minut później, musiało już być grubo po pierwszej, zapalił z powrotem światło. Czuł, że ciało już śpi, ale umysł nadal czuwa. Chwycił segregatory z aktami, leżące na podłodze koło łóżka, i zaczął przeglądać.

Za piętnaście druga wreszcie znalazł nazwisko.

Börje Granat.

Wstał, włączył komputer i odpalił wyszukiwarkę eniro.se.

Okazało się, że facet nadal żyje i mieszka w mieście. Ulica Lilla Smedgränd i dwa numery telefonu. Stacjonarny i komórkowy.

Ze względu na późną porę postanowił, że ciąg dalszy nastąpi jutro. Zapisał dane na kartce i wrócił do łóżka.

Börje Granat też mi nie ucieknie, pomyślał.



- Trzy czterdzieści pięć i dziewięć - rzekł Asunander. - Mówi ci to coś?

- Brzmi jak czas w biegu na półtora kilometra - odparł Barbarotti.

- Zgadza się - powiedział Asunander. - Nigdy nie udało mi się zejść poniżej trzech czterdziestu pięciu, a to o trzy sekundy gorzej niż Gunder Hägg. Ale zakończyłem karierę przed dwudziestym pierwszym rokiem życia.

- Naprawdę? - odparł Barbarotti.

No to sprawa wzięła w łeb, pomyślał.

- Nigdy też nie zszedłem poniżej minuty pięćdziesięciu na osiemset metrów, ale byłem obiecujący i chcę, żebyś to wiedział. Niesamowicie obiecujący.

- Nie mam co do tego wątpliwości - rzekł Barbarotti. - Ale myślałem, że będziemy rozmawiać o sprawach, którymi się zajmuję, i o tym, dlaczego w ogóle chciałeś.

- Dojdziemy do tego - przerwał Asunander. - Gdyby jednak nie mój krótki epizod w roli sportowca, nie siedziałbyś tu, gdzie teraz siedzisz.

Barbarotti przez chwilę szukał odpowiedzi, ale nic nie znalazł.

- Średni dystans - ciągnął niezrażony Asunander, a jego oczy przybrały natchniony wyraz. - Król wszystkich sportów. Biegałem na tym dystansie już jako junior. Ciężko trenowałem i reprezentowałem swój macierzysty klub z Halmstad. To, że zrezygnowałem tak wcześnie, wynikało z problemów z okostną. Okostną i kolanami. Gdyby nie to, trenowałbym dalej.

- Hm - mruknął Barbarotti.

- Wszystko ma swój czas - stwierdził Asunander i pochylił się nad biurkiem. - I w tym właśnie jest powód, dla którego poprosiłem cię o przyjrzenie się sprawie Morindera i Birmy. Przede wszystkim tej drugiej, ale niestety nie mogłem tego odpowiednio zaakcentować.

- Muszę się zgodzić, rzeczywiście tego nie zrobiłeś - odparł Barbarotti.

Na twarzy Asunandera malował się namysł.

- Jak by to powiedzieć? No więc chodzi o...

- Tak?

- Hrrm - chrząknął Asunander. - Chodzi tu o ze wszech miar prywatną sprawę.

- Domyśliłem się - stwierdził Barbarotti.

Asunander posłał mu długie spojrzenie.

- Ach tak, naprawdę? - zapytał z odrobiną zwątpienia w głowie. - Ale dobrze, wszystko jedno, chodzi o wydarzenia z roku 1968, tego, w którym przestałem uczestniczyć w zawodach. choć to było później, po lecie. Miałem dwadzieścia lat i mieliśmy wymianę z klubem z NRD.

Z Drezna, pod koniec wojny najbardziej spustoszonego bombardowaniami miasta w całych Niemczech, choć w latach sześćdziesiątych przynajmniej w sporcie nabrali rozpędu.

Zawahał się na moment i sprawdził, czy Barbarotti słucha. Ten skinął głową.

- Byliśmy u nich w odwiedzinach jesienią 1967 roku, a teraz, czyli w maju 1968, oni przyjechali do nas do Halmstad. Trening, małe zawody i ogólna integracja. Nie wiem, jak stoisz z historii, ale maj 1968 roku był bardzo burzliwym miesiącem. W Paryżu, praktycznie rzecz biorąc, rewolucja, wszędzie zamieszki studenckie. każdy chyba o tym słyszał, nawet jeśli nie brał udziału. No i wówczas przyjechali do nas z dwutygodniową wizytą ci młodzi sportowcy.

Zrobił kolejną pauzę i znów spojrzał na Barbarottiego, szukając potwierdzenia.

- Słucham - odezwał się Barbarotti. - Miałem wtedy osiem lat, ale znam tę sytuację. Przynajmniej z grubsza.

- To dobrze - odparł Asunander. - No i wtedy się zakochałem.

Barbarotti dyskretnie uszczypnął się w ramię, żeby mieć pewność, że nie śni.

- Miała na imię Regina. Sprint i skok w dal. Nie średni dystans, jak ja. Trzymano je oczywiście bardzo krótko, ale pewnego wieczoru nam się udało. To oczywiście nie było dozwolone, strasznie ryzykowaliśmy, szczególnie ona.

- Udało się wam? - zapytał Barbarotti. - Rozumiem, że

integracja zaszła trochę... za daleko?

- Nie chcę wchodzić w szczegóły - odparł Asunander z irytacją. - Tak czy inaczej stało się, jak się stało, a dziesięć dni później wróciła do Drezna. Nigdy jej więcej nie widziałem. Wiesz może, że było coś takiego jak żelazna kurtyna?

Barbarotti nie odpowiedział. Asunander urwał i spojrzał przez okno.

- Zostały mi jeszcze tylko dwa tygodnie tej pracy - rzekł. - Chyba mogę sobie na to i owo pozwolić.

Najwyraźniej spodziewał się, że Barbarotti to skomentuje. Albo przynajmniej coś powie, Barbarotti zaś po raz pierwszy w życiu poczuł, że powinien jakoś naprowadzić swojego szefa. Że Asunander w pewnym sensie. zwraca się do niego o pomoc?

- Co się stało? - zapytał. - Musisz mi powiedzieć, jak to się ma do wydarzeń z Małej Birmy, które rozegrały się. ile lat później? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden?

Asunander skinął głową. Wstał z krzesła, przespacerował się po pokoju i znowu usiadł.

- Jeżeli powiem, że ta dziewczyna nazywała się Regina Peters, to coś ci delikatnie zaświta?

- Peters? - odparł Barbarotti. - Czekaj, czekaj.

- Czekam - powiedział Asunander.

- Juliana Peters. Spotkałem się z nią w zeszłym tygodniu w Sztokholmie. Jest żoną Billy'ego Helgessona, chłopaka z Małej Birmy.

- Otóż to - rzekł Asunander. - Widzisz jakieś podobieństwa?

- Słucham?

- Podobieństwa - powtórzył Asunander. - Pytałem, czy widzisz jakieś podobieństwa.

- Słyszałem - odparł Barbarotti. - Ale podobieństwa między czym a czym?

- Między nią a mną, rzecz jasna. To moja córka.

Zapadła kilkusekundowa cisza. Barbarotti nie miał pojęcia, co dzieje się w głowie komisarza, ale w jego własnej strzelił chyba bezpiecznik. Albo dwa.

- Twoja córka? - odezwał się wreszcie. - Myślałem, że nie masz dzieci?

- Ja też tak myślałem. Do chwili, kiedy kilka miesięcy temu dostałem list od Reginy Peters. z którą byłem jeden jedyny raz czterdzieści cztery lata temu. To nie był zresztą mój seksualny debiut, ale niewiele brakowało. No i ona zaszła w ciążę. Urodziła córkę w Dreźnie w lutym 1969, a teraz. kiedy zaczęła sobie zdawać sprawę, że być może nie będzie żyła wiecznie, doszła do wniosku, że już czas mnie poinformować. Dowiedziałem się też, że obie, matka i córka, miały niełatwe życie, ale teraz żyje w kontrolowany sposób. Mam na myśli Reginę. Tak się właśnie wyraziła: „w kontrolowany sposób”. Oczywiście po niemiecku, ale znam ten język.

- Kontaktowałeś się z nią? - zapytał Barbarotti.

Sądziłem, że była oszczepniczką, pomyślał. Ale była sprinterką. Muszę wziąć się w garść.

Asunander potrząsnął głową.

- Definitywnie zerwała wszelki kontakt. Ma inną rodzinę i twierdzi, że to tylko przysporzyłoby problemów. Ale chce, żebym wiedział o istnieniu Juliany. Zwłaszcza że kilka lat temu przeprowadziła się do naszego kraju.

Oparł się na krzesło i skrzyżował ręce na piersi.

- A Juliana? - zapytał Barbarotti. - Czy... kontaktowałeś się z nią?

Twarz szefa nabrała wyrazu, jakiego nigdy wcześniej na niej nie widział.

Letnie niebo, pomyślał Barbarotti. Tak, właśnie tak, nagie i bezbronne, bez tej nieprzeniknionej bariery ochronnej, która narastała przez całe życie i prawie czterdzieści lat pracy w policji kryminalnej. Teraz właśnie pękła. Minęło kilka dziwnych sekund.

- Nie wiem, czy się na to odważyć - powiedział w końcu Asunander. - Wiem, że muszę, ale chciałem z tym poczekać do emerytury.

- Może to i lepiej - odparł Barbarotti i przelknął ślinę.

- Od razu ją sprawdziłem, w liście było podane tylko imię, ale to oczywiście nic dziwnego... No i... no i odkryłem, że jest zamężna akurat z Billym Helgessonem. Mają córkę, o czym rzecz jasna wiesz. Ponieważ nie miałem pojęcia, co robić,

zaczęłam przeglądać te stare materiały. i te na temat Morindera. naprawdę gówniane śledztwa, jedno i drugie, mam nadzieję, że się zorientowałaś. No i kiedy tak przeglądałam, przyszło mi do głowy, że może nie wyglądało to tak, jak się wszystkim wydawało. Po kilkukrotnym przeczytaniu tego wszystkiego pomyślałam, że mógłbym sobie wyobrazić zupełnie inny scenariusz.

- Mianowicie?

Asunander pociągnął się za płatki uszu, po czym odpowiedział:

- Mianowicie taki, że to nie Rzeźniczka zabiła i poćwiartowała swojego męża.

Barbarotti czekał z kamienną twarzą.

- Tylko że zrobił to ten smarkacz.

Barbarotti odchrząknął.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć - odparł. - I rozumiem, na czym polega problem. No więc mogę ci zaręczyć, że to ona poćwiartowała zwłoki, ale jeżeli chodzi o morderstwo.

Asunander pochylił się nad biurkiem i wlepił w niego wzrok. Wyraz jego twarzy był teraz bardziej niż znajomy. Nie było to letnie niebo, raczej burzowa noc.

- Co ty mówisz? Pojmujesz chyba, że...

- Tak?

- Że chcę wiedzieć, czy moja córka jest żoną mordercy, czy nie?

Barbarotti próbował zebrać myśli. Poczuł nagłą złość, że nie dowiedział się o tym na samym początku, ale niemal od razu pomyślał, że jest w stanie zaakceptować taktykę Asunandera. Poza tym, pomyślał, gdyby wiedział, i tak niczego by to nie zmieniło. A w każdym razie nie na lepsze, tylko by mu zawadzało.

Być może Asunanderowi udało się odczytać jego myśli, westchnął bowiem głęboko i rozłożył ręce.

- Przykro mi, jeśli myślisz, że wywiodłem cię w pole, ale wydawało mi się, że tak będzie najlepiej. A ta przekłeta sprawa Morindera i tak zasługiwała na to, żeby się jej przyjrzeć. Nie mogłem przecież zajmować się tym sam. Niby dlaczego? - pomyślał Barbarotti, ale zatrzymał to dla siebie.

- A więc masz wnuczkę - stwierdził, nie bardzo rozumiejąc,

dłaczego. - Julię. Nie tylko zyskałeś córkę, ale też zostałeś dziadkiem.

Nagle na twarzy Asunandera pojawił się uśmiech. Barbarotti nigdy wcześniej nie widział nic podobnego i mimo woli poczuł się wzruszony.

- Wiem - powiedział Asunander. - One.

- Co takiego?

- Chcę tylko powiedzieć, że mają imiona po mnie. Obie. Wtedy używałem drugiego imienia. Julius.

- Julius? - odparł Barbarotti i poczuł, jak drga mu mięsień policzka.

- To moje drugie imię - powiedział szybko Asunander. - Ale chcę też zadać ci jedno pytanie i dlatego tutaj siedzimy. Czy moja córka, której nigdy nie poznałem i o której istnieniu dowiedziałem się dopiero trzy miesiące temu, czy ona wyszła za mordercę, czy nie?

Barbarotti spojrzał na zegarek.

- Nie wiem - odpowiedział. - Naprawdę nie wiem. Ale za godzinę mam się spotkać z pewnym facetem i mam nadzieję, że po rozmowie z nim sytuacja ulegnie zmianie.

- Zmianie? - zapytał niezadowolony Asunander.

- Będę wiedział na pewno - uściślił Barbarotti. - Tak mi się wydaje.

- Wydaje? - jęknął komisarz Asunander.

Kiedy Barbarotti stał już w drzwiach, Asunander przywołał go z powrotem.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Byłbym wdzięczny, gdyby to zostało między nami. Nie chcę, żeby się rozniosło po komisariacie.

„Byłbym wdzięczny”? - pomyślał Barbarotti. Nie mówi nawet: żądam.

- Ma się rozumieć - odpowiedział.

Asunander wahał się przez chwilę.

- Przynajmniej nie dalej niż do inspektor Backman?

- Masz moje słowo - powiedział Barbarotti.

**5-6 sierpnia 2007**

Wsluchiwała się w milknący warkot silnika mopedu i wzięła trzy głębokie oddechy.

Próbowała pozbyć się wewnętrznego napięcia. Czowała się tak, jakby wyczerpała się pojemność jej klatki piersiowej. Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka i nie rozumiała, jak jej się to udało.

Jak udało się zachować spokój. Może jej wewnętrzne zasoby były większe, niż myślała. Może zgromadziła je przez lata spędzone w Hinsebergu. Jeżeli człowiek uczy się czegoś w więzieniu, to właśnie czekania. Panowania nad sobą - nie ma najmniejszego sensu się spieszyć, jeżeli dziesięć lub więcej lat ma się spędzić pod kluczem.

Wyszła na brzeg jeziora. Zrzuciła buty i weszła do wody. Nie głęboko, zaledwie kilka metrów, żeby sięgała do połowy goleni. Dno było muliste i nierówne, ale dla kogoś, kto chciał się tylko ochłodzić na stojąco, było w sam raz.

A to właśnie chciała zrobić. To próbował jej powiedzieć głos Muttiego: „Ochłódź się i zastanów. Planuj”.

Otóż to. Uporządkować szalejącą w głowie kakofonię i zdecydować, co robić. Zatrzymać ten kołowrotek.

A może już to wiedziała. Możliwe, że tak właśnie było. Możliwe, że było tylko jedno wyjście, ostateczne rozwiązanie, i należało tylko zaplanować i wytyczyć drogę. Nie cel.

Kiedy tak stała, patrząc na ciemną wodę, wróciła do niej cała rozmowa, praktycznie słowo w słowo - może nie było to wcale dziwne, że potrafiła odtworzyć ją w takich szczegółach. Pytanie brzmiało raczej, czy kiedykolwiek uda się ją zapomnieć.

- Czyli nigdy tego nie zrozumiałaś?

Siedzi, opierając się o ścianę, z nogami na stole. W rękę trzyma piwo. Jest wpół do dziesiątej wieczorem, słychać brzęczenie komarów, ale w oddali, bo zapalił ze dwie dymiące spirale. Jest trochę podпиты, ale nie pijany.

Jeżeli jest pijany, nie mówi prawie nigdy. Innym kobietom

przeszkadzałoby, że jest takicichy, ale jej to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, i myśli, że zostało jej to po Hinsebergu.

Sama wypila do obiadu dwa kieliszki wina i pije trzeci, ostatni.

A teraz on mówi. Ona też postanawia się odezwać.

- Czego miałabym nie zrozumieć?

- Tego, co się stało.

- Kiedy?

- Oj, wiesz, o czym mówię.

- Nie, nie wiem, Arnold.

Wypija łyk i patrzy na jezioro. Najwyraźniej się zastanawia, czy mówić dalej, czy nie.

- Nigdy nie wiedziałem, czy zrozumiałaś, czy nie.

Ona nie odpowiada. Wypija tylko łyk wina i myśli, że mimo wszystko to miły wieczór. Gdyby siedziała tu zamiast nich inna para, byłoby nawet romantycznie.

Myśl ta umiera w chwili, kiedy on znów się odzywa:

- Harry, do ciężkiej cholery. Mówię o Harrym. Myślę, że już chyba najwyższa pora.

- O czym ty mówisz?

- O tym na przykład, że nigdy mi nie podziękowałaś.

Po tych słowach wybucha śmiechem. To także jest nietypowe. Arnold Morinder i mówi, i się śmieje. Może jest bardziej wstawiony niż zwykle. Ona myśli, że zaraz coś się stanie. Osunie się ziemia - nie wie, skąd bierze jej się ta myśl.

- Za co miałam podziękować?

On robi krótką przerwę, próbując trafić komara, który przedarł się przez dym i wylądował na jego nodze. Uderza i nie trafia.

- Za to, że go zabiłem.

Nie dociera to do niej. Ziemia się obsuwa, a w jej głowie jest pusto i czarno, jak przed laty mogło być w kinie, jeśli urwała się taśma.

- Tak - mówi.

Mija jakiś czas. Siedzą nieruchomo. Komary brzęczą, nad jeziorem zapada zmrok.

- Co powiedziałaś? Nie dosłyszałam.



Wypija łyk piwa i zdejmuje nogi ze stołu.

- Kurwa - odzywa się. - Powiedziałem tylko, że powinnaś być mi wdzięczna, że zabiłem Harry'ego.

Teraz słyszy. Udaje jej się poskładać słowa w sensowną informację i przy tym zauważyć, że powiedział to z zadowoleniem. Może był trochę niepewny, ale w gruncie rzeczy zadowolony.

Myśli, że to dziwne, że wszystko, całe życie, może zostać odwrócone do góry nogami zaledwie w ciągu sekundy, a ona i tak może tu siedzieć i się przyglądać. Obserwować wszystko, jakby nie miała z tym nic wspólnego. Ale może on się z nią drażni - byłby to pierwszy raz, ponieważ Arnold Morinder nie potrafił się z nikim drażnić. Ani żartować, ani mówić ironicznie czy dwuznacznie. Jeżeli on coś mówi, to po to, aby podkreślić, że tak właśnie jest. Tę cechę u niego ceniła. Arnold prawie zawsze milczy, ale kiedy już otwiera usta, zwykle mówi prawdę.

Teraz jednak ona nie rozumie. Bo nie da się tego zrozumieć.

- Kontynuuj - prosi, kiedy nie odzywają się już dobrą minutę - bo chyba nie łapie.

Widzi, że właśnie na to czekał. Czekał, żeby poprosiła go o wyjaśnienie. Widzi też, że jest bardziej zadowolony i pijany, niż powinien.

- Czyżbyś naprawdę nigdy tego nie pojęła?

Dziwi się już trzeci albo czwarty raz. Ona daje mu znak głową, żeby mówił dalej.

Nigdy nie pojęła - co on sobie myśli?

Arnold odchrząkuje i spluwa na trawę, po czym mówi:

- Kurwa mać. To był moment. Trochę go znałem, wiesz?

- Znałeś Harry'ego?

- Znać nie znałem, ale spotkałem go kilka razy. Pograliśmy trochę w pokera. Ziggy, Staffe i ci.

Ona nie odpowiada. Dosyć ma składania jego słów w całość, w historię, w zupełnie inną historię niż coś, co do tej pory uważała za prawdę.

- Właściwie tylko w tamtym roku - mówi Arnold. - Podobałaś mi się już w szkole, chyba to pamiętasz, do cholery? Już wtedy coś między nami było. Miałem inne dziewczyny, ale

tylko ty się liczyłaś, Ellen. zawsze tak było, do cholery.

Nigdy nie słyszała, żeby mówił tak dużo na jednym oddechu. Czuje się, jakby uniosła się z krzesła. Teraz orbituje w powietrzu i przygląda im się z góry. Sobie i jemu. A delikatne upojenie alkoholowe spływa po niej jak woda.

- Mów dalej - powtarza, a ze swojego nowego punktu obserwacyjnego widzi wszystko wyraźnie. Wszystkie jej uczucia są ukryte w worku pod krzesłem, z którego właśnie wstała, ale na którym wciąż siedzi.

Arnold dopija piwo, podchodzi do beczki z wodą, wyławia kolejne i wraca.

- Naprawdę chcesz posłuchać? - pyta, ale tak naprawdę nie jest to pytanie, słyhać bowiem wyraźnie, że chce o tym opowiedzieć. Może on się tym nie rozkoszuje, nie całkowicie w każdym razie, ona jednak sądzi, że nosił to w sobie od jakiegoś czasu. Jak udało mu się poradzić sobie z czymś takim, to zagadka, ale Arnold Morinder jest zagadką. Jeżeli nie wiedziała o tym wcześniej, wie o tym teraz.

Teraz? Dlaczego mówi o tym dopiero dziś wieczorem? Niepojęte. Może to zwykły przypadek, może musiało tak być prędzej czy później.

Ona kiwa głową. Widzi z góry, jak to robi, i myśli sobie, że wygląda na spokojną i odprężoną. Zwłaszcza w tych okolicznościach. Arnold wypija łyk i podejmuje wątek.

- Zajmowaliśmy się przecież tym basenem - mówi. - W Wielkiej Birmie. Pracowaliśmy jako podwykonawcy dla firmy, która go robiła. no, jak jej tam było. Wtedy, po lecie, dostałem już pracę w Göteborgu, przeprowadziłem się, zanim. zanim się przyznałaś. Szlag by to.

Paauza. Kolejny komar. Kolejny cios i kolejne pudło.

- Przeczytałem o tym w gazetach. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego się przyznałaś. Dlaczego to zrobiłaś, do cholery?

Dlatego że. - myśli. Dlatego że, dlatego że.

Nie powie mu tego. To niemożliwe. Nie powie nikomu, a już na pewno nie jemu. Nagle czuje, że nie może się doczekać, aby usłyszeć, jak to było. Jak to, do cholery, możliwe, że Arnold Morinder zabił jej męża w jego pracowni, kiedy na własne oczy

widziała Billy'ego z młotem w rękach?

Zanim jednak zaczyna jej to opisywać, jeszcze zanim wdaje się w szczegóły, dociera do niej, że mówi prawdę.

Nie tylko dlatego, że Arnold Morinder zawsze mówi prawdę, ale też dlatego, że. że chłopak jest niewinny.

Billy nie zabił swojego ojca. On nie jest mordercą.

To czyste szaleństwo. Ale to prawda. Przez prawie dwadzieścia lat żyła w przekonaniu, że jest inaczej, i nagle wszystko odwraca się do góry nogami. Nagle wszystko pisze się od nowa i. i wszystkie przekłete dni i noce, bezsenność i beznadzieja zostają przebite jak balon, a całość tonie w cuchnącym, głośnym śmiechu spod ziemi.

Skąd mi się biorą takie słowa? - zastanawia się. „Cuchnący śmiech spod ziemi”? Czy ktoś siedzi w mojej głowie? Może Mutti? Nie, to nie Mutti, to tylko mój rzygający mózg.

Nie musi go prosić, żeby kontynuował. Arnold Morinder sam chce mieć już to za sobą, widać to wyraźnie.

- No co, kurwa? - mówi. - Ciągnęliśmy właśnie kable do podwodnych lampek, kiedy zobaczyłem, jak przechodzisz. Ja pierdołę, nie wierzyłem własnym oczom, a następnego dnia zobaczyłem cię tam znowu.

Krótką pauza. Kolejny łyk piwa.

- ...i w tamtą sobotę pomyślałem, że przynajmniej pójdę, przedstawię się i zobaczę, czy mnie pamiętasz. Chciałem też przywitać się z Harrym, ale wtedy zobaczyłem, jaką świnia jest w stosunku do ciebie, i wróciłem do pracy. Ale potem.

- Potem?

- Potem siedzieliśmy do późna, choć była sobota. Ale dostawaliśmy duże pieniądze, dodatki i w ogóle. no i kiedy skończyliśmy, pozostali pojechali do domów, ale ja wpadłem raz jeszcze, bo pomyślałem, że jednak muszę cię zobaczyć i pogadać. Gdzieś poszłaś, ja trochę połażiłem, układając sobie różne rzeczy w głowie, ale później zobaczyłem, że w oborze pali się światło, wszedłem i znalazłem Harry'ego w tym pomieszczeniu.

Milknie na chwilę, spogląda na nią i mówi dalej.

- Był porządnie nawalony i gęba mu się nie zamykała.

Pomyślałem o tobie i o tym, przez jakie piekło musiałaś przechodzić. On mnie zwyzywał i odwrócił się do mnie plecami, a na podłodze leżał ten młot. Harry kazał mi spierdalać i wtedy go zdzieliłem. Zostawiłem młot na podłodze i uciekłem. Chyba spanikowałem. Kurwa, przecież go zabiłem.

Wypija jeszcze łyk piwa, beka i potrząsa głową.

Tak samo jak Harry, myśli i kiedy na kilka sekund zamyka oczy, ich wizerunki zlewają się ze sobą.

Morderca i ofiara.

Znów siedzą w milczeniu. On wygląda na wyczerpanego, wypowiedział teraz więcej słów niż przez całe lato, a ona rozumie, że nic już nie powie. Już mu wystarczy. Już skończył.

- Spędziłam w więzieniu jedenaście lat.

- Ty głupia cipo - mówi, próbując się uśmiechnąć, żeby wiedziała, że to żart.

Ale Arnold Morinder nie potrafi się uśmiechać ani żartować - nigdy tego nie potrafił.

Siedzą jeszcze chwilę. Potem on mówi coś o cholernej masie komarów i oznajmia, że idzie się położyć. Ona mówi, że będzie spała na hamaku. On nie ma nic przeciwko temu, przypomina tylko, żeby wysmarowała się porządnie olejkiem na komary. Nie kochali się od kilku miesięcy, żadne z nich nie ma już chyba ochoty, a poza tym w ciasnym piętrowym łóżku jest to niemożliwe.

Całą noc leży tam przykryta dwoma kocami, a kiedy wielki sierpniowy księżyc z wolna przesuwa się nad czubkami drzew i nad jeziorem, rodzi się w niej decyzja, równie oczywista i niebudząca sprzeciwu jak zadbana sadzonka pomidora w szklarni.

To mój obowiązek, myśli. Nic innego, tylko pilny obowiązek. Trzeba być sprawiedliwym wobec własnego życia.

Karę i tak już odsiedziała.

Nie zamierza robić tego znowu.

Dlatego ważny jest plan. Wewnętrzznemu głosowi dziękuje za swój spokój. Myśli o Billym.

Patrzy, jak parkuje moped, opierając go o sosnę - jak zwykle. Pod pachą ma „Aftonbladet”; niemrawo kiwa głową w

jej stronę i idzie do domu po koc. Rozkłada go w trawie w lesie, układa się i zaczyna przeglądać gazetę.

Przez cały dzień nie powiedzieli do siebie ani słowa, a ona zdaje sobie sprawę, że nie zrobią tego już nigdy więcej.

Po chwili śpi już na kocu. Gazetę położył sobie na twarzy, jak zwykle.

Ona wchodzi do kuchni po patelnię. Jest z żelaza, ciężka i solidna.

Staje nad jego głową na szeroko rozstawionych nogach. Myśli, że to dobrze, iż położył tam gazetę - nie będzie musiała na to patrzeć.

Bierze głęboki oddech i uderza.

Rozlegają się dwa odgłosy: pierwszy to brzdęk patelni, drugi zaś przypomina trzask łamanej gałęzi. W jej głowie pojawia się wers piosenki, to trochę dziwne. *There is a crack in everything, that's how the light gets in.* Czyżby chodziło o czaszkę Arnolda? O to, że do jego przyciemnionego mózgu w końcu dostanie się trochę światła?

Prawdopodobnie ginie na miejscu od uderzenia. Rusza kilka razy rękoma i nogami, po czym leży bez ruchu. Zadaje mu jeszcze pięć albo sześć ciosów nożem w brzuch. Dla pewności.

Pozwala mu się przez chwilę wykrwawiać, po czym przykrywa go drugim kocem. Myśli, że to dobrze, iż nie mają żadnych sąsiadów.

Myśli o Billym. Myśli o wszystkim.

Z resztą wstrzymuje się do wieczora. Siedzi przy stoliku i pije kawę obok leżącego Arnolda. Rozwiązuje krzyżówki. Jest niedziela i po południu na jeziorze jest kilka łódek - tak, musi zaczekać do wieczora. Patelnia wraca na miejsce, a nóż do szuflady.

Łatwo jest zabić, myśli. Wystarczy kilka wybranych narzędzi kuchennych.

Koce i „Aftonbladet” wkłada do beczki, żeby je spalić. Nie dziś wieczorem, z powodzeniem może się tym zająć jutro. Arnold jest mniejszy od Harry'ego, więc tym razem nie musi ćwiartować ciała i bardzo się z tego cieszy. Bez problemu zanosí go na łódkę.

Z przybudówki wyjmuje stary, gruby żelazny łańcuch i okręca kilkakrotnie wokół ciała - łańcuch jest długi i z pewnością waży z dziesięć kilo albo i więcej, ale mimo wszystko do jego końca przymocowuje blaszane wiadro z wielkim kamieniem. Jako dodatkowy ciężar. Zagina też krawędź wiadra, żeby kamień się nie wysunął. Stara kłódka, metr stalowej linki i sprawa załatwiona. O dziesiątej wieczorem wypływa z całym tym ładunkiem na jezioro.

Za szuwarami i później na ukos w prawo - Arnold mówił jej, że tam jest najgłębiej. Nie da się łowić szczupaków. Co najmniej piętnaście metrów, może dwadzieścia.

Ale to wyśmienite miejsce dla samego Arnolda. Wyrzuca wszystko za burtę, gubi wiosło, ale udaje jej się je złapać, i wraca na łódź, nie czując nic poza głęboką radością.

Mopedu nie bierze jednak do łodzi - to niemożliwe. Czeka jeszcze godzinę. Następnie prowadzi go trzysta metrów do dużej drogi i odpala. Na dłoniach ma rękawiczki - pomyślała o wszystkim. Nie sądzi, żeby w którymś z okolicznych domków ktoś był, ale głupio byłoby ryzykować.

Ryzyko, że ktoś słyszał Arnolda wracającego ze stacji benzynowej, już zostało podjęte. Będzie musiała z tym żyć. Nigdy nie przyzna, że wrócił po południu, i nie sądzi, żeby ktokolwiek był w stanie udowodnić, że kłamie.

W tym, co się dzieje, musi być jakaś równowaga. Ufa w jakąś wyższą siłę, nie bardzo wiedząc, w jaką.

Przez pół godziny jedzie na zachód, na chybił trafił. Nie mija żadnego pojazdu, wyprzedza ją tylko mała furgonetka z norweską rejestracją. Kiedy uznaje, że zajechała wystarczająco daleko, zjeżdża na leśną drogę i udaje jej się wypchnąć moped kawałek w las. Zostawia go, zatopiony do połowy, na krawędzi bagna. Komary akompaniują. Jej poczynania od czasu do czasu oświetla księżyc, ale najczęściej trzyma się za nieruchomymi chmurami. Kiedy pokonuje długą drogę powrotną, zaczyna padać deszcz - myśli, że znakomicie się składa, z pewnością zatrze to wszelkie ślady wokół domku.

Także i teraz nie ma żadnego ruchu ulicznego, ale dlaczego miałby być? Kiedy jest już z powrotem i wreszcie może wejść

do ciasnego łóżka, zegar pokazuje drugą w nocy.

- To koniec - mówi do niej głos Muttiego. - Śpij dobrze.

Przesypia jedenaście godzin i nie śni jej się nic.

## 52

- A ogólnie rzecz biorąc? - powiedział Rönn. - Ogólnie rzecz biorąc, możemy stwierdzić, że czuje się pan odrobinę lepiej?

Barbarotti się zastanowił.

- Słyszałem kiedyś taką rzecz o smutku. Powiedziała to Jenny, moja córka, gdzieś to wyczytała, i pomyślałem, że to prawda.

- Słucham więc - odparł Rönn.

- Gdyby spojrzeć na smutek jak na pokój wewnątrz siebie, ważne są drzwi. Zawsze powinny być zamknięte. Można przebywać w pokoju albo też poza nim. Ale zawsze ma się go w sobie i można z niego wyjść albo doń wejść, w zależności od tego, co się dzieje.

Rönn pokiwał głową.

- Według potrzeb. To dobrze, jeśli drzwi nie trzaskają.

- Ale tak właśnie się dzieje - rzekł Barbarotti. - Na początku trzaskają bez przerwy.

- Człowiek się uczy - powiedział Rönn. - A przecież u pana minęło dopiero. ile?

- Czterdzieści jeden dni - odparł Barbarotti.

Rönn się uśmiechnął.

- Niewiele - stwierdził. - U mnie to już dwadzieścia pięć lat. Prawie równo. Umówmy się może na przyszły tydzień. Może porozmawiamy jeszcze trochę o wierze i ufności.

- Z chęcią - odpowiedział Barbarotti. - Wtorek wieczorem może być? Po pracy.

- Może być - potwierdził Rönn, zanotował w kalendarzu i się pożegnali.

Wyszedł z tego jednak w końcu wczesny sobotni wieczór. Najpierw mieli się spotkać w piątek, ale Rönn miał problem z zębem mądrości i przesunął spotkanie o jeden dzień.

- Nie ma znaczenia, że to sobota - powiedział. - Dusza nie pyta, czy to piątek, czy świętek.

Zaparkował na Norra Torg, a ponieważ miał jeszcze pół godziny, zdecydował się przejść. Pogoda była piękna i nie zaszkodziło przespacerować się wzdłuż rzeki. Czuł wyraźnie, że musi pozbierać myśli przed spotkaniem z Evą Backman.

Gdyby życzyła sobie sprawozdania, a domyślał się, że tak będzie. Nie był to może najważniejszy powód ich spotkania, ale i tak.

Kiedy jednak zaczął rozważać to i owo, doszedł do wniosku, że zamierza ukryć przed nią tylko dwie rzeczy. Albo jedną, zależy, jak spojrzeć. Obie rozmowy telefoniczne.

Odbył je zaledwie kilka godzin wcześniej, w odstępie dwudziestu minut, i zrozumiał, że z ich treścią musi postąpić tak samo jak z owym pokojem smutku, o którym opowiadał Rönnowi. Upewnić się, że wszystkie drzwi są zamknięte.

Z tą jedną różnicą, że teraz zamknie je na klucz. W tym wypadku od zewnątrz.

Powodem, dla którego dzwonił, był sen, który przyśnił mu się w pensjonacie. Nie bardzo rozumiał, jak mógł przez cztery dni leżeć w zapomnieniu, a potem powrócić, jakby ktoś po prostu puścił film. Ze snami i podświadomością nigdy jednak nie wiadomo, to nic nowego. Prawdopodobnie po prostu inne drzwi z innym portierem.

Akurat jadł lunch z trójką dzieciaków i narzeczoną jednego z nich w knajpie u Henry'ego. I wtedy to wróciło. Po zakończonym posiłku mieli się rozejść w różne strony, niektórym się spieszyło, uściskał wszystkich, pożyczył dwieście koron Martinowi, po czym został sam przy stole i czekał na rachunek.

Wtedy sobie przypomniał. Głos. Ukłucie w ramię. Usłyszane słowa.

Mała karteczka, którą wciąż miał w portfelu, nagle zyskała znaczenie. „Siostry”.

Najpierw zadzwonił do przychodni w Vilhelminie. Zapytał o nazwisko lekarki, która była u niego kilka dni wcześniej.

- Jak to lekarki? - odezwała się kobieta, mówiąca w



wyraźnym norrlandzkim dialekcie. - Mamy tylko jednego lekarza i nazywa się Markström. I to na pewno facet.

Barbarotti podziękował, odłożył słuchawkę i zastanawiał się pięć minut. Następnie zadzwonił do inspektora Gunvaldssona. Potrwało chwilę, zanim dodzwonił się na jego prywatną komórkę, ale w końcu się udało.

- Jak tam twoja alergia? - zapytał.

- Z każdym dniem coraz lepiej - powiedział Gunvaldsson.

Miał się tak dobrze, że siedział właśnie przy stoliku w ogródku jednej z lepszych restauracji w Karlstadsie i pił piwo. Spytał, czemu zawdzięcza telefon.

- Gdybym powiedział „Siostry” - rzekł Barbarotti - co byś mi na to odpowiedział?

Wtedy przerwało połączenie. Zadzwonił jeszcze dwa razy, ale nic to nie dało. Sygnał był zwyczajny, ale nikt nie odbierał.

Wszedł na zwodzony most, zatrzymał się na środku, po czym poszedł kawałek dalej w kierunku Pampas. Oparł się łokciami o balustradę, popatrzył w leniwy nurt i próbował przywołać w pamięci obraz Ellen Bjarnebo.

Rzeźniczka z Małej Birmy?

Ni cholery.

Siostry?

Tak, tak może być, pomyślał inspektor Barbarotti. Pokój zamknięty. Przynajmniej na razie.

Balkon Evy Backman był darem od Boga. Mieszkanie, do którego się wprowadziła po rozwodzie z Villem, mieściło się na najwyższym piętrze jednego z nowo wybudowanych domów, a siedząc tak wysoko, można było sobie wyobrażać, że jest się mewą. Pod nimi rozciągało się całe Kymlinge: rzeka, las miejski, starówka z dwiema kościelnymi wieżami, osiedla mieszkalne na zachodzie i północy, Rocksta, Gårdinge, dzielnica przemysłowa na południu. Stara i nowa wieża ciśnień, a daleko w tle - cypel Kymmen, we wczesnych godzinach wieczornych będący tylko ciemnym konturem, a na nim zagospodarowane pola i las po obu stronach.

Kiedy Barbarotti zapadł się w fotelu, na chwilę zapomniał o wszystkim innym i tylko patrzył. Od razu przypomniało mu się,

jak tydzień wcześniej był na Slussen i podziwiał Sztokholm, i zdał sobie sprawę, że temu miastu również niczego nie brakuje.

Oczywiście był tutaj nie po raz pierwszy, ale nie mógł sobie przypomnieć podobnego wczesnoletniego wieczoru.

- Mogłabyś wynajmować to mieszkanie letnikom - powiedział. - Sam balkon by wystarczył.

Eva Backman skinęła głową.

- Wiem. Zastanawiałam się, czy nie przenieść tu łóżka, ale nie wiem, czy zmieści się

w drzwiach. Dzięki, że w końcu przyszedłeś.

- Przepraszam - odpowiedział Barbarotti. - Byłem nastawiony głównie na siebie, ale Rönn twierdzi, że może tak być podczas żałoby. Jak się czujesz?

Eva Backman wahała się przez chwilę.

- Chcesz odpowiedź grzecznościową czy prawdziwą?

- Prosiłbym o prawdziwą - odparł Barbarotti.

- To napijmy się najpierw wina - zaproponowała Backman. - Witaj i na zdrowie.

Zaczęli pić, a w tej samej chwili kościelne dzwony wybiły siódmą.

- Niezbyt dobrze się czuję - powiedziała Eva Backman i odstawiła kieliszek. - Szczerze mówiąc, jestem już zmęczona sobą, już sama siebie nie poznaję.

- Powiem tylko, że ja cię poznaję - rzekł Barbarotti.

- Miło, że pamiętasz, jak się nazywam - odparła Backman. - Ale ostatnio tak mnie to wszystko irytuje i wkurza, że nie wiem, gdzie to się skończy. Przede wszystkim chodzi o Villego i jego smoczyce, ale nie tylko.

- Wydaje mi się, że kiedy jest się w twoim wieku, człowiek znajduje się w swego rodzaju kobiecej strefie - podsunął ostrożnie Barbarotti. - Ale może coś opacznie zrozumiałem.

Marianne powtarzała, że jeżeli chodzi o kobiety, rozumiem opacznie wszystko, co tylko można.

Eva Backman się zaśmiała.

- Ale zacznasz sobie z tym radzić? Nie chodzi mi o opaczne rozumienie, tylko o śmierć Marianne. Widzę to po tobie.

- Radzić, nie radzić - odparł Barbarotti. - Są takie chwile,

kiedy sobie to wmawiam, ale czasami jest tylko ciemność.

- Rozumiem - powiedziała Eva Backman. - Może nie powinniśmy o tym teraz rozmawiać. O tym i o mojej chandrze. Po prostu jedz. Za chwilę będzie coś z piekarnika. Ale teraz chcę usłyszeć zakończenie historii Bjarnebo. Wszystkie kawałki są już na swoim miejscu?

- A wiesz, że to niewykluczone? - odparł nieśmiało Barbarotti i włożył do ust kawałek mozzarelli. - Dobrze. Ale sprawa jest zakończona.

- To, co powiedziałeś o Asunanderze, brzmi jak. sama nie wiem. Jak baśń?

- Może i tak - zgodził się Barbarotti. - To było niemal wzruszające. Ale w każdym razie dowiedziałem się tego, czego chciałem.

- Że chłopak jest niewinny?

- Tak.

- I Rzeźniczka też?

- Nie zabiła Harry'ego Helgessona.

- Ale.?

Barbarotti westchnął i rozłożył ręce.

- Myślę, że zabiła Arnolda Morindera. Lecz to tylko strzał i nie zamierzam tego dłużej drążyć.

Eva Backman czekała, aż Barbarotti zje cztery oliwki i paluszek chlebowy.

- A więc wydaje mi się, że to było tak - zaczął w końcu i skierował wzrok na miasto zamiast na nią. - To Morinder zabił Harry'ego Helgessona. W tych dniach był akurat w Wielkiej Birmie, robili tam basen, a on zajmował się chyba elektryką. Jak to było konkretnie, nie zamierzam ustalać, ale Ellen musiała pomyśleć, że to chłopak był sprawcą. Wiesz, że praktycznie nie mówił, co na pewno ma tu wiele do rzeczy. Ona bierze winę na siebie, w ogóle o tym nie rozmawiają. W sumie, po namyśle, sądzę, że to całkiem naturalne. Albo przynajmniej zupełnie wiarygodne, biorąc pod uwagę to, jaki on był. i jest. Ona myśli, że to chłopak, chłopak myśli, że to ona.

- Ona myśli, że to chłopak, chłopak myśli, że to ona? - powtórzyła Backman i zmarszczyła czoło.

- Nie widzę innego rozwiązania - stwierdził Barbarotti. - Ona ponosi karę, żeby ratować chłopca, a wiele lat później dowiaduje się, że to Morinder jest sprawcą.

- Jej partner?

- Gdyby nim nie był, nigdy by się nie dowiedziała. A Morinder zabił Harry'ego Helgessona właśnie dlatego, że ten był jej mężem. Nie zapominaj o tym... pamiętasz z pewnością tę starą historię z czasów, kiedy chodzili razem do szkoły. Nie powinno się mówić źle o nieobecnych, ale z tego elektryka był dziwny typ.

Eva Backman potrząsnęła głową i próbowała przetrwać informacje.

- Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedziała - ciągnął Barbarotti - ale obstawiałbym, że to jemu się coś wypsnęło. I wywróciło do góry nogami wszystko, w co wierzyła i co robiła przez osiemnaście lat.

- A co twoim zdaniem zrobiła. z Morinderem. w takim razie?

- Nie mam pojęcia. Może leży gdzieś na dnie Kymmen. To, co z niego zostało. Ale.

- Tak?

- Ale nie kiwnę palcem, żeby się tego dowiedzieć.

Eva Backman oparła się i zamyśliła.

- Rozumiem - powiedziała. - Zbrodnia i kara. Każdy miał już swoją, o to ci chodzi?

Barbarotti wzruszył ramionami i wypił łyk wina.

- Jest to w każdym razie nierozwiązywalne. Jak to się mówi.

- Okej - odparła Backman. - Powiedzmy, że to kupuję, z tym tylko małym zastrzeżeniem, że w tym kraju nie mamy kary śmierci.

Barbarotti myślał dobrą chwilę.

- Morinder leży tam, gdzie leży - powiedział w końcu. - Jeżeli założymy, że tak właśnie jest. To on zamordował. On milczał, kiedy kobieta, którą kochał, poniosła za to karę. On był powodem tego, że matka i syn zostali rozdzieleni na zawsze. Rozmawiałem wczoraj z niejakim Börjem Granatem, który twierdził, że Morinder i Harry Helgesson trochę się znali. Grali razem w pokera czy coś takiego.

- Czyli Morinder miałby to zaplanować?

- Nie, absolutnie. Nie sądzę, żeby wiedział, że Ellen będzie w domu, kiedy tam przyszedł. To chyba było chwilowe natchnienie, nie wiem, co tego wieczoru zaszło między tymi dwoma mężczyznami. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Tak czy inaczej, kiedy Ellen Bjarnebo wróciła do Kymlinge, Morinder zaczął ostrzyć sobie na nią zęby. Sam przyjechał tu z Göteborga w tym samym okresie. albo może rok wcześniej. I stało się to, co się stało. W tym przypadku chyba trochę to zaplanował.

- Nie wydaje się zbyt sympatyczny - stwierdziła Eva Backman.

- Rzeczywiście, nie usłyszałem i nie przeczytałem o nim ani jednego dobrego słowa, więc to chyba prawda. Dlaczego się z nim związała, to zagadka, ale gdyby tego nie zrobiła, prawda nigdy nie wyszłaby na jaw. Czyż nie?

- Prawda?

- Załóżmy.

Backman skinęła głową. Barbarotti siedział przez chwilę w milczeniu i szukał odpowiednich słów.

- Ta kobieta miała coś w sobie - odezwał się. - Miała coś w sobie, kiedy rozmawiałem z nią w pensjonacie. Pewną równowagę.

- Równowagę?

- Tak. Smutną równowagę, jeśli można tak powiedzieć, ale teraz musimy zostawić ją w spokoju. Nie miała lekkiego życia.

- Dobrze, że oboje nie uczymy w szkole policyjnej - stwierdziła Backman po chwilowym namyśle. - Dobrze dla nich i dla nas. A właśnie, chcesz usłyszeć finał historii Fängströma? Wyjaśniła się kilka godzin temu.

- Kilka godzin temu? Wczoraj mówiłaś, że to był wypadek.

Eva Backman skinęła głową.

- Tak, to był wypadek. Wyjaśniło się po prostu, skąd pochodziły grzyby. Zgadnij.

- Z lasu?

- Mądry glina - odparła Backman. - Tak jest, a cały dowcip polega na tym, że to LillMarlene Fängström je zbierała. I

pomyśleć, że nadal tego używam: „cały dowcip polega na tym”. Może nie jest to najodpowiedniejsze w tym przypadku, ale mój tata zawsze tak mówił.

- No i jaki jest ten dowcip? - zapytał Barbarotti.

- Przepraszam, no więc jesienią mama Fängströma i mężczyzna, z którym się spotykała, pojechali na wycieczkę do Estonii i na Łotwę i nazbierali kilka siatek grzybów. Ponoć jest ich tam dużo. Zabrali siatki do Szwecji i zamrozili. Pokażną górę oddali naszemu demokracie, który jakieś osiem miesięcy później zjadł tego tyle, że wystarczyło, żeby go zabić. Zresztą kilka pozostałych siatek jeszcze gdzieś krąży. Wennergren Olofsson je tropi.

- Dziwne - powiedział Barbarotti.

- Tak - przyznała Backman. - Ale odłożyliśmy to do akt. A w przyszłym tygodniu mam urlop. Spróbuję wtedy poprawić sobie humor.

- No to wypijmy za to. Czuję dobre zapachy z kuchni. Co tam się pichci? Chyba nie.

- Możesz być spokojny. To tylko pieprznik trąbkowy.

## 53

Trzy godziny później nadal tam siedzieli. Słońce zaszło, Eva zapaliła światło i włączyła piecyk gazowy. W kieliszkach mieli wino, do wina trochę sera i czekolady.

- Gdzie masz dzieci? - zapytała Backman.

- Uważasz, że powinienem do nich pojechać?

- Absolutnie nie - powiedziała. - Chcę się tylko upewnić, że o nich nie zapomniałeś.

- Mają zajęcie beze mnie - odparł Barbarotti. - Wyobrażasz sobie? Chłopcy są u matki w Göteborgu i chyba wybrali się do Lisebergu, zawsze się upiera, żeby ich tam zabrać. Johan jest ze swoją dziewczyną na jakiejś studenckiej imprezie czy czymś takim. Sara i Jenny idą na trening, a potem do kina. tak, naprawdę wiem, co się z nimi dzieje. Wiesz to samo o swoich?

Eva Backman wzruszyła ramionami i przez chwilę wyglądała

na smutną.

- Oczywiście - powiedziała. - Jörgen i Viktor wybrali się z kolegami pożeglować, przynajmniej tak twierdzili. Tak czy inaczej wyprowadzili się już z domu i nie oczekują, że będę miała ich na oku. Kalle jest w mieście, u Villego i smoczycy, biedny chłopak. Albo gdzieś imprezuje, żeby mogli mieć trochę spokoju.

- Naprawdę nie lubisz tej kobiety?

Skinęła głową i ugryzła się w wargę.

- Naprawdę, i trochę mnie to przeraża. Powinam sobie z tym poradzić, ale może zamieniam się w prawdziwą sukę? Kilka godzin temu ktoś powiedział coś o kobiecej strefie, pamiętasz może?

- Nie rozumiem, o czym mówisz - powiedział Barbarotti, ale widział, że Eva Backman jest poważna.

Poważna i smutna.

Dziwne, pomyślał, znamy się tak długo, a chyba nigdy nie widziałem jej na bosaka.

To była nieoczekiwana myśl. Teraz miała na nogach grube skarpety, mające chronić przed wieczornym chłodem. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że od dwudziestu lat byli kolegami z pracy i że na świecie nie było drugiej osoby, z którą wymieniliby tyle myśli.

- Pamiętasz, że kiedy Marianne miała pierwszego tętniaka, powiedziałam, że tak bardzo się boję? Ten strach pozostał, tak jakbym. Jakbym wiedziała, że to się stanie. Że ona umrze. Wybacz, że to mówię.

Skinął głową.

- Pamiętam. Myślę, że strach to najokropniejsza bestia. To ona nas niszczy. Właśnie. Właśnie to tak mnie zdziwiło w Ellen Bjarnebo. Ona była jakby poza strachem.

- Poza strachem? - odparła Backman. - Brzmi nieźle. Mam nadzieję, że można tam trafić. Przykro mi, że jesteś taki przygnębiony, Gunnar, przecież chodziło o to, żeby cię trochę rozweselić. Ale czuję się taka. zagubiona?

Barbarotti pokiwał głową, ale nie odpowiedział.

- Mam pięćdziesiąt lat, jestem samotna i zagubiona.

Gdybym dziś miała napisać swoje CV, ta jedna linijka by wystarczyła.

- Myślałem, że masz dopiero czterdzieści osiem?

- Czuję się starsza - powiedziała Backman, ułamała kawałek czekolady i żuła przez chwilę. - Nawet czekolada jest teraz gorzka. I robią to specjalnie, czy to nie dziwne? Nigdy nie mogłam się z tym pogodzić jako dziecko.

Roześmiała się, Barbarotti zaś pomyślał, że jeżeli jest coś, co rozpoznaliby w radosnej grupie stu tysięcy osób, to właśnie śmiech Evy Backman.

- Właściwie to mam pewien mały plan - powiedział i odchrząknął.

- Plan? - zapytała Eva Backman.

- Tak, zgadza się, hrrm.

- No to słucham.

- Przyszedł mi do głowy wczoraj, kiedy rozmawiałem z Asunanderem. Wiesz, ta cała sprawa jego córki i w ogóle.?

Skinęła głową, a w jej oczach pojawiło się coś, co przypominało niepokój. Ale na balkonie panował półmrok, więc może się mylił.

- Tak czy inaczej powiedział, że nie wie, czy wystarczy mu odwagi, ale musi to zrobić. Spotkać się z córką. Samo w sobie nie było to może specjalnie dziwne, ale chodzi o sposób,

w jaki to powiedział. i wyraz jego twarzy. To było szczególne również dlatego, że chodziło akurat o niego.

- Mów dalej - poprosiła Backman.

- Z jakiegoś powodu nie mogłem przestać o tym myśleć i w końcu zrozumiałem, dlaczego. Zamierzam odnaleźć mojego ojca.

- Twojego ojca?

- Tak.

- Którego nigdy nie poznałeś? Włocha.?

- Tak jest. Może nie żyje, ale wtedy znajdę jego grób. Zamierzam wziąć sobie we wrześniu tydzień wolnego, pojechać do Włoch i się tym zająć. wiem przecież, jak się nazywa i gdzie się urodził. Myślę, że to zadziała.

Eva Backman się uśmiechnęła.



- Dobrze - odparła. - Bardzo dobrze robisz, Gunnar.  
- Jeszcze jedno - powiedział Barbarotti i nerwowo przeciągnął dłońmi po kolanach.

- Tak?

- Chciałem zapytać, czy miałabyś ochotę pojechać ze mną?

Eva Backman miała właśnie podnieść kieliszek do ust, ale postawiła go z powrotem. Przyłożyła dłoń do ust i patrzyła na niego z wyrazem twarzy, którego nie potrafił rozszyfrować. Jakby właśnie zobaczyła coś zamiecionego pod dywan, co leżało tam tak długo, że nie mogła już tego zidentyfikować. A może było to coś kompletnie przeciwnego, coś zupełnie nowego i niemożliwego do pojęcia. Minęło pięć sekund. Potem zaczęła się śmiać.

A potem płakać.

Czy znowu coś opacznie zrozumiałem? - pomyślał Barbarotti. A może?

Zamiast jednak próbować zrozumieć, podniósł wzrok na delikatne i przezroczyste czerwcowe niebo. Wcale nie było trudno ich tam zobaczyć. Marianne i Boga. Siedzieli razem na starej dębowej ławce w parku, wysiedzianej i nadgryzionej zębem czasu, i słuchali z zainteresowaniem tego, o czym rozmawiano na tym podarowanym przez Boga balkonie w tym fikcyjnym mieście, gdzie kobieta właśnie wyciągnęła rękę do mężczyzny.

- Z tego miejsca wszystko zapowiada się dobrze - powiedziała Marianne.

- Da się zauważyć, że twój mąż nie powstał z żebra orangutana - powiedział Bóg. - Choć nigdy nie rozumiałem całej tej koncepcji ewolucji.

Marianne się uśmiechnęła.

- Człowiek jest niezbadany - dodał Bóg. - Dokładnie tak jak ja.

## **Podziękowania**

Autor składa gorące podziękowanie paniom S i L, więźniarkom z Hinsebergu, które służyły mu wartościowymi informacjami na temat pewnych istotnych kwestii, ale nie chcą podawać nazwisk, a także braciom Granlundom, którzy w doskonały sposób pełnili funkcję kierowców w południowej Laplandii, ale byli znacznie bardziej rozmowni od swoich książkowych odpowiedników.